

ŚLADY



ZBRODNI

MATS OLSSON

*Tylko lojalni
przeżyją*

WSZYSTKO ZOSTAJE W RODZINIE



WYDAWNICTWO
POLNOŚLĄSKIE

MATS
OLSSON

**WSZYSTKO ZOSTAJE
W RODZINIE**

Przełożył ze szwedzkiego
Maciej Muszalski

I see a bad moon rising

I see trouble on the way

John Fogerty,

Bad Moon Rising, Creedence Clearwater Revival

...biegła tak szybko, że aż czuła ból w płucach... podrapała rękę, gdy się na niej oparła, żeby przeskoczyć mur, ale zadrapanie przestało piec, kiedy je polizala... prędko, prędko wbiegła na ścieżkę wiodącą do lasu, słyszała krzyki: „znaleźć ją!”, „musicie ją dorwać, do cholery!”, i przekleństwa miotane przez mężczyzn, ale nikt nie widział, jak przeskakiwała przez mur, więc pomyślała, że jeśli mają ją dogonić, będą musieli wsiąść do samochodu, a nie dało się jechać samochodem w lesie, co oznaczało, że zyska trochę czasu... dobrze знаła ten las, gałęzie smagały ją po ciele i policzkach, ale prawie nie zwracała na to uwagi... padła na ziemię i przeczołgała się o metr, tam gdzie las był najbardziej gęsty, potem się podniosła, nasłuchując odgłosu silnika, głosów lub kroków, ale słyszała tylko swój własny oddech, łomot serca i dźwięki, które kojarzyły jej się z lasem... dobrze znała lasy, wiedziała, jak brzmią, i nie bała się ciemności albo nietypowych głośnych dźwięków w nocnej ciszy – trzasku gałązek, pohukiwania sowy, trzepotu skrzydeł ptaka – prawdopodobnie las bał się bardziej niż ona... a kiedy już była pewna, że nikt nie ruszył za nią w pościg, zebrała wszystkie siły i zaczęła biec, biec, bez nadziei, że znajdzie się ktoś, kto się nią zajmie, kto ją uratuje... wiedziała, że ludzie, którzy na nią polują, są niebezpieczni...

Sny są zdradliwe.

Jeżeli ktoś śni o czymś przyjemnym, na przykład że zaraz zdobędzie złoto w takiej czy innej dyscyplinie albo że wkłada rękę pod sukienkę dziewczyny, sen kończy się przed dobiegnięciem do mety albo przed wsunięciem ręki do końca – o ile to nie jedno i to samo. Jeżeli natomiast śnią się trupy bliskich, tańczące z diabelskimi uśmiechami, jeśli we śnie ucieka się przed prześladowcami i w końcu trafia do jaskini, kończy się droga i powietrze, czuje się ucisk w piersi i nie da się uciec do przodu ani do tyłu, wtedy człowiek może się szarpać i krzyczeć do woli, a i tak się nie obudzi.

Nie wiem, jak scharakteryzować sen, który śnił mi się tamtej nocy.

Był brutalny, ale nie niepokojący.

Nie rozumiałem, dlaczego akurat wtedy śniło mi się coś tak brutalnego.

Dzień w restauracji w Solviken był spokojny: jedyną rezerwacją stanowiła kolacja na czterdzieści osób z okazji pięćdziesiątych urodzin. Nie była to impreza z rodzaju tych, które kończą się strzelaniną, rozpustą albo przynajmniej kilkoma bójkami. Goście jedli, wygłaszali przemowy, wznosili radosne okrzyki, a potem pojechali do domu. Jubilat odjechał starym cadillakiem w kolorze śmietany, a kierowca miał na sobie frak i cylinder. Wydawał się o wiele za stary na prowadzenie pojazdu, a poza tym odniosłem wrażenie, że kiedy czekał w kuchni, wypił więcej niż jeden kieliszek wódki.

Przed weekendem synoptycy ostrzegali przed śniegiem i gołoledzią w północnych rejonach Szwecji, ale na nas, południowców, świeciło słońce. Kiedy zebrałem naczynia ze stołów, posprzątałem i poszedłem do domu, po chmurach nie pozostało ani śladu, niebo było jasne, rozgwieżdżone i obiecujące.

Kilka dni wcześniej znajomy organizator tournée Krister Jonson pojawił się w restauracji ze śmiesznym irlandzkim triem bluesowym o nazwie Blueshog, którego członkowie poświęcili życie i kariery na granie wyłącznie utworów Johna Mayalla, jakby komukolwiek było to potrzebne. Wyglądali jak trzy brodate krasnale ogrodowe, a tournée obejmowało koncerty w miejscach, o których nigdy nie słyszałem, między innymi w pizzerii w Klippan.

Krister Jonson pomógł mi rok wcześniej, kiedy w najlepsze albo w najgorsze zajmowałem się człowiekiem ochrzczonym przez media mianem „klapsowego mordercy”. Zorganizowałem busowi Kristera nocny postój na parkingu w porcie w Solviken. Zarówno on, jak i trzech Irlandczycy spali w busie; twierdził, że Irlandczycy wolą busa od łóżka, ale nie wiedziałem, czy w to wierzyć – czasami mam wrażenie, że Krister Jonson sobie ze mnie żartuje, mimo że jest całkowicie wyzuty z poczucia humoru. Dostałem egzemplarz płyty Blueshogów – Hog the Blues, ale dopiero po ich wyjeździe zauważyłem, że Krister zostawił też w mojej lodówce pięć jointów w foliowym woreczku.

Wszyscy pracownicy restauracji spieszyli się do swoich spraw, więc usiadłem na werandzie z kieliszkiem calvadosu i jednym z jointów Jonsona. Zapaliłem, utrzymałem dym najdłużej jak się dało, a potem powoli wypuściłem. Oparłem się

na krześle i pozwoliłem myślom płynąć.

Była niedziela, więc zdziwiłem się, słysząc odgłosy imprezy. Dobiały z oddali, ktoś się śmiał, śpiewał albo krzyczał. Z daleka takie dźwięki bywają zniekształcone i niejednoznaczne, krzyki mogą się wydawać radosne, a za chwilę pełne przerażenia. Gdybym wyteżył słuch, być może usłyszałbym również rytmiczną dyskotekową muzykę, ale nie wiedziałem nic o tym, żeby w pobliżu była dyskoteka, ani też nie sądziłem, że w północno-zachodniej Skanii w letnie niedziele przygrywa się do tańca. Z drugiej strony człowiek nie wie wielu rzeczy. Sam fakt, że Irlandczycy śpią w busach, był dla mnie nowością, o ile Krister Jonson nie robił sobie ze mnie jaj.

Nie potrafię zrozumieć wstrętu, z jakim Szwedzi podchodzą do palenia marihuany. Restauracyjni goście wiele dni i tygodni cieszyli się i przygotowywali na bezpardonowe chłanie, którego należy oczekiwać na imprezie z okazji pięćdziesiątych urodzin. A przecież żaden autor gazetowych wstępniaków czy publicysta nie grzmi z powodu spustoszeń, jakie w człowieku i w jego otoczeniu wywołuje alkohol. Za to zawsze powtarza się, że pierwszy buch jointa od razu prowadzi do uzależnienia od heroiny i do okrutnej śmierci z igłą w zgięciu ręki w kiblu w Helsingør. Prawdopodobnie chodzi po prostu o to, że jeden narkotyk jest legalny i usankcjonowany przez państwo, a drugi nie.

Położyłem się i szybko zasnąłem. Sen nadszedł właściwie od razu i już wtedy pomyślałem, że jest niezwykle brutalny. Zwykle nie miałem takich po wypaleniu marihuany i wypiciu calvadosu.

Brutalny to może niewłaściwe słowo, raczej dziwny i niezrozumiały – jakby sny kiedykolwiek były zrozumiałe. Podróżowałem, ale nie wiem jak, z kim ani dokąd. W końcu zrozumiałem, że płynę łodzią, stabilnie stoję na pokładzie. Łódź, podłużna motorówka, po chwili zmieniła się w trójkątną tratwę, o tyle osobliwą, że czubek miała z tyłu – a więc płynęła po pełnym morzu szerokim frontem do przodu. Pomyślałem, że to dziwne, a nawet chyba niemożliwe.

Mimo to płynęła coraz szybciej, a ja zwijałem albo stawiałem żagiel – nie wiem, co właściwie robiłem. Jeden z moich najlepszych przyjaciół – nie rozpoznałem osoby, ale byłem pewien, że to jeden z moich najlepszych przyjaciół – stał na skale i krzyczał:

– Svensson, cholera, musisz naprawić silnik, nie słyszysz, jak stuka?!

Silnik? Nawet nie wiedziałem, że ta tratwa ma silnik. Czy przed chwilą nie zwijałem bądź nie stawiałem żagla? Kiedy się odwróciłem, masztu i żagla już nie było, za to na pokładzie – o ile kilka złączonych bali można nazwać pokładem – leżało coś w rodzaju silnika. Wibrował, łomotał i syczał. Może i stukał.

– Napraw go! – krzyknął mój przyjaciel, a ja nie miałem pojęcia, skąd się wziął ani dokąd poszedł.

Miałem na sobie szorty, których nigdy wcześniej nie widziałem. Silnik był ciężki, zaimponowałem sam sobie, kiedy udało mi się go podnieść. Stałem z rozszarpanym do czerwoności i być może stukającym silnikiem w objęciach, a potem wrzuciłem go do morza. Zasycał, a wtedy morze zniknęło i grzmotnął o ziemię daleko w dole, a ja poczułem, że coś wsysa mnie do góry przez jakąś papkowatą substancję. Obudziłem się gwałtownie, a serce biło mi jak oszalałe. Papkowata substancja pachniała wanilią.

Zamiast mózgu miałem breję i nie rozumiałem, dlaczego ten silnik tak cholernie stukał.
Silnik... Przecież wyrzuciłem go za burtę.
Już nie spałem.
Stukanie nie ustawało.
Drzwi.
Ktoś pukał, walił do drzwi.
Wstałem i z otwartym jednym okiem, chwiejąc się na nogach, podszedłem do okna w sypialni i uchyliłem żaluzje.
Do drzwi mojego domu pukała dziewczynka.
Zorientowałem się, że ją znam.
Latem zeszłego roku co jakiś czas wychodziła z lasu i obserwowała, co robimy – ja i restaurator Simon Pender. Miała dziewięć czy dziesięć lat i nigdy się nie odzywała, a kiedy my mówiliśmy coś do niej, odwracała się i znikwała w lesie. Dopiero kiedy odwiedzili mnie Arne Jönsson, mój kolega, i Bodil Nilsson, kobieta, za którą tęskniłem, dziewczynka odważyła się zbliżyć i zostać dłużej niż minutę. Wypiła nawet kawę, kiedy Arne do mnie przyszedł.
Tego lata jej nie widziałem.
Otworzyłem drugie oko, a potem zmrużyłem oboje oczu – chyba przyszedł czas na okulary. Wydawało mi się, że na policzkach dziewczynki widzę łzy.
Stukała wytrwale zaciśniętą w pięść prawą dłońią, a do tego zaczęła walić czołem w drzwi.
Owinąłem się prześcieradłem, przeszedłem kilka kroków z sypialni, przekręciłem zamek i otworzyłem.
Nie zwróciła na mnie uwagi. Wbiegła do domu, zrobiła dwa okrążenia wokół stołu, minęła mnie, wpadła do sypialni i bezwładnie padła na brzuch. Wpełzła pod moje łóżko, jak bejsbollista, który rzuca się do bazy. I tam została.
Drzwi się zamknęły.
Nadal słyhać było pukanie – trzęsła się tak mocno, że uderzała łokciami i kolanami o podłogę.
Była przerażona.
Już chciałem coś na siebie włożyć, kiedy usłyszałem głosy na zewnątrz.
Dwa głosy, dwóch mężczyzn.
Nie zaciągnąłem zasłon w kuchni, więc położyłem się płasko przy ścianie, żeby nikt mnie nie zobaczył, gdyby zajrzał do środka.
Zawsze zostawiałem okna uchylone, a przed pójściem spać otwierałem przynajmniej jedno, więc słyszałem głosy, ale nie potrafiłem rozróżnić słów.
Mężczyźni się zbliżali.
Nie szepotali, ale mówili ściszymi głosami.
– Ona musi gdzieś tu być – powiedział jeden.
– Może być wszędzie – odparł drugi.
Wydawało się, że stoją kilka metrów od domu.
Na ścianę przede mną padło światło latarki, potem zaczęło błądzić po kuchni.
– Co ty robisz, do cholery? – rozległ się głos i światło zniknęło. – Nie rozumiesz,

że nie możesz tak sobie świecić ludziom do domów?

– No kurde, przecież on się wścieknie, jak jej nie znajdziemy.

– Ale to cholernie kiepski pomysł świecić ludziom latarką do mieszkania w środku nocy.

– Wydawało mi się, że coś tam słyszałem.

– Świeć na ziemię, a nie do domów, nie możemy ściągać na siebie uwagi.

Zerknąłem do sypialni.

Dziewczynka pod łóżkiem zatykała sobie uszy palcami.

– Równie dobrze może być na jednej z łodzi w porcie.

– Myślisz, że kogoś tam zna? Przecież nie mogła tak po prostu władować się na czyjąś łódź.

– Cholera ją wie, może leży schowana pod brezentem. Wiem tylko, że ma bzika na punkcie lasu.

Żaden z mężczyzn nie posługiwał się skańskim dialektem, mówili bardziej jak sztokholmczycy, ale nie byłem pewien. Poza tym jeden z nich miał chyba obcy akcent.

– Może od dawna już jej tu nie ma.

– Nie od tak dawna, to nie długodystansowiec.

– Chciałeś powiedzieć sprinter.

– Racja.

– Zejdźmy do portu.

Słowa stały się niewyraźne. Ostrożnie usiadłem i wyjrzałem przez okno.

Dwaj mężczyźni ruszyli ścieżką do portu.

Drogę przed nimi oświetlała latarka.

Ten, który szedł pierwszy, miał na sobie dżinsy i cienką skórzaną kurtkę, drugi nosił coś, co wyglądało jak błyszczący dres do joggingu. Ten w dżinsach był wysoki, szeroki w barach i tak wielki, że mógł mieć własny kod pocztowy, drugi wydawał się niższy i miał nadwagę.

Ponownie opadłem na podłogę przy ścianie.

Co to, do cholery, było?

Dziewczynka przestała się trząść.

Dlaczego nie otworzyłem drzwi i nie powiedziałem: „Jest tutaj”?

Bo byłem owinięty prześcieradłem?

Bo dopiero się obudziłem i nie wiedziałem, co robię?

A może bardziej wierzyłem w wyraźny strach i przerażenie dziewczynki niż w to, co mogliby powiedzieć ci dwaj dorośli mężczyźni, którzy szukali jej w środku nocy?

A może się bałem?

Kiedy znów usiadłem i wyjrzałem przez okno, stali pod restauracją, blisko jednego z pomostów w porcie. Wyglądali, jakby się kłócili, obaj gestykulowali. Jeden z nich – Dres Joggingowy – wskazał główną drogę, a drugi wzruszył ramionami.

Potem Dres Joggingowy wyciągnął rękę w stronę latarni morskiej, której światło odbijało się w wodzie. Nie potrzebowali latarek, było widno.

Ten w dżinsach i kurtce wskazał kciukiem za siebie, w kierunku mojego domu, a Dres Joggingowy zaczął iść w stronę molo.

Dżinsowiec przez chwilę śledził go wzrokiem, a następnie odwrócił się i ruszył z powrotem, po schodach, w stronę mojego domu. Wiedziałem, że nie zdążę się schować w sypialni, więc jeszcze raz położyłem się pod oknem, przyciśnięty do ściany.

Tym razem Dżinsowiec próbował się skradać, ale słyszałem jego kroki – najpierw kiedy zszedł ze schodów na żwir i później, kiedy zaczął iść po trawie, aby nie było słychać, że nadchodzi.

Wszedł na werandę.

Stał nieruchomo.

Ruszył w bok, wydawało się, że kieruje się do uchylonego okna, pod którym leżałem. Poczulem, że mocno zalatuje od niego tanią wodą po goleniu.

Gdyby zajrzał do środka, zobaczyłby wewnątrz kuchni, ale nie widziałby sypialni ani mnie. Co by pomyślał na widok pięćdziesięcioletniego faceta przepasanego prześcieradłem i leżącego na podłodze w domku letniskowym?

Usłyszałem, jak idzie do drzwi.

Zatrzymał się.

Klamka powoli opadła.

Lekko pchnął drzwi.

Zacząłem się zastanawiać, czy je zaryglowałem, ale okazało się, że tak. Były zamknięte.

Klamka podjechała do góry.

Dżinsowiec się cofnął, minął okno i doszedł do węgła. Wyglądało, jakby chciał okrążyć budynek, ale to niemożliwe, las rośnie za blisko i jest zbyt gęsty. W zeszłym roku wykorzystał to ktoś, kto chciał podpalić mój dom.

Ten człowiek szedł po cichu.

Wrócił, stanął pod oknem i się podrapał.

Noc była tak cicha, że aż podskoczyłem, kiedy jakiś ptak zaczął huczeć albo skrzeczeć – cokolwiek robią ptaki w Szwecji letnią nocą. Nie wydawało się jednak, żeby człowiek za oknem usłyszał mój ruch.

Zszedł z werandy, jego buty chrzęściły na żwirze. Usiadłem i wyjrzałem. Teraz już się nie skradał, tylko szedł różnym krokiem do portu i po chwili zniknął mi z pola widzenia. Nie wiem, czy i gdzie odebrał tego drugiego, ale po kilku minutach usłyszałem dźwięk odpalanego silnika i odjeżdżający samochód. Nie mogłem rozgryźć, gdzie był zaparkowany, bo go nie widziałem i nie zobaczyłem, jak odjeżdżał, ale noc była na tyle cicha, że po warkocie silnika rozpoznałem, że auto wjechało na szeroką szosę i ruszyło na zachód, w stronę Kullabergu.

Odwróciłem się, przeszedłem na czworakach do sypialni, odłożyłem prześcieradło i podniosłem dzinsy, które leżały rzucone na podłogę. Usiadłem na krześle, wciągnąłem spodnie i poszedłem do łazienki. Ochlapałem twarz zimną wodą, wziąłem czysty ręcznik, wróciłem do sypialni i położyłem się na brzuchu koło łóżka.

Dziewczynka przesunęła się jakieś dziesięć centymetrów dalej.

– To tylko ja – powiedziałem ostrożnie. – Proszę, możesz wytrzeć tym policzki.

Wsunąłem ręcznik pod łóżko.

Nie poruszyła się.

Tylko na mnie patrzyła.

Dużymi, ciemnymi oczami.

– Co to byli za jedni? – spytałem.

Nie odpowiedziała.

– Już poszli – oznajmiłem. – Słyszałem, jak sobie idą.

Dziewczynka miała na sobie niebieską spódniczkę i biały top pod cienką jasną kurtką. Jej nogi były gołe, jeśli nie liczyć brązowych kaloszy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć i co zrobić.

– Możesz wyjść, jeśli chcesz – odezwałem się w końcu. – W tym pokoju nikt nas nie zobaczy. Nie chcę zaciągać żaluzji w kuchni, bo jeśli wrócą, zobaczą, że są zaciągnięte, choć wcześniej nie były. Ale tutaj w sypialni możemy siedzieć razem. Rano zaciągnę żaluzje w kuchni i wtedy już nikt nas nie zobaczy.

Dziewczynka milczała.

Ale wzięła ręcznik i wytarła sobie twarz.

Potem go złożyła, położyła przed sobą i oparła na nim głowę.

– Możesz tam leżeć, ale nie jest zbyt wygodnie, a jeśli ja się położę na łóżku, mogę cię wcisnąć w podłogę. Będziesz całkiem płaska.

Nic nie odpowiedziała, ale odniosłem wrażenie, że próbuje się uśmiechnąć. A może tylko to sobie wmawiałem.

Leżeliśmy i patrzyliśmy na siebie.

Może to była tylko moja wyobraźnia, ale widziałem, jak się zastanawia, czy mi zaufać, czy poczekać, aż wstanę, a potem wybiec i ukryć się gdzieś indziej.

W końcu odwróciła głowę i nie wiedziałem, czy zamknęła oczy.

Nigdy nie czułem strachu przed ciemnością, ale teraz leżałem w napięciu i nasłuchiwałem dźwięków, których nie było. Kroku na werandzie, trzasku łamanej gałęzi, oddechu mężczyzny, odgłosu naciskanej klamki.

Są takie wieczory, kiedy nie trzeba palić zioła, żeby żyć w świecie fantazji.

Nie wiem, kiedy zasnęliśmy, ale po przebudzeniu czułem się sztywny i obolały. Zorientowałem się, że ściągnąłem z łóżka poduszkę i podłożyłem ją sobie pod głowę. Miałem na sobie dżinsy, ale do pasa byłem nagi, nie miałem butów ani skarpetek i marzłem.

Dopiero po kilku sekundach wszystko sobie przypomniałem, a kiedy zajrzałem pod łóżko, spostrzegłem, że dziewczynka przysunęła się bliżej mnie.

Leżała na podłodze, z głową na ręczniku, który jej dałem.

Spała głębokim, spokojnym snem.

Nie znałem jej, wiedziałem tylko, że jest niespokojna i płochliwa, nie mówi i boi się przebywać z ludźmi.

Teraz spała pod moim łóżkiem.

Trzymała obiema dłońmi moją prawą rękę.

Na palcu wskazującym i dwóch kostkach prawej dłoni miała zadrapania, jakby uderzyła o ścianę albo o drzewo, kiedy biegła przez las – o ile rzeczywiście tamtędy biegła, ale zakładałem, że tak.

Ubiegłego lata próbowałem się dostać do lasu za domem, bo ciekawiło mnie, skąd dziewczynka przychodzi i gdzie znika, ale był tak gęsty, że nie dało się nic zobaczyć. W każdym razie zawsze kiedy się pojawiała albo odchodziła, widziałem ją biegnącą między drzewami.

Nie poczułem, kiedy chwyciła moją rękę.

Po nocy na podłodze bolały mnie plecy i nie wiedziałem, która jest godzina, ale zdecydowałem, że będę tak leżał, aż się obudzi. Uważałem, że powinna pospać, a poza tym nie miałem pojęcia, do czego się zabrać.

Chyba padało.

Wieczór poprzedniego dnia był jasny i ciepły, ale teraz krople deszczu biły w monotonnym rytmie o dach i szyby.

To, że uciekła akurat do mnie – przed czymkolwiek uciekała – oznaczało, że postanowiła mi zaufać.

Nie byłem specjalnie godny zaufania, ale ona nie mogła tego wiedzieć.

Nie miałem dzieci i nigdy się z nimi nie zadawałem, ale jedna znajoma powiedziała mi kiedyś, że do mnie lgną. Może i tak było. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nawet tego nie zauważyłem.

Dziewczynka nie trzymała mnie za rękę bardzo mocno, ale nie ulegało wątpliwości, że tego potrzebuje.

Nie rozumiałem, co takiego zrobiła i dlaczego dwóch mężczyzn goniło ją w środku letniej nocy, a przede wszystkim nie wiedziałem, co z nią zrobić.

Nie mogłem zabrać jej ze sobą do restauracji, bo nie umiałbym wytłumaczyć, kim jest i dlaczego mi towarzyszy, a poza tym bałem się powrotu ludzi, którzy ją ścigali.

Nazwa lokalu brzmiała po prostu Restauracja Solviken, bo była to restauracja i znajdowała się w Solviken. Restaurator Simon Pender i ja zostaliśmy dobrymi

przyjaciółmi, kiedy chciałem się zabawić w reportera wcieleniowego w klubie golfowym. Simon pracował w tamtejszej restauracji, skojarzył mnie z gazety i z artykułu wyszły nici.

Rzuciłem pracę dziennikarza i nie wiedziałem, co robić przez resztę życia. Dostałem hojną odprawę, ale nie miałem pojęcia, co dalej. Tak to już było z moim życiem: nie należałem do ludzi, którzy szukają pracy w różnych zawodach i próbują robić karierę. Po prostu z jednej roboty wpadałem w drugą. Kiedy Simon Pender skusił mnie do przyjazdu do Solviken, zgodziłem się.

Spojrzałem na dziewczynkę.

Spała.

Zdawałem sobie sprawę, że powinienem wstać i włączyć komputer, poszukać w sieci informacji, które pomogłyby mi zrozumieć, co się stało, dlaczego dziewczynka uciekała i dlaczego dwaj mężczyźni ścigali ją tak gorliwie, że jeden nawet nacisnął klamkę drzwi do mojego domu. Chyba że tylko to sobie wmówiłem.

Jej twarz była odprężona.

Dziewczynka wyglądała, jakby czuła się bezpiecznie.

Może to i prawda, że dzieci do mnie ciągną.

Ale mnie zawsze przyciągało co innego.

Droga, możliwość.

Lot, ucieczka.

Kapela w czasie koncertu.

Albo psotne, figlarne spojrzenie.

Miałem słabość do takich rzeczy.

Stanowczo zbyt wielką.

Ktoś taki nie powinien mieć dzieci.

Tak mi się wydawało.

Ale ja nie wiem wielu rzeczy.

Mimo że dziewczynka wytarła twarz ręcznikiem, na jej policzkach wciąż były ślady łez.

Pisnęła przez sen.

Westchnęła.

Przełknęła ślinę.

Łzy napłynęły mi do oczu.

Rzadko płaczę. Nie dlatego, że to podobno niemęskie – nie przejmuję się takim gadaniem. Po prostu raczej nie miewam powodów. Pewna kobieta powiedziała mi kiedyś, że jestem zimny.

Druga, że jestem realistą.

Trzecia nie wiedziała, jak to ze mną jest.

Płakałem ubiegłego lata, kiedy nie mogłem zasnąć i miałem nadzieję, że zadzwoni kobieta o imieniu Bodil. Płakałem, bo nie dzwoniła, płakałem, bo byłem zakochany, ale samotny i nieszczęśliwy, i potwornie mi jej brakowało.

Teraz chciałem stłumić płacz, ale głównie dlatego, żeby nie zbudzić dziewczynki.

Tak mi się wydawało.

Nie wiem, czy obudził ją mój szloch, ale pisnęła, puściła moją dłoń i przycisnęła

się do ściany pod łóżkiem. Patrzyła przeze mnie na wylot.

– Hej, hej, hej – powiedziałem. – Spokojnie, wszystko pójdzie jak krążek po lodzie.

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Nie używam takiego określenia, a rozgrywek hokeja nie oglądam od rozpadu Związku Radzieckiego. Poza tym kiedy zawołałem: „hej, hej, hej”, zabrzmiało to, jakby odezwał się niedźwiedź Baloo z *Księgi dżungli*.

– Nie masz się czego bać, to tylko ja.

Teraz znów mówiłem jak ja sam.

Mimo to nadal milczała.

Kiedy spróbowałem się obrócić, żeby powoli wstać, strzyknęło mi w stawach. Może niepotrzebnie tak lekką ręką wyrzuciłem ulotkę Związku Reumatyków.

– Teraz pójde do kuchni i zaciągnę żaluzje – oznajmiłem. – Potem nastawię kawę, pamiętam, że ubiegłego lata miałaś na nią ochotę. To Arne wpadł na ten pomysł. Pamiętasz Arnego, mojego kolegę z Anderslöv?

Trudno było stwierdzić, czy go pamiętała, czy nie. Nic nie powiedziała. Ledwo widziałem jej twarz pod łóżkiem.

Zanim zasłoniłem okna, stwierdziłem, że mocno pada, ale deszcz nie zacina. Nie widziałem nikogo w porcie, wokół domu ani obok knajpy. Co prawda, była dopiero za piętnaście szósta, ale o tej porze zawsze widać jakiegoś nieszczęśnika z psem.

Nastawiłem wodę na kawę, włączyłem komputer, włożyłem skarpetki i bluzę, a kiedy woda przeciekła przez filtr, krzyknąłem, że kawa jest już gotowa.

Sprawdziłem strony internetowe kilku gazet, ale na żadnej nie było nic o zaginionej dziewczynce. Zresztą nie mogło być. Jeżeli zaginęła w nocy z niedzieli na poniedziałek, informacja o tym powinna się pojawić w mediach co najmniej dwadzieścia cztery godziny później.

Kiedy spojrzałem znad komputera, dziewczynka stała w drzwiach. Wstałem, cofnęła się do sypialni.

– Chciałem tylko nalać ci kawy – powiedziałem.

Zrobiła kilka kroków do przodu i weszła do kuchni.

– Żeby trafić do łazienki, musisz przejść przez kuchnię.

Nic nie odpowiedziała, ale spojrzała w stronę, którą wskazałem.

– W szafce pod umywalką są nowe szczoteczki do zębów, a w szklance na szczoteczki jest tubka pasty.

Przejście od drzwi między sypialnią a kuchnią do łazienki wydawało się dla niej równie trudne jak skok z trampoliny z wysokości dwunastu metrów dla kogoś, kto ma lęk wysokości. Dobrą minutę patrzyła na przemian to na mnie, to w podłogę, to w kierunku łazienki, aż w końcu wzięła głęboki oddech i poszła tam zdecydowanym krokiem.

Postawiłem na stole kubek kawy, ale kiedy wróciła, nie wzięła go do ręki. Stała w drzwiach między sypialnią a kuchnią.

– Nie chcesz kawy? – zapytałem.

Zrobiła dwa kroki do przodu, chwyciła kubek i wróciła do drzwi.

– Wejdz, usiądź, nie musisz się bać.

Ostrożnie podeszła, usiadła na krześle, opuściła głowę i patrzyła w stół. Trzymała

kubek oburącz, jakby próbowała się ogrzać.

Wyciągnąłem prawą dłoń.

– Wiesz, że dziś w nocy trzymałaś mnie za rękę?

Szybko podniosła wzrok, a po jej spojrzeniu domyśliłem się, że tego nie pamięta.

– Zaczyna się robić zniszczona – stwierdziłem, kładąc rękę na stole. – Widzisz, że palec wskazujący jest krzywy? Mogę zostać prawdziwym kapitanem Hakiem.

Pomachałem palcem i zobaczyłem na jej twarzy cień uśmiechu.

– Sprawa wygląda tak – zacząłem. – Nie wiem, kim jesteś, nie wiem, dlaczego ci dwaj panowie szukali cię w nocy, ale mnie to nie interesuje. Rozumiesz? Nie mam zamiaru przed nikim się wygadać, że tu jesteś. Wiem, że potrafisz mówić, bo słyszałem twój głos latem zeszłego roku, ale nie będę cię zmuszał. Gdyby ktoś o ciebie pytał, ja nic nie wiem, nie widziałem cię. Ale ty i ja wyjaśnimy to. Zobaczymy, co przyniesie dzień, i postanowimy, co dalej. Zgoda?

Wydawało się, że zanim odpowiedziała skinieniem głowy, minęły całe wieki.

– Jestem po twojej stronie, nie zapominaj o tym. Jestem po twojej stronie.

Przysunąłem rękę bliżej.

Nie cofnęła się, uznałem to za postęp.

– Przymierze kciuków – oznajmiłem. – Kciuk do kciuka.

Utkwiła wzrok w mojej dłoni, ostrożnie i powoli wyciągnęła rękę do przodu i bardzo lekko musnęła kciukiem mój kciuk.

– Ty i ja – powiedziałem. – Teraz jesteśmy ty i ja.

Nie umiałbym wytłumaczyć, o czym wtedy myślałem. Pewnie dlatego, że sam nie miałem pojęcia, o czym myślę i co robić po zawarciu przymierza kciuków.

– Nie możemy tu zostać. Widziałem w nocy tych dwóch mężczyzn i... nie wyglądali na rozbójników z Kardamonu.

Skąd mi się to wzięło?

– Widziałaś *Rozbójników z Kardamonu*? – zapytałem. – Ja tak i to był jedyny raz, kiedy poszedłem do teatru. Kazali mi iść ze szkołą.

Wyglądała, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię.

Może w dzisiejszych czasach nie ciągnie się dzieci siłą do teatru.

– Znam pewną policjantkę. – Rzeczywiście tak było. – Ale jest teraz w Malmö i nie wiem, co mielibyśmy jej powiedzieć. Myślisz, że powinienem do niej zadzwonić?

Dziewczynka pokręciła przecząco głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Nie chcesz iść na policję?

Wzruszyła ramionami.

– Zejdę po gazetę – oznajmiłem. – Siedź tutaj, to potrwa tylko chwilę. Okej?

Skinęła głową.

Padalo mocniej, niż myślałem. Pobiegłem truchtem. Nie widziałem nikogo w porcie, wszystkie żaglówki były pozamykane, ale wydawało mi się, że widzę kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym. Szła z psem na smyczy w stronę głównej drogi.

Kiedy wróciłem, dziewczynka siedziała na swoim miejscu i nadal obejmowała dłońmi kubek.

– Przejrzę tylko gazetę i zobaczę, czy jest tam coś, co mi rozjaśni w głowie.

Ubiegłego lata prenumerowałem wszystkie gazety, tak robią dziennikarze – a przynajmniej ja tak zawsze robiłem – ale w tym roku wystarczył mi lokalny dziennik, resztę czytałem w sieci.

W papierowym wydaniu również nie było nic na temat zaginionej dziewczynki.

Za to kiedy przeglądałem tytuły notatek, zorientowałem się, że ludzie mają problem z trafieniem do biura informacji turystycznej. Zamieszczono wiele fotografii z festynu miejskiego z kilkoma dziwnymi dinozaurami, które wyglądały jak wykonane z kartonu, ale jak na festyn ulice były wyjątkowo puste. W innym mieście półnagie kobiety tańczyły sambę, ale było tam równie mało ludzi, choć tancerki miały na głowach duże pióropusze. Dwaj sąsiedzi od ponad trzydziestu lat kłócili się o komin i jeden z nich miał skierować sprawę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W wiejskim gospodarstwie ktoś kradł olej napędowy – policja uważała, że to zorganizowana grupa przestępcza – a naszym konkurentom z restauracji położonej dziesięć kilometrów dalej ktoś zwinął pięćdziesiąt kilo boczku i dwadzieścia kilo wołowiny. Dwoje emerytów będących w trakcie rozwodu biło się pałką bejsbolową i kijem golfowym przed swoim szeregowcem w Höganäs, młoda kobieta w chuście została opluta przez grupę nastolatków, którzy krzyczeli, żeby „wracała do Arabii”, piosenkarka, o której nigdy nie słyszałem, miała śpiewać jazz w kościele, mężczyzna został zatrzymany za jazdę koparką pod wpływem alkoholu, na drzwiach domu starców wymalowano swastykę, a w szkole wybito sześć szyb. Co najmniej trzy notki dotyczyły kobiet, które zostały pobite przez mężów.

Nie widziałem tu żadnego związku z historią dziewczynki.

Ominąłem ogłoszenia o uroczystościach rodzinnych, zdjęcia noworodków i tych, którzy byli trochę bliżej śmierci, i otworzyłem gazetę na stronie, na której drukowano tylko informacje o Solviken i okolicy.

Tam również nie znalazłem nic o dziewczynce.

Uciekł za to koń.

Stowarzyszenie odwykowe Länkarna poszukiwało alkoholików, a człowiek w śmiesznej czapce i z piłą mechaniczną, który przedstawiał się jako Janne Drewniana Czapeczka, chciał ścinać drzewa.

Miałem wrażenie, że przeglądam gazetę, żeby zyskać na czasie. Nie wiedziałem, co robić.

W końcu ją poskładałem i odłożyłem na stos makulatury. Ostatnio coraz częściej dochodziłem do wniosku, że gazety są produkowane wyłącznie na makulaturę – taki obieg zamknięty.

Znów usiadłem naprzeciwko dziewczynki.

– Mam plan – oświadczyłem.

Nie zareagowała. Może zdawała sobie sprawę, że to nie będzie żadna rewelacja.

– Wspominałem o Arnem, był tu w zeszłym roku, pamiętasz?

Skinęła głową.

– Polubiłaś go?

Znów skinęła głową.

– Pomyślałem, że powinnaś do niego pojechać, a ja przez ten czas spróbuję się

dowiedzieć, co się stało i co powinniśmy zrobić. Mogę się mylić, ale myślę, że tutaj nie byłabyś bezpieczna. Poza tym ufam Arnemu.

Nic nie powiedziała.

– Nie zamierzam cię zostawiać na pastwę losu – ciągnąłem. – Jesteśmy ty i ja, przypieczętowaliśmy to kciukami, pamiętasz?

Kiwnęła głową.

– Jeżeli wyjedziemy teraz, wszyscy będą jeszcze spali i nikt nas nie zobaczy.

Mimo deszczu na dworze było ciepło. Nie widziałem nikogo na ścieżce ani w porcie, kiedy szybkim krokiem dotarliśmy do schodów i zeszliśmy do mojego samochodu. Dziewczynka położyła się na tylnym siedzeniu. Minąłem zjazdy na Jonstorp, Farhult i Tångę na trasie 112, dopiero wtedy zjechałem na leśną dróżkę i zatrzymałem samochód. Widziałem, że kierowcy robią tu postój dla swoich psów.

Długo patrzyłem we wsteczne lusterko, aż w końcu uznałem, że mogę bez obaw pozwolić dziewczynce usiąść z przodu. Nikt za nami nie jechał, a jedynymi pojazdami, jakie spotkaliśmy do tej pory, były furgonetka z drabiną na dachu, dwa samochody osobowe i traktor z dużą przyczepą.

– Nie dostałaś choroby lokomocyjnej? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Może w ogóle nie miewasz choroby lokomocyjnej?

Znowu pokręciła głową.

– Jesteś przyzwyczajona do jazdy samochodem?

Wzruszyła ramionami.

Choć było wcześniej, na autostradzie panował duży ruch, długie sznury tirów na środkowym pasie wyglądały jak wędrujące słonie, a ludzie dojeżdżający do pracy ścigali się, żeby dotrzeć tam jak najszybciej. Każdy chciał być pierwszy. Pomyślałem, że mimo wszystko integracja w coraz bardziej wrogiej imigrantom Szwecji postępuje szybko. Opowiedziałem dziewczynce o małych polskich kanciastych samochodach, które pojawiły się na E6, kiedy runął mur między Wschodem a Zachodem. Teraz polskie tablice rejestracyjne widniały już na bmw i mercedesach, a gorsze samochody miały rejestracje z Litwy i Łotwy, a nawet z tak odległych krajów jak Mołdawia, Rumunia czy Białoruś.

Dziewczynka siedziała wyprostowana po mojej prawej stronie, trzymała ręce na kolanach i patrzyła przed siebie.

– Kiedy byłem mały, w Szwecji nie widywało się pojazdów na rosyjskich numerach ani nawet samych Rosjan. Ale musiało się u nich poprawić. Popatrz, to już trzeci rosyjski samochód, który nas mija w krótkim czasie.

Wskazałem czarnego mercedesa z przyciemnianymi szybami, który zniknął z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Dziewczynka podążyła za nim wzrokiem. Nie wiem, czy rozumiała, o czym mówiłem. W każdym razie się nie odzywała.

Do domu Arnego Jönssona w Anderslöv można było dojechać inną trasą, ale oznaczało to drogi i małe miejscowości, do których nie chciałem wracać, bo właśnie tam wydarzyła się głośna sprawa morderstwa, w którą Arne i ja byliśmy zamieszani. Dlatego okrążyliśmy Malmö. Byłem zadowolony, że mam GPS, bo chociaż urodziłem się

i wychowałem w tym mieście, kompletnie nie mogłem się połapać we wszystkich nowych drogach.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Anderslöv, przestało padać, a niebo przyozdobiły chmury o ciemnych brzuchach i kredowobiałych cukrowych wierzchołkach. Wyglądały jak przypalone ciastka.

Skręciłem w ulicę Arnego i zatrzymałem się przed jego domem.

Wyjąłem komórkę i wybrałem numer.

– Tu Arne – usłyszałem w słuchawce.

– Nie śpisz?

– Gdybym spał, nie rozmawiałbym teraz z tobą, Harry.

– Chcesz mieć gości? – zapytałem.

– Jak jasna cholera. Kiedy przyjedziesz?

– Teraz – odparłem.

– Teraz?

– Teraz.

– Gdzie jesteś?

– Wyrzyj przez okno.

Zanim się rozłączył, zobaczyłem jego twarz w kuchennym oknie.

Arne Jönsson zawsze był tęgawy, ale odkąd zapadł na chorobę cywilizacyjną znaną jako cukrzyca, zmodyfikował swój jadłospis, więc kiedy otworzył drzwi, naprawdę wyglądał, jakby ważył parę kilo mniej.

Dziewczynka schowała się za mną i nie podała mu ręki, kiedy się z nami witał. Arne był jednak dobry w te klocki – ubiegłego lata skłonił ją, żeby zaczęła mówić, a teraz nie zareagował na to, że nie uścisnęła mu dłoni.

– Jak miło cię widzieć, co za niespodzianka – powiedział do dziewczynki. – Wygląda na to, że masz się dobrze. Mnie dopadła cukrzyca starcza, więc muszę uważać na to, co jem. Mówi się „cukrzyca typu drugiego”, ale to po prostu cukrzyca starcza i tyle.

Czasem pomieszkowałem trochę u Arnego, więc w jego domu czułem się jak u siebie. Wyglądało tu jak zawsze – dużo ozdób, wysprzątane i przyjemnie pachnące mieszkanie. Nadal stał tu stary gruby telewizor, ale zauważyłem jedną nowinkę: Arne sprawił sobie komputer. Mac stał na komodzie w kuchni i dobiegały z niego dźwięki starego przeboju.

Ktoś śpiewał, że należy żyć pełnią życia.

– Lill-Babs – poinformował Arne. – Na Spotify można znaleźć wszystko.

Miałem tam konto, ale nigdy z niego nie korzystałem.

– Jak się nauczyłeś obsługiwać Spotify? – zapytałem.

– Pamiętasz Tomasa? Skarbaliusa. Tego Litwina.

– Tak, w zeszłym roku pomagał mi przy samochodzie.

– Jego córka ma jedenaście lat i wszystkiego mnie uczy. Słucha innej muzyki, ale pokazała mi, co mam robić.

Dziewczynka usiadła na jednym z krzeseł w kuchni i nie spuszczała mnie z oka.

– Możesz trochę pochodzić, jeśli chcesz – powiedziałem. – Tu jest co oglądać. Arne ma mnóstwo zdjęć na ścianach w swoim gabinecie. Nigdzie się nie wybieram, będę

siedział tu w kuchni, może Arne przygotowuje nam śniadanie.

Miałem wątpliwości, czy rozpozna kogoś na starych fotografiach Arnego, ale wyszła z kuchni, a ja wrzuciłem na patelnię kilka parówek prinskorv, do tego wbiłem kilka jajek i opowiedziałem Arnemu w skrócie, co się wydarzyło.

– Obiecywałeś, że będziesz trzymał się z dala od takich rzeczy.

– Takich rzeczy?

– Od tego. Ta sprawa nie wróży nic dobrego, po co się w to mieszałeś?

– Nie mieszałem się – zaoponowałem. – To dziewczynka przyszła do mnie w środku nocy, co miałem zrobić? Pozwolić jej stać na zewnątrz, dopóki jej nie dorwą?

– Nie, ale dziś rano mogłeś zadzwonić na policję.

Arne miał rację, inni na moim miejscu tak właśnie by zrobili i ja powinienem był tak zrobić, ale nie mogłem się pozbyć męczącego uczucia, że gdybym zaangażował w to policję, los dziewczynki tylko by się pogorszył.

– Ona nie chce, żebym dzwonił na policję – mruknąłem.

Arne prychnął.

– Mogą cię wsadzić za porwanie, pomyślałeś o tym?

Nie pomyślałem, ale odparłem:

– Coś mi mówi, że tym, którzy ją ścigają, raczej nie zależy na upublicznieniu tej sprawy. Kwestia porwania mnie nie martwi.

Martwiły mnie za to inne rzeczy.

Arne wyłożył na talerz parówki i jajka, postawił na stole koszyk z pokrojonym gruboziarnistym chlebem i krzyknął do dziewczynki:

– Masz ochotę na filiżankę kawy?

Kiedy usiadła przy stole, nie chciałem rozmawiać o tym, co się stało, więc zaczęliśmy gadać o komputerach, Spotify i Skypie. O tym, że nadeszły czasy, kiedy można zobaczyć osobę, z którą się rozmawia przez telefon. Arne powiedział, że kiedy oglądał serial o Jetsonach, wydawało mu się to nieprawdopodobne. Oczywiście mówiliśmy też o tym, w jaki sposób nowe technologie zabijają papierowe gazety; to był temat, który dziennikarze – starzy i młodzi, czynni i niepracujący w zawodzie – poruszali często. W obecnych czasach takie rozmowy stanowią część tej pracy.

– A jak tam Hjördis? – zapytałem.

– Jak zwykle.

– Pójdę z nią porozmawiać.

Zwróciłem się do dziewczynki:

– Zostań tu z Arnem, niedługo wrócę.

Hjördis Jansson była sąsiadką Arnego. Miała kredowobiałą cerę i była chuda jak szczapa, ale odznaczała się bystrością i spostrzegawczością. Cierpiała na tę nieokreśloną przypadłość, którą starsi ludzie nazywają bólami i która w zasadzie mogła oznaczać cokolwiek. Najbardziej bolało ją, kiedy siadała, więc przez większą część doby stała przy oknie za cienką, białą firanką. Czasem trudno było stwierdzić, gdzie się kończy firanka, a zaczyna Hjördis.

Latem ubiegłego roku często się widywaliśmy. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby z nią pogadać. Ucieszyła się, że mnie widzi, nawet poklepała mnie po policzku.

Moja wizyta miała ukryty cel – chciałem spokojnie zadzwonić i nie przstraszyć dziewczynki – ale powiedziałem:

– Arne słucha teraz głośnej muzyki.

– Sprawił sobie tę maszynę i całkiem mu odbiło – odparła Hjördis.

Podczas gdy w domu Arnego rozbrzmiewały głosy piosenek z dawnych lat, tutaj panowała cisza. Kiedy przeglądałem książkę adresową, zastanawiałem się, kto czesał frędzle dywaników Hjördis.

Zadzwońłem do inspektora Evy Månsson.

Nawet jeśli dziewczynka nie chciała, żebym zgłaszał to na policję, pomyślałem, że przynajmniej zapytam Evę o radę. Nie musiałem mówić całej prawdy. Nie zrobiłem tego zeszłego lata, kiedy wspólnie pracowaliśmy nad sprawą kryminalną. Chyba zresztą nigdy w życiu nie powiedziałem nikomu całej prawdy.

Eva nie odbierała.

Automatyczna sekretarka zasugerowała jej głosem, żeby wysłać SMS-a.

Wysłałem.

Zadzwońłem do kilku znajomych reporterów kryminalnych i próbowałem wybadać sytuację.

Pytali, co mam do zaoferowania.

Miałem niewiele, prawie nic.

Zadzwońłem do Simona Pendera i nagrałem wiadomość, że pojechałem do Arnego, bo czuł się samotny i nieszczęśliwy. Dodałem, że nie wiem, kiedy wrócę.

Zadzwońłem do centrali policyjnej w Malmö i zapytałem o inspektora kryminalną Evę Månsson.

Dowiedziałem się, że pojawi się na komisariacie następnego dnia, bo jest na kursie.

– Aha, a gdzie?

– W Sztokholmie.

Niewiele mi to wyjaśniło.

Podziękowałem Hjördis, że mogłem posiedzieć u niej w kuchni, i obiecałem, że będę się odzywał częściej. Nigdy nie trzymałem w ręku płotka śniegu, ale uścisk dłoni sąsiadki Arnego wydał mi się czymś bardzo zbliżonym.

* * *

Nienawidziła Skanii.

Nie, to nie była prawda, nienawiść to za mocne słowo.

A więc: nie lubiła Skanii.

Może dlatego, że za rzadko tam bywała, ale nigdy nie czuła najmniejszej tęsknoty za Österlen, Falsterbo, Båstad czy Torekov, dokąd wszyscy sztokholmczykowie jeździli całymi stadami.

Teraz jednak siedziała w porcie w Skanii. Patrzyła na wszystkich jakże typowych kempingowców, którzy łązili bez sensu w kombinezonach przeciwdeszczowych, bo przecież kiedy jest się kempingowcem, trzeba wychodzić na dwór i spacerować – w końcu nie ma złej pogody, a tylko złe ubrania.

Wiedziała to, bo sama bywała na obozach. Nienawidziła wtedy każdej sekundy.

Jej rodzice byli zapalonymi kempingowcami. Przechodziły ją dreszcze, kiedy

przypominała sobie, jak deszcz bębnił o dach i ściany namiotu, jak wszystko było mokre, a przynajmniej wilgotne, jak ciężły komary, a nocami po ścianach namiotu łąziły pająki, przypominała sobie, że kiedy chcieli się kąpać, w wodzie zawsze były meduzy, i że jeździli w kółko jak jacyś pieprzeni frajerzy.

Wiele razy przysięgała, że kiedy dorośnie, nie będzie brała udziału w obozach. Nigdy nie zrobiłaby tego swoim dzieciom.

Istniały hotele.

Istniały nie bez przyczyny.

Istniały nawet hotele z basenami. I to w Szwecji.

Pewnego roku udało jej się dostać alergii. Lekarz pogotowia ze Smålandii powiedział, że absolutnie nie wolno jej leżeć w namiocie. Tego lata mieszkali przez tydzień w hotelu, mogła sobie wybrać co chciała ze śniadaniowego bufetu i leżeć na leżaku, ale w końcu jej ojciec uznał, że jest za drogo, i pojechali do domu. Zresztą nie miała nic przeciwko temu, żeby po prostu zostać w domu i nic nie robić albo jechać do miasta i udawać, że tam pasuje, choć to było trudne – dzieciak z przedmieścia zawsze pozostanie dzieciakiem z przedmieścia.

Ale musiała przyznać, że ta niewielka część Skanii, na którą teraz patrzyła, była piękna mimo deszczu.

Siedziała na moło i patrzyła na zabudowania pnące się po stromym zboczach. Kiedy się odwracała, widziała morze. Przy ładnej pogodzie słońce całowało morze i można było pomyśleć, że sięga się wzrokiem aż do Danii.

Port był pełen łodzi, w większości duńskich, ale nie dojrzała żadnych żeglarzy. Zwykle leżeli na leżakach i pili, jedli albo po prostu przypiekali się na słońcu. Czy o Duńczykach nie mówiło się, że są kimś w rodzaju niby-Skańczyków? A może było odwrotnie? Uświadomiła sobie, że Danii też nie lubi – Duńczyków nikt nie rozumie i zawsze, kiedy była w Kopenhadze, mówiła po angielsku.

Wstała i ruszyła z powrotem po moło. Chociaż padał deszcz, było wyjątkowo ciepło, a ona miała modne kalosze z niskimi cholewkami i wygodny duży parasol.

Cieszyła się, że nie musi kempingować i, niemal równie mocno, że nie jest żoną żeglarza. Wprawdzie pływała na Florydzie, ale to było coś zupełnie innego, całkiem odmienne łodzie, a żeglowaniem zajmowali się inni, więc mogła się skupić na słońcu.

Kiedy wracałem do Solviken, pojechałem przez Höganäs. Po tym, co się stało, może nie byłem spanikowany, ale czułem dokuczliwe ćmienie w żołądku, które nie dawało mi spokoju. Nie wiedziałem, dlaczego pojechałem tamtędy, nie umiałem nawet powiedzieć, dlaczego chciałem wrócić do Solviken, ale coś mi mówiło, że kto widzi więcej, ten więcej wie.

Nie jadłem nic oprócz sadzonego jajka u Arnego, więc zatrzymałem się przy kramiku z kiełbaskami naprzeciwko dawnej apteki i kupiłem cały zestaw specjalny – dwie kiełbaski w chlebie z purée ziemniaczanym.

Höganäs się zmieniło, odkąd byłem dzieckiem.

Była to dawna miejscowość przemysłowa, która, jak to podobne miasteczka, zeszła na psy, kiedy fabryka przestała działać. Czasami była wymarła jak redakcja gazety. Ale coś się tu jednak działo.

Wybudowano wieżowiec i otwarto sklep z serami, a miejscowa księgarnia zaczęła stawiać na książki i dobrą kawę, a nie tylko bruliony i papier do pakowania prezentów. Jednocześnie przeniesiono centrum ze starego Brukstorget do innej części Höganäs, w której mieściły się chińskie i tajskie restauracje, kawiarnie jak w każdym dużym mieście, hala targowa, a nawet restauracja sushi.

Restauracja sushi w Höganäs kiedyś wydawała się równie niepojęta jak to, że w Malmö pociągi będą jeździły pod ziemią.

Wystarczyło pojechać na północ i skręcić na rondzie w prawo, żeby dotrzeć do wędzarni ryb równie wysokiej klasy jak te sprzedawane w hali targowej na sztokholmskim Östermalmie. Wyglądało to tak, jakby cały świat przyjeżdżał tu po tańsze ryby. Autokary wjeżdżały na parking i z niego wyjeżdżały, a w środku siedzieli turyści z szeroko otwartymi portfelami.

Kiedy skończyłem jeść, minąłem plac i kątem oka dostrzegłem znajomą sylwetkę. Tym razem mężczyzna miał na głowie czapkę z daszkiem, ale nie było wątpliwości, że to ten sam człowiek, którego w środku nocy widziałem pod moim domem.

Jego niski, otyły kompan wyszedł ze sklepu monopolowego. Pchał przed sobą sklepowy wózek pełen kartonów. Wyrośnięty szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku białego SUV-a na parkingu wspólnym dla sklepu monopolowego i dyskontu. Otworzył bagażnik, a ten mniejszy zaczął ładować do środka karton za kartonem.

Zahamowałem gwałtownie i próbowałem wycofać, ale za mną stała furgonetka z firmy myjącej okna, a kierowca nie chciał się przesunąć. Nie wyglądał na równie wesołego jak czyściciel okien narysowany na masce.

Spróbowałem zjechać w bok, ale przed restauracją sushi nie znalazłem wolnego miejsca i musiałem jechać dalej, do ulicy, która nazywała się Köpmansgatan i była tak wąska, że nie dało się na niej wyprzedzać. Zamiast wycofać albo zaparkować, wcisnąłem gaz i trąbiąc, próbowałem okrążyć dzielnicę, która przez pełnego dobrej woli krótkowidza mogłaby zostać uznana za centrum.

Udało mi się wyjechać z drugiej strony, zatrzymałem się na parkingu przed sklepem monopolowym.

Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem z auta.

Samochód stał z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami, a ja biegłem wzdłuż rzędów miejsc parkingowych.

Nie było tu zbyt wielu pojazdów, więc już po trzydziestu sekundach zorientowałem się, że biały SUV odjechał. Nie wiem, czy ktokolwiek widział kiedyś SUV-a w Höganäs. Był biały, więc tym trudniej go nie zauważyć.

Przed sklepem monopolowym stał mężczyzna zgięty nad chodzikiem. Podeszedłem i zapytałem:

– Widział pan tu duży biały samochód?

– Smoków?

Wyglądał, jakby miał ponad sto lat i był tak połamany reumatyzmem, że nie mógł podnieść głowy i patrzył tylko w ziemię.

– Samochód – powtórzyłem. – Biały samochód.

– Co?

Jego szczęki poruszały się, jakby coś żuł, ale ponieważ najwyraźniej nie miał zębów, nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. Zakląłem cicho, a wtedy podszedł do mnie inny mężczyzna, wysoki i chudy, który trzymał na smyczy psa nieokreślonej rasy. Pies był groteskowo otyły.

– Pyta pan o samochód? – zainteresował się mężczyzna.

Mówił z mocnym skańskim akcentem, przez co pytanie zabrzmiało jak jazzowa improwizacja w zwolnionym tempie.

– Tak. Taki duży, biały. Dwóch mężczyzn.

– A, tak – powiedział.

– Co się stało?

– Właściwie nic. Załadowali go i pojechali. Choć w zasadzie wszystko nosił i ładował taki mały, gruby. Ten drugi chyba nim dyrygował. Nic nie nosił, tylko pokazywał.

– Dokąd pojechali?

– Tam – wskazał na prawo.

Wskoczyłem do samochodu, ruszyłem z kopyta i skręciłem w ulicę, która prowadziła do ronda ze stacją benzynową Statoil, sklepem RTV i sklepem ze zdrową żywnością.

Nie widziałem żadnego dużego białego samochodu.

Powoli objechałem rondo.

Czy pojechał prosto? Raczej nie, ta ulica prowadziła tylko do wymarłej części Höganäs, a potem dalej na wieś i do małych zakładów przemysłowych.

W prawo? Możliwe. Dojechaliby do Helsingborga. W Helsingborgu były sklepy monopolowe, więc znaczyłoby to, że przyjechali do Höganäs trasą 111 z Lerberget, Viken albo Domsten.

Kilka samochodów za mną zaczęło trąbić, więc zrobiłem jeszcze jedno kółko na rondzie i zdecydowałem, że pojedę na północ, wzdłuż wybrzeża, w stronę Strandbaden, Nyhamnsläge i Mölle.

Zerwał się wiatr, proporczyki i umieszczone gdzieś skańskie flagi potrzęsały linkami na masztach. Im dłużej jechałem, tym silniejsze miałem przekonanie, że ten pomysł był poroniony już na samym początku. Znajdowało się tu tak wiele wąskich uliczek i tak wiele willi, dużych i małych, że samochód, którego szukałem, mógł stać gdziekolwiek. A przecież nie mogłem zatrzymać się, wysiąść, pukać do każdych drzwi po kolei i pytać ludzi, czy widzieli białego SUV-a albo czy taki samochód przypadkiem nie stoi u nich za domem.

Wróciłem do Höganäs, odstawiłem auto na parking i wszedłem do sklepu monopolowego. Pomieszczenia były względnie nowe i jasne. Otwarta przestrzeń miała współgrać ze współczesną polityką alkoholową.

Młody mężczyzna z krótką, jasną brodą zapytał, czy może mi w czymś pomóc.

– Szukam dwóch ludzi, którzy byli tu może z pół godziny temu. Załadowali cały wózek kartonami. Zastanawiam się po prostu, kto to był. Wydawało mi się, że znam jednego z nich – wysokiego, dużego faceta w czapce. Ale nie zdążyłem ich dogonić i zobaczyć, czy to rzeczywiście on.

Sprzedawca posłał mi pytające spojrzenie, ale odparł:

– A, ci... Rzeczywiście, kupili sporo, ale to nie ja ich... tylko Jessica.

Jessica miała kruczoczarne włosy postawione jak kolce, pomalowane na czarno paznokcie, mały, cienki kolczyk w górnej wardze i tatuaż na plecach, który dało się dostrzec przez cienką bluzkę. Chętnie prześledziłbym go wzrokiem, chociażby po to, żeby zobaczyć, gdzie się kończy.

– Nigdy nie sprzedawałam tak dużo na paragon, kupowali prawie wyłącznie szampana: Bollinger, Lanson, Veuve Clicquot – powiedziała.

Clicquot nie zabrzmiało zbyt francusko, brzmienie tego słowa w jej ustach było raczej północno-zachodnioskańskie.

– Widziała ich tu pani wcześniej?

– Nie, a co?

– Może znam jednego z nich, tego wysokiego, postawnego.

– To sam pan nie wie?

– Nie zdążyłem mu się przyjrzeć, a poza tym byłem po drugiej stronie parkingu.

– Nie wiem, czy pan go zna.

– Ja też nie wiem – odparłem.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– Płacił kartą?

– Nie. Ten wysoki zapłacił gotówką. Dwadzieścia siedem tysięcy dziewięćset dwadzieścia cztery korony. Równo tyle.

– Mówili, dokąd jadą?

– Nie, nie byli zbyt rozmowni. Ten niski miał na policzku duży ślad.

Pokiwałem głową i powiedziałem, że pewnie nie byli to moi znajomi.

Kiedy wyszedłem, zobaczyłem klęczącego żebraka. Miał złączone dłonie, proszące spojrzenie i powtarzał:

– Pliss, pliss, pliss.

Chudy mężczyzna z groteskowo otyłym psem krzyknął:

– Spieszyci się! Ci, o których pan pyta!

– Spieszyci się?

– Tak, zostawili wózek, tam stoi.

Wskazał wózek na środku parkingu.

Podszedłem bliżej, ale wewnątrz nie było żadnej kartki ani paragonu. Za to w szczelinie na monety tkwiła dziesięciokoronówka.

– Jeżeli odstawi pan wózek, zarobi pan dychę. Nadal jest w środku – rzuciłem po powrocie.

Pokręcił głową.

– Pies ma problem z chodzeniem – powiedział.

Psisko wyglądało jak wypchana świnia na patykowatych nóżkach.

– Na początku samochód nie chciał im zapalić. Chyba częściej mieli z tym problemy, skoro na samochodzie przykleili taki napis.

– Był tam jakiś napis?

– Tak.

- Jaki?
- Rusz!
- Rusz?
- Rusz.

– No dobra. – Rozłożyłem ręce i wsiadłem do samochodu.

Kiedy wyjeżdżałem z parkingu, zobaczyłem we wstecznym lusterku mężczyznę z chodzikiem. Zgarbiony, sunął powoli w stronę wózka sklepowego.

Deszcz przestał padać, już kiedy jechałem trasą E6 z Anderslöv i Malmö. O szóstej rano, kiedy dziewczynka i ja wyjeżdżaliśmy z Solviken, miasto było opustoszałe, ale kiedy wróciłem, w porcie panował ruch: dorośli spacerowali z psami albo robili to, co się robi na żaglówkach, dzieci leżały na brzuchu na drewnianych pomostach i na molo, łowiły kraby sznurkiem na patyku i wrzucały je do plastikowych wiader.

Poszedłem do domu i wsunąłem klucz do zamka.

Rygiel stawiał opór.

Musiałem dobrą chwilę majstrować kluczem, żeby się poruszył.

Całkiem możliwe, że nikt inny nie zwróciłby na to uwagi, ale ja odznaczam się spostrzegawczością i pamięcią, która, jak kiedyś powiedziała mi pewna kobieta, jest wręcz chorobliwa. Nie jest to nic, o co bym się starał, nic, czego bym się nauczył – to po prostu cecha wrodzona.

Myśl o opornym ryglu wróciła, kiedy przekroczyłem próg i przeszedłem przez korytarz do kuchni. Od razu zobaczyłem, czy raczej poczułem, że ktoś w niej był.

Dom nie został wywrócony do góry nogami, co to to nie, ale drobne szczegóły sprawiały, że nie wyglądał tak jak w chwili, kiedy go opuszczałem. Nie wyglądał tak jak zawsze.

Drzwi szafki w kuchni były uchylone. A przecież zawsze wszystkie zamykałem.

Na futrynie okna trzymałem dwie dość brzydkie porcelanowe gęsi, które zawsze stały dziób w dziób. Teraz patrzyły na mnie.

Nie żebym szczególnie starannie ścielił, ale pościel leżała w innym miejscu, niż ją zostawiłem.

Lustrzane drzwi szafki w łazience były uchylone dokładnie tak, jak drzwi szafki w kuchni.

Gdybym tylko podejrzewał albo przypuszczał, że ktoś był w moim domu, to po otwarciu lodówki nabrałbym pewności. Przed świętem Midsommar mój przyjaciel Krister Jonson zostawił tam woreczek strunowy z pięcioma jointami. Wypaliłem jeden, powinny zostać cztery.

Woreczka nie było.

Ktoś próbował zatrzeć ślady po swojej wizycie, ale był też na tyle chciwy, żeby zakosić cztery gotowe skręty.

Nie wiedziałem, czego szukam. Pamiętałem tylko, co robią bohaterowie filmów policyjnych, kiedy wchodzi do wcześniej przeszukanego mieszkania albo domu. Badałem listwy, zaglądałem do szafek, abażurów, za telewizor, pod stół w kuchni, ale jakkolwiek bym szukał, niczego nie widziałem. Chyba chciałem znaleźć coś w rodzaju mikrofonów. Nie żebym wiedział, jak wygląda aparatura podsłuchowa, ale mimo

wszystko. Nie miałem też pojęcia, kto mógłby w jakikolwiek sposób skorzystać na podsłuchiowaniu mnie.

Wiedziałem za to, że czuję się głupio.

Wyszedłem na werandę i zadzwoniłem do Arnego.

– Jak leci? – zapytałem.

– Chyba dobrze – odparł.

– Ktoś był w moim domu – oznajmiłem.

– Co?

– Ktoś się do mnie włamał, kiedy byłem u ciebie w Anderslöv. Co za cholerne szczęście, że tam pojechaliśmy.

Chrząknął.

– Mogę wrócić?

– W porządku – powiedział. – Dziewczynka chyba czuje się bezpieczniej, kiedy tu jesteś.

– Biedactwo – odparłem. – Bezpieczeństwo to od zawsze moje drugie imię.

Kiedy skończyliśmy, szedłem do restauracji i zapytałem Simona Pendera, czy widział kogoś w pobliżu mojego domu.

– Spodziewasz się gości? – zdziwił się.

Pokręciłem głową.

– Nie, ale... nie wiem.

– Nikogo nie widziałem, wszystko było jak zwykle. Jeśli nie liczyć dwóch chłopaków z jakiegoś gangu motocyklowego. Zamówili po kanapce z krewetkami i po dużym piwie, to wszystko.

– Hells Angels? Obsługujemy takich?

– Nie Hells Angels, mieli napisane... czekaj...

Krzyknął do kuchni:

– Co mieli napisane na kamizelkach ci bikerzy?

Nie słyszałem odpowiedzi, ale Simon usłyszał.

– Dark Knights – powiedział. – Tak się nazywali. I niekoniecznie warto być dla nich niemiłym.

– Tak mówisz?

– To było już kilka lat temu, ale dwa razy w Boże Narodzenie wystawiłem im to, co zostało po świątecznym stole. Od tego czasu ani razu nie mieliśmy włamań. We wszystkich innych knajpach zdarzały się kradzieże, dewastacje i awantury, ale tutaj nie.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. To, że typy tak ewidentnie spod ciemnej gwiazdy jak członkowie gangów motocyklowych mogą się swobodnie i jawnie przemieszczać, a nawet zdobywają podziw, było powodem do wstydu dla szwedzkiego wymiaru sprawiedliwości.

– Skoro tak mówisz – odparłem.

– Tak mówię.

– Skąd wiesz, że to nie Święty Mikołaj zabrał jedzenie?

Zaśmiał się głośno i zaniósł naczynia do kuchni.

W moich poczynaniach nie było żadnej logiki, ale kiedy rok wcześniej w więcej niż jednym sensie zostałem wplątany w sprawę morderstwa, wykazywałem brak zdecydowania, lenistwo i może jeszcze tchórzostwo, a kiedy spróbowałem zażegnać grożące mi niebezpieczeństwo, było już stanowczo za późno.

Teraz nie wiedziałem, co mi zagraża.

Dwóch mężczyzn w SUV-ie. Ale kto dokładnie? I gdzie teraz byli?

Poczułem, że trzeba tupnąć nogą, a ponieważ nie potrafiłem siedzieć i czekać, tupnąłem obiema, poderwawszy się z krzesła, i poszedłem tam, gdzie rok wcześniej dziewczynka znikła w lesie. Wprawdzie przestało padać, ale liście i gałęzie nadal były mokre, więc szybko przemoczyłem spodnie i koszulę.

Nie potrafiłem pojąć, jak mogła tak szybko wchodzić do lasu i z niego wychodzić, bo nie widziałem tam żadnej ścieżki. Fakt, była ode mnie mniejsza i zwinniejsza. O wiele zwinniejsza, dodałem w myślach.

Zrobiłem coś przeciwnego: zamiast wchodzić do lasu, zawróciłem, zszedłem do portu i ruszyłem ścieżką na zachód, na wzgórze Kullaberg. Las miałem po swojej lewej stronie, a wodę po prawej.

Szedłem mniej więcej tą samą drogą, którą rok wcześniej pokonywałem z kobietą o imieniu Bodil. Wtedy moje oczy skierowane były tylko na nią i może dlatego nie zauważyłem małej furtki w gęstym, zapuszczonym żywopłocie po lewej stronie ścieżki. Odkryłem ją dopiero po półgodzinnym spacerze. Choć przez ostatnie lata w okresie wakacyjnym chodziłem tędy dwadzieścia kilka razy, nigdy nie zwróciłem na nią uwagi.

Odsunąłem kilka gałęzi.

Furtka była zamknięta na dużą kłódkę na grubym łańcuchu i wyglądało na to, że od dłuższego czasu nikt jej nie otwierał. Metal był czerwony od rdzy.

Pomyślałem, że gdybym stanął na palcach i odsunął jeszcze parę gałęzi, mógłbym zajrzeć na działkę.

Nie było tam wiele do oglądania.

Zobaczyłem trawnik.

Był znacznie bardziej zadbany od żywopłotu, ktoś przycinał go całkiem niedawno. Dostrzegłem też cztery jabłonki i kilka kamiennych płytek o różnych kształtach, które tworzyły ścieżkę pod górę, prowadzącą do czegoś... czego nie widziałem.

Zorientowałem się, że nie dam rady przejść przez ogrodzenie.

Kiedy szukałem jakiejś dziury, spostrzegłem, że w żywopłocie jest stary kamienny mur, którego wcześniej nie zauważyłem, bo był tak zarośnięty. Górą biegł skręcony drut kolczasty, więc tą drogą również nie mogłem wejść.

Zresztą, co miałbym tam robić?

I dlaczego to wszystko było tak ogrodzone?

Moja ciekawość to jedno, ale zastanawiałem się, czy furtka, żywopłot i to, co znajdowało się za nim, miały cokolwiek wspólnego z dziewczynką w moim domu. Nic na to nie wskazywało.

Tylko przeczucie.

Zresztą nawet jeśli nie miały z nią nic wspólnego, w głowie rozdzwoniło mi się wystarczająco dużo dzwonek, żeby obudzić moją ciekawość.

Jednak nawet to, że kiedyś byłem dziennikarzem, nie dawało mi prawa do wdrapywania się na obce posesje, i to bez konkretnego powodu. Nie wiedziałem zresztą, czy to tutaj przychodziła dziewczynka, ale na tle wszystkich posiadłości letniskowych, dużych i małych willi, tylko ta furka wydawała się ciekawa i intrygująca.

Obejrzałem żywopłot po obu stronach. Po jednej teren robił się płaski, stał tam żółty domek o białych narożnikach i parapetach.

Po drugiej stronie wznosiła się skała, na samym jej szczycie dostrzegłem budowlę, która wyglądała jak funkcjonalistyczne domy z lat pięćdziesiątych. Zbudowano ją z brązowej cegły, miała duże okna. Posesja nie została odgradzona żadnym płotem, ale wspinaczka po wzgórzu była niemożliwa. Z pewnością w swoim czasie ten budynek robił wrażenie nowatorskiego.

Podszedłem do małego, żółtego domku, ale nikogo w nim nie było. Wyglądał wręcz tak, jakby właściciele zamknęli go na całe lato i wyjechali, co było dziwne tuż po święcie Midsommar, bo przecież właśnie wtedy wszystko się zaczyna.

Żeby znaleźć główne wejście na teren posiadłości, która wydawała mi się podejrzana, musiałbym przejść na drugą stronę, ale nie było żadnej ścieżki ani drogi. Postanowiłem wrócić do domu i przyjechać samochodem – o ile uda mi się trafić. Wydawało mi się, że przeszedłem i przejechałem wszystkie okoliczne drogi, a jednak nie mogłem znaleźć żadnej, która prowadziłaby do posiadłości z ładnie przystrzyżonym trawnikiem i kilkoma jabłnkami.

Przeszedłem jakieś dwadzieścia pięć metrów i stanąłem za krzakiem, choć nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego to robię.

Co takiego kazało mi przypuszczać, że poznam wiarygodną odpowiedź na pytanie, co kryje się za żywopłotem, jeśli będę tak stał i się gapił? Z drugiej strony jeśli mój zawód czegoś mnie nauczył, to właśnie tego, że dobre dziennikarstwo w siedemdziesięciu pięciu procentach składa się z cierpliwości i umiejętności czekania.

Wtedy jednak wydało mi się to bez sensu i po piętnastu minutach odszedłem. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem podglądaczem albo ekshibicjonistą, nawet jeśli na ścieżce nie było żadnych ludzi ani tym bardziej niczego, co mógłbym podglądać albo przed czym się obnażać.

Poszedłem po samochód, dwa razy zrobiłem kółko, aż w końcu odkryłem wąską ścieżkę pomiędzy dwoma pastwiskami, na których pasły się konie. Jeden z nich miał grzywę, która zwisała mu między oczami jak u wokalisty w starej hardrockowej kapeli. Konie nie zareagowały, kiedy wjechałem na ścieżkę. Po kilku minutach dotarłem do następnego muru i bramki, dwa razy wyższej i pięć razy szerszej niż furka przy ścieżce. O ile to była ta sama posiadłość.

Stanąłem na poboczu pięćdziesiąt metrów dalej, podszedłem do bramki i spróbowałem zajrzeć do środka.

Widziałem tylko trawniki.

Były zadbane i uformowane w proste, stylowe wzory. Ich zapach mnie zachwycił.

W odróżnieniu od furki po drugiej stronie ta była osadzona na dwóch grubych, betonowych słupach.

Na jednym z nich zainstalowano domofon.

Na murze po obu stronach bramki wisały kamery.

Jedna była chyba skierowana na mnie.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy obróciła się automatycznie, kiedy podszedłem do furtki, czy może w tym hipotetycznym domu ktoś siedział i nią sterował. Nie miałem pojęcia, czy reaguje na ruch i czy w ogóle się obróciła.

Przez chwilę chciałem pomachać.

Zrezygnowałem z tego pomysłu.

Czy powinienem zadzwonić?

Ale co miałbym powiedzieć?

„Dostawa towaru”.

Ale co dostarczałem?

No właśnie.

Głupi pomysł.

Dookoła nie było nikogo.

Nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

Mogłem powiedzieć, że jestem reporterem, który chce opisać domy i mieszkańców tej wsi, pokazać, co znajduje się za murami. Ubiegłego lata widziałem taką serię reportaży, ale nie miałem ze sobą fotografa. Poza tym ktoś mógł mnie rozpoznać, a jeśli podejrzewał, że dziewczynka jest u mnie, mogłem ją narazić na niebezpieczeństwo.

Możliwe, że siebie też.

Przeszył mnie dreszcz.

Zwykle w środku dnia nie robiło mi się tak nieprzyjemnie.

Rozejrzałem się. Stałem na żwirowej drodze. Była zadbane, równa i wyglądała na regularnie uczęszczaną. Nie miałem pewności, jedynie przypuszczałem, że za murami znajduje się jakiś budynek, ale nie wiedziałem, czy to dom mieszkalny, czy jakaś instytucja. Może prywatny szpital. Zwykle leżały tak na uboczu.

Wpatrywałem się w trawnik i rozmyślałem, jak to się dzieje, że świeżo skoszona trawa zawsze tak fantastycznie pachnie.

Zaczęło mżyć. Wróciłem do samochodu i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Rozmyśliłem się.

Siedziałem nieruchomo.

Jeżeli droga była uczęszczana, być może ktoś się na niej pojawi.

Nikt jednak nie przyjeżdżał ani nie wyjeżdżał, ale kiedy tak siedziałem, przypomniałem sobie człowieka, który zajmował się koszeniem trawy.

Odpaliłem silnik i ruszyłem w kierunku Solviken, ale zanim wyjechałem na główną drogę, musiałem się zatrzymać i przepuścić dwóch motocyklistów z gangu. Zobaczyłem we wstecznym lusterku, że pojechali w stronę muru i furtki. Wjechałem na parking, zawróciłem i ruszyłem z powrotem.

Nic nie widziałem, żadnych motocykli, żadnych ludzi.

Droga urywała się nagle i przechodziła w zagajnik po lewej stronie bramki, więc ktoś musiał ich wpuścić na teren posesji.

Zacząłem bębnić palcami o kierownicę.

Czy powinienem nacisnąć guzik domofonu?

Być może.

Co miałbym powiedzieć?

Chwilę wcześniej nic mądrego nie przyszło mi do głowy, za drugim razem też nie, ale zawsze mogłem powiedzieć, że się zgubiłem.

Podjechałem do furtki, wysiadłem z samochodu, zostawiając włączony silnik, i wdusiłem przycisk domofonu.

W głośniku coś trzasnęło, ale nie rozległ się żaden głos, a potem zapadła cisza.

Nacisnąłem jeszcze raz.

Tym razem usłyszałem kobietę:

– O co chodzi? To nie jest pora odwiedzin.

Powiedziała to surowo i zdecydowanie, jakby chciała mnie odprawić, ale może mi się tylko wydawało.

– Pomyliłem drogę – oznajmiłem. – Jadę do Solviken, ale wygląda na to, że źle skręciłem.

– Niech pan dojedzie do głównej drogi, a potem skręci w lewo – odparła kobieta i się rozłączyła.

Poszedłem do samochodu, zamknąłem drzwi, zadzwoniłem do Arnego i zapytałem, co słyhać u dziewczynki. Odpowiedział, że wszystko w porządku. Oglądali w telewizji stary film „dla całej rodziny”.

– Nie wiedziałem, że takie jeszcze nadają – zauważyłem.

– Tak, dziś jest Nils Poppe jako żołnierz Bum.

– Pamiętasz ten gang motocyklowy, który zeszłego lata był w Anderslöv?

– Tak, jacyś Jeźdźcy Ciemności czy coś takiego.

– Dark Knights. Co się z nimi stało? Przejeżdżałem dziś przez Anderslöv i nie widziałem ich emblematu na warsztacie, w którym mieli swoją kwaterę główną.

– Gmina zmusiła ich do wyprowadzki. Lokal był jej własnością. Tak podnieśli czynsz, że gangu nie było już na niego stać.

– Wiesz, dokąd się przenieśli?

– Nie, ale może będę mógł się tego dowiedzieć.

– Pozdrów dziewczynkę – powiedziałem.

Zakończyliśmy rozmowę, wycofałem, zawróciłem i wyjechałem na główną drogę.

W każdym razie udało mi się ustalić jedno: lodowaty głos w domofonie poinformował, że to nie pora odwiedzin, co oznaczało, że za murem, w otoczeniu starannie przystrzyżonych trawników, mieści się jakaś instytucja.

Kiedy wróciłem do Solviken, nie musiałem nawet szukać człowieka z kosiarką.

Andrius Siskaukas stał ze swoimi dwoma chłopakami i pokazywał coś Simonowi Penderowi na werandzie restauracji. Andrius zawsze miał dalekosiężne plany, może chciał zbudować most nad zatoką Skälderviken. Na razie zbudował zwyczajną budkę z rybami koło restauracji Simona.

Andrius przyjechał z Litwy, gdzie, jak sam mówił, był adwokatem. W Skanii zaczął od zbierania warzyw, awansował na kierownika, założył własną firmę, a zarobione pieniądze inwestował w budynki, samochody i imponujący park maszynowy.

Miał kilkunastu pracowników, samych Litwinów.

Mówił o nich „chłopcy”.

Tego lata pozbył się charakterystycznej fryzury na czeskiego piłkarza, ale miał jasną spiczastą bródkę i jakieś kółko w uchu. Oprócz tego nosił złoty naszyjnik z zębem rekina, co bardzo silnie przywodziło na myśl lata siedemdziesiąte.

Dobrze wiedział, o której posesji mówię.

Nawet kosił tam trawę.

Choć nie robił już tego sam, teraz miał od tego chłopców. Był właścicielem trzech kosiarek, które pracowały na pełnych obrotach od przedmieść Helsingborga przez Jonstorp aż po Ängelholm.

– Ci, co tam mieszkają, mają się dobrze – stwierdził Andrius. – Na Litwie tacy ludzie trafiają do brzydkich miejsc. Rozpadające się domy, paskudne żarcie.

Kiedy mówił „tacy ludzie”, zrobił palcem kółko przy prawej skroni.

– Chodzi ci o takich, którzy, że tak powiem, działają na dziewięćdziesiąt pięć procent?

– Nigdy dziewięćdziesiąt pięć, ja zawsze działałam na sto. No bo trzeba. Szwedzi nie mają siły pracować, tylko wakacje i wakacje, ale trzeba mieć sto procent twenty-five ten.

Nie zapytałem, co to znaczy dwadzieścia pięć dziesięć, ale zapytałem:

– Kto jest właścicielem? Chcesz powiedzieć, że to szpital psychiatryczny? Kto go prowadzi?

– Nie wiem. Wysyłam fakturę mailem, a pieniądze przychodzą na konto. Nie widziałem tam nikogo.

– Kto cię wynajął za pierwszym razem?

– Poleciał mnie pewien facet z Polski i dostałem maila. Z nikim się nie spotkałem.

– Facet z Polski... Jest gdzieś tutaj? Można się z nim skontaktować?

– Nie wiem, ale mogę sprawdzić.

Skinąłem głową.

– Nie widziałeś nikogo, kiedy tam byłeś i kosiłeś trawę?

– Nikogo. Tacy ludzie trzymają się w środku, może potrzebują snu.

– Mogę dostać adres mailowy?

– Wyślę go później z telefonu.

Poszedłem do domu i zalogowałem się na stronie lokalnej gazety. Nie znalazłem tam nic interesującego, ale dowiedziałem się, że przed sklepem monopolowym w Höganäs żebrak został zbryzgany musztardą. Może chodziło o tego samego, którego widziałem kilka godzin wcześniej.

Wpisałem w wyszukiwarkę „Dark Knights”, ale niewiele mi to wyjaśniło. W serii reportaży w jednym z dzienników można było przeczytać, że walczą z dwoma innymi gangami motocyklowymi, ale nie znalazłem żadnych nazwisk ani niczego, na czym mógłbym się oprzeć.

Telefon wydał dźwięk starej maszyny do pisania, co oznaczało, że dostałem wiadomość.

Andrius wysłał mi adres mailowy instytucji, która, jak twierdził, była szpitalem psychiatrycznym.

Nie wiedziałem, co z tym zrobić.

Wysłać pytanie, ile kosztuje miejsce? Ile trzeba zapłacić, żeby zostać przyjętym? O ile w ogóle można tam zostać przyjętym.

No i co tam robili goście z gangu motocyklowego?

Może myślałem stereotypowo? Mogli przecież znać jakiegoś pacjenta. Nawet jeźdźcy ciemności mają mamy, a mama może zachorować.

* * *

Zbadanie okolicy zajęło jej kilka dni. Przespacerowała się do portu i z powrotem, potem chodziła bocznymi uliczkami i brzegiem morza.

Była przyzwyczajona do samotności, zaczęła ją lubić, może nawet czerpała z niej przyjemność.

Zanim jej mąż zaczął nagle zarabiać naprawdę duże pieniądze, był obecny w zupełnie inny sposób.

W tamtych czasach, kiedy aż tak dobrze mu się nie powodziło, chyba było lepiej.

Nie dowiedziała się, na czym polega jego nowy projekt, ale to nie była żadna nowość. Nigdy nie mówił jej o niczym.

Mimo że pytała.

Nie była głupia. Może tak myśleli, ale nawet jeśli nigdy nie przejmowała się szkołą i ukończyła ją z przeciętnymi, żeby nie powiedzieć beznadziejnymi, ocenami, nie była kretynką.

Ale za każdym razem, kiedy pytała albo chciała przedstawić swój punkt widzenia, mąż mówił, żeby nie męczyła swojego małego mózdzku sprawami służbowymi. Teść wybuchał śmiechem, a teściowa mawiała:

– Porozmawiaj o makijażu i modzie z przyjaciółkami. Przecież zawsze możesz pomalować im paznokcie.

To, że kiedy poznała ich syna, uczyła się na stylistkę paznokci, zawsze wzbudzało wielką wesołość.

Nie mieli pojęcia, co już wiedziała i czego krok po kroku zaczęła się dowiadywać.

Ku mojemu zdziwieniu inspektor kryminalna Eva Månsson nie złościła się, że nie zgłosiłem się na policję z dziewczynką z lasu. Może z powodu nowych obowiązków służbowych w Malmö, które tak wytrącały ją z równowagi, że nie mogła myśleć o niczym innym.

Odebrałem ją na lotnisku Sturup. Po drodze do Malmö z coraz większym wzburzeniem opowiadała o służbie wewnętrznej i o tym, że należała teraz do grupy zajmującej się przestępstwami gospodarczymi.

Zresztą lotnisko nie nazywa się już Sturup. Postanowiono zmienić nazwę na międzynarodową i teraz jest to Malmö Airport, ale nadal składa się z grupki nijakich budynków w kolorze rzepaku, rozrzuconych po polu.

Już dawno go nie odwiedzałem i całkowicie mi umknęło, że to, co kiedyś było lotniskiem na modłę wschodnią, zmieniło się w coś, za czym podobno tęskni każdy człowiek Zachodu – w centrum handlowe.

Eva Månsson wysłała mi SMS-a z informacją, którym samolotem przyłeci. Zaproponowałem, że ją odbiorę i zawiozę do Malmö. Powiedziałem, że muszę z nią porozmawiać.

Ale to ona mówiła.

Nie przeszkadzało mi to.

Lubiłem jej głos i dialekt.

Trochę się z nią nie widziałem i zwróciłem uwagę, że znów pozwoliła swoim ciemnym włosom urosnąć. Przez jakiś czas były wręcz brutalnie krótkie, a teraz sięgały już prawie do ramion.

Wyglądała dobrze z krótkimi włosami.

Z dłuższymi też wyglądała dobrze.

Pomyślałem sobie, że Eva Månsson w ogóle dobrze wygląda.

Zawsze tak uważałem.

Znała się na rockabilly i przyjemnie się z nią rozmawiało o zespołach i singlach na winylu.

Teraz, kiedy opowiadała o kursie w Sztokholmie, jej brązowe oczy płonęły oburzeniem.

Wcale nie ujmowało jej to atrakcyjności.

– Co to ma być, do cholery?... Mam siedzieć i słuchać o praniu brudnych pieniędzy, o tym, jak czytać wyciągi z kont i śledzić przepływ pieniędzy, na przykład z Rosji przez Szwecję i dalej do Szwajcarii albo na Karaiby.

– To chyba ciekawe – wtrąciłem.

– No, jak cholera. Mnie to w każdym razie nie interesuje. Kurs prowadziła była inspektor z wydziału kryminalnego. Skończyła pracę w policji i teraz zajmuje się bezpieczeństwem komputerowym i bankowym. Na pewno zbija takie kokosy, o jakich nam, zwykłym śmiertelnikom, nawet się nie śniło.

Minęliśmy stację benzynową koło Svedali, na której człowiek zwany „klapsowym mordercą” wypatrzył jedną ze swoich ofiar – młodą kobietę, której kolczyk wysłał mi w kopercie po tym, jak ją ukarał i zabił. Jej ciało zostało znalezione w samochodzie na parkingu długoterminowym koło Malmö Airport.

Kiedy Eva Månsson zrobiła przerwę, by nabrać powietrza, zacząłem opowiadać o dziewczynce z lasu.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała, kiedy skończyłem.

– U Arnego w Anderslöv.

Pokiwała głową.

– Niech tam zostanie, mogę popytać policjantów z Helsingborga, jedna koleżanka jest mi tam winna przysługę.

Przez chwilę się zastanawiała.

– I nie wiesz, kim ona jest? – spytała w końcu.

– Widziałem ją kilka razy ubiegłego lata. Interesowała się tym, co robię, ale była nieśmiała, nic nie mówiła i odchodziła, kiedy ktoś się do niej zbliżył. Kiedy był u mnie Arne, udało mu się ją namówić na filiżankę kawy.

Roześmiała się.

– Nie wiesz, kim byli ci, którzy ją ścigali?

Pokręciłem głową.

– Jeden był wysoki jak dąb, a drugi mały, nabity, jak beczka.

– I mówisz, że dzisiaj ich widziałeś?

– Tak, załadowali mnóstwo alkoholu do białego SUV-a, ale nie dałem rady ich dogonić.

– Nie widziałeś tablic rejestracyjnych?

– Nie. Tylko jeden facet przed sklepem powiedział, że na samochodzie była naklejka z napisem „rusz”. Diabli wiedzą, co to znaczy.

– A może RUS?

– Co?

– RUS. To by znaczyło, że samochód jest z Rosji.

Gdybym miał skłonność do rumieńców, pewnie bym się zaczerwienił.

Czasem jestem tak głupi, że aż sam siebie zadziwiam.

Opowiadałem dziewczynce o tych wszystkich rosyjskich samochodach na autostradzie, a nie skojarzyłem faktów.

Bez słowa pokiwałem głową.

– Czy to pomoże go znaleźć?

– Biały SUV z Rosji? Może i tak. To też mogę sprawdzić.

– Jesteś głodna?

– Trochę.

Zjedliśmy szybki obiad w chińskiej restauracji Kin-Long w Malmö i odwiozłem Evę Månsson do domu.

– Jak myślisz, co powinienem teraz zrobić? – zapytałem, kiedy byliśmy już na miejscu.

– Zaczekać do jutra. Co prawda jutro mam przedstawić całej grupie, czego się nauczyłam na kursie, ale pogadam z Linn. Na nazwisko ma Sandberg i jest policjantką w Helsingborgu.

Kiedy wróciłem do Anderslöv, Arne i dziewczynka byli już po obiedzie, więc zadowoliliśmy się filiżanką kawy przy stole. Wziąłem się do przeglądania gazet. Kupiłem dzienniki w kiosku Pressbyrån, ale jeszcze nie zdążyłem do nich zajrzeć.

W żadnym nie było nic na temat zaginionej dziewczynki.

W lokalnej gazecie nadal pisano o kradzieżach oleju napędowego, swastyce na ścianie domu starców i przemocy wobec kobiet. Może to znak czasów, że mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet, mają równie dużą lub równie małą wartość newsową co kradzieże oleju napędowego.

Na początku dziewczynka siedziała mi na kolanach, ale namówiliśmy ją, żeby poszła wziąć prysznic. Kiedy z łazienki dobiegał szum wody, otworzyłem coś, co nazywano edycją lokalną gazety, w której kiedyś pracowałem, i zobaczyłem białego SUV-a.

Byłem pewien, że to ten sam SUV.

Artykuł mówił o jakimś prominencie, który sprowadził się w te strony, ale to nie on przyciągnął moją uwagę. Facet był odwrócony plecami do wsi, a kawałek dalej, przed hotelem o nazwie Kullaberg, zaparkowano białego SUV-a z przyciemnianymi szybami. Nie dało się zobaczyć tablic rejestracyjnych, bo zasłaniał je motocykl, ale nie ulegało wątpliwości, że niższy i grubszy z mężczyzn, którzy gonili dziewczynkę, stał obok i palił

papierosa.

Nie było widać, czy ktoś siedzi w samochodzie.

Przebiegłem wzrokiem artykuł.

Był krótki i bardzo źle napisany, ale wynikało z niego, że prominent nazywa się Jacob Björkenstam, jest znany z tego, że jest nieznany, ale bogaty, i przeprowadził się do Mölle, bo miał tu korzenie.

Nie dodano, o jakich korzeniach mowa.

W artykule nie było też nic na temat białego SUV-a, który stał koło hotelu z ogródkiem.

Na samym dole strony widniało zdjęcie dziennikarza i autorki zdjęć. Jego znałem – Tim Jansson, ksywka Szczeniak, moim zdaniem kompletne beztalencie. Fotografka nazywała się Britt-Marie Lindström i wyglądała, jakby przepracowała w zawodzie już jakiś czas. Przy każdym z nazwisk był numer telefonu i adres mailowy.

Obróciłem gazetę i pokazałem zdjęcie Arnemu.

– Tam stoi samochód, który dzisiaj widziałem w Höganäs, i facet, który gonił dziewczynkę.

Arne spojrzał i przeczytał.

– Coś nam to wyjaśnia?

– Niewiele.

Nie powiązałem prominenta na zdjęciu z samochodem, ale dziewczynka zrobiła to, jak tylko wyszła spod prysznic.

Już chciała usiąść mi z powrotem na kolanach, kiedy zobaczyła zdjęcie i krzyknęła. Pobiegła do pokoju gościnnego i schowała się na łóżku pod kołdrą.

Poszedłem za nią, próbowałem ją uspokoić i namówić, żeby wyszła.

Nie było to łatwe, nie nawykłem do pocieszania dzieci.

– Chodź do kuchni – powiedziałem. – Zamiast leżeć samej pod kołdrą i się bać, lepiej posiedzieć ze mną i z Arnem w kuchni. Nikt nie wie, że tu jesteś, nic się nie stanie.

Arne wyjął z zamrażarki opakowanie lodów, dziewczynka zaczęła je jeść, ja raz po raz czytałem artykuł, a z komputera Arnego płynęły dźwięki piosenki o tym, że „takie jest życie”.

Arne podśpiewywał, artykuł niewiele mi wyjaśnił.

Wynikało z niego, że Jacob Björkenstam miał czterdzieści osiem lat i był jednym z najniebezpieczniejszych milionerów w Szwecji. Naprawdę było tak napisane – „najniebezpieczniejszych”. Zastanawiałem się, czy jakiś redaktor czytał ten tekst przed wydrukowaniem. Björkenstam kupił dom w Mölle, bo w tych okolicach miał korzenie i chciał w taki czy inny sposób zainwestować w gminę Höganäs. Był przekonany, że ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Nie podano adresu jego domu.

Nie podano też, co miały obejmować inwestycje.

Młodzieniec, którego znałem jako Szczeniaka, napisał tylko mętnie, że Björkenstam wzbogacił się na dużych inwestycjach na Wschodzie. Na czym dokładnie polegały, również nie było wiadomo i nie wydawało się, żeby Szczeniak miał pojęcie, o czym pisał. Nie byłem zdziwiony.

W tekście nie padła też informacja, czy Jacob Björkenstam ma rodzinę, czy jest kawalerem, a jedynie że to kolejny sztokholmczyk, który postanowił spędzać wakacje w „urokliwej” północno-zachodniej Skanii.

Na zdjęciu wyglądał na zadowolonego.

Miał szeroki uśmiech i równe zęby. Jego włosy były gęste i zaczesane do tyłu, cechował go ów charakterystyczny wygląd wiecznego chłopca, właściwy wielu mężczyznom z wyższych sfer, niezależnie od wieku. Był ubrany w jasne spodnie, cienką, ciemną marynarkę i białą koszulę, rozpiętą pod szyją.

Wydawał się flirtować z obiektywem aparatu.

Odłożyłem gazetę.

Arne rozłożył ręce, jakby pytał: „I co teraz?”.

Chwyciłem dłoń dziewczynki w swoje, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Znasz go? Znasz Jacoba Björkenstama?

Westchnęła głęboko, ale nic nie powiedziała. Skrzyżowała ręce na piersi. Patrzyła zdecydowanym wzrokiem na komodę, na której stał komputer Arnego, grający szlagiery.

– Próbowałem tylko znaleźć tych dwóch, którzy cię ścigali. Ich samochód jest na zdjęciu, a ty wiesz, co to za jedni. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zacząła płakać.

Po jej policzkach spływały wielkie łzy, ale nie wydawała żadnych dźwięków.

Wstałem i poszedłem po papierowy ręcznik.

Wytarła policzki, ale łzy płynęły nadal.

– Co mam zrobić?

Uważała, że nie powinienem robić nic albo że sobie nie poradzę. Tak zinterpretowałem jej reakcję.

W końcu wstała, okrążyła stół i usiadła mi na kolanach.

Przytuliła mnie mocno, trzęsąc się od płaczu, a moja szyja była całkiem mokra od jej łez.

– Poradzimy sobie z tym. – Poglaskałem ją po plecach. – W taki czy inny sposób. Jestem z tobą i mamy u boku Arnego. Ty i ja nie wiemy o sobie zbyt wiele, ale wiemy chociaż tyle, że jesteśmy po tej samej stronie. To pozwoli nam daleko zajść.

Kiedy dziewczynka w końcu zasnęła w pokoju dla gości, Arne poszedł pooglądać telewizję, a ja usiadłem w fotelu, żeby zadzwonić do Szczeniaka i do kobiety, która robiła zdjęcia w Mölle. Dwa razy włączyła się automatyczna sekretarka. W obu wypadkach przedstawiłem się i powiedziałem, w jakiej sprawie dzwonię. Sygnały w telefonie Szczeniaka brzmiały tak, jakby był za granicą.

Potem zacząłem googlować Jacoba Björkenstama.

Znalazłem dwa krótkie teksty w Wikipedii: jeden po szwedzku, a drugi po angielsku. Prawdopodobnie Szczeniak nie znalazł nic innego albo nie chciało mu się szukać dalej, bo to, co znalazłem w sieci, było równie niekonkretne jak treść jego artykułu. Była tam mowa o „skrytym” biznesmenie, który dorobił się fortuny na interesach z Rosją i Ukrainą. To więcej niż napisał Szczeniak – prawdopodobnie nie wiedział, co znaczy Ukraina.

Znalazłem cztery zdjęcia Björkenstama – dwa, które wyglądały na legitymacyjne,

jedno, na którym był młodszy i pozował w rękawicach bokserskich i białym podkoszulku, i jedno, na którym towarzyszyła mu kobieta. Zdjęcie wyglądało na zrobione podczas jakiejś kolacji, gali albo rozdania nagród, bo Björkenstam miał na sobie frak, a kobieta u jego boku wieczorową suknię.

Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Jacob Björkenstam z żoną Agnetą”.

Miała półkrótkie – albo półdługie – potargane ciemne włosy i sięgała mężowi do ramienia. Byłem przekonany, że takie potarganie w stylu lat sześćdziesiątych sporo kosztowało u fryzjera.

Oboje byli uśmiechnięci.

Takie uśmiechy otwierały wszystkie drzwi.

Oczy Agnety Björkenstam błyszczały.

Było więcej wyników, między innymi artykuły z „Affärsvärlden” i „Dagens Industri”, ale niczego nowego się nie dowiedziałem. Wyglądało na to, że ta para przez kilka lat mieszkała za granicą.

Nadal nie rozumiałem, co wspólnego z Jacobem Björkenstamem miał biały SUV, ale jeśli samochód był na rosyjskich tablicach, a Björkenstam robił interesy z Rosją i Ukrainą, to musiało istnieć jakieś powiązanie.

Tuż przed jedenastą zadzwonił mój telefon. Nie znałem numeru. Odebrałem, w słuchawce rozległ się kobiecy głos:

– Czy to Harry Svensson?

– Tak jest.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale byłam w pracy. Mówi Britt-Marie. Fotografka. Britt-Marie Lindström.

Powiedziałem, że sfotografowała niejakiego Jacoba Björkenstama w porcie w Mölle, ale nie interesuje mnie on, tylko samochód, który na zdjęciu w gazecie widać w tle.

– Ma pani jeszcze więcej kadrów? O ile nadal tak się mówi.

– Raczej nie. To była szybka robota, pstryknęłam najwyżej siedem, osiem razy.

– Nie jestem do końca pewien, jak to działa, ale może dałoby się powiększyć to zdjęcie albo zrobić zoom, żeby zobaczyć numery rejestracyjne albo człowieka, który siedzi w samochodzie?

– W tej chwili nie bardzo wiem, o którym zdjęciu pan mówi.

– Rozumiem, ale jeśli pani na nie spojrzy, zobaczy pani SUV-a. Jest zaparkowany przed hotelem, a obok stoi gruby facet i pali papierosa.

– Sprawdzę. Czy jeśli przyślę zdjęcia jutro rano, nie będzie za późno?

Podałem jej adres mailowy i dodałem:

– Próbowałem się skontaktować z autorem tekstu, ale nie oddzwonił.

– Nie znam go, w porcie w Mölle tylko się przywitaliśmy. Nigdy wcześniej z nim nie pracowałam. Wywiad miał już skończony i zmył się tuż po moim przyjeździe.

– Dobrze, w takim razie dalej będę dzwonił.

Wszedłem do pokoju telewizyjnego. Arne oglądał CNN. Jeśli sądzić po migoczących obrazkach, był pożar w Gazie, Iraku albo Syrii. Kobiety krzyczały, wznosiły oczy i ręce do nieba, wśród ruin zbombardowanych budynków chodziły dzieci.

Szukały jedzenia, dobytku albo rodziców.

Arne nie zauważył nawet, kiedy wyłączyłem odbiornik.

Głośno chrapał.

Kiedy mówiłem, że dziewczynce nic się nie stanie, bo nikt nie wie, że jest z nim i ze mną w Anderslöv, w moim głosie słychać było przekonanie.

Ale wcale nie byłem tego taki pewny.

Bałem się wielkich lasów, pustych budynków fabrycznych i statków, ale nigdy nie odczuwałem strachu przed ciemnością.

Było już po dniu świętego Jana i noce zaczęły się wydłużać, ale nikt nie mógłby powiedzieć, że szwedzkie letnie noce są ciemne.

Mimo to ich nie lubiłem. Już wcześniej nocowałem u Arnego, ale kiedy tylko położyłem się w tym obcym łóżku, zaczynałem słyszeć wyłącznie dźwięki, do których nie byłem przyzwyczajony.

Arne chrapał – to akurat nie była żadna nowość.

Gałąź drapała o dach.

Coś spadło z drzewa i uderzyło o ziemię.

Wiatr zaszumiał w trawie.

Przy każdym dźwięku czułem ukłucie w żołądku.

Słyszałem deszcz bębniący o szybę i wydawało mi się, że wiatr przybrał na sile.

Zerwała się krótka ulewa, krople smagały okno mojego pokoju.

Lodówka w kuchni zaczęła burczeć.

Przejechał samochód.

Miałem wrażenie, że zawrócił i się zatrzymał.

Znow byłem w pełnej gotowości.

Silnik pracował na jałowym biegu.

Trzasnęły drzwiczki i rozległ się czyjś głos.

Silnik ucichł.

Jeszcze jedne drzwiczki otworzyły się i zamknęły.

Nikt się nie skradał.

To musieli być sąsiedzi. Wiedziałem, że Hjördis mieszka po lewej, ale przy tej ulicy było więcej domów i nie znałem ich mieszkańców.

Próbowałem się odprężyć i jeszcze raz przewinałem w głowie to, co się stało: ucieczkę dziewczynki, mężczyzn, którzy ją gonili, włamanie, tajemniczą posesję, gang motocyklowy, przerażenie dziewczynki na widok zdjęcia Jacoba Björkenstama w gazecie.

Wcale mnie to nie uspokoiło.

Przystąpiłem do liczenia owiec w mojej wersji: zacząłem wymieniać składki poszczególnych klubów piłkarskich, ale i tak nie udało mi się zasnąć, bo utknąłem na Manchesterze United. Zacząłem się denerwować, że nie pamiętam, kto oprócz Steve'a Bruce'a grał na pozycji środkowego obrońcy w meczu z IFK Göteborg w latach dziewięćdziesiątych. Miałem go przed oczami, był wysoki. Mogłem go wygooglować, ale w mojej wersji liczenia owiec traktowało się to jako oszustwo.

Zacząłem nasłuchiwać, choć nie bardzo wiedziałem, co próbuję usłyszeć. Po chwili

wstałem, żeby zajrzeć do dziewczynki.

Spała głębokim, spokojnym snem.

Kiedy znów się położyłem, w Anderslöv panowała cisza i tylko Harry Svensson nie mógł zasnąć.

Na początku za bardzo się nad tym nie zastanawiała, ale stopniowo zaczęła rozumieć, że kłótnie rodziców z synem są najgłośniejsze, kiedy jej mężowi coś nie wychodzi. To się zdarzało dość często, najwyraźniej nie był tak dobry w interesach, jak by chciał i za jakiego próbował uchodzić.

Oboje działali w rodzinnej firmie.

Kiedy weszła do rodziny, jej zdjęcie widniało na wszystkich możliwych produktach spożywczych od chleba po mięso, mrożone maliny i truskawki, indyka, kotlety schabowe i wędliny w plasterkach.

Na początku myślała, że to zabawne oglądać siebie w chłodziarce z mięsem, ale potem zaczęło jej to przeszkadzać i unikała sklepów, które sprzedawały produkty z wizerunkiem wspaniałej rodzinki. Poza tym jej mąż uważał, że powinna robić zakupy tylko w sztokholmskiej hali targowej Östermalm.

Jak sobie chce.

Kiedy urodził im się syn, zrobiono nowe zdjęcie z nowym psem.

Zostało umieszczone na dyskontach w całej Szwecji. Właścicielem sklepów był jej teść. Agencja reklamowa opatrzyła je tekstem o tym, jak ważna jest rodzina, jak istotną rolę odgrywa w społeczeństwie w takich czasach – cokolwiek należało rozumieć przez „takie czasy” – i jak ważna jest rodzina w kontekście paczkowanych wędlin.

O tym ostatnim nie było ani słowa, sama to wymyśliła.

Nie śmieszyło nikogo oprócz niej.

Wciąż potrafiła wybuchnąć śmiechem, kiedy sobie o tym przypominała.

Jej rodzice byli rozwiedzeni, ale załatwili to tak mądrze, że razem z mamą mogły mieszkać w oddzielnym ciągu pawilonów na terenie gospodarstwa, które prowadził tata. Wiedziała, że inne dziewczynki ze szkoły mieszkają przez tydzień u taty i przez tydzień u mamy albo wyjeżdżają do taty co drugi weekend. Wydawało się, że możliwych wariantów jest mnóstwo.

Uważała, że to dobrze, że mama i ona mogą dalej mieszkać tam, gdzie zawsze mieszkały, i że może poruszać się swobodnie między domem, w którym mieszkał tata, a pawilonami, w których mieszkała mama.

Mama i tata byli przyjaciółmi. Znała dziewczyny – zresztą chłopaków też – którym było źle, bo ich rodzice kłócili się o wszystko: o pieniądze, o ubrania, o podział obowiązków, o to, kto ma pracować, podwozić albo pilnować, ale przede wszystkim o pieniądze.

Jej mama zajmowała się sklepem, w którym sprzedawali ziemniaki, pomidory, cebulę, rabarbar, jabłka, sok, ogórki, buraki, kalafiory, główki sałaty i wszystko inne, co może wyprodukować gospodarstwo.

Tego ranka dolala sobie mleka do kaszki przygotowanej przez mamę i zaczęła jeść, a mama usiadła z filiżanką herbaty i przeglądała gazetę.

Ona piła kawę.

Tata ją tego nauczył.

Wtedy usłyszały samochód, ale nie zareagowały, bo ciągle przyjeżdżali do nich ludzie, którzy chcieli coś kupić albo dostarczyć. Gdyby przyjechali po zakupy, zobaczyłyby samochód, a gdyby ktoś przyjechał na rowerze, mógł użyć dzwonka.

Nagle nastawiły uszu, bo wydawało im się, że słyszą podniesione głosy.

Usłyszały głośny huk.

Jakby wystrzał.

Trzask zamykanych drzwiczek i ryk samochodu odjeżdżającego z dużą prędkością.

– Co to było, do cholery? – odezwała się mama.

Potem odstawiła filiżankę, rzuciła gazetę na podłogę i wybiegła.

Ona została na miejscu i siedziała tam do momentu, aż usłyszała krzyk mamy.

Był przeraźliwy, rozdzierający. Wypadła na podwórze, popędziła przed siebie i już miała okrążyć dom, kiedy zobaczyła, że mama biegnie w jej stronę i próbuje ją zatrzymać.

Ale było już za późno.

Zdażyła już zobaczyć tatę, który leżał bez ruchu na ziemi.

Na plecach.

Usta miał otwarte, jakby chciał krzyknąć, ale milczał i się nie ruszał.

Wiedziała, że nie żyje.

Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Kiedy się obudziłem, spostrzegłem, że przyszedł SMS od Szczeniaka. Prosił, żebym do niego zadzwonił, bo „połączenia z Tajlandii są takie drogie”.

Arne i dziewczynka siedzieli już przy stole w kuchni. On jadł jakieś pożywne płatki bogate w błonnik, a ona żuła kanapkę z pasztetem z wątróbek, plasterkami ogórka i pomidora.

Nalałem sobie do kubka kawy, poszedłem do gabinetu Arnego i zadzwoniłem do Szczeniaka.

Nie miał pojęcia, o co go pytam, i chciał pogadać tylko o tym, jak „zajebicie” jest w Tajlandii. Nie widział żadnego „dziwnego samochodu”, a kiedy słuchałem jego wywodów, zachodziłem w głowę, czy on w ogóle widział cokolwiek i czy rozmawiał z ludźmi, z którymi miał przeprowadzić wywiad.

– Kurwa mać, Svensson, dawno robiliśmy ten materiał. Sam chyba wiesz, jak to jest. Środowy wieczór, Midsommar za pasem, człowiekowi nie chce się robić. Czekala mnie duża impreza przy grillu w Sztokholmie i musiałem zdążyć na samolot. Obejrzałem filmiki z tym gościem, napisałem co trzeba i wysłałem to z samochodu. Ale, kurde, niewiele o nim było.

– Bardziej mnie interesuje samochód, który stał pod hotelem – powiedziałem.

– Tam był jakiś hotel?

Uznałem, że rozmowa ze Szczeniakiem jest bez sensu i poprosiłem, żeby się do mnie odezwał, jeśli coś przyjdzie mu do głowy.

Następnie zadzwoniłem do Britt-Marie Lindström. Okazało się, że miała parę zleceń w okolicy Solviken.

– Ma pan tam chyba restaurację? – rzuciła.

– Mam albo i nie mam. Za restaurację odpowiada mój kolega Simon. Ja nie bardzo wiem, co robię.

– Chyba nie mogę tak po prostu rozdawać zdjęć, ale gdybym wzięła laptopa, mogłabym pokazać je na ekranie, gdyby zaprosił mnie pan na kawę.

– Dobrze, ale nie ma mnie teraz w domu. Mógłbym dojechać na miejsce za nieco ponad godzinę.

– To może umówimy się na dziesiątą? Jest ze mną dziewczyna zatrudniona na zastępstwo.

Odparłem, że mi to odpowiada, i odwróciłem się do stołu. Arne i dziewczynka już posprząтали po śniadaniu. On rozwiązywał krzyżówkę, a ona rysowała coś na kartce w bloku.

– Nie bardzo wiem, co robić – powiedziałem. – Szukałem w sieci adresu Björkenstama w Mölle, ale nie ma nic o nim ani o jego żonie Agnecie. Niedawno się wprowadzili, więc może to nie zostało jeszcze zgłoszone.

– Mölle to duża miejscowość? – zapytał Arne.

– Niezbyt.

– No to pojedź tam i porozmawiaj z ludźmi. Zawsze ktoś coś wie. Wstąp do portu

i znajdź tam kogoś.

Pokiwałem głową.

– Dobra. Spotkam się z tą fotografką, która zrobiła zdjęcie Björkenstama i samochodu. A potem podskoczę do Mölle.

Kiedy wypowiedziałem nazwisko Björkenstama, dziewczynka podniosła wzrok. Nie mogłem stwierdzić, czy jest rozzłoszczona, przestraszona, czy ma do mnie pretensje.

Pożegnałem Arnego, uścisnąłem ją i poszedłem do samochodu. Było dopiero kilka minut po ósmej, ale już zapowiadał się jeden z najcieplejszych dni lata. Słońce przemieniło ulicę Arnego w piekarnik, a powietrze drżało tak, jak widać na filmach, których akcja rozgrywa się w Los Angeles. Może gazety miały rację, kiedy pisały na pierwszych stronach o „katastrofalnych angielskich upałach”. Jeśli tak, to zaraz po nich powinny spaść piekielne polskie deszcze.

Kawałek na północ od Malmö przypomniałem sobie nazwisko. Obrońcą Manchester United oprócz Steve’a Bruce’a był Gary Pallister.

Taka gimnastyka umysłu się przydaje.

Arne rozwiązywał krzyżówki, a ja próbowałem recytować z pamięci składy drużyn.

W Solviken było tak samo ciepło jak w Anderslöv, ale do mojego domu nikt nie wchodził. Zamek nadal się zacinał, ale poza tym wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zostawiłem.

Zadzwoiłem do Evy Månsson i zapytałem, czy coś znalazła.

Nie znalazła. Dopiero się obudziła.

W restauracji podgrzałem w piecu dwie bagietki, wyjąłem filiżanki, masło, wędlinę do kanapek i nalałem kawy. W tej samej chwili na schodach od strony portu zobaczyłem Britt-Marie Lindström.

– Myślałem, że ktoś z panią będzie – zauważyłem.

– Została w samochodzie. Należy do tych, którzy uważają, że fajniej jest siedzieć z telefonem, niż spotykać się z ludźmi na żywo.

Britt-Marie Lindström miała na sobie szorty khaki sięgające do kolan, biały podkoszulek i coś, co nazywałem fotokurtką, choć prawdopodobnie było tylko kamizelką z trzema tysiącami kieszeni różnej wielkości. Naprawdę wyglądała jak przedstawicielka starej szkoły.

Postawiła na stole duży przenośny komputer.

– Rozmawiałem ze Szczeniakiem, ale...

– Słucham?

– Przepraszam, nazywa się Tim Jansson, ale ludzie mówią na niego Szczeniak... a raczej ja tak na niego mówię.

Skinęła głową, jakby zrozumiała, i włączyła laptopa.

Po mniej więcej minucie otworzyła folder ze zdjęciami.

Były w sumie cztery. Pierwsze to oryginalna fotografia – prominent Jacob Björkenstam stał na pierwszym planie, a w tle widać białego SUV-a.

Pozostałe trzy były powiększeniami samochodu, ale choć Britt-Marie zwiększyła rozmiar zdjęcia, nie dało się zobaczyć numerów rejestracyjnych, bo zasłaniał je motocykl.

Dostrzegłem, że za kierownicą ktoś siedzi.

Grubas, który palił papierosa, na dwóch zdjęciach patrzył w ziemię, ale na trzecim spojrział niemal prosto w obiektyw.

Nie miał na policzku żadnego śladu.

Ślad musiał pojawić się później.

– Miałem nadzieję, że będzie widać numery rejestracyjne – westchnąłem.

– Domyślam się, ale to najlepsze, co mogłam zrobić – odparła Britt-Marie Lindström.

Miała ciemne, krótkie włosy i ukośnie przyciętą grzywkę. Jej twarz była okrągła, o miękkich rysach. Britt-Marie wskazała port i Skälderviken.

– Tak tu ładnie. Żałuję, że nie mogę tu zostać do końca dnia.

– Dokąd musi pani teraz jechać?

– Będziemy testować lody.

– Typowy wakacyjny temat.

– Czuję się tak, jakbym robiła to w każde wakacje od czterdziestu lat.

Westchnęła i mówiła dalej:

– Za rok skończę sześćdziesiątkę, wtedy dam sobie spokój. O ile gazeta będzie jeszcze istniała. Ciągłe krążą plotki, że nas zamkną, sprzedadzą albo zmienią w darmowy tytuł, dostępny tylko w sieci.

– Ostatnimi czasy nie jest lekko w tym fachu – potwierdziłem.

– Mam już wnuki. Jestem za stara, żeby pstrykać zdjęcia lodom. Lubię fotografować, ale to już nikomu nie jest potrzebne.

Machnęła ręką w stronę samochodu.

– Dziewczyna, która tam siedzi, zrobiłaby to samo telefonem.

Potem wskazała zdjęcia na ekranie.

– Dlaczego chciał je pan zobaczyć, jeśli mogę być ciekawska?

– Nie wiem – odparłem. – A przynajmniej nie znam bezpośredniej przyczyny. Ten samochód może mieć związek z pewną sprawą, którą próbuję rozwikłać, choć nie wiem, na czym ona polega i czy w ogóle jest o czym mówić.

Nie wspominałem, że dziewczynka, która się ukrywała u Arnego w Anderslöv, rozpoznała na zdjęciu Jacoba Björkenstama.

Britt-Marie posmarowała kanapkę masłem i położyła na niej plasterek salami.

– Sami pieczenie? – zapytała.

– Mamy kucharza z Litwy. On wszystko gotuje i piecze chleb.

Zacząłem przeskakiwać między fotkami.

– Dlaczego tego dnia pojechała pani do Mölle?

Stuknęła palcem w bohatera artykułu na zdjęciu.

– Nie wiem, po prostu się dowiedziałam, że mam go sfotografować. Nie czytałam artykułu i nie wiem, co w nim jest ani nawet co to za człowiek.

– Ja czytałem i niewiele się dowiedziałem.

Telefon Britt-Marie zapiszczał.

Wyjęła go z jednej z wielu kieszonek kamizelki, wyciągnęła małe prostokątne okulary do czytania i spojrziała na wyświetlacz.

- To ona. Zaczyna się niecierpliwić. Chyba powinnam już iść.
- Ogromnie dziękuję za pomoc.
- Nie ma sprawy, miło było tu się znaleźć, już od kilku lat nie byłam w Solviken.
- Proszę jeszcze kiedyś przyjechać, w ramach podziękowania zaproszę panią na kolację. W każdy wtorek mamy grillowe wieczory.

Schodziła już po schodach do portu i do samochodu, kiedy wyszedłem i ją zatrzymałem.

- Pamięta pani, czy tego dnia widziała pani to auto?

Pokręciła głową.

- Nie pamięta pani...

– Czego?

- Bo ja wiem... czegoś dziwnego?

– Nie. Było ciepło, przywitałam się z dziennikarzem i z Björkenstamem, dziennikarz od razu odjechał, a ja zrobiłam Björkenstamowi kilka zdjęć. Wszystko potrwało najwyżej pięć minut.

- Czy Björkenstam został w porcie, po tym jak skończyliście?

Zastanowiła się, po czym ledwo dostrzegalnie pokręciła głową.

- Nie wiem. Przeszedł po parkingu, ale nie wiem, w którą stronę.

- Nie widziała pani, czy idzie do samochodu ze zdjęcia?

Pokręciła głową.

- Wyśle mi pani SMS-a, jeśli coś sobie pani przypomni?

Pomachała mi i wjechała na główną drogę. Dziewczyna na siedzeniu pasażera nie podniosła wzroku.

Posprzątałem ze stołu i wstawiłem naczynia do zmywarki, a potem zszedłem do samochodu i pojechałem do Mölle.

Nie bywałem tu zbyt często, ale wiedziałem, że choć miejscowość zmieniła się przez lata, a nawet zatarły się różnice między warstwami społecznymi, latem wciąż mieszkało tu wiele osób z wyższych klas, a liczba ludności wzrastała trzykrotnie.

Mölle funkcjonowało w powszechnej świadomości jako siedlisko grzechu i wyższych sfer – miało to coś wspólnego z tym, że dawniej działała tu koedukacyjna łaźnia. W każdym razie pamiętałem jak przez mgłę stare, czarno-białe zdjęcia mężczyzn w słomkowych kapeluszach i kobiet z parasolkami, ubranych w zakrywające wszystko kostiumy kąpielowe. Kojarzyłem też, że było to miejsce letnich wycieczek królewskich i szlacheckich rodów. Znany hokeista urządził w Mölle spektakularne wesele i chyba czytałem, że kupił dom w tych okolicach.

Obecnie na dzień dobry widziało się tu kemping i wszystko, co się z nim wiąże: dresy, przyczepy, kampery, namioty, bingo i gąszcz anten satelitarnych.

Tam, gdzie droga opada ku Mölle, a po lewej stronie widać Öresund, trzeba było minąć kaplicę, skręcić w lewo, przejechać koło starego dworca kolejowego, garncarni i piekarni, w której wypiekano pieczywo na zakwasie dla sztokholmczyków. Potem należało tylko zjechać w dół i już się było w porcie.

Zatrzymałem się na pobliskim parkingu, zawróciłem, wjechałem pod górę i znów skręciłem o sto osiemdziesiąt stopni. W ten sposób znalazłem się przed hotelem

Kullaberg, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym stał SUV, kiedy zrobiono mu zdjęcie.

Molo w porcie w Mölle jest długie. Jeśli się stanie na samym jego końcu, łatwo się zachwycić widokiem.

Po lewej Öresund przechodzi w Kattegat, na wprost można dostrzec Kullaberg, a po prawej widać strome zbocze, po którym wspinają się tak charakterystyczne dla Mölle białe zabudowania i Grand Hotel. Widok z jadalni i dużej werandy musi być niezwykły. Hotel jest ukoronowaniem Mölle niczym starożytny zamek.

Nigdy nie byłem w tutejszych portowych restauracjach. W tej najbardziej wysuniętej w morze w piątki i soboty serwowano krewetkową ucztę przy dźwiękach „łagodnej muzyki na żywo”. Coś, co wyglądało jak dawne stoisko z kiełbaskami, teraz nazywało się Mölle Thai Take Away, ale obok pod parasolem stały ławki i krzesła, więc uznałem, że nie trzeba koniecznie zabierać stamtąd jedzenia. Najbardziej w głębi, koło sklepu z pamiątkami, mieściła się knajpa z brezentowym dachem, pełna ludzi i całkiem niezłe pachnąca smażoną rybą.

Wróciłem do hotelu Kullaberg, przed którym właśnie wystawiono tablicę z wypisanym kredą jadłospisem dnia. Przyszło mi do głowy, że człowiek na zdjęciu być może wcale nie patrzył w ziemię. Mógł studiować menu.

Wszedłem do środka. Jeden z mężczyzn wkładał do lodówki butelki piwa, a młoda blondynka z włosami spiętymi w koński ogon i ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku zajmowali się obsługą gości. Zapytałem ostrożnie, czy ktoś z nich widział białego SUV-a na rosyjskich tablicach.

Nikt go nie widział.

Nie interesowali się, dlaczego pytam, i bardzo dobrze, bo nie wymyśliłem żadnego wiarygodnego kłamstwa.

Ulica przed hotelem nosiła nazwę Gyllenstjernas allé. Dwadzieścia metrów dalej pod górę stał kamper. Na chodniku, pod rozpiętym namiotem, przy stoliku kempingowym siedzieli mężczyzna i kobieta. Spożywali lancz – klopsiki, ziemniaki i po jednym piwie Sort Guld dla każdego. Kobieta miała na sobie bikini, a mężczyzna spodenki kąpielowe. Po jego wydatnym brzuchu spływał pot.

– Przyjemnie tu macie – powiedziałem, starając się sprawiać wrażenie, że mówię szczerze.

– Pierwsza klasa – odparła kobieta.

– Uwielbiamy Mölle – odezwał się mężczyzna.

Brzmiało to jak dialekt z Värmlandii albo Dalarny. Nigdy nie nauczę się ich rozróżniać.

– Miałem się tu spotkać z kolegami, ale zgubiłem ich po drodze. Nie widzieliście dużego, białego samochodu z przyciemnianymi szybami?

– SUV? – zapytał mężczyzna.

– Tak.

– Rosyjski?

– Tak.

– Skąd oni mają na to kasę? – przerwała nam kobieta. – Przecież Rosja była taka

biedna.

Upiła porządny łyk z puszeki.

Wydawało się, że nie było to jej pierwsze piwo – przy s w słowie „Rosja” lekko zaplątał jej się język.

– Widzieliście go?

Mężczyzna wziął kawałek papierowego ręcznika, wytarł pot, który zebrał mu się pod obwisłymi piersiami, i wrzucił papier do rynsztoka.

– Widzieliśmy wczoraj, widzieliśmy dzisiaj.

– Gdzie? Tutaj?

– Wjechał tam wczoraj, a wyjechał dziś rano – odparł mężczyzna i wskazał boczną uliczkę.

Rozważałem, czy nie przespacerować się wskazaną uliczką, ale postanowiłem wsiąść do samochodu.

Przejechałem się dwa razy tam i z powrotem, wjeżdżałem w jeszcze mniejsze alejki i z nich wyjeżdżałem, aż w końcu znalazłem się w ślepej uliczce z otwartą kratą, za którą wznosił się dwupiętrowy dom z ornamentami, altanami i balkonami. Jeśli nie był świeżo wybudowany, to przynajmniej odnowiony.

Jakaś kobieta stanęła na tarasie i zaczęła mi się przyglądać. Nosiła duże okulary przeciwsłoneczne i chustę narzuconą na coś, co chyba było kostiumem kąpielowym. Rozłożyła ręce, jakby chciała spytać, co tu robię. Pomachałem przepaszająco, okrążyłem dziedziniec i wyjechałem z powrotem na ulicę.

Nigdzie nie widziałem białego SUV-a.

Kiedy wjeżdżałem z Mölle, uderzyła mnie myśl, że można tu wjechać i stąd wyjechać tylko jedną drogą.

Przy wjeździe stał budynek, który wyglądał jak stara amerykańska stacja benzynowa i rzeczywiście był opatrzony napisem Standard Motor-Oil. Pomyślałem, że gdybym tam zaparkował, miałbym widok na drogę i widziałbym, czy przejeżdża nią znajomy SUV.

Czekałem tak pół godziny. Przez ten czas wysłuchałem mnóstwa głupawych quizów i programów rozrywkowych w lokalnym radiu.

Widziałem autobusy, kampery, ciężarówki, samochody osobowe – zdumiewająco wiele z nich miało otwarty dach. Widziałem dziipy, motocykle, rowery szosowe, a nawet kobietę na zwykłej damce, którą jeździła chyba od lat pięćdziesiątych. Jej spódnica powiewała na wietrze, zwróciłem uwagę, że miała mocno opalone nogi.

Nie widziałem za to SUV-a.

Ani białego, ani jakiegokolwiek innego.

Już miałem wrócić do Solviken, kiedy pomyślałem, że Arne Jönsson nie poddałby się tak łatwo. Zamiast skrócić w lewo, włączyłem prawy kierunkowskaz i wróciłem do Mölle.

Kiedy wysiadłem z samochodu, czułem się tak, jakbym wyszedł z lodówki i wkroczył do sauny. Słońce prażyło z wręcz atomową siłą. Cieszyłem się, że mam na głowie czapkę.

Już od lat nie jadłem gofra, więc wszedłem do budki, w której według szyldu nad

drzwiami serwowano najlepsze gofry w okolicy. Może zapomniałem, jak smakują albo jak powinny smakować i wyglądać, bo rozmokły, wymęczony gofr mnie rozczarował. Nawet bita śmietana nie była dobra, a jestem jej wielkim miłośnikiem.

Naprawdę próbowałem być Arnem Jönssonem i sprawiając wrażenie nieobecnego, zacząłem rozmawiać z dziewczyną, która robiła gofry.

Nie wiedziała zbyt wiele o czymkolwiek.

– Jestem z Malmö i tylko robię tu gofry, ale proszę zapytać kapitana portu, tam ma biuro – powiedziała i wskazała kierunek.

Budkę łatwo było znaleźć, bo na drzwiach widniał napis „Kapitan portu”.

Wrzuciłem do kosza to, co miało być gofrem, i już chciałem zapukać do drzwi, kiedy się otworzyły i z budki wyszedł ktoś, kogo uznałem za kapitana. Prawie tego samego wzrostu co ja, był ubrany w granatowe szorty, które wyglądały jak odcięte od roboczego kombinezonu stolarza. W każdym razie z bocznej kieszeni wystawała mu calówka i miał szelki na gołym ciele. Jego jasne włosy były ostrzyżone prawie na jeża.

– Przychodzę nie w porę? – spytałem.

– Nic z tych rzeczy, muszę tylko zaczerpnąć trochę powietrza. Wczoraj byłem w Kopenhadze, na koncercie. I to nie ja prowadziłem, że się tak wyrażę.

Roześmiał się. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego.

– Ktoś znany?

– Kierowca?

– Nie, wykonawca.

– Neil Young.

– Z zespołem czy bez?

– Crazy Horse.

– Dobrze?

– Zawsze jest dobre.

Ruszył w stronę portu. Szedł długimi krokami. Dopiero wtedy zauważyłem, że jest bosy.

– Ja bym tak nie mógł. – Pokazałem na jego stopy. – Mam zbyt wrażliwą skórę.

– To kwestia przyzwyczajenia. Zawsze chodzę na bosaka, nie wytrzymałbym w takich buciorach jak te pańskie.

– To też kwestia przyzwyczajenia – odparłem.

– Gdzie jest pana łódź? – zapytał.

– Nie mam łodzi.

– Aha, myślałem, że potrzebuje pan pomocy, bo chce zacumować, zapłacić i tak dalej.

– Nie. Po prostu wyczytałem w gazecie, że przeprowadził się tutaj Jacob Björkenstam, i byłem ciekaw, gdzie mieszka. Sprzedawczyni z budki z goframi poradziła mi, że bym porozmawiał z panem.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

– Zna go pan? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Tylko o nim czytałem.

– Ludzie gadali, kiedy kupił i zaczął remontować swój dom. Na pewno go pan nie przeoczy, od tej strony to pierwsza boczna uliczka za hotelem Kullaberg.

Byłem tam.

Jeżeli myśleliśmy o tym samym domu, to nawet zawracałem na dziedzińcu.

Kobieta patrzyła na mnie z tarasu.

– Co go łączy z Mölle?

– Nie wiem. Ma dużo pieniędzy i powiedział, że chce zainwestować w gminę, a ponieważ w tej gminie lubią rozwój i duże inwestycje, przyjęli go bez względu na to, czy coś go z nią łączy, czy nie. Wydaje mi się, że jego rodzice przyjeżdżają na lato do Solviken. Nadziane typki ze stolicy, jak oni wszyscy.

– Ja też mieszkam w Solviken.

– Może pan ich zna.

– Nic mi o tym nie wiadomo, choć sam jestem typkiem ze stolicy.

– Ale mówi pan, jakby był stąd.

– Urodziłem się w Malmö – odparłem. – Ten Björkenstam jest tu widoczny?

– Widoczny? W jakim sensie?

– Chodzi mi o to, czy... pokazuje się w porcie. Często można go tu spotkać?

– Widziałem go tylko raz, kiedy robili mu zdjęcia do gazety.

– Jak się pan nazywa?

– Dan Frej. Mówią na mnie Danne.

– Harry – przedstawiłem się i wyciągnąłem rękę. – Harry Svensson. Mówią na mnie Harry albo Svensson, w zależności od tego, z kim rozmawiam.

– Lubisz Neila Younga? – zapytał Dan Frej.

– Lubię jego country. *On the Beach* jest fantastyczne, ale nagrał dużo jako solowy gitarzysta, a to nie bardzo mnie interesuje.

– Ja lubię wszystko. Neil Young to geniusz, jest lepszy od Dylana.

Z roztargnieniem skinąłem głową, żaden z nich zbytnio mnie nie obchodził.

– Za to często widuję jego żonę – dodał Dan Frej.

– Żonę Björkenstama?

– Chodzi na długie spacery, siada na ławce na molo i czyta, jada luncz w tamtej knajpie.

Skinął głową w stronę stolika pod brezentowym dachem.

– Kiedy się zwykle pojawia? – zapytałem.

– Na przykład teraz.

– Teraz?

Wskazał okolicę, w której królował Grand Hotel.

– To ona, o tam. Mam ją na oku, cholernie dobrze wygląda.

Naprawdę dało się to dostrzec z daleka.

O ile oczywiście należało się do specjalistów.

Nie wiem, jak wielkim specjalistą był Dan Frej, ale sam nie miałem trudności z dostrzeżeniem, że kobieta na ulicy wygląda zjawiskowo, nawet z tak dużej odległości. A więc też byłem nie lada specjalistą.

Wiedziałem, gdzie dokładnie mieszka Jacob Björkenstam.

Miała na sobie chustę, duże okulary przeciwsłoneczne, cienką bluzkę z kwiatowym wzorem i czymś, co wyglądało jak papuga, oraz szorty, które sięgały do połowy uda. Nosiła też szpilki z paskiem wokół kostki, a przez ramię przewiesiła dużą materiałową torbę.

– Rozumiem, o co ci chodzi.

– A jak! – rzucił Dan Frej.

Obaj odprowadzaliśmy ją wzrokiem.

– Mają tu łódź? – zapytałem.

– Nie.

– Czy to nie dziwne?

– Ty masz łódź w Solviken?

Pokręciłem przecząco głową.

– No to sam widzisz.

Popatrzyłem na łódzie w porcie.

– Wielu Duńczyków, jeśli sądzić po flagach – zauważyłem.

– Latem są tu prawie sami Duńczycy. Powiedziałbym, że osiemdziesiąt procent wszystkich łodzi jest z Danii.

Szukałem wzrokiem pani Björkenstam. Jak ona się nazywała? Agneta? Tak, Agneta. Szła w stronę budek z bibelotami. W porcie było mnóstwo turystów z kempingu, a ona wyróżniała się z tłumu ubiorem i sposobem poruszania się. Jej szorty kosztowały pewnie tyle, ile jedna z duńskich żaglówek. Nie mogłbym sobie wyobrazić, że kupuje chochlę albo drewniany nóż do masła z wrytym napisem „Mölle”.

Rzeczywiście poszła do restauracji i usiadła przy jednym ze stołów pod brezentowym dachem.

– Może zamówię sobie flandrę – powiedziałem do Dana Freja.

– Na toście – uzupełnił.

Albo wyrobiłem się w byciu jak Arne Jönsson, czyli w gadkach o niczym, albo z Danem Frejem wyjątkowo łatwo się rozmawiało. Lubiłem go, mimo że miał słabość do Neila Younga.

Stoliki były małe, a w środku tłoczyło się dużo ludzi, ale naprzeciwko Agnety nikt nie siedział.

– Przepraszam, czy mógłbym się dosiąść, czy pani na kogoś czeka? Wszystko tu pozajmowane.

Podniosła na mnie wzrok, rozejrzała się, podniosła torebkę z krzesła naprzeciwko i postawiła obok siebie na podłodze.

– Nie ma problemu – odparła.

Nie mówiła ze skańskim akcentem, jej głos był delikatny i przyjazny, a na bluzce rzeczywiście miała papugę.

Kelner – a raczej młody chłopak – zjawił się z kieliszkiem białego wina, który postawił przed nią.

Wyjęła książkę, otworzyła i zaczęła czytać.

Myślałem, że młody chłopak przyjmie ode mnie zamówienie, ale postanowił obsłużyć grupkę, która przyszła po mnie.

– Wygląda na to, że trudno tu cokolwiek dostać – stwierdziłem.

Podniosła wzrok, wzruszyła ramionami i czytała dalej.

Odniosłem wrażenie, że się uśmiechała.

Kelner przyniósł jej sałatkę z łososia.

– Przepraszam, czy mógłbym złożyć zamówienie? – odezwałem się.

Spojrzał zdziwiony, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Aha, myślałem, że państwo są razem – odpowiedział i poszedł.

Kobieta się roześmiała.

– Nie bardzo rozumiem tę logikę – oznajmiłem. – Gdybyśmy przyszli osobno, mógłbym złożyć zamówienie, ale skoro przyszliśmy razem, mogę tylko patrzeć.

– Jest jak jest – odparła.

Z przyjemnością patrzyłem, jak je. Kroiła czworokątne kawałki łososia na jeszcze mniejsze, wzięła widelec w prawą rękę i nabiła łososia, ogórek, pomidor i paprykę. Trzymała widelec między kciukiem a palcem wskazującym. Dokładnie przeżuwała kęsy.

Po wielu ceregielach wreszcie mogłem zamówić flądę na toście i szklankę wody.

Nie wiedziałem, o co zapytać. Czy książka jest dobra? Czy mieszkała w Mölle? Co tu robiła?

– Co to za książka? – zapytałem w końcu, chociaż sam nienawidzę tego pytania, kiedy chcę w spokoju poczytać.

Uniosła książkę, żebym mógł zobaczyć okładkę. *Zaginiona dziewczyna* Gillian Flynn.

– Jakiś rok temu zrobili na jej podstawie film, oglądała pani? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Ja też nie – powiedziałem. – Człowiek zawsze czuje się rozczarowany, kiedy ogląda ekranizacje książek.

Mogłem ją zaszokować.

Mogłem powiedzieć, że dziewczynka była przerażona, kiedy zobaczyła w gazecie zdjęcie jej męża. Mogłem powiedzieć, że dziewczynkę ścigało dwóch mężczyzn w białym SUV-ie na rosyjskich blachach.

Nie powiedziałem.

Pomyślałem, że więcej zyskam, jeśli będę udawał, że nie wiem, kim jest. Tak czy inaczej, zastanawiałem się, jak dużo wiedziała. Może nic.

– Mieszka pani we wsi? – zapytałem.

Przekrzywiła głowę i odparła:

– Przyjeżdżam tu na lato. A raczej... w tym roku przyjechałam po raz pierwszy.

– Jada pani tutaj?

Skinęła głową.

– Przyjemnie się tu siedzi i patrzy na ludzi. Kiedy człowiek zamawia rybę, jest okej, ale nie ma co oczekiwać najlepszej obsługi na świecie.

Zwróciłem uwagę, że młody kelner pomieszał zamówienia przy stolikach.

– Mieszka pan tutaj? – zapytała.

– Kawalek drogi stąd. Nazywam się Harry Svensson. – Wyciągnąłem rękę. – Prowadzę restaurację w Solviken. Już dawno nie byłem w Mölle.

– Agneta. – Jej dłoń była miękka, ale uścisk mocny. – Mam nadzieję, że obsługa w twojej restauracji jest lepsza.

– Tak, o ile to nie ja podaję do stołu.

Wybuchnęła śmiechem.

Kiedy chłopak przechodził obok, poprosiła o rachunek.

– Zanim się przysiadłeś, zamówiłam kieliszek białego wina, a dostałam czerwone. Całkiem możliwe, że ten dzieciak jest daltonistą.

Roześmialiśmy się oboje.

Zapłaciła gotówką i mimo że kelner był nierozgarnięty, dołożyła mu pięćdziesiąt koron napiwku.

Paznokcie miała pomalowane cienką warstwą czerwonego lakieru.

Wstała i się pożegnała.

– Może znów się tu spotkamy – powiedziałem.

– Możliwe – zgodziła się.

Odprowadziłem ją wzrokiem.

Pomyślałem, że chętnie kupiłbym takie szorty, gdybym miał komu.

I gdybym wiedział gdzie.

I gdyby było mnie na to stać.

Agneta Björkenstam nie weszła w ulicę koło hotelu Kullaberg, lecz skręciła w prawo przy starej remizie strażackiej i ruszyła drogą wzdłuż wybrzeża. Widocznie tamtędy też można było dojść do domu Björkenstamów.

Kiedy miałem zapłacić, zorientowałem się, że dostałem rachunek pięcioosobowej grupki, która zdążyła już wyjść.

Zrozumiałem, dlaczego się tak spieszyli.

Już nie przejeżdżałem koło domu Björkenstamów. Teraz wiedziałem, gdzie się mieści. Nawet jeśli Björkenstam był u siebie albo przed domem stał biały SUV, i tak nic by mi to nie dało. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli się nie dowiedzą, że byłem w Mölle.

Nie wiedziała, czym ją ujął.

A właściwie wiedziała, ale żałowała, że do tego doszło. Choć nie miała pewności, czy zaczęła żałować od razu, czy dopiero po wszystkim, co się stało.

Razem z Petrą i Marie trafiły do miejsca, o którym wszyscy mówili i pisali. Nazywało się Sturecompagniet, było położone przy Stureplan i dostały się tam pewnie dlatego, że dobrze wyglądały i za radą Marie nie włożyły staników.

Poza tym Marie poradziła jej, żeby rozpięła jeszcze jeden guzik bluzki.

To nie był jej świat.

Czuła się tu zagubiona, niemile widziana, nie było to przyjemne.

Nawet nie zwróciła na niego uwagi. Próbowwała wymyślić sposób, żeby wydostać się z tego miejsca, znaleźć jakąś wymówkę, wykręcić się bólem głowy lub czymkolwiek, kiedy nagle Petra się nachyliła i krzyknęła jej do ucha:

– Zobacz, jak się na ciebie gapi!

Muzyka była tak głośna, że dopiero po chwili dotarło do niej, co mówiła, ale nadal nie wiedziała, kto się na nią gapi. Zrozumiała to, dopiero kiedy barman postawił przed nią szklankę z nieokreślonym drinkiem.

– Absolut z sokiem żurawinowym, z pozdrowieniami od tamtego pana – powiedział i wskazał – musiała to przyznać – bardzo atrakcyjnego i eleganckiego mężczyznę w białej koszuli, szeroko uśmiechniętego. Kiedy spojrzała w jego stronę, mężczyzna wykonał gest, który przypominał salut, i się uśmiechnął.

Podobał jej się jego zapach, pewność siebie i to, że tak zdecydowanie objął ją w tali, kiedy podeszła, żeby z nim porozmawiać.

Jego rodzice mieszkali tylko kilka przecznic od Stureplan, niedaleko kina, które nazywało się Park. zaproponował, żeby tam poszli, zamiast siedzieć w Sturecompagniet.

Nigdy wcześniej nie była w takim dużym mieszkaniu.

– Ile tu jest pokoi? – zapytała.

– Dwanaście. Albo czternaście. W zależności od tego, jak się liczy.

– Mieszkasz tu z rodzicami?

– Tylko tymczasowo.

– Nie ma ich w domu?

– Na lato wyjeżdżają do Skanii.

Włączył muzykę klasyczną, wyjął z lodówki butelkę szampana, usiedli na wewnętrznym parapecie, szerokim jak autostrada, i patrzyli na Humlegården.

Kiedy nachylił się do niej, pozwoliła jego palcom rozpiąć bluzkę, pozwoliła jego dłoniom błądzić pod nią, jego usta szukały jej ust, czuła, że jest twardy, ale uszanował to, że po dwóch kieliszkach nieziemskiego szampana chciała jechać do domu.

Była podniecona i z pewnością mogłaby zostać.

Ale nigdy nie poznała takiego człowieka jak on, nigdy nie przebywała w takiej scenarii.

Zapłaciła za taksówkę na Huddinge. Kiedy leżała w swoim pokoju, pomieszczenie wydawało jej się pudełkiem zapalek. W mieszkaniu na Östermalmie, które niedawno opuściła, nie było żadnych plakatów boysbandów. Na ścianach wisiły zupełnie inne ozdoby: wielkie, imponujące obrazy malarzy, których pewnie powinna znać. Z drugiej strony ci z Östermalmu pewnie nie znali New Kids on the Block albo Michaela Jacksona.

Podobało jej się, że zrozumiał jej odmowę.

Następnego dnia do drzwi jej pokoju zapukała mama i powiedziała, że ma telefon.

Nie rozumiała, w jaki sposób zdobył jej numer.

– Przyślę samochód o trzeciej, czy to ci odpowiada?

Samochód był z wypożyczalni Freys. Szofer miał uniform i czapkę z daszkiem. Jej rodzice stali na schodach domu w Huddinge i patrzyli, jak odjeżdżała.

Zabrał ją do Café Opera na półmisek skorupiaków i szampana.

Tym razem na etykiecie było napisane „Veuve Cliquot”.

Tym razem zadzwoniła do mamy i powiedziała, że będzie nocowała na mieście.

Kiedy wróciłem do domu w Solviken, zadzwoniła Britt-Marie Lindström. Poradziła mi, żebym się skontaktował z Larsem Berglundem. Przez wiele lat pracował jako szef redakcji newsowej w lokalnej gazecie, ale teraz był na emeryturze.

– To jeden z tych, którzy mają wszystko w głowie, wszystkich znają i wszystko wiedzą. Na pewno pomoże, jeśli będziesz miał jakieś pytania. Nie powiedziałabym, że jest zgorzkniały, bo to nie ten typ, ale czuje się trochę zepchnięty na boczny tor i myślę,

że mu przykro, że jego umiejętności nie są już nikomu potrzebne.

– Zadzwoń do niego – obiecałem.

Lars Berglund odebrał od razu. Odniosłem wrażenie, że Britt-Marie uprzedziła go, że zadzwonię. Przedstawiłem sprawę, a on zaprosił mnie do siebie.

Upał nadal trzymał wszystkich mieszkańców kraju w rozżarzonej do czerwoności uścisku. Nawet pod parasolem w parku w Lerberget było niewiele lepiej.

Dom, w którym mieszkał były szef redakcji newsowej Lars Berglund, był starego typu. Lerberget, na południe od Höganäs, podobnie jak wiele miejscowości w północno-zachodniej Skanii dorobiło się mniej lub bardziej finezyjnych nowych budynków i mniej lub bardziej stylowych architektonicznych cudeniek, ale willa Larsa Berglunda była praktyczną, zwyczajną dwupoziomową willą ze spiczastym dachem, szczeblinowymi oknami i małym balkonem na ścianie szczytowej.

Nie miałem nic przeciwko nowym domom, lubiłem wiele z nich, podobała mi się ich otwarta architektura i okna od podłogi do sufitu, ale dom Larsa Berglunda miał już tyle lat, że przez swoją starodawną prostotę wyglądał, jakby przybył z księżycy, i wydawał się nowocześniejszy od wszystkich innych. Z modą i trendami tak już czasem bywa.

Berglund siedział na taborecie i malował płot z wąskich deseczek, których spokojnie mogło być cztery tysiące.

Farba była żółta, a on malował powoli i starannie. W ustach miał krótką fajkę.

– To trochę potrwa – powiedział, kiedy wysiadłem z samochodu i się przywitałem.
– Kiedy byłem młodszy, szło szybciej.

– W każdym razie przyjemnie pachnie – odparłem. – Świeżo skoszona trawa i świeżo malowane powierzchnie to coś naprawdę wyjątkowego.

– Pójdziemy do altany – oznajmił. – Wprawdzie nie jestem wrażliwy na ciepło, ale przy takim upale jak dzisiaj przyjemnie jest posiedzieć chwilę w cieniu.

Weszliśmy po kilku schodkach i usiedliśmy przy okrągłym ogrodowym stoliku z dziurą i parasolem pośrodku. Krzesła należały do tych porządných, bujanych, które zawsze lubiłem i pewnie były równie stare jak sam dom. Parasol był duży, ale mimo to w altanie wcale nie panował większy chłód niż w pozostałej części ogrodu.

Berglund podgrzał kilka cynamonowych bułeczek, przyniósł filiżanki, spodki, łyżeczki i termos z kawą.

Podniósł z rabatki starą puszkę po konserwie, wygrzebał ze środka fajkę z krótkim metalowym trzonkiem, odstawił puszkę, nabił fajkę nową porcją tytoniu i zapalił.

Już dawno nie widziałem nikogo palącego fajkę.

Lars Berglund był wysoki i szczupły, miał na sobie dzinsy z podwiniętymi nogawkami i kraciastą koszulę, rozpiętą pod szyją.

Choć nie to najbardziej go wyróżniało.

Lars Berglund wyglądał z twarzy jak siwa, emerytowana wersja piłkarza Henrika Larssona.

Poczułem, że się na niego gapię, to było silniejsze ode mnie.

– Nie pan jeden – powiedział, trzymając fajkę między zębami. – Skoro już jestem podobny do piłkarza, wolę, żeby to był Henrik Larsson niż ktokolwiek inny. To były

dobre czasy, kiedy grał w HIF, dobre dla Helsingborga i dla gazety.

– Mówili na pana „Henke”? – zapytałem.

– Właściwie to nie. Nie mówią na mnie też „Lasse”, a uważam się za typowego Larsa.

Powiedział, że jego żona zmarła pięć lat wcześniej na raka płuc i od tego czasu mieszka w tym domu sam.

– Ona nigdy nawet się nie zaciągnęła, a ja proszę – powiedział i pomachał fajką.

Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, ja podziękowałem.

– No więc o co chodzi? – zapytał. – Przez telefon mówił pan coś o Jacobie Björkenstamie i białym samochodzie w Mölle.

– Nie zgadza mi się pewien szczegół w historii, nad którą teraz pracuję – powiedziałem. – Chodzi między innymi właśnie o ten samochód. Rozmawiałem z dziennikarzem, który napisał o nim w gazecie. Znam go i wiem, że to kretyń, więc nie dziwi mnie, że nic nie wiedział.

– Nie zna pan Björkenstama? – zapytał Berglund.

– Wiem tylko tyle, ile wyczytałem w gazecie.

– Ja też go nie znam. A w gazecie nic nie było. To chyba żadna tajemnica, że chce zainwestować w naszą gminę, ale doszły mnie słuchy, że nie wszystko jest całkiem przejrzyste, jeśli chodzi o jego majątek. Kiedy zobaczyłem zdjęcie i tytuł artykułu, pomyślałem, że będzie właśnie o tym.

– Nie całkiem przejrzyste? To znaczy? W tekście było napisane, że to jeden z najniebezpieczniejszych milionerów w Szwecji.

Berglund ciężko westchnął i powiedział:

– Nikt nie jest zainteresowany szukaniem prawdy albo prawdziwych newsów, chodzi tylko o to, żeby zmieścić na zdjęciu jak najwięcej celebrytów.

– Co to za nie całkiem przejrzyste sprawy finansowe?

– Nie wiem. Od jednego z informatorów usłyszałem tylko, że powinniśmy sprawdzić, skąd się wzięły pieniądze Björkenstama. Oczywiście powinienem był zadzwonić do mojej dawnej redakcji i dać im cynk, ale... nie chciało mi się. Nic ich to nie obchodzi, a takie telefony od starego dziadka, który miesza się w ich sprawy, uważają za zwracanie głowy.

– Człowiek zaczyna się zastanawiać – powiedziałem. – Nic mi tu do niczego nie pasuje. Moja dobra przyjaciółka, policjantka z Malmö, zawsze powtarza, że chciałaby, żeby wszystko jej się składało do kupy, ale ja nie potrafię połączyć ze sobą tych elementów.

– Nie wiem zbyt wiele na temat Jacoba Björkenstama, właściwie nie wiem nic, ale dobrze znam jego ojca, Edwarda. Przez wszystkie lata prowadził mnóstwo ciemnych interesów, ale nikt nie mógł mu nic zrobić. Zna zbyt wielu ludzi, ma mocne kontakty w świecie polityki, bankowości, nie mówiąc już o prasie. Mam wrażenie, że balansował na cienkiej linii pomiędzy tym, co legalne, a tym, co nielegalne, ale udało mu się wyjść z tego bez szwanku.

– Czego dotyczyła wiadomość od informatora?

– Nie do końca wiem, ale informator nie chciał, żeby gmina przyjmowała pieniądze

od Björkenstama, bo gdyby to wyszło na jaw... gdyby sprawą zainteresowali się, dajmy na to, dziennikarze śledczy z programu Uppdrag granskning, wszystko trafiłby szlag.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa. W końcu Berglund powiedział:

– Może chodzi o prochy?

– O prochy? Jak to?

– Nie jestem miłośnikiem polowań, ale znam kilku myśliwych i jeden z nich powiedział mi, że w lesie, bardziej w pana okolicach, natknął się na fabrykę narkotyków.

– Co to ma wspólnego z Björkenstamami?

– Nie wiem, może nic, ale on twierdził, że fabryka mieściła się na ich terenie.

– Hm.

– Z pewnością słyszał pan o gangach motocyklowych, które toczą wojny w północno-zachodniej Skanii. Walczą głównie o narkotyki. Chyba tylko o to. W grę wchodzi tyle kasy, że głowa mała.

– Widziałem gości, którzy nazywają się Dark Knights.

– Chyba próbują zaznaczyć swoją pozycję, ale Hells Angels i Bandidos nie zamierzają zrezygnować ze swojego rewiru.

– A tak przy okazji: zna pan jakiś prywatny ośrodek albo szpital dla psychicznie chorych w okolicach Solviken?

Zastanowił się, a po chwili pokręcił głową.

– Tak z marszu nic sobie nie przypominam – odparł. – Dlaczego pan pyta?

– Na teren tego szpitala wjechało dwóch chłopaków z gangu motocyklowego. Może wszystko odbyło się zgodnie z prawem, ale czuję, że w tym też jest coś mętnego.

Zapytał, czy napiję się jeszcze kawy, ale odmówiłem.

– Kto był pańskim informatorem? Mówił pan, że ktoś z gminy.

– Nie powiedziałem tego.

Uśmiechnąłem się.

Lars Berglund też się uśmiechnął.

Siedzieliśmy tak przez jakiś czas.

Pomyślałem, że się zastanawia, czy i jak bardzo może mi ufać.

– Czy da się stąd zobaczyć statki? – zapytałem w końcu.

– Na wodach cieśniny?

– Tak.

– Z balkonu owszem.

– Publikujecie listy wszystkich statków, które przepływają przez cieśninę. Gdybym ja tu mieszkał, siedziałbym na okrągło z lornetką na pańskim balkonie. Rozumie pan, w Wielkiej Brytanii byli trainspotterzy – ludzie, którzy stali na peronach i zapisywali przyjazdy i odjazdy pociągów. Gdybym tu mieszkał, chyba zostałbym shipspotterem.

* * *

Od dwóch lat płacili podatki w Monako. Co jakiś czas mieszkali za granicą, ale chodziło o to, żeby nie rejestrować się w Szwecji. Monako było dobrą alternatywą.

Jej mąż powiedział, że ich finanse bardzo na tym skorzystają.

Nie miała nic przeciwko temu, dopóki mogli zatrzymać mieszkanie w Sztokholmie.

Ubiegłego lata jej mąż zatrudnił ochroniarzy.

Wprawdzie nazywał ich asystentami, ale naprawdę nie była głupia i rozumiała, że ci dwaj w taki czy inny sposób go chronią.

Bulwa przez ostatnie dni trzymał się w cieniu.

Miał okulary przeciwsłoneczne i nie patrzył na nią, kiedy się spotkali.

Próbował ukryć duży, szeroki, czerwony ślad, który biegł przez środek lewego policzka i kończył się na czubku jego ogolonej głowy.

Nie pytała, co się stało.

Nie była aż tak ciekawa, ale mogła się domyślić. Wydawało jej się, że wie.

Dobrze mu tak.

Lubiła Ladiego, który ubierał się skromnie, ale elegancko. Zwykle spodnie, czasem klasyczne džinsy, a często cienka skórzana marynarka albo kurtka. Traktował ją z szacunkiem, zawsze mówił do niej Missus.

Miał na imię Vladimir, ale wszyscy nazywali go Ladi. Był duży i barczysty, a dawniej pewnie też wysportowany. Kiedy w jego oczach pojawiał się gniew, wyglądał groźnie.

Za tym drugim nie przepadała. Była przekonana, że to stadionowy chuligan, bo na szyi miał wytatuowane dziwne postaci i ciągle chodził w błyszczących dresach. Nosił złoty łańcuch z symbolem, który mógł być nazistowski. Próbowała go wygooglować, ale nie znalazła niczego podobnego. Może to tylko znak jakiegoś zespołu rockowego. Kiedy nie pracował – czymkolwiek była jego praca – siedział w swoim pokoiku przy kuchni i oglądał piłkę nożną, wszystkie możliwe ligi i drużyny.

Na imię miał Fredrik, ale nikt nie mówił na niego Fredde albo Freddie. Wszyscy nazywali go Bulwa, pewnie dlatego, że był mały i pękaty.

Ladi nie pochodził ze Szwecji, ale czasami mówił po szwedzku lepiej od Bulwy.

Kiedy Bulwa był w towarzystwie Ladiego albo jej męża, zachowywał się posłusznie i pokornie. Kiedy zostawał z nią sam na sam, natychmiast robił lubieżne miny i wyglądał, jakby rozbierał ją wzrokiem.

Kiedy opalała się w bikini, nie oglądał meczów w telewizji.

Czasami go widziała, czasami nie.

Wiedziała, że patrzy, czuła, że gdzieś leży albo stoi i się na nią gapi.

Powiedziała, że nie lubi Bulwy, ale jej mąż tylko wzruszył ramionami i oznajmił:

– W dzisiejszych czasach w Szwecji trudno znaleźć odpowiednich ludzi, a ty... nie musisz przecież leżeć półnago.

Pewnego popołudnia odniosła wrażenie, że Bulwa się onanizuje, myśląc, że ona go nie widzi.

Z pewnością zasługiwał na ten czerwony ślad na twarzy, nie przejmowała się tym, ale bardzo ją interesowało, co zaszło w nocy. W pewnym momencie jej mąż nagle wstał z łóżka, a po chwili usłyszała jego głos, dobiegający z kuchni na dole. W końcu wrócił i się położył, a kiedy zapytała, co się stało, odpowiedział:

– Nic.

– Ale przecież wstałeś, rozmawiałeś z kimś.

– Kretyni – burknął. – Że też człowieka na okrągło otaczają kretyni.

Leżał jeszcze chwilę w łóżku, a potem wstał, wyciągnął pasek ze spodni, które

wisiały w szafie, i znowu zszedł po schodach.

Usłyszała trzask, jakby smagnięcie, i zduszony krzyk bólu. Po chwili jej mąż wrócił.

Rzucił pasek na oparcie krzesła.

Kiedy położył się obok niej, miał wzwód.

Uniósł jej nocną koszulę i pocałował ją w brzuch, w uda i między nogami, położył się na niej, a ona rozszerzyła nogi.

Już tak dawno tego nie robili.

Było zaskakująco przyjemnie.

Można przebywać w jakiejś okolicy przez długi czas i myśleć, że widziało się już wszystko, że zna się każdy kąt. Czasem jednak bywa tak, że nieznana, mała dróżka prowadzi do wiosek czy leżących na uboczu gospodarstw i willi, człowiek, który unika głównych dróg, trafia na żwirowe ścieżki, a leśna droga z dwiema koleinami i trawą pośrodku może go zaprowadzić dokądkolwiek.

Lars Berglund napisał mi, jak powinienem jechać, i w końcu znalazłem się na drodze porośniętej tak gęstą i wysoką trawą, że szorowała o podwozie, kiedy wrzucałem jedynkę i powoli wjeżdżałem do lasu.

Krzaki i drzewa rosły blisko drogi, uderzały o samochód, a droga w końcu zwężyła się tak mocno, że została z niej tylko wąska ścieżka, po której nie dało się już przejechać.

Pozwoliłem, żeby samochód pokonał jeszcze kilka metrów, wjechałem na wstecznym pomiędzy dwa drzewa i stanąłem.

W lesie nie było tak gorąco jak na drogach, panowały tu cisza i spokój.

Kiedy doszedłem do ścieżki, zorientowałem się, że choć nie można się tu dostać samochodem, da się przynajmniej przejechać motocyklem – wskazywały na to ślady opon.

Ścieżka gwałtownie zakręcała i prowadziła na polanę, która wyglądała jak duża sala na łonie natury. W sali, na tej polanie, stała szklarnia.

Rozejrzałem się i nadstawiłem uszu, ale nic nie widziałem ani nie słyszałem.

Podszedłem do szklarni. Była wielka jak połowa boiska piłkarskiego.

Nie miałem wątpliwości, co rośnie w środku.

Choć na drzwiach wisiała duża kłódka, a okna były zamknięte, na zewnątrz wydostawał się specyficzny zapach. Powiodłem wzrokiem wzdłuż szyb i zobaczyłem wiele, wiele rzędów charakterystycznych spiczastych liści, po pięć, sześć lub siedem na każdej łodyżce. Gdzieś roślina były tak wysokie, że napierały na dach szklarni.

– Ja cię gwizdzę – powiedziałem głośno i pomyślałem, że rosnąca tu marihuana musi być warta kilka milionów.

Z lasami tak to już było – nawet w tych jasnych, bukowych, z miękką trawą i mnóstwem białych kwiatków, towarzyszyło mi nieprzyjemne uczucie. Choć na początku ten las wydawał mi się cichy i spokojny, nagle zacząłem zwracać uwagę na trzask gałęzi, szelest liści i pohukiwanie ptaków. Nie mogę pojąć, dlaczego ptaki nigdy nie ćwierkają w lesie. Gdyby to robiły, cała koncepcja lasu bardziej by do mnie przemawiała.

Obszedłem szklarnię od tyłu i odkryłem, że jedna szyba jest stłuczona. Zacząłem odrywać kawałki szkła od futryny i w końcu otwór był na tyle duży, że mogłem się

wgramolić do środka.

Stałem pośrodku plantacji konopi indyjskich.

Roztaczał się tu ciężki i duszący zapach, jak mocne, tanie perfumy.

Albo niebiański.

Wszystko jest względne.

Wyjąłem komórkę i zrobiłem kilka zdjęć – zbliżenia roślin i zdjęcia ukazujące długie ścieżki. Wysłałem je Larsowi Berglundowi i zaproponowałem, żeby dał cynk swojej dawnej gazecie.

Ruszyłem wzdłuż rzędów roślin i zaawansowanych systemów nawadniających, a kiedy przeszedłem tam i z powrotem, nieopodal stłuczonej szyby, przez którą wszedłem, dostrzegłem coś, co wyglądało jak nagrobek.

Podrapałem go i odkryłem, że to wcale nie nagrobek, lecz coś w rodzaju pomnika, wysokiego na pół metra.

Zacząłem odgarniać ziemię i zobaczyłem coś, co uznałem za nazistowskie symbole – Krzyż Żelazny, swastykę, węża i być może portret Adolfa Hitlera – trudno było to stwierdzić, bo kamień w tym miejscu był najbardziej zerodowany. Zdrapałem jeszcze trochę ziemi, zacząłem kopać kamień i próbowałem go obłuzować, ale tkwił mocno. Udało mi się jednak usunąć tyle ziemi, że mogłem odcyfrować fragmenty wyrytych na nim szwedzkich imion i nazwisk.

An...

...ivec...

Bertil

Imię Bertil łatwo można było odczytać, ale musiałbym umyć i wyszorować kamień, żeby zobaczyć, co dokładnie jest na nim napisane. Może nawet i to by nie pomogło.

Zrobiłem kilka zdjęć kamienia, a wtedy ciszę przerwał warkot silnika.

Wydawało mi się, że to silnik motocyklowy.

Po chwili zrozumiałem, że to dwa motocykle, wjeżdżające pod górę.

Wygramoliłem się z powrotem przez to samo okno i skulony pobiegłem w kierunku przeciwnym do tego, z którego dobiegał dźwięk silników.

Zatoczyłem półkole i próbowałem się dostać do samochodu, ale spostrzegłem, że przygląda mu się dwóch młodzieńców w skórzanych kurtkach. Padłem na ziemię i wczłogałem się za kępę paproci.

W końcu mężczyźni wzruszyli ramionami i każdy poszedł w inną stronę. Jeden z nich ruszył powoli wprost na mnie, więc wczłogałem się głębiej w paprocie i przywarłem mocno do ziemi. Mogłem co prawda wstać i powiedzieć: „Cześć, chłopaki, też sobie spacerujecie?”, ale po raz kolejny miałem przeczucie, że to nie byłby dobry pomysł, i coś mi mówiło, że ci dwaj są nie tylko podejrzani, ale i niebezpieczni.

Poczułem łaskotanie na szyi.

Coś po niej łąziło.

Odkryłem, że koło mnie była nie tylko kępa paproci. Po mojej prawej stronie wznosiło się metrowej wysokości mrowisko. Małe, dziarskie robotnice wchodziły mi na ręce, za koszulę, wędrowały tam i z powrotem po policzkach i nosie, wmaszerowywały we włosy i gryzły albo sikały, czymkolwiek jest to, co robią te owady,

żeby dokuczyć człowiekowi.

Mężczyzna, który szedł w moją stronę, stanął pół metra dalej, po drugiej stronie paproci. Widziałem jego wysokie buty. Były brązowe, zniszczone i miały porządne podeszwy.

Ten, który poszedł w drugim kierunku, krzyknął:

– Widzisz kogoś?!

– Nie, nikogo tu nie ma – odparł właściciel butów.

Trzy, cztery, pięć mrówek weszło mi na usta, kilka kolejnych wierciło się w uszach. Człowiek, którego miałem przed sobą, odwrócił się i odszedł na dwa kroki.

– Ktoś spaceruje z psem – powiedział.

– Ale przecież tu nigdy nikogo nie ma – zauważył ten drugi.

– No tak, ale... A, cholera wie.

– Myślisz, że ją znaleźli?

– Nie mam pojęcia, nikogo tu nie widać, ale sprawdźmy dziś wyjątkowo dokładnie.

Przez chwilę stali obok mojego samochodu, a potem wsiedli na motory, odpalili i pojechali ścieżką wiodącą do szklarni.

Odetchnąłem z ulgą, parsknąłem i pokręciłem głową.

Podniosłem się do połowy.

Uklęknąłem.

Nie widziałem już motocykli, ale warkot silników ucichł, więc założyłem, że dojechali do szklarni.

Przemknęło mi przez głowę, że może powinienem tam pójść i udawać głupiego albo zgrywać niewiniątko, ale na ubraniu i pod nim łążyły mi setki mrówek, więc nie wyglądałoby to zbyt wiarygodnie. Pochylony prześlizgnąłem się do samochodu, ostrożnie otworzyłem drzwi i wsiałem. Włożyłem kluczyk do stacyjki i przekręciłem, ale nie uruchomiłem silnika. Wrzuciłem luz, a ponieważ auto stało na wzniesieniu, zaczęło się powoli staczać.

Dopiero kiedy dotarłem do głównej drogi, uruchomiłem silnik, włączyłem się do ruchu i wcisnąłem gaz do dechy.

Nie widziałem nikogo we wstecznym lusterku.

Na nikogo się nie natknąłem.

Po kilku kilometrach zatrzymałem się na przystanku autobusowym i wysiadłem. Zdjąłem koszulę i zacząłem wytrząsać z niej mrówki. Skakałem w miejscu, wymachiwałem rękami i próbowałem wygrzebać mrówki z miejsc, w których nie są miłymi gośćmi.

Zastanawiałem się, czy tak właśnie wygląda taniec deszczu.

Może za chwilę się rozpada.

Rolnicy mówili, że deszcz jest potrzebny.

Mówili tak zawsze.

Kiedy wyjeżdżałem od Larsa Berglunda, poszedł za mną do samochodu, a kiedy już miałem usiąść za kierownicą, wsunął mi karteczkę do kieszeni koszuli. Usiadłem pod wiatą przystanku i rozwinąłem papier. Było na nim nazwisko i numer telefonu niejakej Inger Johansson. Założyłem, że to jego informatorka. Może postanowił mi zaufać, kiedy

opowiedziałem o swoim zainteresowaniu statkami w cieśninie Öresund.

Wybrałem numer, ale połączyłem się z pocztą głosową i usłyszałem, że mogę zostawić wiadomość, a w ważnych sprawach dzwonić do siedziby gminy.

Nagrałem wiadomość i wysłałem SMS-a.

Zadzwoiłem do gminy i usłyszałem automatyczny komunikat, że osoba, z którą próbuję się połączyć, przebywa na urlopie i wróci za trzy tygodnie.

Wygooglowałem Inger Johansson. Było o niej sporo w lokalnej gazecie, przede wszystkim artykuły z okazji obchodów czterdziestolecia pracy w gminie – działo się to przed dwoma laty. Liczyła wtedy sześćdziesiąt dwa lata, dostała tort i kawę, a zdjęcie przedstawiało ją stojącą z bukietem kwiatów. Nie zdziwiło mnie, że autorką fotografii była Britt-Marie Lindström. Inger Johansson miała krótko obcięte siwe włosy i nosiła duże okrągłe okulary, które sprawiały, że jej twarz przypominała twarz sowy. Resztę zasłaniał ogromny bukiet kwiatów. W gminie zajmowała się prawie wszystkim i przed dwoma laty była kancelistką, cokolwiek to oznaczało.

Wysłałem jej maila, w którym próbowałem być jak najmniej konkretny, ale podkreśliłem, że koniecznie muszę się z nią skontaktować. Kiedy zadzwoniłem na jej komórkę, nikt nie odebrał, ale sygnał nie wskazywał na to, że jest na wakacjach za granicą, więc może dałoby się ją namierzyć. Jeszcze raz zadzwoniłem do centrali w siedzibie gminy i wywinałem numer, który wyszedł mi wcześniej przynajmniej raz. Aby się udało, mój rozmówca musiał być albo nierozgarnięty, albo pracować na zastępstwo. Telefonistka, która odebrała, sprawiała wrażenie, jakby to był jej pierwszy dzień pracy.

Powiedziałem, że Inger Johansson wygrała milion w telewizyjnej loterii, ale żeby mogła dostać pieniądze, muszę się z nią skontaktować w ciągu doby. Dodałem, że Inger – teraz już mówiłem o niej Inger – wyłączyła komórkę, aby mieć spokój w czasie wakacji, ale naprawdę mi zależy, żeby dostała te pieniądze.

Dziewczyna z centrali powiedziała, że popyta i oddzwoni.

Oddzwoniła po siedmiu minutach.

– Halo, tu Malin z gminy. Wiemy, że Inger wyjeżdża na wakacje w jakieś oddalone miejsce, gdzie nie ma telefonu, ale nie wiemy gdzie dokładnie. Jej matka przebywa w domu opieki, powinna wiedzieć, gdzie jest Inger, mogę dać panu numer telefonu.

Zadzwoiłem i zapytałem, czy mógłbym rozmawiać z Gretą Johansson. Po kilku minutach usłyszałem mocny głos i zasunąłem tę samą gadkę o milionie.

– Tak, no więc... – zaczęła kobieta.

– Tak, no więc?

– Właściwie to nie powinnam, ale... nie rozumiem, po co tak wszystko ukrywać. A poza tym mówił pan, że chodzi o milion szwedzkich koron?

– Zgadza się – odparłem.

– To dużo pieniędzy, majątek.

Za młodych lat Greta Johansson mogła to być niewyobrażalna suma, ale w dzisiejszych czasach za milion szwedzkich koron nie da się utrzymać do końca życia. O ile oczywiście nie było się Gretą Johansson. Jej zostało raczej niewiele czasu.

– Wie pan, gdzie leży Solviken? – zapytała.

- Tak.
- No to wie pan, gdzie jest Pralnia.
- Nie.
- Kobiety prały tam ubrania, dawno, jeszcze zanim nastąpiły moje czasy.
- Może pani to wyjaśnić?

Greta zaczęła wyjaśniać. Mówiła, że ma osiemdziesiąt osiem lat, ale tłumaczyła przejrzyście i zrozumiale. W końcu opisała mi drogę.

Zrozumiałem, że samochodem nie da się dojechać dokładnie pod wskazany adres. Stałem przy leśnej drodze i ruszyłem ścieżką, która biegła obok pola, przez zagajnik i opadała do wody. Jedyne zboże, które potrafię rozpoznać bez żadnych wątpliwości, jest żyto. Na tym polu żyto nie rosło, a więc musiał to być któryś z trzech pozostałych gatunków.

Po ścieżce nie szło się zbyt łatwo. Nie była dość wydeptana, a im dalej, tym więcej otoczków musiałem przeskakiwać albo omijać wielkimi krokami.

Wiedziałem, że cały pas wybrzeża po tej stronie zatoki Skälderviken składa się z kamieni i skał, więc rodziny z dziećmi wolą piaszczyste plaże w Farhult albo koło Ängelholmu.

Oprócz kamienia mamy pod dostatkiem portów, ale ten, w którym się znalazłem, widziałem po raz pierwszy. Miał najwyżej cztery – pięć metrów kwadratowych, a w małym basenie portowym kołysała się samotna łódka, otwarta i mahoniowa. W wyjątkowo dobrym stanie, wypucowana do szaleństwa, ale dało się zauważyć, że nie jest nowa.

Molo, do którego była przycumowana, mierzyło może pięć metrów długości.

W zaroślach stało coś, co wyglądało jak chatka rybacka, a z wybrukowanego płaskowyzu nad portem wyrastał niewielki dom.

Szopa i dom wybudowano z czerwonego drewna.

Wyglądały na świeżo malowane, a naroża były białe.

Pod jednym oknem na dłuższym boku i pod drugim na rogu stały skrzynki z kwiatami. Drugie okno było mniejsze, więc skrzynka mierzyła tylko połowę długości tej pierwszej.

Dach był porośnięty mchem, na małym poletku koło domu rosły marchew i ziemniaki, a między dwoma słupami obok chatki rozpięto sieć rybacką.

Zapukałem do drzwi.

Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk.

– Halo, szukam Inger Johansson – zawołałem i złożyłem dłonie w łódeczkę, próbując zajrzeć przez okno.

Na stole w kuchni stały dwa kubki z kawą, szerokie łóżko było niepościelone. Dostrzegłem kuchenkę turystyczną, jabłka w misce i...

Nie zdążyłem zobaczyć nic więcej.

Coś mocno napało na mój kark i przycisnęło mi twarz do szyby.

Usłyszałem głos:

– Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, powiedziałam.

Kobieta.

Jej głos był ostry i zdecydowany.

– Ręce nad głowę.

W szybie odbijała się lufa.

– Nie mogę podnieść rąk i jednocześnie się nie ruszać – zauważyłem.

Nacisk lufy stał się jeszcze mocniejszy.

– Próbujesz być zabawny?

Uniosłem ręce.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Nazywam się Harry Svensson – odparłem. – Szukam Inger Johansson.

Rozmawiałem z jej mamą, Gretą.

– Coś się stało mojej mamie?

To był inny głos, łagodniejszy, niespokojny. A więc dwie kobiety.

– Odwróć się, powoli.

Tym razem zdecydowany głos.

Odwróciłem się powoli z rękami nad głową.

Od razu rozpoznałem Inger Johansson, którą widziałem na zdjęciu w sieci. Kobieta ze strzelbą miała ostre rysy twarzy, krótko ostrzyżone, zupełnie siwe włosy i patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Pani mama miała dziarski głos – powiedziałem do Inger Johansson.

– Czego chcesz od Inger? – zapytała kobieta ze strzelbą. Celowała w punkt pomiędzy moimi oczami. – Nie lubimy ludzi, którzy węszą, chcemy tu mieć spokój.

– To zrozumiałe – zgodziłem się. – Ale jest pewna sprawa... – Odwróciłem się do Inger i mówiłem dalej: – Poinformowała pani gazetę o człowieku, który nazywa się Jacob Björkenstam. Wydarzyło się parę rzeczy i dlatego muszę z panią porozmawiać.

– Dlaczego pan sądzi, że będę coś o tym wiedziała?

– Zgaduję. – Natychmiast usłyszałem, jak mało przekonująco to brzmi.

– Spotkał się pan z Larsem Berglundem?

– Być może – odparłem.

– Aha, czyli wszystko panu wygadał. Nie spodziewałabym się tego po nim – mruknęła Inger Johansson. – Zawsze można mu było ufać.

Obie kobiety miały mokre włosy i szlafroki kąpielowe. Inger biały, a ta druga – granatowy.

Inger trzymała dwa ręczniki przewieszane przez ramię, a druga kobieta ścisnęła strzelbę z kolbą z jasnego drewna. Mógł to być sztucer do polowania na łosie.

– Muszę tu stać? – zapytałem. – Jeśli nie chcą panie ze mną rozmawiać, to sobie pójdę i nigdy więcej nie dam o sobie znać. Ale jeżeli wolałaby pani ze mną pomówić, pani Inger, możemy chyba usiąść?

– Nie chcę się w to mieszać – burknęła kobieta ze strzelbą.

– A pani, pani Inger? Coś jest naprawdę cholernie nie w porządku, mogę opowiedzieć o rzeczach, które... z którymi trzeba się uporać, zanim komuś stanie się krzywda.

– Opuść strzelbę, Ann-Marie – powiedziała Inger.

– Jesteś pewna?

Inger pokiwała głową. Kobieta, która nazywała się Ann-Marie, opuściła strzelbę, a ja opuściłem ręce.

Wiedziałem z gazety, że Inger Johansson ma sześćdziesiąt cztery lata. Ann-Marie wydawała się bliżej siedemdziesiątki.

Inger weszła do domu i się przebrała. Ann-Marie pogładziła ją po policzku, kiedy koło niej przechodziła. Zrozumiałem, dlaczego tak się ukrywają w porcie, o którym nikt nie wie. Kiedy zostały parą, czasy były pewnie inne niż teraz. Zresztą nie jestem nawet pewien, czy dzisiejsze czasy są, jakie są.

W końcu usiedliśmy w przyjemnym cieniu przy małym, białym ogrodowym stoliku i dowiedziałem się, że Ann-Marie nosi nazwisko Ströyer i jej rodzice są Duńczykami, ale urodziła się w Szwecji. Dawniej łowiła więcej ryb i dostarczała je do restauracji i hoteli, ale teraz łowi tylko tyle, żeby wystarczyło dla niej i dla Inger, w tygodniach, w których Inger też przebywa w domku.

– Głupio ze strony Berglunda, że o mnie opowiadał – stwierdziła Inger. – Czy to nie jest nieetyczne? Nie ma przepisu, który by zakazywał mówienia takich rzeczy?

– Nie podjął tego tematu sam z siebie, pewnie po prostu wyczuł moją desperację i uznał, że to rozmowa między kolegami – odparłem, choć sam nie wiedziałem, co mówię.

Kobiety jadły kanapki. Ann-Marie wyjęła paczkę bibulek Rizla i torebkę tytoniu z napisem „Drum”. Zrobiła skręta i zapaliła.

– To były narkotyki – odezwała się Inger.

– Jak to? – Pomyślałem, że papierosy Ann-Marie bardzo przypominają jointy, które zwykle dostawałem od Kristera Jonsona.

– Dowiedziałam się, że za inwestycjami Björkenstama w naszej gminie stoją pieniądze z handlu narkotykami.

– Pieniądze z handlu narkotykami? Myślałem, że chodzi o jakieś machlojki z rosyjską forszą. W końcu on ma styczność z oligarchami, miliardarami.

– Tak, widziałam ten program, ale ludzie tego pokroju nigdy nie potrafią się powstrzymać przed wsadzeniem palców do słoika z konfiturami. Często wsadzają całą rękę. Mogą mieć mnóstwo pieniędzy, a i tak ciągle chcą więcej i dorabiają się na nieszczęściu innych albo robią coś niezgodnego z prawem.

Myśli krążyły mi w głowie.

O czym ona mówiła?

Dokąd zmierzała ta historia?

O jaki program chodziło?

Co to miało wspólnego z dziewczynką?

– Nie widziała pani dzisiejszej gazety? – zapytałem w końcu i od razu dodałem: – Głupie pytanie, tutaj nie rozprowadzają prasy, ale może w Internecie?

– Nie mamy komputerów. Tutaj nie ma prądu – wyjaśniła Ann-Marie.

Wyjąłem telefon, żeby pokazać artykuł o plantacji konopi, ale to było na nic.

– Zasięgu też tu nie mamy – powiedziała Ann-Marie.

Zauważyłem. Zacząłem więc opowiadać o odkryciu w lesie i wspomniałem, że w sprawę może być zamieszana mała dziewczynka, ale nie wiem, w jaki sposób jedno łączy się z drugim i o co naprawdę chodzi.

– Björkenstamowie to ludzie z wyższych sfer – zaczęła Inger Johansson. – Ale nie mam szacunku do ludzi z wyższych sfer, za dużo widziałam i słyszałam. Po tylu latach pracy na rzecz gminy nic mnie już nie dziwi. Człowiek pokroju Edwarda Björkenstama bierze, co chce, to samo tyczy się tego babsztyla. Nawet w najlepszych rodzinach jest mnóstwo gówna.

Mówiła dalej:

– Rolnicy wiedzą o uprawach i niektórzy być może... być może chcą coś zrobić z tym, co ich zdaniem jest złe. Wie pan, ile narkotyków sprzedaje się pod szkołami w tej gminie? Ale większość ludzi milczy. Był pan tu ubiegłego lata?

Skinąłem głową.

– Pamięta pan rolnika, który został znaleziony martwy?

– Nie, ale za to pamiętam, że ktoś podpalił kiosk należący do imigranta.

– To inna historia. Nie pamiętam, jak się nazywał ten człowiek, ale uważam, że nie zmarł naturalną śmiercią. Policja nigdy nie wyjaśniła tej sprawy. Rozumie pan, o czym mówię? Kiedy w grę wchodzi tak duże pieniądze, ludzie stają się bezwzględni. Odkąd gangi motocyklowe zaczęły znaczyć teren, wcale się nie poprawiło.

Kiedy odjeżdżałem, wiedziałem wiele nowych rzeczy, ale niewiele mi to wyjaśniało.

Nie mogłem nawet wyczytać z nieba, czy zacznie padać, a zwykle byłem w tym dobry.

Lubiła zachody słońca. W Key West na Florydzie widziała, jak ludzie gromadzą się wieczorami, żeby zobaczyć, jak słońce znika niczym filiżanka herbaty w zlewie pełnym wody. O ile się orientowała, ten zwyczaj nie trafił do Szwecji, a w każdym razie nie do północno-zachodniej Skanii. Nie była też pewna, czy mistyka i piękno zachodów słońca są w stanie zainteresować ludzi, którzy chodzą w dresach.

Ale tego wieczoru nie zwracała uwagi na zachód słońca.

Przy jej stoliku siedział niejaki Harry Svensson, a ona zapytała, jaką ma do niej sprawę, jeżeli w ogóle jakąś. Powiedział, że już od wielu lat nie był w Mölle, ale przecież widziała, jak wjechał samochodem na dziedziniec, zawrócił i pojechał z powrotem. Może chodziło mu o to, że nie bywał w Mölle zbyt często.

A może kłamał.

Przeczytała w Internecie, że Harry Svensson to dziennikarz i że przyczynił się do zdemaskowania bandyty zwanego „klapsowym mordercą”. Umknęło jej to. Pewnie była wtedy za granicą.

Pojechała do Solviken i usiadła na molo.

Już dawno przestała jeść mięso, ale musiała przyznać, że od strony restauracyjnych grillów dobiegał bardzo przyjemny zapach.

Siedziała na ławce na samym końcu, przy wejściu do portu, pod małą mrugającą latarnią, i patrzyła na małych chłopców zeskakujących z molo. Była tam tabliczka z informacją o zakazie skoków, ale się nią nie przejmowali. Chłopcy to chłopcy, jak mawiała jej teściowa.

Była już wcześniej w Solviken, ale nigdy w porcie. Z miejsca, w którym siedziała, widziała, jak Harry Svensson chodzi między sześcioma dużymi szpulami na kable,

rozmawia z ludźmi i zajada coś z talerza. Siedziała w pewnej odległości, ale i tak słyszała muzykę – to było coś, czego nie znała, brzmiało jednocześnie jak country i rock z akordeonem.

W zasadzie nie zamierzała jechać do Solviken, ale nikt nie potrzebował jej w domu, nie chciała tam wracać.

Port w Solviken był znacznie mniejszy od tego w Mölle. Wzdłuż moła stało kilka chat rybackich, a mężczyzna na łódce, ubrany w dżinsy z obciętymi nogawkami i koszulkę z jakimś zespołem muzycznym, trzymał sieć rybacką. Kiedy przechodziła, przywitał się skinieniem głowy, a ona odpowiedziała tym samym. Na koszulce widnieli Rolling Stones, ale była tak sfatygowana, że trudno to było stwierdzić.

Weszła po schodach do restauracji. Nie wiedziała, ile osób zwykle przychodzi na grillowe wieczory Harry'ego, ale ten wieczór można było uznać za sukces, bo wszędzie był komplet. Harry ją zauważył, podszedł i przywitał:

– Co za niespodzianka. Czy mogę coś zaproponować?

– Już jadłam, ale chętnie wypiję kieliszek wina. Jeden. Prowadzę.

Kiedy sączyła zaskakująco dobre czerwone wino, mówił, co i jak grillują i że to wszystko zaczęło się pewnego wieczoru jako pijacka gadka. Nie rozumiała, jak w takim upale można chodzić w kowbojskich butach, ale... miało to swój urok.

– Lubi pani muzykę? – zapytał.

– Jak najbardziej, ale tego nie znam.

– Zgromadziłem dużo muzyki z Nowego Orleanu, a właściwie z całej Luizjany.

Właśnie tego słuchamy, wszystko zrzuciłem na iPod.

Nie spodziewałem się, że zobaczę Agnetę Björkenstam w naszej knajpie w Solviken, ale uprzejmie zamówiła kieliszek wina i przez chwilę gawędziliśmy przy szpulach w ogródku. Nosiła cienką jasną sukienkę i kardigan zarzucony na ramiona.

Nie powinienem mieć nic przeciwko rozmowie z nią, ale czułem się niezręcznie – po pierwsze dlatego, że dziewczynka, której pilnował Arne, tak bardzo się bała jej męża, a po drugie dlatego, że nie wiedziałem, ile mogę zdradzić i ile ona wie. Wiedziała, że ja to ja, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, co mnie spotkało.

Kiedy pojechała, przyszedł Simon Pender i powiedział, że to kolejna piękna kobieta, którą znam.

Wymamrotałem coś i poszedłem do domu zadzwonić do Evy Månsson. Nie dowiedziała się zbyt wiele o czymkolwiek i stwierdziła, że znalezienie właściciela białego SUV-a będzie trudne, o ile nie niemożliwe. Opowiedziałem o plantacji konopi w lesie i o spotkaniu z Inger Johansson, ale nie wspominałem o rozmowie z Agnetą Björkenstam. Nawet samemu sobie nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie dlaczego.

Zadzwoniłem do Arnego Jönssona. Akurat był w Anderslöv i kupował ubrania dla dziewczynki.

– Musiałem wyprać to, co miała na sobie.

– Zgodziła się?

– Tak.

Kiedy się położyłem, nie mogłem zasnąć.

Wziąłem prysznic, ale mimo to czułem się tak, jakby po całym ciele biegały mi

mrówki. Zapaliłem światło i sprawdziłem w łóżku, ale żadnych mrówek nie było. Doliczyłem się za to około trzydziestu małych, swędzących ugryzień na ramionach i tułowiu.

Nie wiem, czy spałem, czy tylko drzemałem, ale ze snu wyrwał mnie SMS. Zdenerwowałem się, bo właśnie przejechałem w myślach cały klasyczny skład Djurgården – z Kimem Källströmem, Andreasem Isakssonem i Johanem Elmanderem.

Kiedy sięgnąłem po komórkę, zobaczyłem, że Szczeniak prosi, bym do niego zadzwonił.

Zadzwoiłem.

– Svensson?

– Tak.

– Svensson!

– Tak.

W tle słyhać było współczesną muzykę taneczną, ludzie krzyczeli albo śpiewali, brzmiało to jak impreza, party na plaży – wydawało mi się, że w tle słyszę szum fal.

– Harry Svensson, cholera jasna, dzwonicz do mnie!

– Tak, prosiłeś mnie o to.

Krzyknął coś, czego nie usłyszałem.

– Brzmi jak impreza – stwierdziłem.

– To mało powiedziane.

Wydawał się pijany. Która godzina była w Tajlandii? Piąta, szósta rano?

– Jedna sprawa, Svensson... ŁUHUUUU...

– Co się dzieje?

– Ależ tu są laski, jedna właśnie przeszła obok.

– Po co dzwonicz?

– Zapomniałem o jednym, Svensson... Kurwa, sukienka całkiem jej prześwituje, czaisz to?

– Do rzeczy, Tim – powiedziałem.

– Pamiętasz artykuł?

– Tak.

– Artykuł to nic, był gówniany, nie ma o czym gadać, ale słuchaj... Svensson... jesteś tam?

– Tak – potwierdziłem, coraz bardziej zirytowany.

– Wieczorem w przededniu święta Midsommar zadzwonił do mnie taki jeden. Nie odebrałem, bo kto by wtedy odbierał telefon? Prawda?

– Nie – odparłem. – Do rzeczy, Tim.

– No więc tak: zadzwonił taki jeden i powiedział, że ma informacje w związku z tym artykułem.

– Rozpoznał samochód – podsunąłem. Natychmiast zacząłem być zainteresowany.

– Co?

– Samochód – powtórzyłem. – Rozpoznał samochód ze zdjęcia?

– Na zdjęciu był jakiś samochód?

– Nie, nieważne.

– No więc nie gadałem z nim, ale nagrał wiadomość i zostawił numer telefonu. Może chcesz?

– Nie zadzwoniłeś?

– Kurwa, Svensson, przecież świętowaliśmy Midsommar... Midsommar... Halo... Nie pracuję, kiedy mam wolne, a poza tym wtedy byłem w drodze do Tajlandii i nie sprawdzałem wiadomości.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Szczeniak mówił dalej:

– Możesz dostać ten numer, jeśli chcesz. Miałem wysłać SMS-a do takiej jednej laski i zobaczyłem, że mam wiadomość... Kto w dzisiejszych czasach nagrywa wiadomości?

– Daj mi ten numer – zniecierpliwiłem się wreszcie.

Odczytał numer, a ja zanotowałem go na gazecie, która leżała na podłodze obok łóżka.

Była już północ, za późno, żeby dzwonić.

Kiedy położyłem telefon na nocnym stoliku, po wyświetlaczu chodziła mrówka.

Godzinę po tym, jak zostawiła Harry'ego Svenssona w jego knajpie, wciąż siedziała w samochodzie na parkingu przy głównej drodze.

Była niespokojna... nie, to niewłaściwe słowo. Miała wrażenie – albo przecucie – że to, co do tej pory było jej życiem, ulegnie zmianie albo zniszczeniu. Nadal nie rozumiała, jakie interesy prowadzi jej mąż, ale tak szczęśliwego nie widziała go od kilku lat. Mimo to dokuczliwe, pełne niepokoju wrażenie – albo przecucie – mówiło jej, że to wszystko się skończy.

W rzeczy samej: miała tajemnice.

Gdyby zdradziła którąś z nich, wszystko natychmiast by się skończyło.

Nigdy nie pisnęła ani słowem o tym, co widziała i słyszała, ale zawsze przypominała sobie słowa nauczyciela z liceum:

„Nie ma żadnych tajemnic, wszystko w końcu wychodzi na jaw. Wszystko wychodzi na jaw”.

Myślała, że będzie mogła wykorzystać Harry'ego Svenssona.

A on nie ślinił się na widok jej piersi jak inni mężczyźni.

Nie bardzo rozumiała, dlaczego musieli się przeprowadzić. Właściwie to w ogóle tego nie rozumiała.

Jej tata nie żył, ale myślała – albo miała nadzieję – że będą mogły zostać, a mama nadal będzie sprzedawała warzywa w sklepie na terenie gospodarstwa. Ale mama powiedziała:

– Wszystko nam zabrali. Zabrali twojego tatę, a teraz zabierają jeszcze gospodarstwo.

Zapytała kto, ale mama tylko pokręciła głową.

Przeprowadziły się do domu wielorodzinnego pod Jonstorp.

Ich mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, a na parterze mieszkał miły wujek. Mama nie mogła znaleźć pracy, latem imiała się różnych prac dorywczych przy zbieraniu jagód i warzyw.

Ona zaczęła wędrować: miała swoje długie ścieżki, którymi szła i szła. Kiedyś

doszła aż do gospodarstwa, w którym kiedyś mieszkały. Wyglądało jak wtedy, kiedy je opuściły – nadal było otoczone żółtą taśmą, którą rozpięła tam policja.

Czasami mama schodziła do milego wujka, który zapraszał ją na wódkę. Wujek pił.

Mamie zdarzało się zaspać, a wtedy ona musiała się zajmować i mamą, i sobą.

Dopiero kiedy nadszedł rok szkolny, zaczęła rozmawiać z kimś oprócz mamy.

Od śmierci taty milczała.

Zaraz po obudzeniu zadzwoniłem pod numer, który dostałem od Szczeniaka. Numer do człowieka, który miał informacje o zdjęciu Jacoba Björkenstama w gazecie.

Rozbrzmiało tyle sygnałów, że już miałem się rozłączyć, kiedy usłyszałem chrapliwe przekleństwo.

– Czego, kurwa?

– Halo? – powiedziałem.

– Jakie, kurwa, halo?

W tle słychać było szczekanie psów, chyba dużych.

– Zamknij mordę! – wrzasnął mężczyzna.

– Nic nie mówiłem – odparłem.

– To było do psa.

Odchrząknął. Rozległ się odgłos, jakby splunął.

– A kim pan, kurwa, jesteś? – zapytał.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że dzwonię, bo miał informacje o zdjęciu, które widział w gazecie.

– I teraz pan dzwonicz?

– Dostałem pański numer wczoraj późnym wieczorem.

– Co wy tam, kurwa, robicie, dzwoniłem przecież tydzień temu. Więcej niż tydzień.

Ale zaraz... to nie pan.

– To ja.

– Nie. Pan to nie on.

– Jak to?

– Nie ten drugi, do którego dzwoniłem.

– Dostał inne zlecenie, więc dał mi numer.

Mężczyzna jeszcze raz krzyknął: „Zamknij mordę!”, ale to najwyraźniej nie pomogło. Psy czekały ile sił.

– Może pan... może pan zadzwonić za godzinę? Pański telefon mnie obudził i psy zaczęły szczekać.

– Za godzinę?

– Za godzinę.

– Jak się pan nazywa?

Nie usłyszałem odpowiedzi, mężczyzna się rozłączył.

Chciałem zabić czas, więc zrobiłem sobie kawę i znów usiadłem przy komputerze. Zacząłem szukać kolejnych informacji o Jacobie Björkenstamie. Zrozumiałem, że robił interesy ze Wschodem, ale nadal nie wiedziałem jakie. Przejrzałem artykuł w „New York Timesie”, w którym pojawiała się wzmianka o Björkenstamie. Tekst był o tym, jak Stany Zjednoczone chcą zamrozić zdobyty na Zachodzie majątek rosyjskiego biznesmena. Nazwisko Björkenstama było jednym z ośmiu, wszyscy pozostali pochodzili z Rosji albo Ukrainy i byli podejrzani o korupcję i wyprowadzenie pieniędzy, które należały do Rosji albo do Rosjan – nie do końca rozumiałem napisany po angielsku artykuł.

Ale co to miało wspólnego z dziewczynką?

Miałem kilka różnych tropów, ale nie odkryłem nic, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego dziewczynka tak się bała Björkenstama.

Dlaczego zareagowała tak silnie, kiedy zobaczyła go na zdjęciu?

Nie czekałem godziny, już po czterdziestu pięciu minutach znowu wybrałem numer. Tym razem facet odebrał od razu. Chyba był zdyszany.

– Wyszedłem na spacer z psami, nie mogę teraz rozmawiać.

– A kiedy?

– Za chwilę.

– Gdzie pan jest? Możemy się spotkać?

– Mieszkam w Helsingborgu.

– Jak się pan nazywa?

– Oskar.

– Oskar, a dalej?

– Helander. Oskar Helander.

– Mogę być w Helsingborgu za czterdzieści pięć minut, ale chcę wiedzieć, o co chodzi.

– Okej, kawałek dalej jest ławka. Mogę na niej usiąść i spuścić psy, muszą się wybiegać.

Usłyszałem kroki i dyszenie psów.

– No dobra – powiedział.

– Dlaczego zadzwonił pan do Tima, dziennikarza?

– Bo go rozpoznałem.

– Kogo?

– Gościa na zdjęciu.

– Björkenstama?

– Tak.

– Zna go pan?

– Nie, nie... Nie bardzo, ale... wiem o nim jedną rzecz. Myślałem, że może dostanę za to jakieś pieniądze.

– Nie od lokalnej gazety, jutro może jej już nie być. Nawet duże tytuły nie mogą sobie pozwolić na wyłożenie znacznej sumy za informację. Ale co pan wie?

– On jest mordercą.

– Kto?

– A może tym, no, jak to się mówi... Zabójcą?

– Björkenstam?

– Tak.

– Jak to?

– To było dawno, w knajpie w Båstad rozpętała się bójka jak skurczybyk – na piętnastu – dwudziestu chłopów. Może pan to sobie sprawdzić. W tej bójce zginął jeden z moich kumpli. Dużo o tym wtedy pisali. Dostał kopniaka w głowę, nigdy się nie wyjaśniło, kto go zabił, nikt nie sypanął. Nikt z nas, bo nie należeliśmy do aniołków, i nikt z jego cholernego gangu z wyższych sfer, bo byli ponad to.

– Kiedy to się stało?
– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku.
– I mówi pan, że Björkenstam był w to zamieszany?
– To on kopnął mojego kumpla w głowę. Kumpel od tego umarł.
– A pan nic nie powiedział.
– Człowiek wypiera takie rzeczy. Potem zobaczyłem w gazecie, że ten gnój został multimilionerem, a ja jestem na rencie jak jakiś cholerny nieudacznik. Ale ten drugi facet z gazety nie oddzwonił.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co mówiłem wcześniej o Szczeniaku, ale teraz odparłem:

– Zachorował.
– Muszę załatwić kilka spraw, ale jeśli pan chce, możemy się spotkać na lanczu.
– Dobrze, ale czy ma pan jakieś dowody?
– Mam siebie i swoją pamięć. I kilka wycinków.
– Proszę wziąć wszystko, co pan ma.
– Okej.

Dostałem adres kawiarni w pobliżu jego domu i umówiliśmy się na dwunastą. Zanim się rozłączyliśmy, Oskar Helander powiedział jeszcze jedno:

– A tak w ogóle to z nim rozmawiałem. Jego głos brzmiał podobnie jak wtedy. Powiedziałem, że nadszedł payback time. Tak chyba mówią?

– Kto?

Nie usłyszał mojego pytania, krzyczał na psy.

– Z kim pan rozmawiał? Z Björkenstamem?

Rozłączył się.

Co to miało być?

Poczułem charakterystyczne mrowienie w całym ciele, które zawsze mi towarzyszyło, kiedy wpadałem na trop dobrego tematu. Kiedy czułem, że szykuje się coś wielkiego, i już widziałem przed sobą nagłówki, pierwsze strony i rozkładowki gazet.

Co on powiedział?

Czyżby rozmawiał z Jacobem Björkenstamem, czyżby się skontaktował z „najnieodstępniejszym” człowiekiem w Szwecji?

Co on takiego powiedział?

Nie miała nic przeciwko temu, że jej mąż wyjechał. To znaczyło tylko, że miała więcej czasu na to, żeby bez przeszkód śledzić przepływ pieniędzy.

Wydawało się, że teść i teściowa maczali palce we wszystkim, co przynosiło zyski: posiadłościach w Sztokholmie i Londynie, zakładach przemysłowych, rolnictwie, hotelach, artykułach spożywczych i centrach handlowych.

W taki czy inny sposób była częścią imperium.

Wiedziała, że prowadzenie dużych przedsiębiorstw przez kobiety nie należy już do rzadkości. Dlatego nie pojmowała, czemu w jej rodzinie zawsze się mówiło, że kobiety nie nadają się do interesów. Chociażby jej własna teściowa była wyjątkowo czynna w biznesie. Czasami odnosiło się wrażenie, że to teściowa wszystkim steruje.

Co dziwne, ani jej mąż, ani jego rodzice nie wymagali spisania intercyzy. Nieraz

myślała, że to dlatego, że uważali ją za zbyt głupią, aby potrafiła zrobić użytek z rodzinnego majątku, ale najprawdopodobniej chodziło o to, że w tych kręgach, w tej rodzinie, słowo „rozwód” nie istniało.

Trzeba wytrzymać.

Odwrócić głowę.

Pozwalać, żeby chłopcy byli sobą.

Zawsze tak było i na zawsze miało tak pozostać.

Nie miała już tylu przyjaciółek, co wcześniej. Nowe, które pojawiły się w pakiecie z małżeństwem, używały zdrobnień, takich jak Muffan, Trillis, Pysse i Pirran. Pochodziły z zupełnie innego świata niż ona i często jak gdyby nigdy nic gadały o Madde, Carlu-Phillipie i Victorii.

Tam, gdzie dorastała, rodzina królewska nie miała najwyższych notowań.

Nowe koleżanki były siostrami albo żonami kolegów jej męża. Natychmiast nazwały ją Aggis.

W dawnym gronie mówiono na nią Neta. Ale Aggis było przynajmniej lepsze niż Muffan i Pirran, które brzmiały bardziej jak przezwiska niż jak zdrobnienia.

To Pysse powiedziała, że Jacob ją zdradza.

Pysse była postawną kobietą i miała podłużną twarz o mocnych rysach, która upodabniała ją do konia. Oznajmiła:

– Nie przejmuj się tym, co mówią ludzie. Nikt nie jest doskonały, ani ty, ani ja. Może nie jesteśmy niewierne i nie zachowujemy się jak mężczyźni, ale też mamy wady i niedoskonałości, a kto powiedział, że one nie są równie poważne?

Nie wiedziała, o jakie wady i niedoskonałości jej chodziło.

Spotykały się rzadko, prawie wcale, ale wtedy Pysse zaproponowała lancz w Riche przy Birger Jarlsgatan w Sztokholmie. Z czasem nabrała przekonania, że Pysse zrobiła to tylko po to, żeby powiedzieć o zdradzie i żeby jej złośliwość i radość z cudzego nieszczęścia znalazły pełne ujście.

Kiedy następnego wieczoru powtórzyła mężowi, co usłyszała, odparł:

– Ta baba gada, co jej ślina na język przyniesie. Naprawdę tego słuchasz?

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, ale kiedy się zwierzyła swojej dawnej przyjaciółce Petrze, usłyszała:

– Boże kochany, przecież ty masz wszystko, o czym kiedykolwiek marzyliśmy. Co to zmienia, jeśli twojemu mężowi przydarzył się skok w bok?

Może i nic.

Zresztą nie chodziło o to.

Nie potrafiła nazwać tego czegoś, co nie dawało jej spokoju.

Może Petra i ona nie marzyły o tym samym.

Sama już nie wiedziała.

Z czasem zupełnie straciła kontakt z Petrą i Marie. Petra nadal mieszkała w Huddinge z mężem stolarzem. Miała troje dzieci: dwóch chłopców i dziewczynkę, pisała o tym na pocztówce, którą przysłała jak co roku na Boże Narodzenie.

Mąż Marie wyrzucił ją z domu, kiedy zaczęła się spotykać z dwudziestodwulatkiem. Mieszkała w jednopokojowym mieszkaniu na przedmieściach,

tak daleko na północ od Sztokholmu, że trzeba było tam dojeżdżać pociągiem dalekobieżnym. Petra wyznała w tajemnicy, że Marie ma problem alkoholowy.

Jej teść często mówił, jak ważna jest praca i to, żeby inwestować w siebie, ale praca jej ojca hydraulika chyba nie była równie wiele warta, choć nieraz robił bokami, żeby do czegoś dojść i utrzymać rodzinę. Choć ojciec nawet się nie zbliżył do majątku, którym dysponowała jej nowa rodzina, też dorobił się kilku milionów, choć oczywiście jedne pieniądze nie równają się drugim.

Przy tych nielicznych okazjach, kiedy się spotykali na rodzinnych kolacjach, jej rodzice nie siedzieli przy tym samym stole co Björkenstamowie, a kiedy teściowa witała się z jej rodzicami, patrzyła w inną stronę. Może dlatego, że jej rodzice nie opanowali sztuki całowania w policzek.

Od początku nie układało się jak powinno.

A jednak wciąż tu była.

Co innego mogła zrobić? Nadeszła dopiero pora lanczu, ale zeszła do kuchni i naląła sobie kieliszek różowego wina.

Trochę ochłody zawsze się przyda.

Kawiarnia, w której miałem się spotkać z Oskarem Helanderem, była położona przy małym placu, który wyglądał jak klasyczny element szwedzkiego przedmieścia. Dysponowali imponującym wyborem wszelkiego rodzaju chlebów, ciast, ciasteczek i kanapek. Na rogu znajdował się mały sklepik ICA, który chyba specjalizował się w grach, zakładach sportowych i wyścigach konnych zamiast w sprzedaży artykułów spożywczych. Apteka była już zamknięta, a biblioteka nieczynna. Przed zakładem fryzjerskim stał samotny mężczyzna i palił papierosa. Miał na sobie koszulę, a z kieszeni na piersi wystawały mu nożyczki. Na witrynie zakładu widniał szyld „Salon Siggego”, ale mężczyzna nie wyglądał na Szweda.

Kawiarnia była kiedyś placówką pocztową, ale przesyłkami już od dawna zajmował się sklep ICA. Powiedziała mi o tym kobieta za barem, kiedy przy zamawianiu kawy stwierdziłem, że lokal wygląda trochę dziwnie jak na kawiarnię.

Było już piętnaście po dwunastej, ale Oskar Helander się nie pojawiał.

Wyszedłem i usiadłem na ławce. Miejsce koło mnie zajął mężczyzna, który wyglądał, jakby pochodził ze Środkowego Wschodu.

Skinął głową.

Przywitałem się.

Powiedziałem coś na temat upału i udałem, że ocieram pot z czoła.

Do sklepu ICA weszły dwie kobiety. Po dziesięciu minutach wyszły i porównywały kupony z wynikami wyścigów konnych, obstawionymi metodą chybił trafił.

Trzy dziewczyny w wieku około piętnastu lat zaczęły występować przed nieczynną biblioteką. Jedna grała na gitarze, druga na flecie poprzecznym, a trzecia – jednocześnie wokalistka – na tamburynie. Według małej, napisanej odręcznie kartki był to projekt służący aktywizacji młodzieży w czasie wakacji. Nie mam pojęcia, skąd znały piosenkę *Himlen runt hörnet* – były o wiele za młode. Na pewno nauczyły się jej w szkole. Musiały walczyć, żeby dać sobie z nią radę. Dopiero po minucie rozpoznałem, co to za utwór,

i po prostu nie dałem rady słuchać tej masakry.

Wciąż było nieznośnie duszno, a kiedy wstałem, żeby wrócić do kawiarni i kupić jeszcze jedną kawę, nad Helsingborgiem wisiały ciężkie chmury.

Zrozumiałem, że Oskar Helander się nie pojawi, więc wsiadłem do samochodu, wpisałem adres w GPS, przejechałem pięćset metrów i znalazłem się na osiedlu Helandera. Zostawiłem auto na parkingu i ruszyłem w stronę budynku, w którym mieszkał. Niezbyt często bywałem w Helsingborgu i nigdy jeszcze nie byłem na tym osiedlu. Dwupiętrowe domy z galeriami przeplatały się tu z wieżowcami, altanami śmietnikowymi i trawnikami.

Spotkałem cztery kobiety w ubiorach do ziemi, dwie z nich miały zasłonięte twarze. Taki strój nazywa się chyba nikab i działa jak czerwona płachta na wszystkich, którzy nienawidzą muzułmanów. Jednak żaden ze strojów nie był czerwony – trzy były czarne, a jeden biały. Wszystkie cztery kobiety prowadziły spacerówki z dziećmi. Kilku chłopców grało w piłkę na trawniku, dwóch miało koszulki Barcelony. Na jednej widniał napis „Ibrahimovic”, na drugiej „Messi”.

Domy wyglądały na wybudowane w latach sześćdziesiątych i chyba kiedyś były eleganckie, ale czas i zaniedbanie zrobiły swoje. Nie wiedziałem, kto włączył muzykę, ale z któregoś mieszkania albo balkonu dobiegały głośne dźwięki piosenki Lassego Stefana.

Winda w domu Oskara Helandera była zapuszczona, na jednej ze ścian ktoś wydrapał swastykę. Lustro było stłuczone. Ktoś próbował zdrapać naklejkę Partii Szwedów, ale i tak dało się odczytać, co było na niej napisane – że imigranci powinni się wynosić z kraju. Już kiedy wsiadałem do windy na parterze, słyszałem szczekanie psa. Odgłos przybrał na sile, kiedy winda zatrzymała się z szarpnięciem, tak silnym, że poczułem, jakbym doznał urazu kręgów szyjnych.

Nie dała rady dojechać do końca, więc musiałem zaprzeć się ramieniem, żeby otworzyć drzwi, a potem podniosłem nogę na kilkadziesiąt centymetrów. Kiedy już wygramoliłem się na galerię, zacząłem sprawdzać nazwiska na drzwiach.

Na trzecich zobaczyłem wizytówkę z napisem „Helander”.

To zza tych drzwi dobiegało szczekanie.

Kiedy mijałem dwa pierwsze mieszkania, zajrzałem do środka i zobaczyłem kuchnię, gabinet i sypialnię, ale w trzecim żaluzje były zaciągnięte.

Zadzwoiłem do drzwi.

Ze środka dobiegały takie dźwięki, jakby psy wchodziły jeden na drugiego.

Nikt nie otwierał.

Zapukałem w szybę.

Chyba nie powinienem był tego robić. Jeden z psów musiał się wdrapać na stół, bo skoczył na szybę i zaczął ją wściekle drapać pazurami. Uznałem, że stoję przed kuchnią Oskara Helandera. Widziałem dwa poprzednie mieszkania i wyglądało na to, że układ jest taki sam we wszystkich.

Szczekanie wściekłych bądź przerażonych psów przybrało na sile, brzmiało tak, jakby dzieliła nas tylko jedna żaluzja albo szyba.

Zajrzałem przez szczelinę na listy w drzwiach.

Nic nie zobaczyłem.

Kiedy wyprostowałem plecy, otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania.

Stała tam nieduża, zadbana kobieta w spodniach do kolan i cienkiej bluzce w kwiaty. Na szyi miała sznurek, na którym wisiały okulary do czytania.

– Dzień dobry, wie pani może, czy ktoś jest w domu? – zapytałem, wskazując drzwi mieszkania Oskara Helandera.

– Pan jest dozorcą? Dzwoniliśmy ze zgłoszeniem. Te psy nigdy tak długo nie czekały.

Pokiwałem głową i zastanawiałem się, co robić.

– Nie widziałam pana wcześniej, ale cały czas przychodzą nowi – stwierdziła kobieta. – Kiedyś znałam wszystkich dozorców.

– Psy zwykle się tak nie zachowują? – zapytałem.

– To pitbule, ale ja się nie boję, są bardzo miłe – odparła kobieta.

– A ten człowiek? Właściciel?

– Dzisiaj go nie widziałam, ale kiedy opuszcza mieszkanie, nie przechodzi pod moimi oknami, więc nie mam go na oku tak jak tych, którzy mieszkają po drugiej stronie.

Wskazała koniec galerii. Stały tam stolik kempingowy, dwa rozkładane krzesła i kilka roślin w doniczkach.

– Na całym piętrze prawie nikogo nie ma – wyjaśniła kobieta. – Ci najdalej pojechali na wczasy, ich sąsiedzi są w Grecji, obok mieszka Mohammed z żoną, potem ja, a dalej Oskar – to ten od psów. Nie bardzo wiem, gdzie są jego sąsiedzi, zwykle wyjeżdżają do Kanady i nie ma ich przez kilka tygodni. Wydaje mi się, że pochodzą z Libanu. Przy windzie mieszkają starsi państwo, ale są na wycieczce. Dzisiaj zabrały ich wnuki. Wybierali się do Falsterbo. Ta kobieta, lokatorka, stamtąd pochodzi.

W drzwiach był zamek zapadkowo-zasuwkowy, ale w szczelinie nie widziałem rygła, więc jeśli go nie zamknięto, to może zwykły zamek też był otwarty.

– Chyba tam wejść – powiedziałem. – Psy nie mogą się tak zachowywać.

– Pan jest z zarządu?

Wyjąłem prawo jazdy i machnąłem nim tak szybko, żeby nie zdążyła zobaczyć, co to jest.

– Trzeba się upewniać – oznajmiła kobieta. – Dużo się teraz czyta w gazetach o próbach oszukania starych ludzi.

– To prawda – odparłem. – Ostrożności nigdy za wiele.

– Ma pan główny klucz? – zapytała.

Wyciągnąłem swoje własne klucze i trzymając je na wysokości zamka, nacisnąłem klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Pokiwałem kobiecie, wszedłem do mieszkania i zamknąłem za sobą drzwi.

Psy były zamknięte w kuchni.

Kiedy mnie usłyszały, rzuciły się na drzwi, przynajmniej jeden zaczął gorączkowo w nie drapać.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i odkryłem, że Oskar Helander mieszka w małym dwupokojowym mieszkaniu. Śmierdziało dymem.

Odkryłem również człowieka, który, jak sądziłem, był Oskarem Helanderem.
Leżał na podłodze i patrzył w sufit.

Niewidzącym wzrokiem.

Nie musiałem się nachylać ani go dotykać, żeby zrozumieć, że nie żyje.

Miał małą dziurkę w czole, między oczami.

Dziurka wyglądała na czystą i suchą, ale głowa, ramiona i plecy były skąpane w kałuży krwi.

Moja pierwsza myśl brzmiała: muszę wytrzeć kłamkę.

Tylko kłamki dotykałem.

Rozejrzałem się.

Mieszkanie było oszczędnie umeblowane. W dużym pokoju i sypialni zaciągnięto żaluzje. Zobaczyłem kanapę i fotel. Gigantyczny płaski telewizor i jeszcze większą flagę Helsingborg IF, przyczepioną do ściany. W doniczce na parapecie stał suchy kaktus, a popielniczka na stoliku koło kanapy była pełna niedopałków. Obok leżała paczka Marlboro z napisem: „Palenie zabija”. Ale to nie palenie wykończyło Oskara Helandera.

Nie miałem odwagi otworzyć drzwi do kuchni.

Sąsiadka mówiła, że psy są miłe, ale kiedy tam stałem, wcale się takie nie wydawały. Skakały ciężko na drzwi, czekały, warczały i wyły jak opętane. Rozumiałem je. Ich pan nie żył, został zastrzelony i z pewnością czuły zapach krwi. Kobieta mówiła, że to pitbule – wymówiła tę nazwę „piiiitbule” – a przed psami tej rasy należy czuć respekt. Atletyczny pitbul może być trzydziestokilogramową bestią i nawet jeśli drzwi otwierały się do wewnątrz, miałem wrażenie, że psy są w stanie je otworzyć swoim ciężarem i desperacją.

W sypialni stała komoda. Włożyłem na rękę swoją czapkę z daszkiem i wysunąłem wszystkie cztery szuflady.

Znalazłem tylko bieliznę, kilka koszulek oraz trzy i pół kartonu papierosów Marlboro.

Oskar Helander wiódł spartańskie życie.

Może dawał wszystko psom.

W łazience były mydło, maszynka do golenia, pasta do zębów i dwa kondomy.

Gdzie on miał telefon?

Jeśli policja go znajdzie, zobaczy też mój numer. Dowiedzą się, że dzwoniłem.

Przykucnąłem obok Helandera. Miał na sobie tanie dżinsy, adidas, rozpiętą pod szyją pasiastą koszulę z krótkimi rękawami, a pod nią czarną koszulkę Iron Maiden.

Nieprzyjemnie pachniał.

W chwili śmierci wyglądał na zdziwionego albo przestraszonego – trudno stwierdzić. Nie miał nic w kieszonce koszuli i przednich kieszeniach dżinsów.

Spróbowałem go odwrócić, nadal używając czapki jako osłony.

Smród zrobił się jeszcze gorszy.

Krew plaskała pod jego karkiem, kleiła się pod biodrami.

W prawej tylnej kieszeni wyczułem portfel. Kiedy odwróciłem i uniosłem ciężkie zwłoki, w lewej kieszeni znalazłem telefon.

Wziąłem jedno i drugie.

Wytarłem klamkę po wewnętrznej stronie drzwi i wyszedłem na galerię.

Kobieta nadal stała przed drzwiami swojego mieszkania.

– Coś się stało? – zapytała.

Zamknąłem drzwi i wytarłem klamkę.

– Myślę, że powinna pani zadzwonić na policję – powiedziałem.

– Na policję? Dlaczego? – Kobieta wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie odważę się otworzyć drzwi kuchni, w której są te psy. To robota dla policji – odparłem.

– Myśli pan, że powinnam zadzwonić?

– Tak, proszę wybrać sto dwanaście i powiedzieć, że dwa wściekłe psy terroryzują cały budynek, że się boicie i nikt nie ma odwagi wyjść z domu.

– Ja się ich nie boję.

– Dobrze, rozumiem, ale proszę tego nie mówić.

Drgnąłem, kiedy jeden z psów skoczył do okna, listwa zatrzeszczała, a na szybie pojawiło się pęknięcie.

– Pan nie może zadzwonić? Musi pan już iść? – zapytała kobieta.

– Tak, muszę teraz jechać gdzie indziej. Zalało piwnicę. Proszę zadzwonić pod sto dwanaście i powiedzieć, że to kwestia życia i śmierci.

W tej samej chwili szyba za mną rozbiła się w drobny mak, a tuż koło mojej głowy wyskoczył pies w chmurze szklanych odłamków i kawałków żaluzji. Uderzył o skrzynkę z kwiatami, która stała na balustradzie galerii, i przeleciał nad krawędzią. Warczenie przeszło w udręczone skamlenie.

Rozległ się ciężki odgłos uderzenia i zapadła cisza.

Pies, który wyskoczył, miał ciemne umaszczenie. Ten, który został w mieszkaniu, był biały albo przynajmniej jasny. Nie przyjrzałem się dokładnie, bo stał na tylnych łapach i szczełał tak zapamiętale, że z pyska wylatywały mu drobinki śliny. Próbował podskoczyć i mnie ugryźć, wiedziałem, że to tylko kwestia sekund, zanim wejdzie na stół, a stamtąd mógł się wydostać tak łatwo jak pierwszy pies.

– Niech pani dzwoni, do cholery! – wrzasnąłem do kobiety.

Skinęła głową, wbiegła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Koło otworu na listy widniał napis: „Evy Karlsson”.

Zrezygnowałem z windy i zacząłem zbiegać po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz.

Pies, który wyskoczył, leżał na ziemi.

Po upadku z drugiego piętra był równie martwy jak jego pan.

Chyba złamał kark.

Głowa i jedna z przednich łap przebiły się przez to, co jeszcze niedawno było żaluzją – pies wyglądał, jakby nosił jakąś dziwną sukienkę. Język wystawał mu z pyska, a przednia prawa łapa chyba była złamana.

Postanowiłem nie wracać drogą, którą przyszedłem. Przystąpiłem martwego psa, obszedłem budynek i ruszyłem na parking tylnym przejściem koło ogródków działkowych. Nikt mnie nie widział. Siedziałem potem spokojnie w samochodzie, patrząc, jak policjanci otwierają furtkę, za którą pomiędzy trawnikami biegła ścieżka,

po czym powoli i ostrożnie wjeżdżają do środka i kierują się w stronę domu, w którym mieszkał Oskar Helander. Policjantka i policjant. Ona siedziała za kierownicą, on otwierał furtkę. Chłopcy, którzy wcześniej grali w piłkę, teraz stali przy ścieżce i odprowadzali radiowóz wzrokiem. Jeden z nich odbijał piłkę. Niebo było ciemne, od strony Danii błysnęło.

Pierwszy radiowóz pojawił się po dwudziestu czterech minutach, a po kolejnych siedemnastu przyjechały jeszcze dwa. Migwały światłami, ale syreny były wyłączone.

Odpaliłem samochód i odjechałem.

Oskarowi Helanderowi nie były potrzebne żadne syreny. Jego psu też nie.

Pojechałem do kawiarni o nazwie Koppi, położonej w sąsiedztwie czegoś, co nazywa się Kärnan i prawdopodobnie jest pozostałością po zamku.

Zamówiłem *cowboy latte* – głównie ze względu na nazwę – i kanapkę. Usiadłem przy jednym z dużych okien, zadzwoniłem do Arnego i opowiedziałem mu, co się stało.

Jego pytanie było oczywiste:

– Czy to ma coś wspólnego z dziewczynką?

– Nie wiem – odparłem.

– A jeżeli ma, to w jaki sposób te sprawy się łączą?

– Tego też nie wiem. Jak ona się czuje?

– Dobrze. Oglądamy telewizję i słuchamy muzyki, nie możemy narzekać.

– Jeszcze jedno. Oskar Helander, ten, który nie żyje, zareagował tak samo jak ona, kiedy zobaczył zdjęcie Jacoba Björkenstama w gazecie. Zadzwonił do autora artykułu, ale ten nie oddzwonił. I nikt się z nim nie kontaktował. Dopiero ja to zrobiłem dziś rano.

– Na razie nadażam – wtrącił Arne.

– Powiedział, że podczas barowej bójki Björkenstam skopał człowieka na śmierć, ale nie poniósł za to żadnej odpowiedzialności. Poza tym Helander niedawno rozmawiał z Björkenstamem. Powiedział, że jego głos brzmiał podobnie jak wtedy.

– Przynajmniej miał numer, działał więcej niż ty.

Skrzywiłem się do słuchawki i mówiłem dalej:

– Powiedział też, że nadszedł *payback time* i że potrzebuje pieniędzy, ale się nie pojawił, a później sam wiesz, co się stało. Leżał martwy z dziurą w czole, a ten cholerny kundel wyskoczył przez okno.

– Nadal nie wiem, co to ma wspólnego z dziewczynką – zauważył Arne.

– Ja też nie.

– Rozmawiałaś z Evą?

– Tak mocno siedzi w przestępczości gospodarczej, że nie może poświęcić temu tyle czasu, ile by chciała, ale nie znalazła nic na temat Jacoba Björkenstama, a to oznacza, że nie został zatrzymany ani o nic oskarżony.

Poprosiłem Arnego, żeby pozdrowił dziewczynkę.

– Ogląda dokument o orkach.

Przez pośpiech i podekscytowanie nie otworzyłem portfela Helandera, ale teraz leżał przede mną, obok filiżanki *cowboy latte*. Był wykonany z brązowej imitacji skóry i wyglądał na używany już od dłuższego czasu. W małej kieszonce z łańcuszkiem były dwadzieścia dwie korony w monetach, a w innej znalazłem kartę bankomatową,

obciążeniową i kredytową. Prawo jazdy pozwalało stwierdzić, że w chwili śmierci miał czterdzieści siedem lat.

Oprócz tego w portfelu było pięć tysięcy sto koron w banknotach pięćsetkoronowych i jednej setce.

Dużo pieniędzy jak na kogoś, kto przez telefon przedstawiał się jako rencista i „cholerny nieudacznik”. Dlatego portfel był taki gruby. Zabrałem jego komórkę, żeby nikt nie zobaczył, że do niego dzwoniłem, ale dopiero teraz dotarło do mnie, że powinienem sprawdzić, czy jest zablokowana.

Była.

„Podaj hasło” – brzmiał komunikat.

Nie miałem pojęcia, jaki kod mógł ustawić Oskar Helander i jakie kombinacje powinienem sprawdzić, ale pomyślałem, że wiele osób ustawia jako kod cztery ostatnie cyfry numeru PESEL. Wyjąłem z jego portfela prawo jazdy i wpisałem cztery ostatnie cyfry.

Ekran zadrżał i znów pojawił się komunikat „Podaj hasło”.

Gdybym mógł się dostać do telefonu, być może znalazłbym tam numer Jacoba Björkenstama. Nawet jeśli nic mi to nie da, przynajmniej zatriumfuję nad Arnem, pomyślałem.

Telefon był najnowszym modelem smartfona. Miękka osłona wydawała się nierówna z tyłu. Kiedy ją zdjąłem, ze środka wypadł mały ząbkowany kluczyk. Wyglądał, jakby pasował do kłódki albo skrytki bagażowej. W kieszeniach Helandera nie znalazłem żadnych kluczy do mieszkania, ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że na jednym z haczyków pod półką na kapelusze wisiał chyba pęk kluczy.

Obracałem kluczyk na wszystkie strony, ale nic nie potrafiłem wymyślić, więc schowałem go z powrotem za miękką osłonę.

Ponownie spojrzałem na wyświetlacz.

„Stan baterii niski” – głosił komunikat.

Oskar Helander mówił o sobie „cholerny nieudacznik”, ale miał znacznie nowszy telefon niż ja. Moja ładowarka nie pasowała do jego modelu, musiałem podejść do baru i zapytać, czy ktoś ma nowszą ładowarkę, którą mógłbym pożyczyć. Mieli. Wszyscy. Popatrzyli na mnie jak na idiotę, bo miałem model komórki z zeszłego tygodnia.

– Cholerne problemy pierwszego świata – próbowałem żartować.

Nikt się nie roześmiał.

Kiedy czekałem, aż telefon Oskara Helandera się naładuje, zacząłem przeglądać swój. Wiadomość o śmierci Helandera widniała już na samej górze strony internetowej lokalnej gazety. Z krótkiego tekstu wynikało, że mężczyzna został znaleziony martwy w mieszkaniu na jednym z osiedli Helsingborga i że jeden z jego psów wyskoczył przez okno i się zabił.

Napisali, że Helander został zastrzelony.

Nie było nic o dozorczy, który wszedł do jego mieszkania przed przyjazdem policji.

Napisali, że nie było żadnych świadków.

Już miałem wyciągnąć kabel ładowarki z telefonu, kiedy rozległ się riff ze Smoke on the Water Deep Purple.

Przeciagnałem palcem po symbolu odbierania.

– Halo?

Usłyszałem młody głos:

– Halo?

– Kto mówi? – zapytałem.

Po drugiej stronie zapadła cisza, aż w końcu ten sam głos rzucił:

– Czy to ty?

– Tak mi się wydaje – odparłem.

– Rozmawiam z... Właściwym Człowiekiem?

Odniosłem wrażenie, że rozmówca nie znał Oskara Helandera z nazwiska i nie umiał rozpoznać jego głosu.

– To ja – potwierdziłem.

– Chciałbym... chciałbym... kupić, ale... nie wiem... dzwonię po raz pierwszy.

– Skąd masz ten numer?

– Od kolegi. On zwykle kupuje. Powiedział, że wystarczy zadzwonić i zapytać o Właściwego Człowieka.

– Co chcesz kupić?

Uderzyło mnie, że dzwoniący ma głos chłopca.

– Jarańsko – powiedział.

– Okej – odparłem. – Ile?

– Piątkę.

Piątkę? Co to znaczyło? W zasadzie to bez różnicy, bo i tak nie miałem nic na sprzedaż.

– Jaki rodzaj? – zapytałem, nie wiedząc, o czym mówię. Wiedziałem, że będę musiał zadzwonić do impresaria Kristera Jonsona.

– No... to samo. To, co masz zwykle – wymamrotał chłopiec.

– Okej. Kiedy?

– Kiedy możesz?

– Gdzie teraz jesteś? – spytałem.

– W Helsingborgu.

– Jestem w mieście i załatwiam trochę innych spraw. Będiesz miał czas... powiedzmy... za godzinę?

– Tak, nie mam nic do roboty.

Opisałem mu placyk, na którym wcześniej miałem się spotkać z Oskarem Helanderem.

– Ale...

– Tak?

– To tam, gdzie ludzie zwykle spacerują z psami. Przynajmniej tak mówił mój kumpel.

Nie wiedziałem, gdzie ludzie zwykle spacerują z psami, więc wyjaśniłem:

– Tak, ale za każdym razem zmieniam miejsce. Gliny... sam rozumiesz.

– Aha, aha, okej – zgodził się.

– Masz kasę?

– Tak, o ile cena jest taka sama.

– Jest taka sama – odpowiedziałem. – Jak się nazywasz?

Zawahał się.

– Musisz to wiedzieć?

– Nie, ale może masz jakieś przezwisko. W końcu ja jestem Właściwym Człowiekiem.

Po chwili odparł:

– Okej. Jestem Tompa.

Zakończyliśmy rozmowę. Zadzwoiłem do Arnego:

– Za godzinę mam sprzedać narkotyki młodemu człowiekowi, który nazywa się Tompa, ale nie wiem, skąd je wziąć. Mam za to nadzieję, że chłopak pomoże mi zrozumieć, kim był Oskar Helander i co miał wspólnego z Jacobem Björkenstamem.

Dmitrija Golovina spotkała tylko raz.

Był po sześćdziesiątce. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd to wie, ale wiedziała.

Jej mąż był pod wrażeniem jego osoby i historii, ale ona się bała. Kiedyś powiedziała, że Golovin nie jest żadnym biznesmenem, tylko zwykłym gangsterem.

– Pieniądze to pieniądze – stwierdził jej mąż. – Kiedy budowano nową Rosję, wszystko działo się szybko. Wtedy nie zwracano na to szczególnej uwagi.

Na lotnisku w Moskwie odebrał ich czarny rolls-royce. Przed sobą i za sobą mieli ochroniarzy. Trzeci samochód sunął równoległe z nimi, jeśli było miejsce. Ochroniarze jechali bmw, w każdym samochodzie siedziały trzy osoby.

Golovin mieszkał w ogrodzonej posiadłości w lesie, godzinę drogi od Moskwy. Ona i jej mąż dostali oddzielne skrzydło zamku i mieli do dyspozycji służących – mężczyznę i kobietę, którzy siedzieli na krzesłach w korytarzu i czekali, aż będą mogli coś zrobić.

Kiedyś oglądała zdjęcia pałacu w Wersalu za panowania Króla Słońce. Kiedy Dmitrij Golovin ich oprowadzał, wydawało jej się, że znaleźli się właśnie tam. Towarzyszyło im pięciu ochroniarzy. Wszyscy byli uzbrojeni – trzech miało pistolety maszynowe, a dwóch nosiło szelki z pistoletami w kaburach.

Przez chwilę myślała, że Golovin hoduje niedźwiedzie polarne, ale wyjaśnił jej, że to, co widzi, to psy afgańskich przywódców klanów. Były białe, miały jasnoniebieskie lodowate oczy i musiały ważyć co najmniej sto kilogramów.

Golovin zapytał, czy chcą jednego.

Jej mąż odpowiedział, że się zastanowią.

Golovin nie miał prawej ręki, a jego lewa dłoń była zdeformowana. Po kilku kieliszkach wódki z chęcią i dumą opowiadał, jak kilku jego przeciwników z dawnych czasów, kiedy Rosja naprawdę była Dzikim Zachodem, posadziło go przy solidnym drewnianym stole, położyło mu ręce na blacie grzbietami dłoni do dołu i przybiło dwoma solidnymi gwoźdźmi. Potem na zmianę bili go gołymi rękami i młotkiem. Lewą dłoń udało się uratować, choć zrobiła się duża i nieforemna i wyglądała jak gruda z rozcapierzonymi palcami.

Za to w ranę prawej wdała się infekcja i trzeba było amputować całą rękę, którą zastąpiło sztuczne ramię z dłonią.

– Rosyjska opieka medyczna jest najlepsza na świecie – powiedział i pokazał, jak rusza sztuczną ręką: podnosi ją, wskazuje coś palcem, a nawet trzyma długopis.

To, że przeżył te tortury, było cudem. Oprócz uszkodzeń żeber, obojczyka, zębów i szczęki były jeszcze urazy czaszki – w dwóch miejscach. Jednak zamiast je ukryć, każdego dnia golił głowę, żeby pokazywać ślady tortur i zgrywać nieśmiertelnego.

Nie wiedziała, skąd się wzięły te wszystkie pieniądze, ale przez ostatni rok próbowała googlować i czytać na ten temat i nawet jeśli nie rozumiała wszystkich szczegółów, dotarło do niej, że jeśli tylu Rosjan dorobiło się tak zdumiewającego, niepojętego bogactwa, to ktoś inny musiał zostać naprawdę oszukany. Była pewna, że kiedy oligarchowie przejęli władzę nad światem, wielu Rosjan wyciągnęło do nich rękę po pomoc.

Po kolacji wyszli na taras i patrzyli na pełen przepychu pokaz sztucznych ogni.

Gospodarz objął ją w talii sztucznym ramieniem, a sztuczna dłoń zjechała na jej tyłek. Była zbyt zaskoczona, żeby zareagować. Kiedy to sobie przypomniła, zrozumiała, skąd wie, że Golovin jest po sześćdziesiątce.

Nachylił się do niej i wyszeptał:

– Skończyłem sześćdziesiąt pięć lat, ale mam kondycję dwudziestopięciolatka.

Potem uszczypnął ją w pośladek i zaczął się śmiać.

Zastanawiała się, czy Golovin czuje cokolwiek w tej sztucznej ręce.

Czy ma nadprzyrodzoną moc.

Uszczypnięcie bolało.

Kiedy się przeglądała w lustrze w łazience, zobaczyła czerwony ślad.

Jej mąż tylko się roześmiał i stwierdził:

– To chyba nie takie dziwne? Masz fajny tyłek, a Rosjanie już tacy są.

Z takimi myślami zaczęła pisać do Dmitrija Golovina maila.

Jeszcze nie zdecydowała, czy i kiedy go wyśle.

Wróciłem na ten sam opustoszały plac. Ostatnim razem czekałem tu na człowieka, który sprzedawał narkotyki, a teraz to ja miałem spróbować sprzedać narkotyki, których nie posiadałem.

Oba spotkania, równie nieplanowane, opierały się na zdolności improwizacji, którą, jak mi się wydawało, byłem obdarzony.

Po drodze usłyszałem w radiu, że po nietypowych męczących upałach mogą przyjść gwałtowne burze, ale choć na skraju nieba czały się chmury, w powietrzu nadal czuło się skwar.

W gazecie nadal nie było nic o zaginionej dziewczynce. Ani w ogóle o niczym, dodałem w myślach.

Na małym placu na przedmieściach nietrudno było rozpoznać Tompe.

Z jednej strony dlatego, że wyglądał na nerwowego i rozglądał się niespokojnie, a z drugiej ponieważ byliśmy tam tylko my dwaj.

Zrobił kilka kółek, popatrzył na wystawę sklepu ICA, zajrzał przez szybę do kawiarni i w końcu do mnie podszedł.

– Czy to ty jesteś Właściwym Człowiekiem? – zapytał.

– Tompa?

Skinął głową.

– W takim razie to ja. Siadaj.

Zawahał się. W końcu usiadł, ale tak daleko ode mnie, jak tylko było to możliwe. Miał dziewiętnaście – dwadzieścia lat, długie, jasne włosy zwinięte w węzeł na czubku głowy i brodę, która wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy zapuścić korzenie, czy w przyszłości zająć się czymś innym.

– Wyglądasz inaczej, niż sobie wyobrażałem – odezwał się.

– Niewiele mogę na to poradzić – odparłem.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Gdzie masz psy? – zapytał.

– Dziś zostały w domu – oznajmiłem.

– Ale oni mówią, że zawsze masz ze sobą psy i chcesz się spotykać tam, gdzie można je wyprowadzać.

Niedbałym ruchem wskazał trawniki po drugiej stronie drogi.

– Czasami zmieniam miejsce. Policja, sam rozumiesz.

– Aha – mruknął, jakby to było logiczne. Ale zaczął sprawiać wrażenie jeszcze bardziej niespokojnego i skubać dwoma palcami rzadką brodę.

– Kim jest twój kumpel? Ten, który zwykle kupuje?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Bez szczególnego powodu, po prostu jestem ciekaw. Może udzielę ci koleżeńskiego rabatu.

Chłopak mocniej ścisnął brodę i się rozejrzył.

– Jesteś gliniarzem czy co?

– Nie, ja...

Za późno. Tompa poderwał się z ławki i rzucił się do biegu. Minął sklep ICA i popędził w stronę parkingu. Chociaż był chudy, nie wyglądał na szczególnie wysportowanego, ale zbyt późno wstałem z ławki, a poza tym łatwiej mu się biegło w tenisówkach niż mnie w wysokich butach. Wcześniej zyskał przewagę i bez trudu ją zwiększył.

Kiedy dotarłem do ogrodzenia, które oddzielało parking od drogi, już go nie widziałem. W miejscu, w którym stałem, była wycięta dziura. Po drugiej stronie znajdowało się osiedle, na którym mieszkał Oskar Helander. Drogą szedł mały, krępy mężczyzna w białym turbanie. Poczekał, aż przejedzie autobus, a potem się zbliżył, odchylił ogrodzenie i wszedł na parking. Kiedy zobaczyłem, jak wydeptana jest ścieżka, domyśliłem się, że ludzie przechodzą tędy, zamiast skorzystać z przejścia dla pieszych pięćdziesiąt metrów dalej.

– Widział pan, dokąd pobiegł ten chłopak? – zapytałem. – Wszedł tędy i pobiegł tamtą drogą, na pewno go pan widział.

Byłem zdumiony i zirytowany tym, jak bardzo się zdyszałem.

Mężczyzna się zatrzymał i na mnie popatrzył.

Powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Jeden z jego przednich zębów był złoty.

Próbowałem niemieckiego i angielskiego.

Wskazał ogródki działkowe, wzruszył ramionami i poszedł w stronę rynku.

Ruszyłem za nim i wszedłem do kawiarni, w której wcześniej czekałem na Oskara Helandera. Kupiłem butelkę wody i usiadłem przy stoliku. Nigdy nie byłem szybki i z biegiem lat wcale nie stałem się szybszy.

Opróżniłem prawie całą butelkę.

Kobieta za barem oznajmiła:

– Za chwilę zamykamy, więc jeśli ma pan jeszcze na coś ochotę, proszę korzystać z okazji. O tej porze całe pieczywo kosztuje połowę ceny.

Wstałem, podszedłem do niej i zapytałem:

– Wie pani, gdzie tu można wyprowadzać psy?

– Tak, tam jest ogrodzony teren. Musi pan przejść na drugą stronę, a potem skrócić w prawo. Wyciągnęła rękę mniej więcej w tym samym kierunku, który wcześniej pokazał Tompa.

Kupiłem jeszcze jedną butelkę wody i trzymając ją w rękę, ruszyłem w tamtą stronę.

Dwóch mężczyzn w wieku około dwudziestu – dwudziestu pięciu lat wypuściło pitbule na ogrodzony teren. Psy zaczęły się gonić.

Usiadłem na ławce i patrzyłem.

Zastanawiałem się, czy to ta sama ławka, na której siedział Oskar Helander, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

Obaj mężczyźni byli ubrani w ciemne spodnie i białe koszule, jeden miał brodę, a drugi wyglądał, jakby po prostu się nie ogolił. Tak czy inaczej, miał gęstszy zarost niż nerwowy Tompa. Psy się goniły, warczały i kłapały zębami. Wyglądały, jakby się dobrze bawiły.

Podniosłem się z ławki, stanąłem przy ogrodzeniu i zapytałem:

– Słyszeli panowie, kto dzisiaj umarł?

Ten niższy – i może młodszy – podszedł i stanął tuż przy mnie, choć po drugiej stronie ogrodzenia. To był ten z zarostem. Na białej koszuli miał kamizelkę.

– Tak, kurwa. Jeden z psów wyskoczył przez okno. Ależ był cholerny huk.

– Znaliście tego człowieka?

Drugi wydawał się bardziej podejrzliwy i stał kilka metrów dalej.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

– Wyprowadzali tu panowie razem psy? – pytałem dalej.

– Zdarzało się – odpowiedział ten z zarostem.

Ten drugi, z brodą, utkwiał we mnie wzrok.

– Czy to tutaj zwykle sprzedawał?

– Co sprzedawał? O co panu chodzi? – odparł szybko brodac.

– Myślałem, że sprzedawał.

– A co, chcesz kupić?

– Nie.

– No to czego chcesz, do cholery? Jesteś gliniarzem? Jeden już tu był i wszystkich wypytywał.

– Nie, spokojnie – odpowiedziałem. – Nie jestem gliniarzem, po prostu mnie to

ciekawi.

– W tych okolicach ciekawość nie popłaca – burknął brodacz.

Odczekałem chwilę, a potem zapytałem:

– Czy on nie miał dwóch psów?

Ten z zarostem pokiwał głową.

– Co się stało z tym drugim? – zainteresowałem się.

– Gliniarz go zabrał – odparł brodacz.

Potem zawołał psa, wziął go na smycz, powiedział „cześć” do kolegi i poszedł. Pies się rozejrzał i pociągnął za smycz. Nie wydawał się zadowolony, że musi zakończyć zabawę.

Zarośnięty dalej stał przy ogrodzeniu. Wyjął z kieszeni czerwoną piłeczkę i rzucił. Pies pobiegł za nią i aportował. Kiedy powtórzyli to kilka razy, wyciągnąłem rękę nad ogrodzeniem i powiedziałem:

– Nazywam się Harry Svensson i nie tylko jestem ciekaw, ale też pracuję jako dziennikarz.

– Elvis – przedstawił się zarośnięty i uścisnął mi dłoń.

– Oryginalne imię – zauważyłem.

– Nie tam, skąd pochodzę.

– A skąd pochodzisz?

– Z Czarnogóry.

Jego pies podszedł do mnie i zaczął wachać moją dłoń. Nadal był zmęczony po zabawie i zapasach z drugim psem. Język luźno zwisał mu z pyska.

– Jak się wabi? – zapytałem.

– Zlatan.

Pies się ożywił, kiedy usłyszał swoje imię. Elvis go poklepał.

– Zlatan – próbowałem go przywabić. Pies stanął na tylnych łapach. Podrapałem go za uszami.

Żarliwie polizał mnie po dłoni.

– Lubi cię – stwierdził zarośnięty.

– Psy zwykle mnie lubią – odparłem.

– Zlatan nikogo nie lubi, to nietypowe.

Wzruszyłem ramionami i dalej drapałem Zlatana. Skoczył, żeby polizać mi twarz.

– Ufa ci – powiedział zarośnięty. – Ja też.

Mówił dalej:

– Pytałeś, czy... Tak, sprzedawał. Oskar. Mówił o sobie Właściwy Człowiek, ale pewnie już to wiesz.

Skinałem głowę.

– Sprzedawał co się da – mogłeś kupić u niego fajki, alko, piwo, zioło. Kupowali głównie młodzi, znaczy się Szwedzi, lubili tu przychodzić i udawać gangstas, kiedy psy się biły.

– Skąd miał te rzeczy?

Elvis wzruszył ramionami.

– Stąd, skąd się je bierze.

Skrzywił się.

– Gdzie miał magazyn? – zapytałem.

– U siebie.

– W mieszkaniu?

– Gdzieś tam.

– Znałeś Oskara?

– Nasze psy się czasem bawiły i to wszystko. Miał grzeczne psy.

Nie wyglądały na grzeczne, pomyślałem.

– Poza tym wiedziałem, czym się zajmuje – kontynuował. – Wiedziałem, że sprzedaje.

– Kupowałeś od niego?

Elvis pokręcił głową.

– To nie dla mnie. Nie piję, nie palę, nie jestem jak ci Szwedzi.

– Znasz niejakiego Jacoba Björkenstama?

Elvis przez chwilę się zastanawiał, a potem zaprzeczył ruchem głowy.

– Bywają tu członkowie gangów?

– Czasami. Strzelaniny się zdarzały.

Obrócił się, wskazał jeden z szeregowców i oznajmił:

– A tam jeden facet został zadźgany nożem. Nieraz płoną motocykle.

– Dlaczego myślisz, że Helander został zastrzelony?

Elvis wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy się dzieją w tym świecie. Niewiele można na to poradzić. Gangi chcą przejąć tę działalność.

Skinąłem głową.

– Jesteś z telewizji? – zainteresował się Elvis.

– Nie, głównie piszę artykuły do gazet.

– Jeżeli będziesz o tym pisał, to ja nic nie mówiłem.

– Rozumiem – kiwnąłem głową.

Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia, więc wziął Zlatana na smycz, pożegnał się i poszedł. Odprowadziłem go wzrokiem i powiedziałem na głos do siebie: *Elvis has left the building*. Zawsze marzyłem o tym, żeby wygłosić ten komentarz. Poza tym to było wyjątkowe uczucie: spotkać jednocześnie Elvisa i Zlatana.

Rozejrzałem się. Kiedy byłem tu ostatnio, między domami chodziło dużo ludzi, ale teraz nie widziałem nikogo. Elvis i jego kolega zniknęli z psami, nie zauważyłem też nikogo grającego w piłkę.

Nie zanosilo się na deszcz.

Kiedy przebiegałem koło sklepu ICA w pogoni za młodym człowiekiem z włosami związanymi w węzeł, kątem oka zobaczyłem nagłówek gazety, który informował o „syberyjskiej kozackiej suszy”. Być może już nastąpiła.

Poszedłem w stronę jednego z domów, w których, według Elvisa, mieszkali członkowie gangu motocyklowego. Na parkingu stały trzy motocykle, ale nie widziałem żadnego właściciela, a nie mogłem dzwonić do żadnych drzwi po kolei i pytać, czy tu przypadkiem nie mieszka gangster. Nie miałem zresztą pojęcia, o co mógłbym zapytać,

gdybym któregoś spotkał.

Zamiast tego sfotografowałem tablice rejestracyjne i kilka naklejek na jednym z baków.

Kill all Jews – głosił napis na jednej. *Jews burn the best* – na drugiej.

Na trzeciej widniał motyw swastyki.

Po drugiej stronie baku był znaczek SDS. Już dawno nie widziałem tej kombinacji liter. Szwecja Dla Szwedów. Zabawne, że ci, którym najbardziej zależy na tym, żeby Szwecja była szwedzka, tak często wyrażają to po angielsku.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Wyszukałem na hitta.se numer telefonu Evy Karlsson, sąsiadki Oskara Helandera.

Zadzwoiłem.

Evy odebrała.

Rozłączyłem się i ruszyłem w stronę jej domu. Tym razem winda nie działała, więc musiałem wejść po schodach.

W miejscu, gdzie wcześniej było okno kuchni Oskara Helandera, teraz tkwiła płyta pilśniowa, a drzwi zabezpieczono policyjną taśmą.

Zadzwoiłem do drzwi Evy Karlsson.

– Dzień dobry – powiedziałem, kiedy otworzyła. – Poznaje mnie pani?

Przez chwilę na mnie patrzyła, a potem rzuciła z wściekłością w głosie:

– Przecież on nie żyje!

– Wiem.

– Nie wspomniał pan o tym.

– Bo zacząłem myśleć o tym psie, kiedy wyskoczył.

– Ale przecież pan widział, że on nie żyje. Mówię o Oskarze.

– Spanikowałem.

– A czego pan teraz chce?

– Czy mogę na chwilę wejść?

Evy wpuściła mnie do mieszkania i zamknęła za nami drzwi. Rozumiałem, czemu emeryci potrafią dać się oszukać ludziom pozbawionym sumienia – oni nadal wierzą, że świat jest dobry i nikt nie zrobi krzywdy staremu człowiekowi. Evy mieszkała w wysprzątanym, zadbanym mieszkaniu, podobnym do tego, które zajmował Oskar Helander, ale nie tak spartańsko urządzone. Zobaczyłem małe i duże ozdoby, oprawione zdjęcia ludzi w różnym wieku, kilkanaście roślin doniczkowych, kwiaty w wazonie i przestarzały gruby telewizor na solidnym stole.

– Nieczęsto się takie widzi – zauważyłem.

– Do oglądania wystarczy – odparła. – Po co kupować nowe, jeśli działa to, co się ma?

Pokiwałem głową.

– Możemy usiąść w kuchni – powiedziała i wysunęła kilka krzeseł. – Ma pan na coś ochotę?

– Nie, dziękuję. – Wziąłem sobie jedno krzesło. Na blacie stało stare radio tranzystorowe z wysuniętą anteną. Dobiegały z niego ciche odgłosy, chyba było ustawione na lokalną rozgłośnię.

– No więc o co chodzi? Ostatnim razem mówił pan, że przychodzi od dozorczy.

– Nie całkiem. Nie zaprzeczyłem, ale nigdy nie powiedziałem, że stamtąd przychodzi. Jestem dziennikarzem i otrzymałem informację, że pani sąsiad, Helander, sprzedaje narkotyki. A potem stało się to, co się stało.

– To był grzeczny pies. Zawsze miałam kilka psich smakołyków w kieszeni płaszcza na wypadek, gdybyśmy się spotkali.

Jakiś człowiek przeszedł galerią pod jej oknem. Pomachał.

– Rozumiem, co pani miała na myśli, kiedy mówiła, że nie ma na oku Oskara Helandera. Nigdy nie przechodził pod pani oknem, prawda?

Pokręciła głową.

– I wcześniej dzisiejszego dnia nie widziała pani nikogo, kto by się dziwnie zachowywał? A może był tu ktoś, kogo pani nie zna?

– Nie, przecież nie przechodzą tędy, kiedy idą do Oskara – odparła, a po chwili dodała: – To znaczy, kiedy do niego szli. Ciekawe, kto teraz dostanie to mieszkanie. Dobrzy sąsiedzi to zawsze ważna sprawa.

– Oskar był dobrym sąsiadem?

– Pilnował swoich spraw, nikomu nie przeszkadzał. Jak pan myśli, co policja zrobiła z tym drugim psem? – zapytała po chwili.

– Nie wiem, pewnie próbują znaleźć kogoś, kto się nim zajmie.

– Mam nadzieję, że go nie uśpią.

Koło radioodbiornika leżał gruby stos krzyżówek i trzy długopisy. Okulary na cienkim łańcuszku nadal wisiały na szyi Ewy.

– Nie widziała pani Oskara przechodzącego pod oknem, ale mimo to rozmawiała z nim pani?

– Spotykaliśmy się w windzie, kiedy działała. Działała teraz?

Tym razem to ja pokręciłem głową.

– Możemy dzwonić, ile się da, a i tak jej nie naprawiają. A muszę powiedzieć, że wchodzenie po schodach jest męczące. Ja daję sobie radę, ale moje koleżanki mają chodziki i nie mogą wejść ani zejść. Nie moglibyście napisać o tym w gazecie? Chyba zna pan ludzi, którzy tam pracują?

– Zobaczę, co się da zrobić. Jaki on był?

– Oskar?

– Tak.

– Cichy. Człowiek miał wrażenie, że więcej rozmawia z psami niż z Oskarem.

– W gazecie napisano, że był dilerem narkotyków. Wiedziała pani o tym?

– Były takie głosy, ale czego to ludzie nie mówią. Nikomu nie wchodził w drogę.

– Ja wiem, że to prawda.

– No tak, teraz można kupić wszystko, takie czasy. Kiedyś to było dobre osiedle, mieszkam tu, odkąd zostało wybudowane. Od kiedy zjawily się tu te typy, jest głośniejsze, zdarzają się awantury i pobicia.

– Dają się pani we znaki?

– O tyle, że okropnie hałasują, kiedy wieczorami i w nocy przyjeżdżają do domu. Muszą aż tak gazować?

– Nie wiem, nigdy nie jeździłem motocyklem – odparłem. – Ludzie, z którymi rozmawiałem, mówili, że Oskar dobijał targu tam, gdzie wyprowadza się psy. Na pewno wie pani, gdzie to jest. Podobno miał też magazyn w domu, ale go nie znalazłem, kiedy tam byłem, i nic na ten temat nie czytałem.

– W takim razie miał ten magazyn w piwnicy.

– Ale... policja chyba musiała tam zaglądać?

– Tak, ale on miał też własny składzik. Oprócz piwnicy, którą mają wszyscy. Teraz sobie przypomniałam, że wynajmował coś takiego.

– Tak?

– Wiem o tym od Svena-Gösty. On już nie żyje, ale pracował przy tych nieruchomościach, zanim budynki zostały wykupione. Teraz wszystko jest zarządzane ze Sztokholmu.

Wyciągnąłem telefon Oskara Helandera, zdjąłem miękką osłonę i wyjąłem kluczyk. Trzymałem go między kciukiem a palcem wskazującym.

– Myślę, że mogę mieć do niego klucz. Wie pani, czy to ten?

Wiedziała.

Winda była zepsuta, więc zeszliśmy po schodach. Evy otworzyła drzwi do piwnicy i minęliśmy kilkanaście składzików za klasyczną drucianą siatką. W końcu dotarliśmy do drzwi z kłódką.

– Myśli pani, że nie było tu policji?

– Nie wiem.

Klucz pasował. Przekręciłem go w zamku, otworzyłem, weszliśmy oboje i zamknąłem za nami drzwi.

Byłem w magazynie Oskara Helandera.

Miał tu co najmniej pięćdziesiąt butelek wódki, w kartonach, dwudziestoczeropaki duńskiego, szwedzkiego i niemieckiego piwa, a w małej lodówce foliowe woreczki z tym, co chciał kupić młodzieniec, który mówił o sobie Tompa.

– Nic o tym nie wiedziałam – wymamrotała Evy, wytrzeszczając oczy.

Zrozumiałem, że żaden z sąsiadów Helandera niczego nie widział ani nie słyszał. Zamówienia były składane przez telefon. Helander schodził do piwnicy i brał butelkę wódki, torbę piwa albo kilka piątek marihuany i wychodził na spacer z psami.

Nie było w tym nic podejrzanego.

Z czapką w ręku zacząłem przeglądać zawartość kartonów, odwracałem i oglądałem butelki na półkach, podniosłem małe woreczki z ziołem. Wcześniej nie zwróciłem uwagi, że leżały na brązowej kopercie.

W środku były gazetowe wycinki.

Trzy artykuły o pobiciu ze skutkiem śmiertelnym pod knajpą w Båstad. Szybko przebiegłem je wzrokiem. Z jednego z nich wynikało, że nikt nie wie, kto wymierzył śmiertelne kopnięcie. Zdanie zostało podkreślone, a z boku widniał koślawy dopisek: „Ha! Ależ wiadomo”. Założyłem, że to pismo Oskara Helandera. Rozważałem, czy zostawić kopertę, czy wziąć ją ze sobą.

Postanowiłem, że ją odłożę, zadzwonię do Evy Månsson i poproszę, żeby powiadomiła policję z Helsingborga o magazynie Oskara Helandera. Jeżeli wyciągną z tej

koperty jakiś wniosek i zaczną nowe śledztwo, to dobrze. Jeżeli nie skojarzą Helandera, awantury w knajpie i Björkenstama i zignorują wycinki, pewnie będę musiał działać na własną rękę. Mogłem pozwolić Evie Månsson zdecydować, co będziemy robić.

Wsunąłem kopertę na miejsce, w którym ją znalazłem, i zapytałem Evy Karlsson:

– Przesłuchiwała panią policja?

– Rozmawiali ze mną, przyszła naprawdę urocza policjantka, siedzieliśmy przy stole w kuchni, tam gdzie pan.

– Mówiła pani o tym? – Wskazałem butelki i puszki.

– Nie, nie pomyślałam o tym magazynie, a ona nie pytała.

– Nie wspomniała pani o mnie?

Podniosła na mnie wzrok.

– Nie, byłam cała roztrzęsiona – nie żył on, nie żył pies. Zapytała tylko, czy widziałam albo słyszałam, żeby ktoś przechodził, ale odpowiedziałam, że nie. Poza tym, kiedy pan przyszedł, Oskar już nie żył.

Evy Karlsson pod pewnym względem przypominała kolegę Elvisa. Nie mówił nic, bo nie chciał się mieszać i zostać wciągnięty w coś, co mogłoby mu zaszkodzić. Ona nie mówiła, bo była przedstawicielką pokolenia, które darzyło dużym szacunkiem wszelką zwierzchność, lekarzy, polityków, szefów, policjantów. Jeżeli nikt jej nie pytał, sama nie udzielała informacji.

Pokiwałem głową i powiedziałem:

– Dobrze, to będzie nasza mała tajemnica. Pamięta pani, jak ona się nazywała?

– Chodzi panu o policjantkę?

– Tak.

– Mam to zapisane na górze.

– W takim razie zadzwonię do pani później.

Przed wyjściem wytarłem kławkę rękawem koszuli. Zamknąłem drzwi, wcisnąłem kluczyk z powrotem pod osłonę telefonu Oskara Helandera i wytarłem kłódkę.

Podziękowałem Evy Karlsson za pomoc i powiedziałem, że jeśli przyjedzie do restauracji w Solviken, zaproszę ją na obiad. Sama nie prowadziła samochodu, ale miała zmotoryzowaną koleżankę i powiedziała, że być może się wybiorą.

– Gladys ma osiemdziesiąt pięć lat, ale bardzo dobrze jeździ. Ma tylko problem na rondach, nie lubi ich.

– W Solviken nie ma zbyt wielu rond – odpowiedziałem.

Pożegnałem się z Evy Karlsson. Potem długo siedziałem w samochodzie przy małym placu na przedmieściu i nie wiedziałem, co robić.

Postanowiłem, że pojadę do Mölle – nawet jeśli nie spotkam się z nikim z Björkenstamów, musiałem coś zjeść.

Zanim ruszyłem, zadzwoniłem do Arnego i opowiedziałem, co się działo przez ostatnie godziny. Poradził, żebym był ostrożny. Zadzwoniłem też do Evy Karlsson i usłyszałem, że policjantka, z którą rozmawiała, nazywa się Linn Sandberg. Znałem to nazwisko. O ile sobie przypominałem, to właśnie ona była informatorką Evy Månsson z helsingborskiej policji.

Harry Svensson nie pojawił się w Mölle w porze lanczu. Niczego nie ustalali i nie

było powodu, żeby przyjeżdżał codziennie. Mimo wszystko, kiedy po wypiciu kieliszka wina poszła do domu, czuła się rozczarowana.

Usiadła przy komputerze i po kilku pełnych niezdecydowania godzinach wysłała do Dmitrija Golovina dopieszczoną wiadomość.

Czuła jednocześnie strach i ekscytację i postanowiła, że zejdzie do hotelu na kieliszek wina.

Kiedy piła drugi, zobaczyła Harry'ego.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę kawiarni, w której się wcześniej spotkali. Był za daleko, żeby mogła krzyknąć, i czułaby się głupio, gdyby tak po prostu wstała i zaczęła za nim biec.

W kawiarni był komplet. Zobaczyła, że Harry idzie przez parking do hotelu. Pomachała mu.

– A więc to tutaj dzisiaj siedzisz? – zapytał.

Skinęła głową i powiedziała:

– Dzisiaj bez lanczu?

– Miałem dużo pracy. A ty jadłaś?

– Właśnie chciałam zapłacić, ale mogę wypić jeszcze jeden kieliszek wina.

Zamówiła kanapkę z krewetkami.

– Śledzisz wiadomości?

– Nie bardzo. A co?

– Nie wiem, co się dzieje w tych okolicach, ale mam wrażenie, że narkotyki zatruwają tu wszystko. Przed przyjazdem wyczytałem w Internecie, że pewien helsingborski handlarz narkotykami został zastrzelony, nazwali to egzekucją. Znajomy dziennikarz opowiadał mi o wojnie między gangami motocyklowymi, w grę wchodzi niewyobrażalne sumy. Nie zdziwiłbym się, gdyby to jeden z tych gangów uprawiał konopie tam w lesie, słyszałaś o tym?

Pokręciła głową.

Właściwie w niczym się nie orientowała, ale paradoksalnie wiedziała o bardzo wielu sprawach, o których nie znał prawdy nikt inny. Przez lata wyłapała mnóstwo informacji, choć nie miała pojęcia, co z nimi zrobić.

Codziennie, zwykle wiadomości nigdy jej nie interesowały.

– W lesie jest wielka plantacja. W gazecie piszą, że nie wiadomo, do kogo należy.

Podtrzymywali swobodną pogawędkę.

Ona zapytała:

– Nadal pracujesz jako dziennikarz?

Podniósł wzrok. Przeżuwał resztkę krewetek.

Wytań usta serwetką, uśmiechnął się i powiedział:

– Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Z ciekawości.

– Tak i nie – odparł. – Nie jestem nigdzie zatrudniony, ale nie odmawiam, jeśli coś się pojawi.

– Zamówiłam przez Internet twoją książkę.

Spojrzał pytająco.

– Brałeś udział w zdemaskowaniu mordercy – wyjaśniła. – I napisałeś o tym książkę.

Pokiwał głową.

– Rzeczywiście, zajmowaliśmy się tym, Arne i ja, ale nie myśl sobie, że to sukces czy coś w tym stylu. Po prostu sprawa, na którą trafiliśmy, zataczała coraz szersze kręgi.

Po chwili ciszy zapytał:

– Miałabyś coś dla mnie?

Roześmiała się i sama usłyszała, jak sztucznie to zabrzmiało.

– Nie, zupełnie nic. Ale przeczytam książkę. Wygląda na to, że to była interesująca sprawa.

Agneta Björkenstam uważała, że sprawa, którą przed ponad rokiem zajmowałem się wspólnie z Arnem Jönssonem, jest interesująca.

Nie знаła nawet połowy faktów.

Nie chodziło tylko o to, że zostałem w to wszystko wciągnięty. Typ nazwany przez media „klapsowym mordercą” stosował wobec mnie coś w rodzaju szantażu i skończyło się na tym, że spłonął w małym domku tortur na swojej posesji.

Duża część mojego udziału w sprawie nigdy nie wyszła na jaw.

Nadal nie wiedziałem, jak dużo Agneta Björkenstam wie na temat interesów swojego męża i jego przeszłości, ale podsunąłem jej kilka szczegółów o narkotykach i gangach motocyklowych. Pozostawało tylko czekać i zobaczyć, co się stanie, o ile w ogóle cokolwiek.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Evy Månsson i poinformowałem, że doniesiono mi o tajnym magazynie Oskara Helandera w piwnicy budynku, w którym mieszkał. Jeżeli pomyślała, że jestem w jakiś sposób zamieszany w sprawę, to nie dała tego po sobie poznać. W każdym razie nic nie powiedziała.

Śmierć Helandera szybko trafiła na strony internetowe wszystkich gazet. Im dalej odchodzono od pierwotnego artykułu lokalnej gazety, tym liczniejsze i może nawet bardziej szalone stawały się spekulacje.

Przy Agnecie Björkenstam użyłem słowa „egzekucja”. Padało we wszystkich tekstach. Skłamałem o plantacji konopi w lesie. Dopiero kiedy wróciłem do domu, siadłem przy stole w kuchni i zacząłem sprawdzać pocztę i strony internetowe, zobaczyłem mały artykuł o „tajemniczej narkotykowej kryjówce w lasach północno-zachodniej Skanii”. Rozpoznałem swoje zdjęcie, które wysłałem Larsowi Berglundowi, ale ani pod zdjęciem, ani pod krótkim tekstem nie było żadnych nazwisk.

Żadne z tradycyjnych mediów nie podało nazwiska Oskara Helandera. Określano go jako „czterdziestosiemioletniego mężczyznę”, ale nie trzeba było długo i intensywnie szukać w sieci, żeby natrafić na nazwisko i mnóstwo mniej lub bardziej wiarygodnych informacji na temat jego działalności narkotykowej.

Kiedy się rozebrałem, spostrzegłem, że w kieszeni koszuli i na czapce mam maleńkie odłamki szkła. Szyba musiała się rozprysnąć na tysiące kawałków, kiedy pies wyskoczył przez okno. Położyłem odłamki na dłoni, poszedłem do łazienki i spuściłem je wszystkie w toalecie. Potem wyszedłem z domu i usiadłem na werandzie.

W jednej z kolorowych gazet widniało zdjęcie martwego psa.

Przykryto go kocem.

Taki szacunek był rzadko spotykany w dzisiejszych mediach.

Czasami trudno jej było zrozumieć, o czym mówi mama.

Kiedy mama sobie wypila – sama albo z miłym sąsiadem – zwykle opowiadała, że jeśli policja nie znajdzie i nie schwyta tego, kto zabił jej byłego męża, to ona sama dopilnuje, żeby sprawiedliwości stało się zadość, bo chyba wie, kto to zrobił. Kiedy wypila dużo, była tego absolutnie pewna. Wtedy mówiła, że widziała jego twarz za szybą samochodu i że nigdy tego nie zapomni.

Uczyła się w szkole angielskiego, ale mimo to nie rozumiała, co wspólnego ze śmiercią jej taty mają jakieś „czarne noce” i w jaki sposób te noce mają spowodować, że sprawiedliwości stanie się zadość. Mama często powtarzała, że zna ludzi, którzy znają „czarne noce”, i że jeśli nic innego nie przyniesie skutku, to się z nimi skontaktuje.

Jeśli w butelce albo w puszcze zostawało jeszcze coś, wylewała te resztki do zlewu, kiedy mama szła spać.

Mama nigdy tego nie zauważyła.

Obudził mnie wybuch.

Brzmiało to tak, jakby dom, restauracja, całe Solviken wyleciały w powietrze. Dopiero po dobrej minucie dotarło do mnie, że słyszałem uderzenie pioruna.

Musiał trafić w coś, co było bardzo blisko, może w porcie, albo w któreś z drzew za domem.

W powietrzu unosił się ostry zapach, jak po spawaniu, a kiedy mrugnąłem kilka razy, żeby odpędzić sen, i wyrząłem przez okno na Solviken, dostrzegłem za chmurami grę świateł, jednocześnie piękną i przerażającą.

Nie padał deszcz i było równie ciepło jak wtedy, kiedy siadałem na werandzie. Mimo że spałem w domu, spływał ze mnie pot. Zza okna wciąż dobiegały głuche, gniewne pomruki. Po chwili niebo przeciął kolejny świetlisty zygzak. Miał chyba z kilometr długości i ciągnął się od chmury aż po wodę w zatoce. Huk, który nastąpił potem, nawet nie zbliżył się do tego, który wyrwał mnie ze snu.

Chciałem sprawdzić, która godzina, ale moja komórka się rozładowała.

Zawsze słyszałem, że suche burze – czyli te, w czasie których nie pada deszcz – są najbardziej niebezpieczne. Nikt mi nigdy nie wyjaśnił dlaczego, ale kiedy byłem mały, pomyślałem sobie, że jeśli dom, w który trafił piorun, zacznie płonąć, to deszcz może ugasić pożar. Jeśli nie pada – wszystko się spali.

Zegar wskazywał kilka minut po szóstej rano. Bosse Rybak dobijał swoją łodzią do portu. Podłączyłem ładowarkę do telefonu i wyszedłem, żeby się z nim spotkać. Simon Pender powtarzał zwykle, że Bosse Rybak wie wszystko o wszystkich w Solviken i okolicach.

Tego ranka Bosse miał słomkowy kapelusz z szerokim rondem i kolejny T-shirt tak wyblakły i sprany, że nie dało się rozpoznać, co kiedyś na nim widniało.

– Nie boisz się być na morzu w czasie burzy? – zapytałem.

– Jeśli ryby się nie boją, to ja też nie. – Rozładował łódź, poszedł do swojej chatki i umieścił ryby w dużych plastikowych skrzyniach z lodem.

– Jak leci? – spytałem.

– Źle – skrzywił się. – Nic nie ma przez ten upał. Ludzie zamawiają i zamawiają, ale w piątek złowiłem tylko trzy płastugi i turbota. To za mało, nie mogę realizować zamówień. Żeby coś złowić, muszę wypływać daleko, a nie chcę tego robić – w każdym razie nie tą łodzią. Nawet nie wiem, czy jutro będę wypływał, upał ma się utrzymać.

Usiadłem na jednym ze stopni jego chatki.

– Zapomniałem, że w sobotę w porcie ma być festyn. Kiedy tu szedłem, widziałem plakaty. Napisali tam, że organizatorami są Przyjaciele Solviken. Wiesz, co to za jedni?

Zeszłego lata, po tym, jak z kobietą o imieniu Bodil kąpaliśmy się nago, znalazłem w skrzynce kartkę od Przyjaciół Solviken. Wtedy też się zastanawiałem, kim oni są.

Bosse Rybak powiedział:

– Letni goście. Mieszkańcy Sztokholmu. Ludzie z Północy. Tacy, którzy są tu każdego lata, bo odziedziczyli dom po jakimś zmarłym dziadku albo babce i czują,

że muszą zachować tradycję czy coś w tym stylu. Tak mi się wydaje. Nie wiem, ale tak mi się wydaje.

W Solviken była wyraźna hierarchia, tak samo jak w innych miejscowościach. Elita ekonomiczna miała władzę nad społeczeństwem i mieszkała w odziedziczonych willach i domach, dużych i małych. Niektórzy mieszkają w nich sami, bo ciężko o to walczyli, a inni muszą je dzielić z rodzeństwem albo dziećmi. Znam rodziny, które ciągały się po sądach, bo nie mogły się dogadać, kto będzie miał wstęp do domu i kto ma kosić trawę. Tego rodzaju rodzinne ustalenia zawsze budzą w człowieku to, co najlepsze.

– Ale kto to dokładnie jest?

– No, jak oni się nazywają... Kvistowie, Rosengrenowie, Björkenstamowie... Znasz ich.

Drgnąłem.

– Powiedziałeś: Björkenstamowie? Gdzie oni mieszkają? Czytałem w gazecie o jednym Björkenstamie, ale on mieszka w Mölle.

– To syn. Rodzice mają dom w Solviken. Nigdy nie byłeś tam na górze?

Wskazał wzniesienie za restauracją, rósł tam gęsty las. Pokręciłem głową.

– Mają tam cały zamek – powiedział.

Spędziłem w Solviken wakacje dwa razy z rzędu, ale nigdy tam nie byłem.

– Na terenie posiadłości mają też własne pole golfowe. Co prawda tylko siedem dołków, ale i tak. Starego, Edwarda Björkenstama, na pewno widziałeś. Czasami przyjeżdża sportowym samochodem, żeby się wykąpać.

Nagle skojarzyłem, o kogo chodzi. Kvistowie, Rosengrenowie i Björkenstamowie... Na jedno wychodziło, to był ten sam typ.

Nigdy się ze mną nie witali.

Kiedy Bosse Rybak powiedział, że Edward Björkenstam czasem wsiadał w swój sportowy samochód z otwartym dachem i przyjeżdżał się wykąpać, przypomniałem sobie, że któregoś razu powiedziałem mu dzień dobry. To był elegancki, siwowłosa mężczyzna z dużymi zębami. Szedł długim, zdecydowanym krokiem, patrzył w niebo i miał otwarte usta, jakby cały czas się uśmiechał albo łąpczywie czekał na pieczone gołąbki. Pewnie już zjadł niejednego dobrze wypieczonego gołąbka, pomyślałem. Zostawił samochód, małe mg, z włączonym silnikiem na środku parkingu, tak że nikt inny nie mógłby wjechać ani wyjechać, i poszedł się kąpać. Miał biały szlafrok kąpielowy z monogramem.

No więc spróbowałem powiedzieć mu dzień dobry.

Nie odpowiedział.

Nawet nie spojrzał w moją stronę.

Jeśli Bosse Rybak i pozostali nieliczni stali mieszkańcy mieli niższy status niż tak zwane typki ze stolicy, to my byliśmy facetami z restauracji – czymś, czego nie ma sensu dotykać nawet kijem.

– W tym towarzystwie najwięcej robi pani Björkenstam. To ona przez wiele lat organizowała festyn w porcie – odezwał się Bosse Rybak.

– Ją też widziałem?

– Zawsze chodzi z jack russell terrierem.

– Jak one wszystkie.

Wzruszył ramionami.

– Viveca. Zdaje się, że ma na imię Viveca.

Ruszyłem w stronę domu. Przyszło mi do głowy, że chyba gdzieś widziałem kobietę z jack russell terrierem.

Zrobiłem sobie kawę, usiadłem na werandzie i oglądałem zdjęcie Emmy Dahlström w gazecie.

Prawdopodobnie nie wrzucili tego artykułu do sieci, bo nie widziałem go wieczorem. W połowie pierwszej strony widniał tytuł: Gdzie są matka i córka?

Kiedy otworzyłem gazetę na stronie z artykułem, zobaczyłem zdjęcie nieznanej mi kobiety i dziewczynki, która przyszła do mnie nocą. Tej, która nie mówiła i aktualnie przebywała u Arnego Jönssona w Anderslöv.

Alarm wszczął człowiek, który mieszkał w tym samym domu. Od kilku dni nie widział sąsiadek – matki i córki – i zaczął się niepokoić.

Artykuł był już w sieci – wysłałem link Arnemu i Evie Månsson.

Zadzwoiłem do Arnego i powiedziałem:

– Dziewczynka, która jest u ciebie, ma na imię Emma i zaginęła cztery dni temu. Piszą o niej w dzisiejszej gazecie. Jeśli włączysz komputer i klikniesz w link, który ci przesłałem, będziesz mógł przeczytać artykuł.

Na samej górze pierwszej strony widniała informacja o Oskarze Helanderze, nadal nazywano go „czterdziestosiedmioletnim mężczyzną”. W środku były trzy artykuły na ten temat. W pierwszym opisywano, co się stało, z drugiego można się było dowiedzieć, że osiedle, na którym mieszkał, cieszy się złą sławą z powodu strzelanin, gangów motocyklowych i innych, a w trzecim znalazły się spekulacje, że to być może porachunki narkotykowego półświatka. Według „niepotwierdzonych informacji z anonimowego źródła” „czterdziestosiedmioletni mężczyzna” handlował marihuaną, alkoholem i tabletkami.

Mała notatka na dole na jednej ze stron informowała, że pewien człowiek, zebrzący pod sklepem monopolowym w Höganäs, został obłany wodą z wiadra.

Po przewróceniu strony zobaczyłem trzyszpaltowe zdjęcie plantacji konopi, do której dotarłem. I tytuł:

*SEKRETNA KRYJÓWKA Z NARKOTYKAMI
w płn.-zach. Skanii, „warta miliony”*

Sam nie nadałbym takiego tytułu – tekst napisany wielkimi literami zanadto odbiegał natężeniem od tego napisanego małymi, a poza tym jeśli to była kryjówka, to wiadomo, że sekretna. Ale nie można mieć wszystkiego. Artykułu nie podpisano, brakowało też nazwiska autora zdjęcia, rozpoznałem jednak swoją rękę.

Zadzwoiłem do Evy i powiedziałem, że dziewczynka z artykułu, do którego wysłałem link, to właśnie ta, która przyszła do mnie w środku nocy. Jeśli policja pozna nazwisko córki i mamy – Emma i Åsa Dahlström – może prędzej ustali, co się stało.

Sam próbowałem to zrobić od kilku dni, ale nie wiedziałem nawet, że mama dziewczynki... mama Emmy też zaginęła.

Zadzwoiłem znów do Arnego i stwierdziłem, że moim zdaniem powinien dać Emmie do przeczytania ten artykuł, a potem zapytać, czy chciałaby coś powiedzieć.

Dopiero po długiej chwili zatelefonowałem do Jonny Moberg.

Po ślubie nosiła nazwisko Bertilsson, ale zawsze myślałem o niej jako o Jonnie Moberg.

Nie rozmawialiśmy od kilku lat, ale była to kobieta, za którą tęskniłem, a jednocześnie czułem związane z nią wyrzuty sumienia.

Tęskniłem, bo tak bardzo ją lubiłem.

Czułem wyrzuty sumienia, bo w takim a nie innym stylu zakończyłem to, co nas łączyło. To znaczy: w ogóle nie zakończyłem.

Pewnego lata zaczęła pracować w redakcji na zastępstwo i często przychodziła do mnie, żeby o coś zapytać albo poprosić o radę. Miała nosa do gorących informacji, nie bała się i potrafiła zjednać sobie ludzi, ale niezbyt dobrze szło jej pisanie.

Czasami czułem się tak, jakbyśmy ze sobą flirtowali. Jakby coś między nami było.

Razem znaleźliśmy się w Kopenhadze. Ona miała obserwować jakieś królewskie bzdety, a ja – zrobić reportaż o Parken, arenie, na której odbywały się zarówno mecze piłki nożnej, jak i koncerty, i która przez kilka lat była wzorem dla wszystkich konstruktorów aren z całej Skandynawii.

Jonna zatrzymała się w naprawdę beznadziejnym hotelu na Rådhusplatsen.

Ja sam zarezerwowałem pokój i mieszkałem w designerskim hotelu.

Przełożyłem ją przez kolano, a potem wylądowaliśmy w łóżku.

Była ciekawska i pełna zapału, zakochana i nieposłuszna, twarda i skora do psot, wygłodniała i cierpliwa. W wyjątkowo naturalny sposób prowokowała sytuacje, które zawsze kończyły się tak samo. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, musiała się z tym urodzić.

Po trzech letnich miesiącach dała mi jasno do zrozumienia, że chce ze mną być i mieć dzieci.

Jonna miała dwadzieścia trzy lata, a ja czterdzieści cztery.

Nie przeszkadzało mi to zbytnio, nigdy nie miałem tego typu problemów z wiekiem.

A jednak nie mogłem zasnąć, kiedy leżała na moim ramieniu, bo myślałem o tym, że jestem o rok starszy od jej ojca. Co miałbym mu powiedzieć, gdybyśmy się spotkali?

W końcu zacząłem jej unikać i uciekłem jak tchórz.

Nie zachowałem się elegancko, nie czułem dumy z tego powodu.

W końcu poznała Martina Bertilssona, dziennikarza piszącego o wyścigach konnych, i szybko urodziła mu dwoje dzieci.

Nie została wielką dziennikarką, ale była wprost fenomenalną researcherką i zapuszczała się w takie rejony Internetu, których nikt wcześniej nie używał ani nie odwiedzał. Rzuciła pracę w gazecie, żeby dołączyć do grupy freelancerów, i w końcu, wspólnie z dwoma innymi dziennikarzami, dostała nagrodę w kategorii dziennikarstwo śledcze.

Nie mam problemów z obsługą sieci, podstawy nie są mi obce, ale ktoś, kto naprawdę zna się na rzeczy, ma wyobraźnię i jest pomysłowy, wie, jak szukać w starych archiwach prasowych i gminnych, przez instytucje kredytowe i publiczne dokumenty podatkowe. Dla kogoś takiego jak Jonna Moberg nie było żadnych ograniczeń. Jeżeli

przeszukiwała jakąś bazę danych, nigdy się to nie kończyło, zawsze znajdowała kolejne miejsca, które można było sprawdzić, inne wyszukiwarki, następne wątki, które prowadziły do jeszcze kolejnych.

Klikanie w sieci ma więcej wspólnego ze słodkimi kotkami, które potrafią stać na jednej łapie i grać na tubie, niż z sensacyjnymi, ważnymi odkryciami. Tym bardziej byłem pełen podziwu dla tego, co Jonna i jej koledzy odkryli na temat nazistów, rasistów i innych ludzi, którzy najchętniej działaliby w ukryciu.

Kiedy wybrałem jej numer, odebrał Martin Bertilsson.

Nie wiedziałem, co mu powiedziała o mnie albo o nas, jednak kiedy informował, że wyszła z dziećmi, ale da jej znać, żeby oddzwoniła, w jego głosie usłyszałem rezerwę.

Zszedłem do portu, usiadłem na ławce na molo i czekałem. Bosse Rybak uporał się ze skrzynkami, siedział na jednym ze stopni chatki i czekał na lepsze czasy albo na klientów. W porcie na razie było cicho, pusto i spokojnie.

Zadzwonił telefon.

– Cześć – odebrałem.

– Nie spodziewałabym się tego – odezwała się.

– Nie.

Zapadła cisza.

– Nie? To wszystko, co potrafisz powiedzieć?

– Nie – odparłem i się zaśmiałem.

– To nie jest śmieszne.

– Nie. Jak się czujesz?

– Dziękuję, że pytasz, ale mam wrażenie, że nie dzwonisz po takim czasie po to, żeby zapytać, jak się czuję.

– Nie – zgodziłem się.

– Powtarzasz się.

– Wiem – powiedziałem. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Coś podobnego.

– Chodzi o informacje na temat pewnej osoby. Potrzebuję pomocy przy czymś, co zdarzyło się dawno temu i w czym nie potrafię się połapać. Pomyślałem o tobie, bo nie znam nikogo lepszego.

– I tylko dlatego o mnie pomyślałeś?

– Nie tylko.

– Czyżby?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Może to było głupie, że do niej zadzwoniłem.

– Dlaczego miałabym ci pomóc? – zapytała.

– Nie mam na to dobrej odpowiedzi.

– Dziwna sytuacja, Harry.

– Myślę, że ci się to spodoba, kiedy usłyszysz, o co chodzi. I że świetnie się spiszesz.

– A jeżeli odmówię, przyjdiesz tu i przełożysz mnie przez kolano?

– To było poniżej pasa, Jonna.

– Wiem.

Milczeliśmy.

Wydawało mi się, że kątem oka widzę kobietę z jack russell terrierem na smyczy, szła od strony portu. Pies przystanął i zaczął węszyć, a kobieta szarpnęła smycz.

– Miało takie być – oznajmiła Jonna. – Zamierzałam ci tyle powiedzieć, gdybyśmy jeszcze kiedyś rozmawiali, ale się pogubiłam.

– Nie powinienem był dzwonić. Nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam?

W końcu Jonna wzięła głęboki wdech i zapytała:

– O co chodzi?

Przedstawienie wszystkich osób i zdarzeń zajęło mi dwadzieścia minut. Jonna zanotowała i obiecała, że zadzwoni, kiedy się czegoś dowie. Powiedziała, że jest na urlopie macierzyńskim, ma w domu dwójkę dzieci i jeśli ktoś myśli, że to coś w rodzaju wakacji, to jest idiotą. Nie umiała określić, kiedy się odezwie.

Odpowiedziałem, że nie ma problemu, i tak dziękuję.

Po zakończeniu rozmowy siedziałem na moło i myślałem o Jonnie Moberg, o jej mężu, o dzieciach, których nigdy nie widziałem, i o tym, jak mogłoby wyglądać nasze wspólne życie. Jakże inaczej by się ułożyło, gdybyśmy mieli dzieci.

Wszystko kompletnie się spieszyło.

Tak myślałem.

Wiedziałem, że tak jest.

Mówi się, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Ani za dużo myśleć, bo można się tylko przestraszyć. Rod Stewart nagrał chyba o tym piosenkę.

Nie słyszała, kiedy Ladi i jej mąż wrócili z Kopenhagi, a gdy się obudziła, nie było go już w łóżku. Wyglądało na to, że w ogóle nie brakuje mu seksu ani bliskości fizycznej. Jak to możliwe, że ta potrzeba tak po prostu zniknęła?

Może zaspokajał się w inny sposób, gdzie indziej i z innymi kobietami.

Albo coraz rzadziej odczuwał popęd.

Może była to naturalna konsekwencja upływu czasu.

Uderzyła ją myśl, że nigdy nie było w nim wielkiej namiętności, kochał się raczej z obowiązku.

Z wyjątkiem jednego razu.

Tamtego razu.

Nigdy o tym nie wspominała.

Pewne rzeczy lepiej zachowywać dla siebie.

Spotkał się w Båstad ze swoimi znajomymi, a ona ze swoimi. Spała w hotelowym łóżku, kiedy nagle wrócił do pokoju i się na niej położył. Zdarł z niej majtki i czuła się tak, jakby próbował jej włożyć policyjną pałkę. Nie była przygotowana, bolało, ale trzymał jej ramiona i wpychał się do środka. Czuć było od niego wódką, miał zakrwawione kostki prawej dłoni, a jego pot śmierdział stęchlizną albo zgnilizną. Starła się wyswobodzić, ale przyciskał kolanami jej uda i choć usiłowała mówić, że to boli, nie dawał za wygraną, nie mógł jednak dojść. Położył ją głową naprzód na biurku w pokoju. Telefon, lampka, szklanka i popielniczka spadły na podłogę. Złapał ją lewą ręką za kark, rozszerzył jej pośladki, włożył między nie pulsującą policyjną pałkę i prawą dłonią zakrył

jej usta, żeby uciszyć protesty.

Kiedy położył się do łóżka, poszła do łazienki.

Po udach spływały sperma i krew.

Zgwałcił ją.

Człowiek, który leżał w łóżku i głośno chrapał, był tym, którego miała poślubić za kilka tygodni.

I tym, który ją zgwałcił.

Położyła się na sofie w hotelowym pokoju.

Płacz utulił ją do snu.

Kiedy się obudziła, on gładził ją po policzku.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Po prostu... nie mogłem się powstrzymać, byłaś tak cholernie seksowna, a ja tak się napaliłem... Rozumiesz?

Pocałował ją w czoło.

Był już przebrany i trzymał w ręku raketę tenisową.

Przypomniała sobie, że miał grać z Georgiem Gripem.

Lubiła Georga Gripa.

Czy powinna mu o tym napomknąć?

Opowiedzieć?

Nie.

Rozumiała, że niektóre rzeczy lepiej zachować dla siebie.

Zdażyła się już nauczyć, że pewne rodzinne tajemnice powinny na zawsze pozostać rodzinnymi tajemnicami.

Wyprostował się, wyjął kilka banknotów i rzucił w jej stronę.

– Kup sobie coś ładnego, to kiedy skończę grać, pójdziemy na lancz i napijemy się szampana.

Pięć tysięcykoronowych banknotów.

Pięć tysięcy koron za gwałt.

Po lanczu zapytała, dlaczego miał zakrwawione kostki.

– Byliśmy pijani, wpadłem na ścianę – odpowiedział.

Kiedy usłyszała, że tego samego wieczoru ktoś został skopany na śmierć, zapytała, czy coś o tym wie.

– Była jakaś awantura na dworze, nie wiem, co się stało. My tylko popijaliśmy i dobrze się bawiliśmy.

Nigdy więcej o to nie pytała.

A on nigdy więcej nie miał takiego wzwodu jak tamtej nocy.

Czas potrafi być zarówno surowy, jak i czuły. Nie wiedziała, czy leczy rany, ale pozwalał zapomnieć.

Poniżenie i upokorzenie po gwałcie zepchnęła z czasem w takie obszary mózgu, których przeznaczeniem było przechowywanie mrocznych tajemnic. Tych, o których się mówi: „rodzinne tajemnice”. Nie potrafiła jednak zapomnieć ryku, który wydał, kiedy dochodził.

Czasami przyglądała mu się ukradkiem, kiedy siedzieli przy kolacji albo stąpali po czerwonym dywanie, a on czarował kobiety i mężczyzn swoim wyglądem, śmiechem

i sposobem bycia. Nie mogła wtedy zrozumieć, jak to możliwe, że z jego ust wydobył się taki zwierzęcy odgłos.

Nigdy nie wydała tych pięciu banknotów.

On nigdy nie zapytał, co kupiła.

Trzymała je na dnie szkatułki na biżuterię, którą dostała od babci.

Zaczęła się zastanawiać, czy banknoty nie straciły ważności. Czy rząd albo jakiś urząd nie zmieniał ich co jakiś czas?

Nawet gdyby nadal były ważne, nie miały żadnej wartości.

Próbowała się zwierzyć mamie. Wspomniała, że pewna jej znajoma została wykorzystana w ten sposób, a mama stwierdziła zagadkowo, że nie należy huśtać łodzią, w której się siedzi. Nie wiedziała, czy mama się domyśliła, że chodziło o nią.

Kiedy później opowiedziała tę samą historię Muffan, usłyszała:

– Aggis, kochanie, my, kobiety, musimy stać murem za swoimi mężczyznami.

Poza tym oni myślą, że o wszystkim decydują, ale tak naprawdę to my.

Aha.

Odpędziła te myśli, odsunęła koldrę, wstała i wyszła na werandę. Kiedy stała i patrzyła na morze w czasie burzy – i zastanawiała się, kiedy upał ustąpi, bo zaczął się dawać we znaki – usłyszała głosy.

Podniesione głosy.

Dochodziły z kuchni na dole, a nie z ogrodu.

Zeszła po schodach, ale kuchnia była pusta. Wyjrzała przez okno. Ladi siedział w otwartym bagażniku SUV-a, a Bulwa na tylnym siedzeniu przy opuszczonej szybie.

Obok stał mały sportowy samochód jej teścia.

Co on tu robił?

Głosy dobiegały z otwartej werandy, z której rzadko korzystali.

Pomyślała, że może wyjść z kuchni korytarzem do pokoju gościnnego, ukryć się za zasłonką i obserwować werandę z góry.

Jej teść stał.

Jej mąż siedział.

Naprzeciwko niego siedziała jego matka z psem na kolanach.

Teść przemawiał, gestykulując.

Nachylał się i pokazywał gazetę, która leżała na stole.

Nagle jej mąż krzyknął tak głośno, że było to słychać w całym domu:

– Przecież mówiłem, że gównem z tego rozumiem!

Rzadko, prawie nigdy nie krzyczał na swojego ojca.

Jej teściowa skrzywiła usta, pokręciła głową, rozejrzała się i spojrzała w górę.

Jakby patrzyła prosto na nią. Jakby potrafiła przejrzeć na wylot zasłonę, za którą się ukrywała.

Kiedy wyjrzała po chwili, teściowa coś mówiła. Mąż podniósł wzrok i popatrzył w okno, a teściowie wstali i wyszli.

Sportowy samochód odjechał.

Jej mąż nie ruszał się z miejsca, studiował gazetę.

Po minucie zmiął ją i rzucił w krzaki.

Wstał i wszedł do domu.

Udała, że wychodzi z sypialni, i przywitała się z nim w kuchni.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic.

Miał mroczne spojrzenie i wydawał się zły, wyglądał groźnie.

– Chcesz kawy?

Pokręcił głową i wyjrzał przez okno. Sprawiał wrażenie, jakby myślami był gdzieś bardzo daleko.

– Chyba słyszałam Edwarda i Vivecę, co oni tu robili?

– Co? Co słyszałaś? – Odwrócił się do niej. – Słuchałaś, o czym rozmawialiśmy?

– Nic nie słyszałam, tylko wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy, i pomyślałam, że to Edward i Viveca. Co się stało?

– Gównno się stało.

– Ale jesteś zdenerwowany.

– Źle spałem.

– Dobrze ci poszło w Kopenhadze?

Nie odpowiedział.

Wyszedł z kuchni, a potem z domu, i zszedł do Ladięgo i Bulwy. Chwilę później rozległ się trzask zamykanych drzwiczek i biały SUV również zniknął z posesji.

Nalała sobie filiżankę świeżo zaparzonej kawy i wyszła na werandę, gdzie wcześniej siedziała jej rodzina z psem.

Zmięta gazeta leżała w krzakach.

Rozprostowała ją i położyła na stole.

Najważniejsza wiadomość dotyczyła zamordowania handlarza narkotykami, ale pisano też o zaginięciu matki i córki. Nieco mniejszy materiał był poświęcony plantacji konopi, którą odkryto w pobliskim lesie.

Nie rozumiała, dlaczego wszyscy są tak zdenerwowani.

Harry Svensson wspominał wprawdzie o tej plantacji, ale nie rozumiała, dlaczego jej teściowie mieliby się tak wściekać, że piszą o niej w gazecie.

Z Solviken do Jonstorp nie było tak daleko, więc postanowiłem, że zaryzykuję. Wyszedłem i uruchomiłem samochód. Łatwo znalazłem dom, w którym mieszkały Emma i jej mama. Znajdował się na skraju wsi i był piętrowy.

Kiedy zaparkowałem przy kortach tenisowych, nadal mżyło, a przynajmniej odniosłem takie wrażenie. Czasem lekki, prawie niezauważalny deszcz potrafi być zdradziecki.

Zgodnie z tablicą przy wejściu w domu mieściły się cztery mieszkania. Jedno z nich było opatrzone nazwiskiem Dahlström. Wszedłem po schodach i zapukałem. Nie było dzwonka, ale na wizytówce koło drzwi widniał drukowany napis „Å. Dahlström”.

Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki, na klatce schodowej też było cicho.

Zajrzałem przez lufcik.

Przy odrobinie dobrej woli pośrednik w obrocie nieruchomościami mógłby to nazwać „mieszkanie z widokiem na morze”. Kiedy stanąłem na palcach, wydawało mi się, że dostrzegam kontury Kullaberg, chociaż było tak mgliście.

Zszedłem na parter i zapukałem do drzwi z napisem „G. Nygren”. Człowiek, którego zacytowano w gazecie, nazywał się Gunnar Nygren. Żadnej odpowiedzi.

Zapukałem mocniej.

Nadal nikt nie otwierał.

Za drzwiami panowała kompletna cisza.

Wyszedłem na ulicę i przez chwilę stałem przy skrzynkach na listy. Jedna z nich była wielka i przytwierdzona do ziemi, z pewnością nie dało się jej otworzyć bez klucza. Pozostałe trzy wyglądały zwyczajnie. Na tej z nazwiskiem Dahlström był namalowany Nils Paluszek na grzbiecie gęsi. Otworzyłem klapkę i zajrzałem do środka. Same reklamy.

Za zasłonką na parterze zobaczyłem jakiś ruch. Wróciłem do budynku i zapukałem w szybę. Mężczyzna koło sześćdziesiątki zbliżył się do drzwi, chwilę gmerał przy haczyku i w końcu uchylił lufcik na szerokość kilku centymetrów. Z mieszkania wydostał się duszący smród starego papierosowego dymu.

– No? – zapytał. – O co chodzi?

– Mogę wejść?

Pokręcił głową i odparł:

– Wolałbym nie.

– Dlaczego?

– Mam bałagan.

– To chyba niegroźne.

– Jest u mnie syn.

– To on tak bałagani?

Powieki mężczyzny były ciężkie, policzki nieogolone, a wargi spękane. Jego dłoń drżała, kiedy otwierał okienko jeszcze o centymetr.

– Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która mieszkała tam na górze.

– Chodzi panu o Åsę?

– Tak, o Åsę Dahlström. I o jej córkę.

– Emmę. Miła dziewczynka. Wie pan, gdzie one są?

– Nie, ale czytałem pana wypowiedź w gazecie i... sam ich szukam.

Wyglądał na dezorientowanego.

– Czy nie mógłbym jednak wejść? Pada – powiedziałem, choć wcale nie byłem pewien, czy to prawda.

– Ale mam bałagan.

– Nic nie szkodzi – odparłem.

Kiedy otworzył drzwi, przedstawiłem się.

Chwycił moją dłoń i niemal uroczyście oświadczył:

– Gunnar. Gunnar Nygren.

Na podłodze leżały ubrania, w mieszkaniu czuć było stęchlizną, papierosami i czymś jeszcze, co przywodziło na myśl obskurny kopenhaski pub o czwartej nad ranem. Wszędzie stały, leżały i toczyły się puszkami po piwie.

– Pójdziemy do kuchni – zdecydował.

Uderzyło mnie, że Gunnar Nygren wcale nie ma sześćdziesięciu kilku lat. Tylko

postawa, sposób bycia, obwisłe powieki i spojrzenie zrezygnowanego alkoholika sprawiały, że wyglądał tak staro.

Miał krótkie, siwe włosy i wąsy, które nie bardzo wiedziały, czego chcą.

– Syn jest w domu – powiedział. – Wczoraj mieliśmy małą imprezę. To jest Peter.

Wskazał młodego człowieka, który siedział na kuchennej ławie i krył twarz w ramionach opartych na stole. Na ławie i na jednym z krzeseł leżały puszki po piwie, kilka kolejnych stało na blacie przykrytym poplamioną ceratą. Pośrodku stołu królowała popielniczka, w której znajdowało się kilkaset niedopałków. Młodzieniec z wysiłkiem podniósł głowę, popatrzył najpierw na mnie, a potem na ojca i rzucił:

– Kurwa, ojciec. Nazywam się Boogie.

– Oj tam, gadanie, na chrzcie daliśmy ci Peter.

– Ale teraz nazywam się Boogie.

Młodzieniec znowu schował twarz w ramionach. Wyglądał, jakby zasnął.

– Chcesz piwa? – zapytał Gunnar.

– Trochę za wcześnie dla mnie – odpowiedziałem.

Otworzył lodówkę i zaraz ją zamknął.

Ze środka doleciała stęchła woń, jakby zepsutego jedzenia, ale nie wiem, czy dlatego zamknął drzwiczki.

– Myślałem, że jeszcze jest, ale...

Przestał mamrotać i zaczął przeglądać puszki na blacie.

– O, tu mamy jedną.

Przeczytał napis na puszcze i mruknął:

– Kuźwa, to tylko lekkie piwo. Peter, wypileś wszystkie zwykłe?

– Boogie – wymamrotał młodzieniec, nie unosząc głowy.

– Możemy wypić na pół – zwrócił się do mnie Gunnar. – Ale nie jest zimne.

– Dzięki, nie trzeba – odparłem. – Opowiedz mi o Åsie. I o Emmie.

Otworzył puszkę, przytknął ją do ust i zaczął łapczywie pić. Głośno beknął i otarł usta.

– Cholera wie, co tam się stało.

– Spotykaliście się?

– Codziennie. Prawie.

– A potem... tak po prostu zniknęły?

Znów wyglądał na zdezorientowanego, zaczął grzebać w popielniczce pełnej niedopałków i znalazł jednego papierosa, który nie był wypalony aż do filtra. Włożył go pomiędzy suche wargi i zapalił zapalniczką z dużego pudełka.

– Myślę, że ją zabrali.

– Kto?

Boogie podniósł głowę i wymruczał:

– Gówno wiesz, ojciec.

– Kurwa, mogę sobie myśleć, co chcę.

– Kto? Kto ją zabrał? Dziewczynkę też?

Gunnar skinął głową.

– Tak, dziewczynkę też. Chyba nie chciała wsiadać do karetki, ale ją zmusili.

– Do karetki? Gunnar, o czym ty mówisz?
Boogie znów podniósł głowę i powiedział:

– Ojciec, to nie była karetka.

– Wyglądała jak karetka.

– To był duży, biały samochód. Masz przywidzenia, jak chlejesz.

Nie widziałem, co Boogie ma na nogach, ale na górze był ubrany tylko w czarną, skórzaną kamizelkę. Chuda pierś i gołe, wątle ramiona były całe w tatuażach – wszystko, od róz przez węże i serca aż po jakieś miecze. Włosy do ramion, czarne i przetłuszczone. W dolnej wardze tkwił cienki kolczyk, a na szyi wisiały trzy lub cztery łańcuchy – z gwiazdami, krzyżami i czymś, co wyglądało jak choinka. Na palcach miał cztery trupie czaszki, a wokół oczu coś, co chyba nazywa się kajal. Wyglądał jak szop pracz. Poza tym był blady jak trup.

– Dlaczego mieliby ją zabierać zwykłym samochodem, skoro była chora? – zapytał Gunnar.

– A była? – odpowiedział Boogie.

– A po co by przyjeżdżali ją odebrać?

Przerwałem:

– Przed chwilą mówiłeś, że ją zabrali, a teraz mówisz, że przyjechali ją odebrać. To pewna różnica.

– Tak mówiłem? – zastanowił się Gunnar.

Po jakimś czasie udało mi się ustalić, że Boogie mieszka w Klippan i lubi hard rocka. Obaj z ojcem lubili Åsę, bo była miła, przyjazna i uczynna. Gunnar bardzo lubił Emmę.

– Tak dobrze opiekowała się matką.

Żaden z nich nie wiedział dokładnie, gdzie pracuje matka Emmy, ale wydawało im się, że zbiera jagody i warzywa, wykopuje ziemniaki. Ima się każdej pracy.

– Wygląda bardzo sympatycznie – powiedział Gunnar.

– Nie mój typ – stwierdził Boogie.

– No tak, nie ma tatuaży – burknął Gunnar.

Syn wlepił w niego wzrok.

Jeśli wziąć pod uwagę liczbę puszek i zapach, który dolatywał od starszego i młodszego Nygrena, można było zrozumieć, dlaczego tyle czasu zajęło im ustalenie, kiedy Åsa Dahlgren została zabrana.

W końcu zgodzili się, że to było o północy albo kilka minut później.

– Weszła tam sama? – zapytałem.

– Podtrzymywali ją – odpowiedział Gunnar.

– Ilu ich było?

– Trzech.

– Trzech mężczyzn?

Obaj skinęli głowami.

– Rozmawialiście z nimi?

– Nie. Chciałem zapytać, o co chodzi, ale nie zdążyłem wyjść.

– Byłeś pijany i się przewróciłeś – mruknął Boogie.

– Potknąłem się o krawędź dywanika – odparł Gunnar.
Długo oglądałem mieszkanie, ale nigdzie nie zauważyłem żadnych dywaników.
– A tak w ogóle to coś ty za jeden? – spytał Gunnar.
– Harry Svensson – odpowiedziałem.
– To już mówiłeś, ale czym się zajmujesz? Czego chcesz od Åsy?
– Chce ją zerznąć – podsunął Boogie i zaczął się śmiać.
Przestał, kiedy ojciec zdzielił go pięścią prosto w twarz.
– Kurwa, a to za co? – zawołał, masując sobie nos.
– Nie wolno tak mówić o kobietach – odparł ojciec.
– Chciałbym zdobyć kilka informacji na jej temat – powiedziałem szybko.
– Jesteś gliną? – rzucił Boogie. Odwrócił się do ojca. – Chyba, do jasnej cholery, nie wpuściłeś tu gliniarza?

Gunnar nie odpowiadał, więc wyjaśniłem:

– Jestem dziennikarzem i zajmuję się pewną sprawą, w której Åsa Dahlgren prawdopodobnie mogłaby mi pomóc.

– Jaką sprawą? – zapytał Gunnar.

– Nie mogę zdradzić.

Boogie przyjrzał mi się i zapytał:

– Wiesz, że jej facet został zastrzelony, co nie?

Nie wiedziałem tego. Po krótkim namyśle odparłem:

– Nie. Jak to się stało?

– Jakiś skurwiel go zastrzelił, posłał mu kulkę w czoło. Åsa mówiła, że wie, kto to zrobił. Chciała, żebym jej pomógł. Znam kilku chłopaków, którzy jeżdżą motocyklami i załatwiają takie rzeczy.

– Zadajesz się z cholernymi bandziorami – wtrącił Gunnar Nygren.

Mogłem się z tym zgodzić, ale nie miałem zamiaru osądzać ani oskarżać Boogiego o obracanie się w niewłaściwym towarzystwie, chciałem tylko wiedzieć, co powiedział i zrobił.

– No i? Co zrobiłeś?

– Dałem jej numer, pod który miała zadzwonić.

– Do kogo?

Boogie uśmiechnął się tak, jakby miał do czynienia z idiotą.

– Myślisz, że ci powiem? Też dostałbym kulkę w łeb.

– Co cię łączy z takim gangiem?

Boogie tylko wyszczerzył zęby, ale jego ojciec odpowiedział:

– Kupuje od nich szajs, który później pali.

– Twoje pieprzone piwsko jest lepsze, tak? – najeżył się syn.

– To gównno źle ci robi na głowę.

– A twoje jak ci robi?

Nie zapowiadało się, że Nygrenowie powiedzą mi dużo więcej.

– Nadal pada? – spytał Gunnar.

– Na to wygląda – odparłem, choć nie byłem pewien.

– Ale, jak pragnę zdrowia, lato było całkiem przyjemne.

Boogie wstał, gdy tylko się pożegnałem. Wyszedł z kuchni, wszedł do pokoju obok i po trzydziestu sekundach rozbrzmiała muzyka. Nie zdziwiłem się, kiedy usłyszałem hard rocka. Gunnar wyszedł ze mną na klatkę schodową, wskazał kciukiem mieszkanie i oznajmił:

– AC/DC. Nie są źli. Taka muzyka łączy pokolenia. Kilka lat temu byliśmy z Peterem na ich koncercie w Parken w Kopenhadze.

Kiedy wyszedłem na względnie czyste powietrze i ruszyłem do samochodu, nadal słyszałem muzykę.

Gunnar Nygren stał przy oknie w kuchni i machał, kiedy odjeżdżałem.

Odmachałem mu.

Inger Johansson wspominała o rolniku, który został zamordowany. Pamiętałem jak przez mgłę, że coś takiego się stało, ale nigdzie o tym nie czytałem ani nie interesowałem się tą sprawą. Coś takiego mógł opowiedzieć Andrius Siskaukas. Twierdził, że według policji chodziło o kradzież benzyny, ale sam był przekonany, że rolnik miał coś wspólnego z przemytem alkoholu i papierosów.

– Wszyscy rolnicy się tym zajmują, inaczej by się nie utrzymali – twierdził Andrius.

O ile dobrze pamiętałem.

Człowiekiem, który powinien to pamiętać, był dawny szef redakcji newsowej Lars Berglund. Pojechałem więc do Lerberget.

Choć w powietrzu wisiał deszcz, Berglund jak zwykle siedział przed domem i malował wąskie deski płotu, ale okazało się, że nie ma nic przeciwko temu, żeby zrobić sobie przerwę, nastawić kawę i zapalić fajkę.

Rzeczywiście pamiętał zabójstwo rolnika.

– Zgadza się, nazywał się Dahlström. Kiedy coś takiego się dzieje, zawsze przychodzi mnóstwo informacji, ale nie udało nam się ustalić nic konkretnego. Chyba masz rację, że według policji chodziło o kradzieże benzyny, w tych okolicach to prawdziwa epidemia, ale powodów mogło być mnóstwo.

– Na przykład jakie? Mój kolega Litwin uważał, że Dahlström handlował towarami z przemytu: alkoholem i papierosami.

– Nie wiem, czy tak było, ale ludzie, z którymi rozmawiałem, mówili, że Dahlström to przyzwoity człowiek i że źle skończył, bo za dużo wiedział.

– O czym?

– Nie mam pojęcia, ale dzierżawił ziemię od Edwarda Björkenstama i...

Wykonał szeroki gest ręką, w której trzymał fajkę. Jakbym miał się domyślić reszty.

– I? – zapytałem.

– Björkenstam jest dobry w ukrywaniu różnych rzeczy. Wtedy właśnie przestałem informować redakcję o tym, co usłyszałem, bo nie widziałem żadnych rezultatów. Albo nie byli zainteresowani, albo w zarządzie gazety zasiadał jakiś dobry przyjaciel Edwarda Björkenstama. Zawsze podejrzewałem, że to szef działu ogłoszeń leżał, że się tak wyrażę, w niewłaściwym łóżku.

Wciąż próbował wstrzymać publikację kontrowersyjnych artykułów i zacząłem

w tym dostrzegać pewien schemat. Nie było problemu z opublikowaniem demaskatorskiego reportażu o handlu na bazarze w Helsingborgu, bo zajmowali się nim imigranci, ale nie można było napisać nic na temat Björkenstama, chyba że dotyczyło to jego modelu kolejki. Ponoć robi wrażenie.

– Czyli były powody, żeby demaskować jakieś jego interesy. Jakie?

– Jeden z moich informatorów stwierdził, że zabicie Dahlströma to była egzekucja, robota na zlecenie, wykonana przez płatnego mordercę.

– Czy policja nie mogłaby tego ustalić?

Berglund wzruszył ramionami i znów machnął fajką.

– Może Björkenstam tam też ma znajomości?

Berglund wzruszył ramionami i machnął fajką, ale tym razem również się uśmiechnął.

Zacząłem bębnić palcami po stole.

W końcu podjąłem decyzję.

– Pojadę do Björkenstama – powiedziałem. – Jeżeli niczego się nie dowiem, przynajmniej zobaczę to jego pole golfowe.

– Z tym też były problemy – zauważył Berglund. – Urządził pole golfowe na chronionym terenie, bez pozwolenia. To również jakimś cudem mu się upiekło.

– Czy gdybym wysłał ci wszystko, co mam, mógłbyś się tym zająć?

– To znaczy?

– Zsynchronizować, złożyć wszystko do kupy i... może przepisać?

– Dla kogo?

– Jeżeli zdobędę to, co mam nadzieję zdobyć, to chyba nie powinno być problemów z publikacją.

– Jasne – odparł.

Zbliżała się pora lanczu. Miałem zamiar podjechać do Mölle i zobaczyć, czy Agneta Björkenstam przyszła do knajpy, ale kiedy zadzwoniłem do Evy Månsson i zdałem jej raport, doszedłem do wniosku, że pojadę do domu rodziców Björkenstama w Solviken.

Żeby tam dotrzeć, należało skręcić w małą dróżkę kilkaset metrów nad portem. Szybko zrobiła się bardzo wąska. Przy drodze stały dwa znaki informujące o miejscach, w których samochody mogą się mijać. Bosse Rybak jako pierwszy wspomniał o małym polu golfowym. Dróżka wiodła przez nie i niknęła w zagajniku. Potem wystarczyło tylko przejechać przez kilka otwartych furtek. Kiedy wjechałem na dziedziniec, stały tam dwa samochody. Jeden mały, sportowy. Pomyślałem, że właśnie nim Edward Björkenstam jeździ się kąpać. Drugim samochodem był czarny mercedes.

Zaparkowałem obok i popatrzyłem na dom.

A właściwie zamek.

Może nie reprezentował klasy Downtown Abbey, ale wyglądał jak miniatura, którą Edward Björkenstam mógł zabrać z angielskiej wsi. Może załadował go na swój model pociągu.

Nikt nie wyszedł, żeby mnie powitać.

Nikogo nie widziałem, nikogo nie słyszałem.

Wszedłem po dwóch schodkach i stanąłem przed dużymi drzwiami.

Czy na takich drzwiach nie powinna być zamontowana kołatka?

Usłyszałem dźwięk, który skojarzył mi się z traktorem.

Po drugiej stronie dziedzińca rósł las. Zszedłem ze schodków, zrobiłem kilka kroków i rzeczywiście zobaczyłem nadjeżdżający traktor. Zatrzymałem go. Kierowca otworzył drzwiczki i wyjrzał.

– Björkenstam? – zapytałem. – Zastałem go w domu?

– *Swedish no... English...? German...?* – Traktorzysta wzruszył niecierpliwie ramionami.

– *Björkenstam, ist er hier?* – spróbowałem.

– *Boss da drüben* – odparł i wskazał drugą stronę domu.

Ścieżka, która wiodła naokoło budowli, była tak starannie wygrabiona, że aż mnie to śmieszyło. Na starannie przystrzyżonych trawnikach rosły drzewa różnej wielkości i rozmaitych gatunków. Sto metrów niżej, w kącie ogrodu, przy okazałej stercie gałęzi i gałązek, stał Edward Björkenstam.

Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w ciemnozielonych kombinezonach.

Sam Björkenstam miał na sobie duży słomkowy kapelusz z szerokim rondem, koszulę i spodnie khaki. Kiedy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że ma na nogach masywne, wysokie buty. Wyglądało na to, że polewał stos gałęzi benzyną z wielkiego kanistra.

Jeden z mężczyzn coś powiedział i mnie wskazał.

Björkenstam się nie odwrócił. Albo nie usłyszał, co mówił ten człowiek, albo go to nie obchodziło. Stawiałem na to drugie. Jestem wyjątkowo uprzedzony do tego typu ludzi.

– Myślałem, że przy takim upale obowiązuje zakaz rozpalania ognia.

Nie było to najlepsze powitanie na świecie. Nic dziwnego, że Björkenstam się nie odwrócił.

Podał kanister mężczyźnie, który mnie wskazał. Potem wyjął pudełko zapalek, potarł jedną i wrzucił w stos.

Rozległ się odgłos zapalanej benzyny. Po chwili ogień objął cały stos, zaczęło sypać iskrami i trzaskać.

Płomienie oświetlały twarz Björkenstama.

Wyglądał, jakby się uśmiechał.

Cofnąłem się o kilka kroków, bo zrobiło się gorąco.

Björkenstam stał nieruchomo.

Kiedy wreszcie się odwrócił, zapytał:

– A kim ty, do cholery, jesteś?

– Harry Svensson – przedstawiłem się. – Jestem dziennikarzem.

– Nie zadaję się z taką hołotą – oznajmił i wyszczerzył zęby do dwóch mężczyzn w kombinezonach. Nie byłem pewien, czy zrozumieli. Chyba wybuchnęli śmiechem tylko dla bezpieczeństwa.

– Nie musimy się ze sobą zadawać. Chciałbym tylko zapytać o kilka rzeczy.

– A dlaczego miałbym ci odpowiedzieć?

– To nie o to chodzi, musisz...

– Kto ci powiedział, że możesz mi mówić na ty?

Zbił mnie z tropu, ale odparłem:

– Myślałem, że skoro w latach sześćdziesiątych wprowadzono u nas taką reformę...

– Nie myśl tyle.

Tym razem naprawdę straciłem wątek.

Powiedział coś po niemiecku do dwóch Polaków i ruszył w stronę zamkopodobnego domu. Szedł długimi krokami i patrzył w niebo, otwierając usta. Musiałem podbiec, żeby się z nim zrównać. Dwaj mężczyźni stali dalej przy ognisku.

– Pracuję nad artykułem o...

– Nie jestem zainteresowany.

– To artykuł o plantacji konopi w lesie.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał mi w oczy. Byliśmy prawie równego wzrostu. Dało się zauważyć, że Jacob Björkenstam odziedziczył po nim rysy i postawę, ale Edward zaczynał się trochę zaokrągląć.

– Dostaliśmy informację, że możesz... że może pan coś o tym wiedzieć.

Byłem wściekły na siebie, że się poprawiłem, ale chodziło mi przede wszystkim o to, aby go zatrzymać i skłonić do powiedzenia czegoś, co pozwoli mi zachować twarz. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Björkenstam obrócił się na pięcie i zaczął się ode mnie oddalać. Kiedy wyszliśmy z za rogu domu, wskazał mój samochód.

– To twój?

– Tak.

– To wsiadaj i zmiataj, zanim zadzwonię na policję.

– Może ja powinienem to zrobić i powiedzieć im o ognisku...

– To nie twój zasrany interes. To moje włości i mogę sobie na nich robić, co zechcę.

Był pierwszym znanym mi człowiekiem, który wypowiedział słowo „włości” w taki sposób, że zabrzmiało całkiem naturalnie w zdaniu.

– Może produkuje pan narkotyki, skąd mogę wiedzieć. W tych stronach to powszechne, widziałem zdjęcie w dzisiejszej gazecie.

– Samochód jest tam – wskazał ręką. – Spływaj.

Otworzyły się drzwi i z domu wyszła Viveca Björkenstam. Jack russell terrier podbiegł do mnie, szczekając. Rozpoznałem kobietę i psa, widywałem ich w różnych częściach Solviken. Oni z kolei widzieli mnie rok temu, jak kąpałem się nago z Bodil. Może dlatego pies tak się cieszył. Na myśl o nagiej Bodil Nilsson każdy szczekałby z radości.

Przykucnąłem.

Pies merdał ogonem. Obwąchał moją dłoń i zaczął ją lizać.

– Zostaw psa w spokoju – wycedził Edward Björkenstam.

– To on do mnie podbiegł – odparłem, wstając.

– Co to za człowiek? – zapytała Viveca Björkenstam.

– Dziennikarz. Węszy tutaj, ale zaraz odjedzie.

– Otto, do nogi! – krzyknęła i zaklaskała w dłonie.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że krzyczała na psa. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego właściciele psów nadają im staroświeckie ludzkie imiona. Ale może powinienem się cieszyć, że nie wabił się Kent-Olle.

Otto nie posłuchał.

Chodził koło moich nóg i podskakiwał, zapraszając do zabawy.

– Idź do pańci! – wrzasnął Björkenstam.

Otto skulił się na dźwięk rozzłoszczonego głosu i z podkulonym ogonem wbiegł z powrotem po schodach.

Zawołałem do Viveki Björkenstam:

– Miałem kilka pytań o plantację konopi, ale pani mąż nie chce nawet wysłuchać, co mam do powiedzenia! Może pani...

– Skończ to pierdzielenie i spadaj – warknął Edward Björkenstam.

Poszedłem do samochodu, wsiadłem i uruchomiłem silnik. Kiedy mijałem Edwarda Björkenstama, zatrzymałem się, opuściłem szybę i oznajmiłem:

– Może następnym razem będę mógł zobaczyć model pociągu.

Poczerwieniał na twarzy i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale z powrotem podniosłem szybę i odjechałem.

Zobaczyłem w lusterku jego wściekle, płonące spojrzenie.

Żona patrzyła to na niego, to na mój samochód.

Nie wiem, co robił pies. Polubiłem go.

Było za ciepło na lancz, więc usiadła na ławce i próbowała jeść loda włoskiego, zachowując przy tym godność.

Coś musiało być z nim nie tak, bo zaczął cieknać, gdy tylko wzięła do ręki rozek. Cokolwiek robiła, i tak większość lądowała na ziemi.

Harry Svensson jej nie zauważył. Wsiadł z samochodu i długim krokiem ruszył w kierunku lokalu, w którym spotkali się kilka razy.

Po drodze przystanął i przywitał się z człowiekiem, którego widywała właściwie codziennie. Wiedziała, że tamten ją zobaczył, choć próbował to ukryć. Miał na sobie koszulkę, ogrodniczki o obciętych nogawkach, które sięgały poniżej kolan, i jak zwykle był na bosaka.

Kiedy się rozdzielili, Harry zaczął się rozglądać na wszystkie strony, obejrzał każdy stolik po kolei, popatrzył na molo i wreszcie się odwrócił i ją zauważył.

– Można się przysiąść?

Pokiwała głową i odpowiedziała:

– Tak, ale nie kupuj lodów. Od razu się rozpuszczają.

Harry wydawał się niespokojny, nie był tak wyluzowany i *cool* jak przy poprzednich spotkaniach. Oparł dłonie na ławce i wyciągnął nogi przed siebie.

– Coś się stało? – zapytała.

Zdała sobie sprawę, że o to samo pytała tego dnia swojego męża.

– Jak to się mówi w tych stronach: dużo tego było. Dzieją się tu dziwne rzeczy.

– Nastaly nowe czasy.

– No nie wiem – odparł Harry. – Myślę, że w każdym czasie jest ten sam syf, ale kiedyś takie sprawy nie wychodziły na jaw. Dawniej bogaczom wszystko uchodziło

na sucho, dlatego że mogli zapłacić i wszystko wyciszyć. Albo po prostu dlatego, że byli bogaczami.

Nie rozumiała, o czym mówił, ale po raz kolejny miała wrażenie, że jego słowa w jakiś sposób jej dotyczą, że świat, w którym żyła, już niedługo będzie wyglądał zupełnie inaczej.

– Niedawno rozmawiałem z Dannem, to znaczy z kapitanem portu. Słyszał, że do Mölle niedługo ma przy płynąć rosyjska łódź. Ponoć jakiś bogaty Rosjanin ma tu odwiedzić swojego partnera biznesowego.

Rożek z lodem prawie wypadł jej z ręki. Nie miała pojęcia, dlaczego nie powiedziała, że zna tę łódź. Wiedziała, że ma przy płynąć i że bogaty Rosjanin, Dmitrij Golovin, odwiedzi jej męża.

– Masz lody na szortach – zauważył Harry Svensson.

– Oj, ale ze mnie niezłoda.

Odpłynęła myślami i nawet nie spostrzegła, jak lody kapnęły jej na szorty. Wytarła plamę resztką serwetki i razem z wafelkiem i lodem wrzuciła do kosza na śmieci, który stał koło ławki.

– Może chcą odwiedzić tych ludzi z rosyjskiego samochodu? – podsunął Harry.

Wytarła dłonie o trawę pod ławką, wyprostowała się, spojrzała na niego i zapytała:

– Kogo? O kim mówisz?

– O Rosjanach z samochodu.

– To znaczy?

– Nie widziałeś w okolicy rosyjskiego auta?

Pokręciła głową.

– Wszyscy o nim mówią. Duży, biały SUV z przyciemnianymi szybami. Sam go nie widziałem, ale ma rosyjskie tablice rejestracyjne i rzuca się w oczy w całej okolicy. Ludzie się zastanawiają, kto nim jeździ.

Jeżeli artykuł w gazecie był przynętą, to opowiadając to wszystko Agnecie Björkenstam, zarzuciłem całą cholerną sieć.

Może źle odczytałem jej reakcje, ale wydawało mi się, że część z tego, co mówiłem, zrobiła na niej wrażenie. Jakby Agneta nie wiedziała, co odpowiedzieć i jak zareagować – bo przecież oficjalnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, kim jest.

Każde z nas rozgrywało swoją grę.

Moje pionki jeszcze się nie skończyły.

Nie wiedziałem, ile pionków ma w zanadrzu Agneta – ani nawet, czy ułożyła pole gry i zaczęła potrząsać kośćmi.

To się miało okazać.

Przyszedł SMS od Jonny. Pytała, czy mam Skype'a. Zatrzymałem się na parkingu koło kempingu w Mölle. Uruchomiłem komputer, wysłałem SMS-em swoją nazwę użytkownika i po kilku sekundach usłyszałem charakterystyczny bulgoczący dźwięk.

– Cześć – powiedziała.

Wyglądała jak zwykle.

Krótkie jasne włosy ostrzyżone na pazia, krzywy uśmiech, żywe oczy.

– Włącz kamerę – rzuciła.

- Nie lubię...
- Włącz kamerę.
- Jestem nieogolony.
- Włącz kamerę, bo się rozłączę.

Włączyłem kamerę.

- Nie jesteś nieogolony.
- Wiem – odparłem.

Pokręciła głową i się skrzywiła, jakby chciała zapytać: „Co ty kombinujesz?”. Cała ona.

Wyglądała, jakby siedziała w kuchni, za sobą miała otwarte okno, lodówkę, zamrażarkę i zlewozmywak. Dało się słyszeć śpiew ptaków.

Nie słyszałem za to żadnych dzieci. Może była sama w domu. Nie pytałem.

- To trochę potrwa – zaczęła.
- Okej.

– Kiedy w końcu znalazłam klucz, wokół Jacoba Björkenstama otworzył się zupełnie nowy świat. Tych informacji jest znacznie więcej niż oficjalnych.

– Okej. No więc?

– Jest synem Edwarda i Viveki Björkenstam. Wiesz, co to za jedni?

– Tak, już wiem – odparłem.

– Powinieneś wiedzieć, bo latem mieszkają w Solviken, a przecież tam właśnie jesteś.

– Tam właśnie jestem.

Jonna mówiła dalej:

– No więc... opowiem ci to w ogólnym zarysie, a potem wydrukuję, zeskanuję i prześlę mailem, żebyś mógł spokojnie przeczytać.

– Okej.

– Jeśli chodzi o zdarzenie w Båstad, lokalne gazety sporo o tym pisały, ale bez nazwisk.

– Wtedy prasa nie podawała ich tak często.

– Chodziło o kłótnię, która szybko eskalowała. Wybuchła w knajpie, chyba we wczesnej Pepes Bodedze. Wiesz, w tej miejscówce dla celebrytów. O ile dobrze zrozumiałam, na początku była to tylko dziura w ścianie.

– Wiem – odpowiedziałem. Robiłem tam reportaż typu „To tutaj imprezują celebryci”, podczas cieszącego się złą sławą tygodnia, kiedy to w Båstad odbywa się Swedish Open.

– Awantura przeniosła się na ulicę i jeden człowiek został skopany na śmierć. Sprawcy nie ujęto. Znalazłam za to ciekawe informacje z czasów, kiedy Björkenstam chodził do szkoły z internatem. Okazuje się, że wiódł prym w koceniu pierwszoroczników, znęcaniu się nad innymi i tego typu rzeczach. O tym też pisały gazety, ale sprawę wyciszono.

– Wow.

– Jest tego więcej, znacznie więcej, dotknęłam tylko czubka góry lodowej.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny. Znalazłaś coś o jego żonie Agnecie?

– Tak. Wydaje mi się, że nie pasuje do tego towarzystwa. Wszyscy znajomi Björkenstama należą chyba do wyższych klas społecznych, a pani Björkenstam jest córką hydraulika z Huddinge. Jego nazwisko brzmi... Poczekaj, miałam to tutaj... Lundgren. Jan-Åke Lundgren. Jego żona ma na imię Gun, a Agneta to ich jedyne dziecko.

– Agneta i Jacob mają dzieci?

– Syna Carla. Ma siedemnaście lat i podobno jest obiecującym tenisistą.

– Wow – rzuciłem znowu.

– Ona i Björkenstam bardzo dobrze razem wyglądają.

Powiedziałem, że się spotkaliśmy.

– Co ty kombinujesz? – spytała Jonna.

– Nie bardzo wiem.

– Czyli jak zwykle: nie wiesz, mówisz, że to nic takiego, a potem nagle wyskakuje największa sprawa pod słońcem, jakbyś po prostu natknął się na nią przez przypadek. Na końcu przypisujesz sobie wszelkie zasługi i wszyscy myślą, że jesteś najlepszym dziennikarzem na świecie.

– Sam nie doszedłbym do tego wszystkiego, o czym mi powiedziałaś.

– Nie przesadzaj, nie zajmuję się operacjami na otwartym mózgu.

– No dobrze, ale potrwałoby to znacznie dłużej – uściśliłem.

– To prawda – zgodziła się Jonna.

Nie powiedziałem, że najbardziej sensacyjne tematy często trafiają się dziennikarzom przez przypadek. Zamiast tego zapytałem:

– Czym się zajmują Björkenstamowie? W jaki sposób się dorobili? Odziedziczyli tę fortunę?

– Po części tak, ale jeszcze nie ustaliłam tego do końca. Wygląda na to, że Edward Björkenstam sam do tego doszedł. Choć pewnie nie zaczynał z pustymi rękami. Z kolei Jacob żył z pieniędzy ojca. Zmieniło się to dopiero kilka lat temu.

– Co się wtedy stało?

– Dowiem się i zadzwonię jeszcze raz, ale ma to jakiś związek z Rosją.

– Dziękuję, Jonna.

– To było miłe. Fajnie tak się oderwać na chwilę. Sprawdzaj pocztę, będę wysyłała materiały partiami.

Pomachałem i się rozłączyliśmy.

Jeszcze przez chwilę siedziałem i myślałem o tym, co mnie spotkało tego dnia i czego się dowiedziałem od Jonny.

Już zapomniałem, jaka jest słodka, kiedy się uśmiecha.

W końcu zadzwoniłem do Arnego. Nie odbierał.

Postanowiłem, że złożę kolejną wizytę na plantacji. Pojechałem do sklepu w Brunby, kupiłem kilka butelek wody, wiadro, środek czyszczący i szczotkę. Pomyślałem, że to wystarczy, żeby usunąć piasek wgrzyziony w kamienną tablicę.

Nawet do niej nie dotarłem.

Po kilku kilometrach zobaczyłem we wstecznym lusterku dwóch motocyklistów. Nie wiedziałem, skąd nadjechali, zbliżali się szybko, ale wyglądało na to, że nie chcą mnie wyprzedzić, a jedynie siedzieć mi na ogonie.

Po jakimś czasie zwolnili i prawie zniknęli z lusterka, ale po chwili znów podjechali blisko. Zbyt blisko. Zmniejszyłem nacisk na pedał gazu, żeby dać im się wyprzedzić, ale woleli zostać z tyłu. Musiałem patrzeć na drogę przed sobą, więc trudno mi było jednocześnie spoglądać w lusterko, ale spostrzegłem, że ich kaski przypominają hełmy niemieckich żołnierzy z czasów drugiej wojny światowej. Długie czarne włosy jednego z motocyklistów powiewały na wietrze.

Poza tym obaj mieli kamizelki, rękawiczki i gołe ramiona. Siedzieli lekko odchyleni do tyłu i wyglądało na to, że jest im wygodnie.

Nieco dalej droga skręcała w lewo. Włączyłem kierunkowskaz, zwolniłem i przygotowywałem się do skrętu, żeby pojechać w stronę morza.

Motocykle też zwolniły. Jeden z nich pokazał, że chce skręcić w lewo.

Skręciłem, a motocykle pojechały za mną.

Sto metrów dalej długowłosey nagle wyskoczył, jakby chciał mnie wyprzedzić, ale zrównał się ze mną. Popatrzył na mnie i dał znak lewą ręką, żebym stanął.

Drugi trzymał się za samochodem.

Zwiększyłem prędkość. Długowłosey motocyklista zwolnił i dołączył do kolegi.

Krzyknęli na siebie, skinęli głowami, po czym długowłosey znów się ze mną zrównał.

Miał na sobie dzinsy i ciężkie buty.

Motor był czarny, na baku widniał napis „Harley Davidson”.

Motocyklista znów dał mi znak, żebym się zatrzymał. Wtedy zobaczyłem drogę zjazdową i zaskoczyłem ich obu – skręciłem kierownicą i odbiłem w prawo, aż opony zapisały na asfalcie.

Tamci pojechali dalej prosto.

Wcisnąłem gaz do dechy i prulem przed siebie, aż dotarłem do pola z pasącymi się krowami.

Zahamowałem, otworzyłem drzwi i nadstawiłem uszu.

Warkot motocykli dobiegał z oddali, ale nie cichł, robił się coraz głośniejszy. Najwyraźniej zawrócili.

Rozejrzałem się: krowy po prawej, winnica po lewej, przede mną otwarta brama. Zamknąłem drzwiczki, przejechałem przez bramę i znalazłem się w winnicy.

Okolica była znana z uprawy wina, ale nigdy nie odwiedziłem żadnej z winnic. Ścieżki między tyczkami do winorośli były zwirowo-trawiaste i wydawały się wystarczająco szerokie, żeby dało się przejechać samochodem.

Wrzuciłem jedynkę i ruszyłem.

Auto podskakiwało na nierównej drodze. Gałęzie uderzały o szyby i ocierały się o boki wozu. Wreszcie ścieżka się urwała i stanąłem przed drucianym ogrodzeniem.

Po tej stronie plantacji nie widziałem żadnej furtki ani wejścia, ale wzdłuż siatki biegła droga. Po jej drugiej stronie stały wille.

Między domami dało się dostrzec wody zatoki Skälderviken.

Wprawdzie padał drobny deszczyk, ale ziemia była w dalszym ciągu tak sucha, że na trasie mojego przejazdu wciąż unosiła się chmura pyłu. Gdyby motocykliści byli wystarczająco inteligentni, bez trudu zorientowaliby się, w którą stronę pojechałem.

Wrzuciłem jedynekę i wcisnąłem gaz do dechy.

Ogrodzenie się ugięło, ale nie ustąpiło. Tylne koła buksowały po trawie.

– Kurwa! – wrzasnąłem.

Gdybym miał szczytce przegubowe, mógłbym sobie poradzić z siatką, ale zwykle nie nosiłem ich przy sobie. Wrzuciłem więc wsteczny bieg i pojechałem jakieś dwadzieścia metrów do tyłu, między tyczkami. Zahamowałem, wrzuciłem jedynekę i ruszyłem z takim impetem, że samochód wpadł w poślizg.

Tym razem ogrodzenie ustąpiło, wyjechałem na ulicę i zdążyłem skrócić kierownicę na tyle szybko, żeby uniknąć zderzenia ze strategicznie ustawionym wózkiem dziecięcym i znakiem drogowym ostrzegającym przed bawiącymi się dziećmi. Za to przewróciłem cztery skrzynki na listy.

Dojechałem do długiego muru. Najwyraźniej to była ślepa uliczka. Wycofałem, zawróciłem i pojechałem z powrotem tą samą drogą. Jeżeli naprawdę w okolicy bawiły się dzieci, miałem nadzieję, że się kąpią albo siedzą w domach.

Kiedy mijalem przewrócone ogrodzenie, między tyczkami zobaczyłem motocykle. Kurzyło im się spod kół.

Przyspieszyłem, bardziej czując, niż widząc je za sobą, i skręciłem w kolejną drogę. Po lewej stronie znajdowała się winnica, a po prawej jeszcze więcej pasących się krów.

Motocykliści byli tuż za mną. Gnałem sto dwadzieścia na prostym odcinku, ale i tak mnie dogonili.

Długowłosy wjechał na pas obok.

Ten drugi został z tyłu.

Kiedy długowłosy przyspieszył, żeby zajechać mi drogę i zmusić mnie do zatrzymania się, skręciłem kierownicę w lewo i gwałtownie zahamowałem.

Długowłosy spadł z siodelka, kiedy uderzyłem w jego motocykl. Rozległ się głośny szcęk metalu. Ten drugi wjechał prosto w tył samochodu, wypuścił kierownicę z rąk, przeleciał nad dachem i maską i dosłownie stanął przede mną na głowie. Jego motor został za mną.

Tylne koło drugiego motocykla nie przestało się kręcić. Motor stanął dęba, jak dwukołowy wózek bez woźnicy podjechał dziesięć czy piętnaście metrów i zatrzymał się na ogrodzeniu z drutu kolczastego.

Krowy rozbiegły się, mucząc.

Przez chwilę siedziałem w bezruchu i próbowałem złapać oddech. W końcu otworzyłem drzwiczki.

Jeśli nie liczyć warkotu silnika, mojego oddechu, pulsu i lekkiego perkotania leżącego z tyłu motocykla, panowała cisza.

Krowy zatrzymały się dwadzieścia pięć metrów dalej przy białej wannie i spoglądały z zaciekawieniem albo z niepokojem.

Długowłosy leżał na boku, plecami do mnie.

Ruszał się, ale nie wydawał się całkiem świadomy.

Na lewym przedramieniu miał duże krwawe zadrapania.

Na plecach jego kamizelki widniał napis „Dark Knights”.

Ten drugi leżał na brzuchu. Był nieruchomy, a głowę miał wykręconą pod dziwnym kątem. Zrozumiałem, że nie żyje.

Na jego kamizelce też było napisane „Dark Knights”.

Lewy przedni błotnik się zdeformował, kiedy uderzył w motocykl, ale mogłem go wygiąć oburącz, żeby nie tarł o oponę. Na tylnym zderzaku znalazłem wgniecenie, a jakiś drut, śrubka albo gwóźdź w ogrodzeniu zadrapał maskę, ale poza tym samochód był w całkiem dobrym stanie. Wyglądało na to, że najwięcej szkody wyrządziły gałęzie, które zostawiły dwie długie rysy po obu stronach samochodu.

Nie mogłem dotknąć silnie rozgrzanej maski.

Moje czoło było zimne i mokre od potu.

Cały się trząsałem.

Wziąłem kilka głębokich wdechów, wskoczyłem do środka, wrzuciłem jedynekę i odjechałem.

Nikt nie jechał z naprzeciwka.

Za mną też nikogo nie było.

W końcu dojechałem do głównej drogi, ale nie skręciłem w lewo na Solviken, bo zdałem sobie sprawę, że muszę zostawić auto u kogoś, kto nie zadaje pytań. W każdym razie zbyt wielu pytań.

I pożyczyć samochód.

Zadzwoiłem do Andriusa Siskaukasa i pół godziny później zajechałem przed jego dom.

Nigdy wcześniej tu nie byłem.

Mieszkał kawałek od morza, w dużej starodawnej willi z cegły, z dobudowanym, naprawdę sporym garażem, w którym stały dwa samochody. Przed domem były trampolina dla dzieci, kamper, przyczepa do przewozu koni, kanister z benzyną, kosiarka traktorowa i dwie ciężarówki. Na dwóch narożach budynku zamontowano kamery.

Kiedy Andrius wyszedł, miał na sobie koszulkę w psychodelicznych barwach i spodenki rowerowe. Potarł brodę i zapytał:

– Co się stało z twoim samochodem?

– Przejechałem psa – odparłem.

Jeszcze mocniej potarł brodę i stwierdził:

– Myślę sobie: to musiał być duży pies.

Pokiwałem głową i rozłożyłem ręce na szerokość metra.

Z garażu wyszło dwóch chłopców Andriusa. Cała trójka zaczęła dyskutować po litewsku, obchodzić samochód, pokazywać go, przykucać, dotykać lakieru, ciągnąć za przedni błotnik i stukać w tylny zderzak. W końcu Andrius powiedział, że naprawią samochód, a nawet polakierują, a ja mogę pożyczyć od nich drugi.

Zapytałem, kiedy jego chłopcy mają kosić trawę koło szpitala.

– Chyba jutro.

– Nie mógłbyś tam podjechać i zająć się tym osobiście?

– Mógłbym, ale dlaczego?

– Bo oni mnie chyba znają. Ktoś z nich mnie zna. Mógłbyś poprosić o szklanekę wody albo o coś i mieć oczy szeroko otwarte.

– Zawsze mam otwarte oczy. A wielu Szwedów tylko śpi. Nie pracuje.
– Wiem, Andrius. Ale sprawdź, czy nie ma tam jakichś motocykli. Albo czegoś dziwnego, podejrzanego.

– W tym roku znowu ścigasz mordercę?

– Sam nie wiem, co ścigam.

– Okej, pojedę tam osobiście.

Do Solviken wróciłem granatowym bmw, model SUV.

Był nowoczesny i tak zaawansowany technologicznie, że nie rozumiałem wszystkich funkcji. Potrafiłem dodawać gazu, kręcić kierownicą i używać kierunkowskazów – byłem jednym z ostatnich mieszkańców Szwecji, którzy to robili. Wbudowany GPS stanowił jednak dla mnie kompletną tajemnicę, nie potrafiłem też cofać – najpierw musiałem się zatrzymać, wyłączyć silnik, wrzucić wsteczny w automatycznej skrzyni biegów i zapalić ponownie.

Samochód miał litewskie tablice rejestracyjne.

Robiłem co mogłem, żeby wygłądać na człowieka z Wilna.

Udało mi się zawrócić w porcie bez wrzucania wstecznego biegu. Pobiegłem do restauracji, od razu skierowałem się do kuchni i nalałem sobie szklankę calvadosu.

Ręce tak mi się trzęsły, że trochę wylałem, zanim podniosłem szklankę do ust.

Nalałem sobie jeszcze jedną.

Wypiłem nieco spokojniej.

Poszedłem z butelką do domu i znów zadzwoniłem do Arnego.

Wciąż nie odbierał.

Gdzie on był? Co robiła Emma?

Gdzie oni się podziali, do cholery?

Znalazłem numer jego sąsiadki Hjördis i zadzwoniłem.

Chwilę potrwało, zanim odebrała.

– Kto mówi? – zapytała.

– Harry, kolega Arnego.

– Ale... o co chodzi?

– Widziałaś Arnego?

– Tak, ale już jakiś czas temu.

– I co robił?

– Odjechał samochodem.

– Sam?

– Nie, była z nim ta dziewczynka, którą się opiekuje.

Co do diabła? – pomyślałem. Przecież mu mówiłem...

– Tylko oni dwoje?

– Nie widziałam nikogo innego. Latem tu we wsi nigdy nikogo nie ma.

– I nikt za nimi nie jechał?

– Nie, ulica była pusta. Tylko Arne i dziewczynka.

– To dobrze – odparłem. – Miej oczy szeroko otwarte, jeszcze będę dzwonił.

Dobrze? Po co to powiedziałem? Przecież wcale nie było dobrze.

Co kombinował Arne?

Gdyby nie to, że Hjördis widziała, jak Arne i dziewczynka odjeżdżają, mógłbym poprosić Evę Månsson, żeby tam pojechała i sprawdziła, czy nic się nie stało. Ale jeśli nie było ich w domu, mogli być gdziekolwiek.

Sprawdziłem kilka stron internetowych, ale nie znalazłem żadnej informacji o śmiertelnym wypadku motocyklowym.

Znów zadzwoniłem do Arnego.

Nie odebrał.

Znów zadzwoniłem do Hjördis.

Arne i Emma nie wrócili.

Kiedy weszła do domu, był pusty. Usiadła przy toalecie i włączyła komputer.

Poczuła, jak czerwienieją jej policzki.

Na samej górze widniał mail z odpowiedzią.

Rosyjski nadawca.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła.

Mail był dość długi, zastanawiała się, czy Dmitrij Golovin napisał go sam, czy zrobił to któryś z jego asystentów. Jeśli wziąć pod uwagę, co potrafił zrobić swoją sztuczną ręką, niewykluczone, że mógł pisać na komputerze. Maila napisano po angielsku, ale czytając go, słyszała rosyjski akcent.

Przeczytała dwa razy i położyła się na łóżku.

Serce jej waliło.

Piekły ją policzki.

Co ja zrobiłam? – pomyślała.

Co ja takiego uruchomiłam?

Kiedy zadzwonił Arne, moje pierwsze słowa brzmiały:

– Gdzieś ty się podziewał, do cholery?

– No co? O co ci chodzi?

– Nie rozumiesz, że się martwiłem? Rozmawiałem z Hjördis i powiedziała, że wyjechałeś z Emmą. Czyś ty oszalał?

– Uspokój się, Harry. Co cię ugryzło?

– Wystraszyłeś mnie – burknąłem.

– Nic takiego się nie stało, dlaczego miałoby się stać?

– Nie wiadomo. Dzwoniłem mnóstwo razy, a ciebie nie było.

– A co, moja obecność jest obowiązkowa?

– Czy ty nie rozumiesz, że to są niebezpieczni ludzie?

– Potrafię się o siebie zatroszczyć, zawsze potrafiłem.

Kiedy to mówił, w jego głosie pobrzmiwała duma.

Wziąłem głęboki oddech.

– Okej, zacznijmy od początku. Jak się czuje Emma?

– Doskonale – odparł.

– Co robiliście?

– Opowiedziałbym ci, gdybyś się tak nie zacietrzewił.

– Przepraszam. Dużo tego było ostatnio.

Opowiedziałem o wypadku motocyklowym.

Arne milczał dłuższą chwilę, a potem stwierdził:

– Tego nie przebiję. Emma i ja mieliśmy znacznie spokojniejsze zajęcia.

– Mów.

– Najpierw spotkaliśmy się ze starym redaktorem, moim byłym kolegą, który twierdził, że bardzo dawno temu pisał o twojej przyjaciółce, Vivece Björkenstam. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie, ale przypominam sobie pewne rzeczy, łącznie z nazwiskiem Björkenstam. Wiedziałaś, że Edward Björkenstam przez kilka lat, właściwie całkiem sporo, był właścicielem tutejszej cukrowni?

– Nie, nie wiedziałem.

Do rzeczy – pomyślałem. Co to ma wspólnego ze sprawą?

– Mieszkali tu przez jakiś czas albo dojeżdżali ze Sztokholmu i z Solviken. Potem cukrownia została sprzedana Duńczykom, którzy są już właścicielami wszystkich innych cukrowni.

– Aha. I co?

– Viveca Björkenstam była w tych stronach, zanim zaczęli prowadzić cukrownię.

– No i?

– Facet, z którym się spotkaliśmy, nazywa się Hilding Krona i ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Szukam ludzi, którzy nadal żyją i mogą opowiedzieć o tym, co się wtedy działo, o sprawach, które nie zostały udokumentowane. Inny stary lokalny dziennikarz polecił mi Hilinga. Pamiętałem go z dawnych czasów i myślałem, że nie żyje, ale okazało się, że mieszka w domu spokojnej starości pod Östra Grevie. Pojechalismy go odwiedzić.

No dalej, Arne – pomyślałem, choć miałem świadomość, że najlepiej pozwolić mu opowiadać we własnym tempie.

– Pojechalismy do dawnego archiwum „Trelleborgs Allehanda” – ciągnął – i zaczęliśmy oglądać wydania z sześćdziesiątego trzeciego i sześćdziesiątego czwartego roku. Panował tam cholerny zaduch i wszystko było tak zakurzone, że zacząłem kichać. Nie wiem, czy to alergia, czy początek przeziębienia. Mam nadzieję, że nie to drugie. Z letnimi przeziębieniami nie ma żartów.

– No to co udało ci się ustalić? – zapytałem. Starłem się, żeby w moim głosie nie było słycać zniecierpliwienia.

– Viveca nie miała wtedy na nazwisko Björkenstam. Nazywała się Hiort i werbowała tu prozelitów.

– Prozelitów? Co to znaczy? To coś związanego z religią?

– Tak, ale może też chodzić o politykę.

– Mów dalej.

– Jedna kochana dziewczuszka z redakcji pomogła mi sfotografować artykuł, a potem go skopiowała, choć nazwała to skanowaniem, i wysłaliśmy go do ciebie.

Otworzyłem komputer.

– Dostałem maila od „Trelleborgs Allehanda” – powiedziałem.

– W tekście nie ma o niej zbyt wiele, ale widać ją na zdjęciu. Co prawda jest młodsza, ale na pewno jej nie przeoczysz – oznajmił Arne.

Zdjęcie obok artykułu przedstawiało pięć osób – trzech młodych mężczyzn i dwie młode kobiety.

Według podpisu zostało zrobione na rynku w Trelleborgu.

Wieczorem, bo panował półmrok.

Dwaj mężczyźni trzymali w rękach pochodnie.

Jeden trzymał kawałek papieru i wyglądał, jakby wygłaszał przemówienie.

Cała piątka nosiła na ramionach opaski ze swastykami.

– Widzisz ją? – zapytał Arne w słuchawce.

– Widzę – odpowiedziałem. Flesz aparatu rozjaśnił jej twarz i sprawił, że wyglądała na bledszą od pozostałych. – Co oni tu, do cholery, robili?

Przebiegłem wzrokiem tekst.

W dzisiejszych czasach autor takiego artykułu zaznaczyłby, że się od tego odcina, ale Hilding Krona stwierdzał po prostu, że partia polityczna o nazistowskich korzeniach, założona niedawno w Lund, próbuje werbować nowych członków w Skanii.

– Czy w tamtych czasach Skania była tak samo zaśmiecona naziolami? – zapytałem.

– Co masz na myśli?

– Mówiłem głównie do siebie.

– W ten sposób można dostać najlepszą odpowiedź – odparł Arne.

Najwyraźniej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku Viveca nie знаła jeszcze Edwarda Björkenstama, bo nie zauważyłem go na zdjęciu.

– Widzisz tę drugą dziewczynę?

– Mhm.

Viveca była pierwsza od prawej. Pierwsza od lewej stała niejaka Anna Härdh. Obie wyglądały mniej więcej tak samo – poważne, ponure i przejęte swoim komunikatem do narodu, choć na razie wygłaszały go tylko na rynku w Trelleborgu. Hilding Krona nie podał liczby słuchaczy.

– Zaginęła.

– Kto? – zdziwiłem się, bo trudno mi było nadażyć.

– Ta druga. Chyba miała na imię Anna, co nie?

– Tak tu jest napisane.

– Hilding opowiadał, że Viveca pojechała do Sztokholmu, a Anna została w Skanii i w tym samym roku wyszła za jednego z tych hrabiów, których w Skanii można znaleźć pod każdym kamieniem. Teraz nazywa się Anna Härdh af Croonsiö. Hrabia już od dawna nie żyje, ziemię oddano w dzierżawę, a dworek, kiedy Anna już nie mogła w nim dłużej mieszkać, wynajęto firmie, która organizuje konferencje, kolacje, śluby, pięćdziesiąte urodziny i tego typu rzeczy.

– I to ona zaginęła?

– Tak przynajmniej twierdził Hilding.

Nic z tego nie rozumiałem.

– Co to w ogóle ma do rzeczy?

– Zastanawiałem się, czy Hilinga zaczął pociągać nazizm, w każdym razie sporo wiedział o tym, czym się zajmowały te dzieciaki. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale choć Lund to miasto uniwersyteckie, po którym można by się więcej spodziewać, w całej historii uczelni zdumiewająco wielu studentów flirtowało

z nazizmem.

– Wiem.

– Hilding oglądał potem Vivecę w telewizji jako panią Björkenstam i zrozumiał, że nazistowski zapaszek się ulotnił, przynajmniej oficjalnie. To, co teraz powiem, zabrmi, jakbym zmyślał, ale Anna Hårdh przebywała w tutejszym szpitalu i całkiem niedawno została stamtąd wypisana i zabrana.

– Przez kogo?

– A jak myślisz?

– A ty? Wydaje się, że wiesz.

– Między nami: przez Vivecę Björkenstam.

Nic nie odpowiedziałem.

Popatrzyłem na zdjęcie ze starego numeru „Trelleborgs Allehanda” i poczułem jednocześnie fascynację i strach na widok rozzłoszczonych, zdecydowanych młodych twarzy. Tak dużo nadziei, tak dużo nienawiści.

Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci.

Czy to nie wtedy zaczęło się dziać w muzyce pop i rozpoczął się młodzieżowy bunt?

Co sprawiło, że ci młodzi ludzie zamiast tego zostali nazistami, cofnęli się w czasie i zaczęli czerpać pokarm i siłę z tak nienawistnego ruchu politycznego? Czy tak łatwo było stać ze swastykami i nazistowskim przekazem na rynku szwedzkiego miasta i nie natknąć się na żadną kontrademonstrację?

Nikt nie traktował ich poważnie – tak, musiało chodzić właśnie o to.

Zbyt krótki czas upłynął od zakończenia drugiej wojny światowej, żeby ludzie mogli uwierzyć, że istnieją Szwedzi, którzy są gotowi z pełną powagą włożyć ciężkie buty i znów maszerować.

Musiało tak być. Kto mógł przypuszczać, że mężczyźni i kobiety o nazistowskich poglądach pięćdziesiąt lat później zostaną wpływowymi szwedzkimi politykami? Byliśmy tacy naiwni.

– Anna jest prawdopodobnie jednym z ostatnich ogniw, a może i ostatnim, w czymś, czego Viveca prawdopodobnie się nie wstydzi, ale wolałaby, żeby nie wyszło na światło dzienne. Nawet jeśli w dzisiejszych czasach takie poglądy są mniej lub bardziej akceptowane, to nie należą do rzeczy, którymi imperium Björkenstamów chciałoby się chwalić.

Wymamrotałem coś i jednocześnie zacząłem czytać artykuł od początku.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał Arne.

– Tak. Jeśli rzeczywiście mówisz o Vivece Björkenstam, to co ona zrobiła z tą kobietą?

– Oczywiście zadzwoniłem do ośrodka w Tegelberdze.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– Ale niczego się nie dowiedziałem. Tym musi się zająć policja. Nie wiem, czy możesz skontaktować się z Evą.

Arne zawsze dobrze się dogadywał z inspektorem Evą Månsson z Malmö.

– Kobieta, która prowadzi ten dom, powiedziała, że nie udostępniają danych

pensjonariuszy, a w tym przypadku dokumenty są tajne. Ale powiedziała, żebym się nie martwił, bo „pani Härdh af Croonsiö jest w wyjątkowo dobrych rękach”.

– No i?

– Nie opowiadałeś czasem o jakimś ośrodku w twojej okolicy? Ktoś chyba mówił, że Björkenstamowie są właścicielami szpitala.

– Tak, ale ludzie mówili też, że Björkenstamowie mają plantację konopi indyjskich.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Hitler się przypadkiem nie narkotyzował?

– Nie wiem – odparłem. – Wydawało mi się, że Sherlock Holmes.

Sam nie wiedziałem, co mówię. Myśli krążyły mi w głowie jak kolibry na speedzie.

Roztargnionym tonem wymamrotałem tylko:

– Dzięki. Dobra robota – i się rozłączyłem.

Wiedziałem, że znów będę musiał nawiązać kontakt z Jonną Moberg.

Napisałem maila z wyjaśnieniem, załączyłem artykuł z „TA” i poprosiłem, żeby sprawdziła, co się stało z pozostałymi ludźmi ze zdjęcia.

Ona z kolei przysłała linki i wycinki. Spędziłem cały wieczór, czytając i próbując zrozumieć. Towarzystwa dotrzymywała mi butelka calvadosu.

Jonna przysłała stare wycinki z lokalnej gazety z miasta, w którym Jacob Björkenstam chodził do szkoły z internatem.

Nie wyglądało na to, żeby któraś z ogólnokrajowych gazet podchwyciła temat znęcania się nad pierwszorocznikami. Uznałem to za dziwne – właśnie takie skandalizujące wiadomości o ludziach z wyższych sfer napędzają sprzedaż gazet. Oprócz tego, że nowi musieli biegać nago wokół szkoły, dostawali lanie rękami i byli zmuszani do kąpieli pod prysznicem w lodowatej wodzie, kazano im też zbierać pokrzywy, układać je na stołku, a potem ściągać spodnie i siadać. Jeden ze starszych chłopaków (Jonna dorysowała gwiazdkę i zrobiła przypis: „To chyba Björkenstam, jestem prawie pewna”) był prowodyrem i miał zwyczaj wtykania nowym w odbyt marchewki, którą później musieli zjeść.

Jonna przysłała też wycinek na temat turnieju tenisowego, który wygrali Björkenstam i młodzieniec, który nazywał się Georg Grip. Na zdjęciu było widać, jak się obejmują. Trzymali rakiety tenisowe. Björkenstam dobrze wtedy wyglądał. Jonna napisała w mailu:

Masz szczęście, Harry. Georg Grip mieszka blisko ciebie, możesz z nim porozmawiać o tym, co się działo w szkole. To nie były miłe typki. Przynajmniej dostaniesz coś, z czym będziesz mógł skonfrontować Björkenstama.

Podawała adres i numer telefonu. Sprawdziłem mapę w telefonie i okazało się, że dojazd nie powinien zająć dłużej niż godzinę.

Nie zamierzałem dzwonić do Georga Gripa, uznałem, że lepiej tam pojechać i go zaskoczyć. Postanowiłem od tego zacząć następnego ranka.

Jonna stworzyła też dokument, który zawierał artykuły, reklamy i plakaty związane z różnymi projektami rodziny Björkenstamów: fabrykami, firmami, produkcją artykułów spożywczych i sklepami. Nie miałem pojęcia, że maczali palce w aż tylu rzeczach, ale kiedy zobaczyłem ich logotyp, pomyślałem, że już go gdzieś widziałem, choć może sobie tego nie uświadomiłem. Ale czy nie taki jest cel wszystkich reklam? Żeby po prostu były,

nie rzucały się w oczy, a i tak wpływały na konsumentów?

Pierwsze zdjęcia przedstawiały rodzinę – matka siedziała na krześle i trzymała na kolanach małego chłopca, ojciec stał za nimi i opierał ręce na ramionach kobiety. Łatwo było dostrzec, że to młodsze wersje Edwarda i Viveki Björkenstam. Założyłem, że chłopczyk to ich syn Jacob.

Na kolejnych fotografiach syn był starszy i stał koło matki. Ojciec w dalszym ciągu trzymał ręce na ramionach żony, stojąc za jej plecami. Tym razem Viveca miała na kolanach psa. To był jack russell terrier, ale na pewno nie ten, który wabił się Otto, lizał mnie po rękach i merdał ogonem, choć pan i pańcia byli na mnie wściekli.

W następnej fazie na zdjęciach pojawiła się Agneta Björkenstam.

Siedziała na krześle i tuliła w ramionach dziecko.

Edward i Jacob stali za nią.

Viveca Björkenstam stała obok synowej. Na rękach trzymała psa.

Agneta Björkenstam miała wtedy długie włosy.

Teksty dotyczyły rodziny i uczuć rodzinnych, ale nie trzeba się było przyglądać, żeby stwierdzić, że Agneta Björkenstam sprzedawała zdjęcia swoim dekoltem, lekko otwartymi ustami i oczami, które zdawały się patrzeć na wylot.

Na ostatniej fotografii Viveca Björkenstam siedziała z psem na kolanach, a jej mąż, wnuk i synowa stali za nią półkolem.

Wszyscy się uśmiechali, ale na zdjęciu nie było radości.

Agneta obcięła się na pazia. Fotograf najprawdopodobniej poprosił ją, żeby rozpięła jeszcze jeden guzik bluzki.

Syn Carl był bardziej podobny do niej niż do ojca. Miał na sobie białe szorty, koszulkę z krótkimi rękawami i trzymał w ręku raketę tenisową.

Pies na kolanach Viveki Björkenstam wydawał się najszczęśliwszy.

Zdjęcie mogło być zrobione w Oslo.

W jednej z gazet biznesowych wydrukowano artykuł, z którego wynikało, że majątek Björkenstamów sięga trzynastu miliardów i że przez pewien czas byli właścicielami trzydziestu czterech dyskontów w całym kraju. Artykuł liczył już parę lat i nie wspomniano w nim ani słowem o ewentualnych rosyjskich przyjaciółach biznesowych Björkenstama.

Dziennikarz działu ekonomicznego jednej z gazet opisywał Jacoba Björkenstama jako „nieudacznika”, który wykorzystywał wygląd i urok osobisty do robienia inwestycji i nawiązywania kontaktów biznesowych, chociaż był „beztalenciem”. Według autora artykułu w pewnym momencie musiał wkroczyć ojciec Jacoba i z własnej kieszeni pokryć koszty nieudanych przedsięwzięć syna.

Ten artykuł również miał kilka lat.

Niedawno ten sam dziennikarz napisał, że Jacob Björkenstam zameldował się w Monako i podobno ubił tam duże interesy z rosyjskimi oligarchami.

Jakby to wszystko wyjaśniało.

Poczułem, że calvados zaczyna na mnie działać. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadłem. Pomyślałem, że może powinienem zejść do restauracji i wziąć sobie coś z lodówki.

Arne powiedział, że sam się sobą zajmie, ale byłby łatwą ofiarą ludzi, którzy zainscenizowali to wszystko, co się działo w ciągu ostatnich dni.

A może to ja wszystko zainscenizowałem.

A raczej Emma, która przybiegła w środku nocy, szukając u mnie schronienia.

Zszedłem, zrobiłem sobie kanapkę z kurczakiem i wziąłem do domu piwo.

Wszystkie maile od Jonny wysłałem Arnemu, Evie Månsson i szefowi redakcji newsowej Larsowi Berglundowi.

W domu sprawdziłem, czy przypadkiem nie został jakiś joint, ale przegródka, w której Krister Jonson zostawił woreczek, była tak samo pusta jak przed kilkoma dniami.

Rozległ się dzwonek telefonu.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać – powiedział Arne.

Przekazał telefon.

– Cześć – odezwał się głos. – Tu Emma.

Przeciągnąłem się.

– Cześć, Emmo, jak miło cię słyszeć.

– Chciałam tylko powiedzieć dobranoc. Arne już wraca.

– To tyle – oznajmił Arne.

– No i to się nazywa postępowanie – stwierdziłem.

– Jesteś przekonany, że jeden z tych motocyklistów zginął? – zapytał Arne.

– Tak.

– Jesteś pewien, że nikt cię nie widział?

– Tam zaraz pewien... Przejeżdżaliśmy przez osiedle willowe. Nie zauważyłem nikogo na drodze, na której zdarzył się wypadek, ale to nie musi oznaczać, że nikt mnie nie widział.

Głos Emmy i jej życzenie dobrej nocy sprawiły, że zrobiło mi się ciepło na sercu, ale w głowie szalały dźwięki i obrazy – pisk opon, ryk silników pracujących na wysokich obrotach, odgłos wgniatanej blachy, młody człowiek robiący salto mortale, wciąż od nowa i za każdym razem lądujący na asfalcie z głową skręconą pod nienaturalnym kątem.

Obudził mnie krzyk.

To ja krzyczałem.

Jej mama miała coraz większy kłopot z tym, żeby związać koniec z końcem. Prace dorywcze nie przynosiły dużych pieniędzy i wydawało się, że mama coraz częściej przesiaduje u miłego wujka. Mówiła, że rozmawiają, ale kiedy wracała do mieszkania, była pijana.

Spotkanie z jego synem wprawiło mamę w lepszy humor.

– On może nam pomóc. Sprawić, że zapanuje sprawiedliwość – zapewniała.

Znowu zaczęła mówić o „ciemnych nocach”. Jak twierdziła, syn sąsiada znał ludzi, do których można się zgłosić, jeśli chce się odzyskać pieniądze, które się komuś pożyczyło.

– Będziemy bogate, Emmo – mówiła.

Pewnego dnia późnym wieczorem przyjechał po nie samochód.

Mama zrobiła się na bóstwo, umalowana i podekscytowana zeszła do czekającego samochodu.

Był wielki i biały, nigdy nie widziała takiego na żywo, a tym bardziej nim nie jechała. Za kierownicą siedział duży, umięśniony mężczyzna. Obok niego mniejszy gruby młodzieniec.

Ale mama już się nie cieszyła.

Wyszeptała do niej:

– Coś jest nie tak.

– Dokąd mamy jechać? – zapytała kierowcę.

Ona zobaczyła dwa motocykle. Jechały tuż za nimi.

– Myślałam, że zjawi się tu osobiście – powiedziała mama.

– Kiedy dojedziemy na miejsce, będzie tam czekał – odparł ten wielki.

Jechali w stronę Solviken, skręcili w drogę, która zrobiła się węższa, a potem biegła przez pole golfowe. W końcu zatrzymali się przed domem, który wyglądał bardziej jak zamek.

Młodzieniec otworzył drzwi po jej stronie, a mama się do niej nachyliła i szepnęła:

– Biegnij, Emmo. Biegnij ile sił w nogach.

Nie myślała.

Po prostu biegła.

Mieszkał w samym środku Skanii.

Mieszkał w samym środku oceanu pastwisk. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć widać było pastwiska dla koni. Chyba naprawdę w niektórych miejscach Skanii można zobaczyć wieczność. Choć oczywiście kiedy się wysiliłem, udawało mi się też zauważyć jakieś konie.

Dom był biały, piętrowy i leżał na wzniesieniu z fantastycznym widokiem na ciągnące się kilometrami białe ogrodzenie.

Jeżeli się zdziwił, że stoję na progu jego domu, to nie dał tego po sobie poznać. Kiedy powiedziałem, że chcę porozmawiać o Jacobie Björkenstamie, odparł:

– Dziwię się, że dopiero teraz ktoś się do mnie zgłasza.

Grip w ten sam właściwy wyższym sferom sposób co Jacob Björkenstam zachował chłopięcy wygląd. Albo się z tym rodzili, albo zawdzięczali to tym wszystkim marchewkom, które wpychano im w dupę, kiedy zaczynali nową szkołę.

Nie robił wrażenia równie wysportowanego jak Björkenstam, ale miał bujną, przyprószoną siwizną czuprynę, opalone policzki, dłonie i ramiona, które świadczyły o tym, że nie tylko siedział w domu i gapił się na konie, ale też często przebywał na powietrzu.

Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i białe spodnie.

– Zejdźmy i usiądźmy przy torze treningowym. Tam będziemy mogli porozmawiać – zaproponował.

Siedzieliśmy na wygodnych krzesłach podobnych do tych, które zajmują reżyserzy na planie filmowym. Rozdzielał nas stolik z parasolem.

Georg Grip miał konie wyścigowe. Nie wiedziałem, czy je hoduje, czy tylko nimi handluje. Może dlatego, że nigdy nie zapytałem.

Nie zdawałem sobie sprawy, że są takie duże.

Z kolei jeźdźcy byli mali.

Kiedy konie galopowały, ziemia dudniła, a w powietrzu unosiły się drobiny ziemi i żdźbła trawy.

– No więc co słyhać u naszego starego Jacoba? – zapytał.

– Nie wiem, nigdy go nie spotkałem, ale jego nazwisko ciągle się pojawia w związku z pewną historią, którą badam – odparłem.

Pokiwał głową.

Wyjął telefon i zaczął pisać wiadomość.

– Ale się wzbogacił – powiedział.

– Chyba tak jak wy wszyscy, starzy kumple?

– Nic z tych rzeczy. Może i większość z nas miała niezłą sytuację ekonomiczną, kiedy dorastaliśmy, ale to nie oznacza od razu, że każdy z nas potrafił zarządzać majątkiem. Jacob...

Umilkł.

– Co pan chciał powiedzieć?

– Jacob nie był zbyt dobry w te klocki.

– Jak to?

– Mówiąc wprost: to nieudacznik.

– Ale...

Georg Grip uniósł rękę.

– Wiem, wiem, co pan zaraz powie. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Europie, ale myślę, że to dlatego, że znaleźli go ci bogaci Rosjanie. Jestem przekonany, że sam nie bardzo wie, co robi.

– Jak w takim razie sobie radził przez te wszystkie lata?

– Rodzice. Staruszka i staruszek zawsze byli w pobliżu. Staruszka ze wsparciem, a staruszek z portfelem.

Młoda kobieta w krótkiej czarnej sukience i fartuszku podeszła do nas z tacą. Zrozumiałem, o czym Georg Grip pisał w SMS-ie. Postawiła na stoliku dwie szklanki, dzbanek i miskę z lodem.

– Czy coś jeszcze, panie Grip?

Mogła mieć trochę ponad dwadzieścia lat. Miała krótko ostrzyżone jasne włosy i zadarty nos.

– Nie, na razie wystarczy, dziękuję.

Obaj odprowadziliśmy ją wzrokiem. Zniknęła za żywopłotem koło domu.

– Człowiek nigdy nie jest za stary, żeby docenić piękno młodości – stwierdził Georg Grip i nalał nam obu.

– Prowadzę. – Podniosłem rękę.

– Spokojnie, to lekki grog, nie ma strachu.

Wypiliśmy.

Obstawiałem, że to whisky z lodem i wodą Vichy.

Smakowało całkiem nieźle.

W tym upale działało orzeźwiająco.

– Szwedzki wynalazek. – Wskazał szklankę, którą trzymał w dłoni.

– Ta szklanka?

– Lekki grog. Pije się go tylko w Szwecji. Dwadzieścia mililitrów alkoholu i mnóstwo wypełniacza. Wymyślono to w czasie prohibicji.

Nie miałem o tym pojęcia, ale odchrząknąłem i kontynuowałem temat:

– Mówi pan o Rosjanach i o tym, że Jacob dostaje od nich pieniądze, bo administruje ich majątkiem. Trafiłem jednak na kogoś, kto twierdził, że wiele lat temu Björkenstam skopał pewnego człowieka na śmierć.

Georg Grip pokiwał głową.

– Mogło tak być.

– Był pan przy tym?

– Tak, to taka bzdurna sprawa. Poszliśmy do knajpy, która później zmieniła nazwę na Pepe's Bodega. Albo już wtedy tak się nazywała. Nie wiem, nie interesowałem się tym. Ktoś wylał coś komuś na spodnie albo wpadł na czyjąś dziewczynę. Wybuchła awantura i chłopaki ze wsi wyszły na zewnątrz. My należeliśmy do porządnego towarzystwa, byliśmy tenisistami, więc mogliśmy zostać, ale po chwili rozeszła się plotka, że tamci

stoją na zewnątrz i na nas czekają. Byliśmy wstawieni, więc postanowiliśmy wyjść i zaprowadzić porządek.

Umilkł.

– I zrobiliście to? To wy mieliście rację, a oni nie?

– Nie pamiętam. Nie wiem nawet, czy docierało do nas, co się dzieje. Uczestniczył pan kiedyś w takich dużych bójkach?

Pokręciłem głową i wypilem łyk grogu. Pomyślałem, że mogłoby mi to wejść w nawyk.

– Dostali lanie. Wydawałoby się, że takie napażanki trwają kilka godzin, ale ta skończyła się po minucie. Dwóch – trzech z nas miało siniaki i porwane koszule, jeden krwawił z nosa. Ci z drugiej grupy zwiali, ale jeden został na ziemi.

– Co mówiła policja?

– Nic.

– Nic?

– Båstad i rozgrywki tenisowe nie przyciągały uwagi tak bardzo jak teraz. Nie było tylu ludzi ani żadnego nadzoru. Policja przyjechała chyba z Ängelholmu, i to co najmniej po czterdziestu pięciu minutach.

– A wtedy już was nie było.

– Nikogo nie było.

– Poza jednym.

Georg Grip pokiwał głową.

W żadnym wypadku nie był to człowiek, z którym z miejsca chciałbym się zadawać, ale miał mocny uścisk dłoni, a w jego usposobieniu, otwartości i oczach, które wydawały się dobre, dostrzegłem coś, co sprawiało, że mu ufałem. Może nawet go polubiłem i mógłbym się z nim spotkać, gdyby nadarzyła się okazja.

A może połączył nas grog.

Opowiedziałem o Oskarze Helanderze – że zadzwonił do Jacoba Björkenstama, a kilka dni później zginął od strzału w czoło.

– Nie sądzę, żeby Jacob mógł kogoś zastrzelić – zauważył Grip.

– Ale ma dwóch ochroniarzy, którzy być może robią takie rzeczy – powiedziałem.

– Dużego Rosjanina, który, jak mi się zdaje, był kiedyś bokserem, i małego, grubego Szweda, który wygląda głupio i niesympatycznie.

– Ale ten, jak mu tam... Nylander?

– Helander.

– Wiedział, że to Jacob zadał śmiertelny cios?

– Przez telefon twierdził, że tak, ale umarł, zanim zdążyłem z nim dłużej porozmawiać. Widziałem artykuły z tego okresu, ale wszędzie pisano, że nikt nie wie, kim był sprawca. Nie musi pan tego rozgłaszać, ale odwiedziłem mały alkoholowo-narkotykowy składzik Helandera i znalazłem stare wycinki z gazet, dotyczące tego pobicia.

– Coś panu wyjaśniły?

– Raczej nie. Ktoś napisał na marginesie, że wie, kto tak naprawdę kopnął tamtego człowieka. Myślę, że autorem dopisku był Helander.

– Nie wiem, czy Jacob... On raczej dokuczał.
– Ma pan na myśli znęcanie się nad pierwszorocznikami?
Wzruszył ramionami i wypił łyk grogu.

– O tym też pan wie?

– Czytałem o tym.

– Naprawdę?

– Marchewki i jeszcze kilka innych rzeczy. Nazywa pan to dokuczaniem?

– Jacob był pomysłowy. Marchewki, wieszaki, żelazka. Musieli stać z mydłem w ustach i spinaczami na mosznie. My sikaliśmy, a Jacob wkładał im głowy do sedesu. Jednego z nich zmusili, żeby klęczał i walił konia, używając zdjęcia swojej matki jako inspiracji.

– O kurwa.

– Wyciszono to.

– Jak to możliwe?

– Jego tatuś, Edward, zasiadał w zarządzie lokalnej gazety i był jednym z głównych sponsorów szkoły.

– I pan brał w tym udział?

Wzruszył ramionami i się skrzywił.

– Nie jestem z tego dumny. Łatwo było przyłączyć się do Jacoba, miał charyzmę i mało kto potrafił mu się oprzeć. Przypominał dobrego generała, jednego z tych, za którymi idzie się na śmierć, jeśli trzeba.

Pokręciłem głową.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Nie będę obłudny. Jestem świnią, tak jak Jacob Björkenstam. Zachowywaliśmy się paskudnie w stosunku do innych. Mogę tego żałować i rzeczywiście żałuję, ale co to zmienia? Nie umiem cofnąć tego, co już się stało. Czuję się tak, jakbym opowiadając to teraz, uspokajał sumienie. Nie pisałem o tym nikomu ani słowa, ale czas płynie i, tak jak powiedziałem, jestem zdziwiony, że dopiero teraz ktoś do mnie przychodzi w tej sprawie.

Mówił dalej:

– Robiłem interesy i się wzbogaciłem, ale postępowałem uczciwie, nawet jeśli byłem twardy. Jestem właścicielem posiadłości w Londynie, co oznacza, że mogę już nawet nie kiwnąć palcem. Byłem trzykrotnie żonaty, mam trzy córki i dwóch synów. Czasem nocami przewracam się z boku na bok i nie mogę zasnąć, kiedy pomyślę, że któreś z moich dzieci mogłoby spotkać to, co sami robiliśmy innym. Mówiło się na to „otrząsiny”, dyrektor sam tak to nazywał w mediach, a ja byłem za głupi albo zbyt tchórzliwy, żeby dostrzec, czym to było tak naprawdę.

Wskazał konia, który przebiegł obok, stukając kopytami. Dżokej wyglądał jak komar uczepony wielkiego końskiego grzbietu.

– To jest tylko hobby, coś, co robię, bo mnie na to stać. Wiem, że większym powodzeniem w Szwecji cieszy się kłus, więc gdybym chciał zarabiać pieniądze, zająłbym się właśnie tym, ale zawsze kochałem galop. Wiem, że to ten sam syf – gra i hazard, ale dla mnie galop zawsze miał w sobie coś romantycznego.

– Pan i Jacob graliście w tenisa?

– Tak. Coś nawet wygraliśmy, o ile dobrze pamiętam. Był całkiem zdolny, a jego syn, Carl Björkenstam, jest naprawdę obiecujący. Czytałem w jakiejś gazecie tenisowej, a może na tenisowym blogu, że powinien się znaleźć w szwedzkiej drużynie Pucharu Davisa. Wprawdzie ma dopiero siedemnaście lat, ale już niedługo w Pucharze Davisa będziemy wystawiali dzieci. Niech pan pomyśli, kiedyś mieliśmy Borga, Wilandera, Edberga. *Those were the days, eh?*

– Nadal pan grywa?

Pokręcił głową.

– W golfa też nie, jestem czarną owcą swojego pokolenia.

– Gdzie mieszka ten syn?

– Na Florydzie. Myślę, że Jacob i Agneta przeprowadzili się tam na kilka lat, żeby mógł chodzić do szkoły tenisowej.

– Widziałem stare zdjęcie Björkenstama w rękawicach bokserskich. Boksował?

– Tak, ale był zbyt wielkim tchórzem, żeby mógł być dobry. Najlepsze ciosy zadawał, kiedy ktoś inny trzymał jego przeciwnika.

– Albo kopniaki.

– Albo kopniaki.

– Kiedy przeciwnik leżał.

– Myślę nawet, że ten chłopak był nieprzytomny, kiedy Jacob go kopnął. O ile oczywiście to był on.

Odstawił szklankę i rozłożył ręce.

– Opowiedziałby pan o tym publicznie? – zapytałem.

– Czy opowiedziałbym... po co? Czy takie rzeczy nie ulegają przedawnieniu? Jak dawno temu to było? Dwadzieścia pięć – dwadzieścia sześć lat temu. Kogo to obchodzi?

– Rodziców.

– Edwarda i Vivecę?

– Nie. Rodziców chłopaka skopanego na śmierć.

– Oczywiście, zrozumiałem, o kim pan mówi, ale nic nie można było udowodnić wtedy i nic nie można udowodnić teraz. To jak z porachunkami gangów, Hells Angels i tym całym gównem, albo z bójkami kibiców. O tym się nie mówi. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Nie potrafię powiedzieć, czy to był Jacob, czy ktoś inny.

– Ale Oskar Helander mówił, że wie.

Georg Grip się skrzywił i wzruszył ramionami.

– Tak pan twierdzi.

– A teraz Oskar Helander nie żyje, został zamordowany – ciągnąłem.

– Nie wiem tego – oznajmił Georg Grip. – Nie pamiętam, kto tam był tego wieczoru.

– Narkotyki?

– Słucham?

– Słyszał pan coś o narkotykach w związku z Björkenstamem? Albo Björkenstamami?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Kilka dni temu w mojej okolicy znaleziono dużą plantację konopi. Jest o tym

artykuł w dzisiejszej gazecie. Jeden z moich informatorów sugerował, że Björkenstam ma z tym coś wspólnego. A ściślej nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że Björkenstamowie mieli coś wspólnego z tą plantacją. Według policji te narkotyki są warte miliony.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł. – Swego czasu wciągnęliśmy chyba kilka kresek, zwłaszcza kiedy bujaliśmy się po Stureplan, ale narkotyki to nie jest coś, czym zajmowalibyśmy się na co dzień, to nie były nasze klimaty. Nasza specjalność to alkohol. Wtedy nie wylewaliśmy szampana do zlewu, jak to się teraz robi. Po prostu go piliśmy.

Georg Grip zaniósł się donośnym śmiechem.

– Wcześniej przeprowadziłem się do Londynu – mówił dalej. – Angielski temperament odpowiada mi bardziej niż szwedzki. Nie sądzę, żeby Jacob zażywał narkotyki, jest na to zbyt strachliwy, zbyt ostrożny. Zawsze chciał, żeby ktoś inny testował przed nim.

– Mam wrażenie, że pan go nie lubi.

– Zgadza się, z czasem nabrałem do niego dużej niechęci.

– Dlaczego?

– To ściemniacz, kawał oszusta.

Nie wierzyłem, że to wystarczający powód, ale nic nie powiedziałem.

Po chwili Georg Grip zapytał:

– Mówi pan, że dużo słyszał, ale nic panu nie wiadomo o dziewczynie?

– Nie.

– Jego podejście do kobiet... jak by to powiedzieć... nie zawsze było bardzo eleganckie.

– Czyli?

– Lubił wrywać proste laski. Imponował im pieniędzmi, pozycją i wdziękiem. Ta była jakąś cizią z okolicznej wsi. Zabrał ją do hotelu. Dzień później znaleźli ją przywiązaną do łóżka, z jabłkiem w ustach. Napisał jej na pośladkach „świńska pizda”. Ale on wszystkiemu zaprzeczył. Powiedział, że się pieprzyli, a potem sobie poszedł i o niczym nie wie.

– I jak to się skończyło?

– Nijak. Słowo przeciwko słowu, a papcio Edward otworzył portfel.

– Boże, czasem myślę, że widziałem i słyszałem już wszystko, ale potem się okazuje, że to tylko małe miki, jak mawiał mój dziadek.

– To było już po tym, jak poznał Agnetę. – Grip przesunął dłonią po czole i dodał:

– Popelniła samobójstwo.

– Kto? Ta dziewczyna?

Skinął głową.

– Nikt nie zna przyczyny, ale ja myślę, że to miało związek z Jacobem. Z tym, co się wtedy wydarzyło. Twierdziła, że ją zgwałcił, jak to się mówi, analnie, że była cała poraniona, krwawiła i miała w sobie jego spermę. On mówił, że wszystko odbyło się za jej zgodą, a o reszcie – o tym, że była związana i miała na ciele napis – nic mu nie wiadomo. Ale ja wiem swoje, zachowywał się nieprzyjemnie w stosunku do kobiet. Od czasu tego zdarzenia miałem problem z Jacobem Björkenstamem. Agneta to dobra

dziewczyna. Nie miała łatwo, nie należała do tej samej ekipy co my. To tak, jakbyśmy byli jednym wielkim sztokholmskim gangiem, w którym wszyscy się znają i każdy spał z każdym przynajmniej raz. I wtedy przyszła ona, która uczyła się na stylistkę paznokci. Wiele dziewczyn się z niej nabijało, nie zawsze za plecami. Nie wiem, co u niej teraz słyhać, ale wyglądała naprawdę nieźle.

– Nadal tak wygląda.

– Nie dziwi mnie to.

Opróżniłem szklankę z grogiem i powiedziałem:

– To dziwna sprawa, ale... Słyszałem, że ojciec...

– Edward?

– Tak. Że bawi się modelem pociągu.

Po raz kolejny rozbrzmiał donośny śmiech.

– A co, nie wolno tego robić dorosłym?

– Wolno, sam chętnie bym sobie taki sprawił, lubię pociągi w każdej postaci.

Po prostu jestem ciekaw.

Grip nalał sobie resztę grogu i wypił wszystko jednym haustem.

– Wiem, że zbierał kolejki, ale nigdy nie widziałem toru. Björkenstamowie byli bardzo skryci, nie wpuszczali gości do wszystkich pokoi, jeśli można tak powiedzieć.

W końcu Georg Grip odprowadził mnie do samochodu i powiedział, że mogę mu mówić GG, jak wszyscy. Potem poprosił, żebym nie wymieniał go z nazwiska, jeśli będę pisał coś na temat Björkenstama. Mógł figurować w tekście jako wieloletni przyjaciel albo dobrze poinformowane źródło.

– Czy nie tak zwykle piszecie? Dobrze poinformowane źródło?

– Zdarza się.

Rozstałem się z Georgiem Gripem, wsiadłem do samochodu i jechałem przez kwitnącą Skanię. Jednocześnie miałem świadomość, że mieszkańcy tego regionu oddali zdumiewająco wiele głosów na rasistowską, wrogą uchodźcom partię o nazistowskich korzeniach. Mówiło się, że wyborcami tej partii są ludzie wykluczeni, resztki klasy robotniczej, które bardzo ucierpiały w wyniku cięć przeprowadzonych przez prawicowy rząd.

A przecież miejscowości, które mijalem, były bogate i na swój sposób należały do klasy wyższej.

Nie rozumiałem, czego się bali ci ludzie z ogrodzonych willi.

Zanim pojechałem do Georga Gripa, znalazłem w lokalnej gazecie trzyszpaltowy artykuł na temat śmiertelnego wypadku motocyklowego. Pisano, że wydarzył się na wąskiej drodze, na której panował niewielki ruch. Policja sądziła, że jakimś sposobem motocykliści zahaczyli o siebie. Jeden zginął na miejscu, a drugi został odwieziony do szpitala w Helsingborgu i jeszcze nie odzyskał przytomności. Nie zgłosił się żaden świadek wypadku.

W artykule podano, że byli to członkowie gangu motocyklowego, ale wspomniano o kamizelkach z napisem „Dark Knights”.

Nie napisano też nic o samochodzie.

Ani o przewróconym ogrodzeniu obok winnicy.

Wspomnienie zabitego motocyklisty wciąż mnie nie opuszczało, choć poprzedniego wieczoru próbowałem je zagłuszyć calvadosem. Salto mortale nad samochodem wyświetlało mi się w głowie jak szarpany niemy film. Nawet zacząłem sobie wmawiać, że kiedy chłopak uderzył o ziemię, dało się słyszeć trzask łamanego karku. Stary hełm typu nazistowskiego nie był żadną ochroną i oni też powinni zdawać sobie z tego sprawę. Przecież Niemcy przegrali drugą wojnę światową.

Według artykułu motocyklista, który zginął, miał dwadzieścia cztery lata.

Ten drugi miał dwadzieścia siedem i odniósł poważne obrażenia, ale, jak to się mówi, jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy jechałem do Anderslöv, do Arnego i Emmy.

Ledwo wszedłem do środka, gdy Emma podbiegła i wskoczyła mi w ramiona.

Arne zamierzał zaserwować gotowanego dorsza z połówkami jajek i masłem klarowanym. Stał przy kuchni i miał na sobie fartuszek.

– Weź pod uwagę, że jesteś diabetykiem, Arne. Naprawdę chcesz jeść masło klarowane?

– Tylko troszkę.

Emma była ubrana w nową letnią sukienkę i nowe sandały.

– W Trelleborgu zrobiliśmy przy okazji małe zakupy – powiedział Arne. – Nie mogła przecież cały czas chodzić w tych samych ciuchach. Teraz mogłem wyprać jej stare ubrania.

– Wszystko było dobrze? – zapytałem Emmę, kiedy posadziłem ją na podłodze.

Skinęła głową.

Kiedy usiedliśmy do stołu, Arne jeszcze raz wyraził żal, że ludzie z jego otoczenia umierają albo przebywają w domach opieki i nie mają kontaktu ze światem.

– Za to ty wyglądasz bardziej rześko – zauważyłem. – Nadal myślę, że pomysł wyjazdu do Trelleborga był dumny, ale wygląda na to, że ta wycieczka dobrze ci zrobiła.

Wzruszył ramionami.

– To zwykły łut szczęścia, że trafiliśmy na Hildinga Kronę.

– Ze szczęściem i talentem można zajść daleko – odparłem.

Kiedy Emma pomagała Arnemu posprzątać ze stołu, ja znów włączyłem komputer.

Jonna przysłała mi kilka artykułów o Rosjanach współpracujących z zachodnimi biznesmenami. Dotyczyły interesów legalnych, takich, które balansowały na granicy prawa, i powiązań o wyraźnie nielegalnym charakterze. Jeżeli dobrze zrozumiałem notatki i komentarze Jonny, Jacob Björkenstam lądował w tej ostatniej szufladce, ale jednocześnie wydawało się, że nic nie jest czarne ani białe, a wszystko to jedna wielka nieprzenikniona szara strefa.

Choć Jonna próbowała przejrzeć przedstawić transakcje z udziałem Jacoba Björkenstama, i tak nie rozumiałem, jak to dokładnie przebiegało. Tego typu sprawy zawsze wpadały mi jednym uchem, a wypadały drugim. Choć próbowałem się skupić na określeniach takich jak słupek, pranie brudnych pieniędzy, anonimowe konta bankowe czy firmy fasadowe, szybko straciłem zainteresowanie.

Od mojego rozstania z Georgiem Gripem minęła zaledwie godzina, ale

zadzwoiłem do niego i zapytałem, czy mógłby się dowiedzieć, z kim Jacob Björkenstam robił interesy.

– Daj mi ten dzień, a na jutro rano możesz mnie zaprosić na śniadanie.

Kiedy zakończyliśmy rozmowę, zamknąłem klawkę telefonu, odwróciłem się do Arnego i zapytałem:

– I co teraz?

– No właśnie.

– Może na początek daj mi szczotkę.

Wprawdzie już kupiłem wiadro i szczotkę, ale kiedy zostawiłem samochód u Andriusa Siskaukasa, zapomniałem o zabraniu torby.

– Dobrze, że zrobiłeś zakupy dla Emmy – stwierdziłem. – Ja aż tak nie wybiegłem myślami do przodu, ale ona potrzebuje więcej ubrań i nie może codziennie chodzić w kaloszach.

Odwróciłem się do Emmy.

– Byłaś kiedyś w Kopenhadze?

Pokręciła głową.

– Pojedziemy tam?

Wzruszyła ramionami.

– To szybka podróż – dodałem. – Wystarczy przejechać przez Öresund.

W drodze do Kopenhagi powiedziałem Emmie, że spotkałem się z jej sąsiadami z domu koło Jonstorp, i zapytałem, czy to prawda, że ktoś przyjechał po nią i jej mamę tego wieczoru, kiedy zjawiała się u mnie w Solviken.

Pokiwała głową.

– Ci, którzy mnie gonili.

Przytaknąłem.

– Widziałaś jakieś motocykle?

Zastanowiła się.

– Może, ale nie wiem na pewno. Bałam się.

– Wydaje mi się, że twoja mama została oszukana – powiedziałem.

– Ja też tak myślę – odparła.

Kilka przecznic od Placu Ratuszowego znalazłem wolne miejsce parkingowe, ale kiedy mieliśmy przejść przez ruchliwą ulicę, Emma została przy samochodzie.

Zawróciłem i poszedłem z powrotem.

– Co jest?

Nie odpowiedziała.

– Nie chcesz?

Kiedy światło zmieniło się na zielone, wsunęła lewą dłoń w moją prawą i ruszyła przed siebie. Nigdy nie była w Kopenhadze, ale wiedziała, że nie przechodzi się na czerwonym.

Szliśmy za rękę.

Czułem ucisk w gardle.

Przeszliśmy od skażonej turystami Strøget do ulic, na których kiedyś tropiłem mordercę... Larsbjørnsstræde, Studiestræde, Vestergade. Jeszcze za czasów spędzonych

tu z Jonną wpadły mi w oko liczne małe designerskie sklepiki. Były tam sex shopy z różnymi narzędziami do wymierzania kar. W jednym z nich Jonna znalazła tenisówki na grubej skórzanej podeszwie, które służyły nie tylko do chodzenia. Drogie, ale warte swojej ceny.

Emma zachowywała się nieśmiało w sklepach, a ja nie przywykłem do robienia zakupów z dziećmi i dla dzieci, ale pomogły nam sympatyczne ekspedientki. Kiedy po wszystkim staliśmy przy ulicznym wózku grillowym i jedliśmy kiełbaski rød pølse, byliśmy wyposażeni w komplet bielizny, dwie sukienki, parę dżinsów, czapkę z daszkiem, kilka koszulek i okulary przeciwsłoneczne w różowych oprawkach. Zawsze miałem słabość do martensów. Wybraliśmy trzy pary w rozmiarze dziecięcym: czarne, niebieskie i czerwone – i w końcu zdecydowaliśmy się na czarne.

Emma została w martensach i jasnej sukience, a kalosze wyrzuciła do śmietnika.

Kupiliśmy we Frellsens Chokolade *soft ice*, czyli włoskie lody z posypką. W tłumie turystów w najbrzydszych ciuchach, jakie kiedykolwiek widziałem, udało nam się znaleźć miejsce do siedzenia. Usiedliśmy przy fontannie koło Cafe Europa.

Emma nie mogła oderwać wzroku od zonglera na monocyklu. Zwykle się uśmiechała, kiedy mówiłem coś zabawnego, ale zacząłem wątpić w jej gust, jeśli chodzi o rozrywkę, skoro bawiło ją coś takiego. Wprawdzie zongler miał melonik i groteskowo duże cyrkowe wąsy, ale bałem się pomyśleć, co by było, gdybyśmy spotkali mima.

Jeśli celnicy na Öresundbron zdziwili się na widok samochodu na litewskich numerach, nie dali tego po sobie poznać. Wjechaliśmy do Szwecji bez żadnych problemów.

Kiedy zostawiłem Emmę u Arnego, zapytał, co będę teraz robił.

– Pojadę na plantację, a potem do Björkenstamów.

Najpierw jednak wstąpiłem do Malmö i wypilem szybką kawę z Evą Månsson. Eva powiedziała, że następnego dnia musi tylko popracować kilka godzin przed południem i może do mnie wpaść, kiedy skończy.

– Chciałabym też, żebyś się spotkał z Linn, policjantką z Helsingborga. Jest dobra, ambitna i będzie łatwiej, jeśli porozmawiacie beze mnie w roli pośrednika. Gdyby coś się stało w związku z tą gównianą sprawą, to właśnie ci z Helsingborga są najbliżej.

– Okej, ty wiesz najlepiej. Zrobię tak jak mówisz.

Kiedy jechałem na północ trasą E6, nawigacja w samochodzie Andriusa uparcie pokazywała, jak daleko mam do Wilna.

Tym razem patrzyłem w lusterko i obserwowałem każdą drogę zjazdową, sprawdzając, czy nie ma tam żadnych motocykli. Zaparkowałem samochód daleko od leśnego szlaku wiodącego do plantacji i zamiast iść najpierw drogą, a potem ścieżką, postanowiłem krążyć między drzewami i krzakami, aż dotarłem do szerokiego przejścia.

Lars Berglund powiedział, że jeżeli jest to miejsce, o którym myśli, to kiedyś była tam spora altana taneczna. Stojąc w magicznej ciszy, wyobrażałem sobie, jak to wyglądało dawno, dawno temu. Mężczyźni i kobiety, dziewczynki i chłopcy, w każdym wieku, zwabieni muzyką i tańcem – mieli cały las dla siebie. Sama altana z parkietem musiała się znajdować w miejscu, w którym teraz stała szklarnia.

To chyba były inne czasy.

Nie lepsze, tylko inne.

Wtedy też istniały bimbrownictwo, pijaństwo i bójki.

Wszystko pozostało takie samo, zmieniły się tylko formy wyrazu. Bimber to ówczesny odpowiednik narkotyków.

Nawet jeśli cisza była magiczna, w lesie panowała nieprzyjemna aura, jakby znał tajemnice, do których zwykły śmiertelnik nie ma dostępu.

Dla wielu ludzi wieczór przy grillu, wino z kartonu, przyzwoita praca i domek szeregowy z dziećmi i kundlem są sensem życia i synonimem szczęścia.

Dla wielu innych sens życia i szczęście to coś zupełnie innego.

Sam nie znałem odpowiedzi na pytanie, czym jest szczęście.

W chwilach słabości wydawało mi się, że dałoby się je stworzyć, gdybym założył coś w rodzaju rodziny z Bodil i jej córką Mają, ale myślałem tak tylko w chwilach samotności, często w środku nocy, kiedy czytałem stare SMS-y od Bodil i oglądałem nagie zdjęcia, które mi kiedyś wysłała. Pod koniuszkami palców czułem każdy milimetr jej ciała i wydawało mi się, że chyba to właśnie jest szczęście.

Miałem ze sobą dwie butelki wody Ramlösa, które kupiłem po zatankowaniu. Podniosłem policyjną taśmę, która otaczała szklarnię, i oblałem odkryty wcześniej kamień. Kiedy był mokry, dość łatwo dało się zdrapać ziemię, mech i wżartą pleśń.

Rzeczywiście na kamieniu widniał wieniec z nazistowskich symboli.

A także portret Adolfa Hitlera.

I trzy szwedzkie imiona.

Poprzednim razem nie dało się odczytać całości, ale z pomocą szczotki Arnego udało się doczyścić kamień na tyle, że pokazały się trzy imiona:

Anna

Viveca

Bertil

Nie widziałem nazwisk.

Ale właśnie te trzy imiona były w podpisie pod zdjęciem w artykule, który Arne znalazł w archiwum „Trelleborgs Allehanda”.

Na samym dole kamienia widniał jakiś napis, ale znajdował się pod ziemią, a kamień tkwił tak mocno, że nie mogłem go ruszyć.

Zrobiłem kilka zdjęć, zabrałem szczotkę i wodę i poszedłem.

Nikogo nie widziałem i nic nie słyszałem, ale mimo to zdecydowałem się wrócić przez las, zamiast iść ścieżką i drogą.

Nagle spadł ulewny deszcz.

Wyglądało to tak, jakby przez wiele lat czekał na sygnał do startu, żeby wreszcie móc zademonstrować pełnię swojej siły i nieustępliwości.

Ostatni odcinek dzielący mnie od samochodu pokonałem biegiem, a kiedy wsiadłem, ruszyłem i włączyłem wycieraczki, zaczęły pracować jak dyrygent zespołu speedmetalowego – o ile zespołom speedmetalowym potrzebni są dyrygenci – ale gorączkowe szorowanie i tak nie osuszyło szyby. Jechałem jakby w zwolnionym tempie wzdłuż pola golfowego przy zamku rodziny Björkenstamów na samym szczycie góry nad Solviken. Małe proporczyki furkotały na coraz silniejszym wietrze.

Było popołudnie, środek lata, a mimo to zrobiło się tak ciemno, że w oknach domu rodziny Björkenstamów paliło się światło, a dziedziniec oświetlał reflektor.

Przed domem stał czarny mercedes.

Za kierownicą siedział mężczyzna ogolony na łyso.

W schowku na rękawiczki znalazłem czapkę z daszkiem. Włożyłem ją, wysiadłem z samochodu i wbiegłem po schodach, żeby zapukać do drzwi, a mężczyzna przez cały czas starał się śledzić mnie wzrokiem. Nawet włączył wycieraczki, żeby widzieć, co robię.

Nie zdążyłem podnieść ręki, bo drzwi się otworzyły i z domu wyszedł człowiek, którego natychmiast rozpoznałem. Drgnął, bo o mały włos na mnie nie wpadł. Viveca i Edward Björkenstamowie stanęli po obu stronach.

Nad drzwiami znajdował się mały daszek, więc mimo że coraz silniejszy wiatr miotał kaskady deszczu, ja byłem w miarę suchy i zachowałem wystarczająco dużo przytomności umysłu, żeby wyjąć telefon i zrobić całej trójce kilka zdjęć.

Człowiek z mercedesa nadbiegł z parasolem nad głową.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – zawołał.

– Nic – odparłem.

– Oddaj mi telefon.

– Nie.

– Musisz skasować zdjęcia.

– Niczego nie muszę.

Człowiek, którego od razu rozpoznałem, powiedział:

– Spokojnie, Robban.

Robban cofnął się o krok, ale patrzył na mnie w taki sposób, jakby w każdej chwili był gotów powalić mnie na ziemię.

Jego szef się odwrócił i pożegnał z Björkenstamami.

Za ich plecami pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. Koło siedemdziesiątki, podpierał się laską ze srebrną rączką, miał pociągłą twarz i siwe włosy zaczesane do tyłu.

Jego też rozpoznałem.

To jeszcze jeden z tych, którzy nigdy się ze mną nie witali w Solviken.

Byłem pewien, że to Bertil Rasck – człowiek, który w latach sześćdziesiątych przemawiał do mas na rynku w Trelleborgu.

Ten, który właśnie się pożegnał, wyciągnął rękę i powiedział:

– Markus Jihflod, bardzo mi miło.

Nie chwyciłem podanej mi dłoni.

Rozpoznałem w Jihflodzie jednego z zatwardziałych młodych członków partii, która zyskała ważną pozycję w Szwecji, mówiła o dobru emerytów i o tym, że imigranci zabierają kawałek społecznego tortu przeznaczony dla seniorów. Partii opartej na neonazistowskich fundamentach.

Mówiono, że temu ugrupowaniu udało się złapać zwyczajnych Szwedów, ale Jihflod był tak odległy od zwyczajnego Szweda, jak to tylko możliwe. Miał przylizane do tyłu włosy, natarte żelem, z przedziałkiem prostym jak kreska kokainy, i zarost, prawdopodobnie wymagający kilkugodzinnej pracy każdego ranka, żeby wyglądać

nonszalancko i naturalnie. Jihflod był ubrany w garnitur nieznanej mi marki z dwurzędową marynarką i kamizelką. Biła od tego człowieka nieprzyjemna arogancja, a wszelkie jego wysiłki, żeby wyglądać stylowo, niweczyła para typowo świńskich oczek. Zrozumiałem, dlaczego tak często nosił okulary przeciwsłoneczne, choć nawet on nie mógłby się wytłumaczyć z zakładania okularów w prawie nocnych ciemnościach, które przyniósł ze sobą rzęsisty deszcz.

Jihflod, przewodniczący młodzieżówki, wciąż wojował z władzami partii, która jego zdaniem stała się zbyt bezpłciowa, przestała już być tak twardo antyimigrancka i aryjska.

Najwyraźniej nie przejął się tym, że nie uścisnąłem jego wyciągniętej dłoni, może był do tego przyzwyczajony. Wzruszył tylko ramionami i pobiegł do czarnego mercedesa, osłaniany parasolem przez Robbana.

– A pan czego chce? – zapytał Edward Björkenstam, kiedy Jihflod odjechał sprzed domu. – Czy już raz pana stąd nie przepędziliśmy? Skąd pomyśl, że jest pan tu mile widziany?

– Zainteresowała mnie pani historia, pani Björkenstam, i chciałem trochę o niej porozmawiać. Teraz, kiedy zobaczyłem tu Jihfloda, jestem jeszcze bardziej zaciekawiony.

– Nie mamy nic do powiedzenia – oznajmił Edward Björkenstam.

Znalazłem zdjęcie, które zrobiłem w szklarni, i podniosłem aparat.

– W takim razie co to jest? Jeżeli państwo widzą ten napis...

– Widzimy ten napis – przerwała Viveca Björkenstam.

Jeżeli wcześniej była zdystansowana i wyniosła, zdjęcie wyraźnie ją zaskoczyło i wytrąciło z równowagi.

– Gdzie pan to znalazł? – zapytała.

– Potknąłem się o to. Zwabił mnie zapach marihuany.

– Odejdź – odezwał się Edward Björkenstam.

Ze środka dobiegło żwawe poszczekiwanie. Po chwili pojawił się pies, którego znałem jako Ottona, i zaczął mnie obwąchiwać. Jego ogon poruszał się równie gwałtownie jak wycieraczki mojego samochodu kilka minut wcześniej.

– Klasyczne, rzetelne dziennikarstwo – powiedziałem. – Na państwa temat krąży wiele opinii i pomyślałem, że pozwolę państwu przedstawić swoją wersję i odnieść się do rozmaitych zarzutów.

– Nie ma czegoś takiego jak rzetelne dziennikarstwo.

Posłużyłem się chwytem, który stosowałem już wiele razy wcześniej:

– Nie muszą mnie państwo wpuszczać, ale na dworze jest mokro. Jeżeli nie chcą państwo nic mówić, i tak mam wystarczająco dużo materiału, żeby napisać artykuł, który wzbudzi zainteresowanie w całym kraju, ale wówczas nie będzie można zdementować zawartych w nim informacji. Jeśli się mówi „bez komentarza”, to wszystko staje się jeszcze bardziej podejrzanym.

– Lepiej go wpuśćmy i porozmawiajmy – mruknęła Viveca Björkenstam.

– Jesteś pewna? – zapytał jej mąż.

– Miałam już do czynienia z takimi jak on.

Roześmiała się i zabrzmiało to całkiem serdecznie.

Edward miał na sobie ciemne spodnie i rozpiętą białą koszulę. Viveca Björkenstam upięła włosy w kok i włożyła ciemną sukienkę ze srebrnymi akcentami oraz więcej biżuterii, niż można zobaczyć na wystawie Tiffany'ego w Nowym Jorku. Oprócz tego miała szary dziergany kardigan.

Otto biegał mi pod nogami, kiedy szliśmy wielkim korytarzem z imponującym kryształowym żyrandolem, gigantycznym dywanem, grubym i miękkim jak futro niedźwiedzia po zimowym śnie, kilkoma krzesłami, które wyglądały na przypadkowo rozmieszczone, i okazałych rozmiarów obrazami olejnymi na ścianach. Przedstawiały wojnę, mężczyzn w boju. Wisiał tam również duży obraz psa myśliwskiego, trzymającego w pysku ptaka. Wydawało mi się, że go rozpoznaję.

Poszliśmy dalej do pokoju z kominkiem, sofą, trzema fotelami obitymi brązową skórą i kolejnymi obrazami, które przedstawiały wojnę, krew i cierpienie.

Okna wychodziły na ogród, w którym Edward Björkenstam podpalał wcześniej stos liści, gałązek i Bóg wie czego jeszcze, chociaż cała przyroda była wtedy jak jedna wielka hubka. Tym razem w ogrodzie nie dało się dojrzeć niczego poza szarpanymi wiatrem drzewami. Na zewnątrz było ciemno, deszcz spływał po dużych szybach, a człowiek, którego uważałem za Bertila Rascka, usiadł w jednym z foteli ze szklaneczką czegoś, co przypominało whisky. W zasięgu ręki miał kilkanaście butelek z alkoholem na srebrnym wózku.

Pani Björkenstam podeszła do kominka i wyciągnęła ręce nad trzaskającym drewnem. Kiedy pomyślałem o wszystkich precjozach, które miała na sobie, trochę się przestraszyłem, że wpadnie do ognia.

– Jeśli w środku lata trzeba rozpalać w kominku, znaczy to, że z przyrodą jest coś nie tak – oznajmiła. – Mam nadzieję, że podczas weekendowej imprezy w porcie pogoda dopisze.

Odwróciła się i wskazała jeden z foteli.

– Proszę siadać – powiedziała. – Może się pan czymś poczęstuje?

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

Usiadłem.

Viveca Björkenstam zajęła miejsce pośrodku kanapy i splotła dłonie na kolanach.

Edward Björkenstam wciąż stał za jej plecami.

– Cóż to za straszliwe historie, które mamy skomentować? – zapytała. – Nasz syn, Jacob – pewnie wie pan, kto to jest – twierdzi, że ludzie mówią o nas, jakbyśmy byli Cyganami. Mój mąż i ja jesteśmy uczciwymi i szanowanymi szwedzkimi obywatelami. W Sztokholmie obracamy się w kręgu rodziny królewskiej, polityków i biznesmenów, a tutaj jesteśmy odpowiedzialni za festyn w porcie. Przyciąga do Solviken dużo pieniędzy, a kiedy finanse gminy sięgnęły dna, to my pokryliśmy wszelkie dodatkowe koszty związane z naprawą molo po tym okropnym huraganie sprzed kilku lat.

– Gudrun – odezwał się Bertil Rasck z fotela.

– Tak się nazywał huragan.

– Nie wiem, od czego zacząć – odezwałem się.

– Jacob spotykał się z oszczerstwami jeszcze w szkole, jakby ludzie, Szwedzi, nie byli w stanie ścierpieć, że niektórym powodzi się lepiej od innych. Ale takie jest życie,

zawsze tak było i będzie.

– Gdybym miał wymienić wszystkie wiadomości na temat państwa rodziny, które do mnie dotarły, to... W każdym razie otrzymałem informację, że pani syn śmiertelnie kopnął człowieka podczas sprzeczki w knajpie w Båstad.

– Ta sprawa została zamknięta już dawno temu – przerwała. – Nikt nie został skazany, nic się nie stało. Chłopcy to chłopcy, muszą się wyszaleć, takie rzeczy się dzieją nawet w najlepszych rodzinach.

– To prawda – zgodziłem się. – Ale człowiek, który poinformował mnie o tej awanturze, został zamordowany godzinę po naszej rozmowie.

Viveca Björkenstam się uśmiechnęła, ale uśmiech był lodowaty i nie dotarł do oczu.

– A cóż my mamy z tym wspólnego? – zapytała.

– Mówił, że rozmawiał z pani synem.

Wzruszyła ramionami.

– To chyba nie jest zabronione?

– Nie, ale...

– Niech pan posłucha, panie... jak panu tam...

– Svensson – powiedziałem. – Harry Svensson.

– Posłuchaj pan, Svensson. Nasz syn dobrze wygląda, ale czy to przestępstwo? Nie można go oskarżyć o to, że ma powodzenie u kobiet. Jest wiele kobiet zainteresowanych jego i naszymi pieniędzmi, to żadna tajemnica, zawsze tak było. Zawsze się znajdują kobiety, które uwodzą mężczyzn tylko po to, żeby później twierdzić, że zostały zgwałcone.

Nie pisałem ani słowa o samobójczyni, o której opowiadał mi Georg Grip.

– Wystarczy wspomnieć nazwisko Björkenstam i od razu się słyszy, że waszą specjalnością jest płacenie za wyciszenie spraw, które mogłyby się przerodzić w skandale – zauważyłem.

– Co to za brednie? – odezwał się Rasck.

Edward Björkenstam nadal nic nie mówił, ale jego żona odparła:

– Czasami trzeba się do tego uciec, aby nie oglądać swojego nazwiska w prasie brukowej, nawet jeśli człowiek jest niewinny. Bywa, że opłaca się wyłożyć pieniądze, żeby nie rozpisywano się o skandalu. Ludzie tak łatwo dochodzą do wniosku, że nie ma dymu bez ognia. Kobiety tego pokroju dobrze o tym wiedzą. Wystarczy zobaczyć, jak to wygląda w Wielkiej Brytanii. To jedna z ciemnych stron bycia bogatym.

– Ile jeszcze jest tych ciemnych stron?

Od razu pożałowałem pytania.

Viveca Björkenstam ściągnęła usta i oznajmiła:

– Jeżeli ma pan zamiar być taki bezczelny, proszę wyjść. Wpuściłam pana do domu i powiedziałam, że odpowiem na pańskie pytania. Proszę to uszanować.

– Wolność prasy dotyczy tylko komunistów – stwierdził Bertil Rasck. – Kiedy człowiek mówi prawdę, nie dadzą mu dojść do głosu.

Opróżnił szklankę i postawił ją gwałtownie na stoliku obok fotela.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo i udawałem, że myślę. Słyszałem trzaskanie

drewna w kominku. Ten dźwięk stwarzał przytulną atmosferę. Podszedł Otto, obwąchał mi buty i położył się na moich stopach. Ten dzień był jakby stworzony do piątkowego leniuchowania w zaciszu domowym.

– Nie mam żadnych dowodów, ale uważam, że ktoś z państwa jest zamieszany w morderstwo rolnika, które wydarzyło się tu przed rokiem.

– Co ty pieprzysz? – warknął Bertil Rasck z taką wściekłością, że z jego ust prysnęły drobinki śliny.

Edward Björkenstam z rezygnacją pokręcił głową.

– Nie dawaj się tak wytrącić z równowagi prostemu dziennikarzowi, Bertil – powiedziała Viveca Björkenstam i machnęła ręką.

– Powinien pan już iść, Svensson.

Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale do domu, czy raczej do zamku, weszli dwaj mężczyźni, którzy pomagali wtedy Edwardowi Björkenstamowi podpalić stos. Stali w drzwiach, odziani w kombinezony, i próbowali wyglądać groźnie.

Wstałem i ruszyłem do drzwi.

Otto poszedł za mną.

– W każdym razie macie sympatycznego psa – rzuciłem.

Chętnie odjechałbym z godnością, ale trudny w obsłudze litewski samochód nadal mnie nie słuchał, więc wyjechałem na wstecznym biegu z dziedzińca pod zamek Björkenstamów. Dopiero kiedy zjechałem z drogi na pole golfowe, udało mi się wrzucić bieg, który pozwolił mi pojechać do przodu. Kiedy wystartowałem z kopyta, mimo wszystko ucieszyłem się na myśl o tym, że najprawdopodobniej będą musieli posiać w tamtym miejscu nową trawę.

Jonna nie znalazła nic na temat nazistowskiej przeszłości Viveki Björkenstam, ale przysłała mi dość świeże zdjęcie Bertila Rascka. Udowodniło tylko to, co i tak już wiedziałem: to on siedział w fotelu u Björkenstamów i był w centralnej części zdjęcia zrobionego tak wiele lat temu na rynku w Trelleborgu.

Nadłożyłem drogi i pojechałem do Lerberget, do Larsa Berglunda.

Doskonale wiedział, kim jest Bertil Rasck.

– Latem tu mieszka i zwykle zarzuca nas artykułami publicystycznymi, w których mowa o tym, jak bardzo szwedzkie społeczeństwo zeszło na psy – oznajmił Berglund. – Wszystko to wina obcokrajowców. Choć nigdy nie precyzuje, kim są ci obcokrajowcy. Nigdy nie opublikowałem żadnego z tych artykułów i w końcu, dwa lata temu, dostałem odręcznie napisany list. Rasck twierdził, że jestem Żydem albo przynajmniej chodzę na pasku żydowskiej mafii medialnej. Dodał, że nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że mam ciągoty homoseksualne.

– Przyjemniaczek – stwierdziłem. – Przez ostatnią dobę pomagała mi researcherka o imieniu Jonna. Przesłała mi artykuł z „Expo”, z którego wynikało, że Rasck udzielił znacznego wsparcia finansowego partii politycznej wrogo nastawionej do obcokrajowców. Napisano tam również, że trzy lata temu przy więcej niż jednej okazji twierdził, że Holokaust to kłamstwo.

– W tym samym roku, w którym otrzymałem tamten list, pojawiły się naciski ze strony właścicieli gazety – kontynuował Berglund. – Tłumaczyli mi, jakie to ważne,

żeby liberalna prasa prezentowała wszystkie poglądy, a więc... Nie wiem, może próbował na nich wpłynąć, a może oni też mają jakieś stare nazistowskie ciągoty. O ile dobrze pamiętam, Rasck wystosował kilka pism do gminy, w których dowodził, że ludzie pochodzenia żydowskiego nie powinni piastować tam żadnych stanowisk. To wszystko było tak szalone, że nie traktowałem go poważnie. Wychodzi na to, że popełniłem błąd.

– Tak czy inaczej, przyjemniaczek z niego.

– Czy ta twoja researcherka znalazła coś konkretnego na temat Björkenstamów?

Pokręciłem głową.

– A pomyślałeś o tym? – zapytał.

– O czym?

– Że Björkenstamowie mogą pompować pieniądze w tę partię za pośrednictwem Rascka? Wtedy cała krytyka, o ile taka jest, skupia się na nim. Te gnojki zaczynają się pokazywać w towarzystwie, z królem i królową, chodzą w swoich brzydkich strojach ludowych. Rasck przyzwyczaił się do krytyki, więc to po nim spływa, a nazwisko Björkenstam przez cały czas jest nieskazitelne.

– Może i tak – zgodziłem się, choć nie wiedziałem, co myśleć.

Brzmiało to tak, jakby jej mąż chciał rozwalić kuchnię. Dała mu trochę czasu, żeby ochłonął, a potem zeszła po schodach i zapytała:

– Co się stało?

Dawno nie widziała go tak roztrzęsionego. Może nigdy. Zwykle starannie uczesane włosy były potargane, czoło błyszczało od potu, a w oczach czaiła się panika.

– Golovin – powiedział.

– Co z nim?

– Nie przyjedzie.

Wiedziała o zakupach zrobionych specjalnie z myślą o wielkiej imprezie w Mölle, która miała się odbyć, kiedy jej teściowie będą nadzorować festyn w porcie w Solviken.

Wiedziała też, że Dmitrij Golovin nie przyjedzie.

Przeczytała o tym w mailu.

– Dlaczego? – spytała.

– Nie mam, kurwa, pojęcia. Ten jego pieprzony sekretarz po prostu zadzwonił i poinformował, że go nie będzie. Pewnie jest z tą pierdoloną łodzią w Kopenhadze.

To też wiedziała.

– Całe to gównno – dorzucił.

– Co?

– Odwołał całe to gównno.

Wyszedł z domu. Słyszała, jak odpala samochód i odjeżdża. Rozejrzała się po kuchni – wyglądało na to, że nic nie jest zniszczone, ale na podłodze leżały porzrzucone krzesła.

Zaczął lać deszcz, ale mimo to postanowiła wyjść na spacer.

Eva Månsson zadzwoniła z informacją, że pewien policjant z Helsingborga, który pracuje z i nad gangami motocyklowymi, twierdzi, że dojdzie do konfrontacji między nowo przybyłym gangiem Dark Knights a tymi o ustalonej pozycji, jak Hells Angels i Bandidos.

Mówił też, że jeden z członków Dark Knights zginął w wypadku drogowym, a drugi leżał w śpiączce w szpitalu w Helsingborgu.

– Uważa, że w wypadek był zamieszany ktoś jeszcze – powiedziała.

– Hm – mruknąłem.

Eva dodała:

– Jest zdania, że któryś z pozostałych gangów upozorował wypadek.

– Hm – mruknąłem znowu.

– Twierdzi, że stare gangi są zainteresowane głównie robieniem pieniędzy i ogólnego chaosu, ale Dark Knights mają jeszcze antyimigrancką ideologię, która graniczy z neonazyzmem.

– Wow – rzuciłem dla odmiany.

– Mówił też, że ten, który przeżył, miał dwa pistolety, po jednym w każdym bucie.

Kiedy zakończyliśmy rozmowę, pojechałem do Andriusa Siskaukasa. Nagle poczułem, że nie mam już tak dużych wyrzutów sumienia, że spowodowałem wypadek. Mogło rzeczywiście być tak, jak sobie wmawiałem. Ci dwaj sami byli sobie winni. Może mieli mnie zabić, może tylko postraszyć, a może pobić. Jeden z nich mógł być mordercą Oskara Helandera, chociaż ten wniosek wydawał się naciągany – to, że ścigało mnie dwóch członków gangu Dark Knights, nie znaczyło od razu, że zabili drobnego handlarza narkotykami, nawet jeśli chcieli przejąć handel w Helsingborgu. Bardziej podejrzane było to, że pojawili się tuż po mojej wizycie u Björkenstamów, ale jeśli mieli jakieś powiązania z neonazyzmem, to już nie aż takie dziwne. Przeszłość tej rodziny i jej obecne towarzystwo były w moich oczach wątpliwe.

Wyrzuty sumienia, które miałem teraz, wynikały z tego, że nie powiedziałem Evie Månsson całej prawdy. U Andriusa Siskaukasa trwało wyładowywanie kosiarki z tira, który blokował większą część drogi.

Zaparkowałem i pokonałem ostatni odcinek na piechotę.

– Czymś takim nie da się strzyc trawy w ogrodzie. – Wskazałem kosiarkę, która wyglądała jak czołg z drugiej wojny światowej.

– Da się karczować, człowiek nie powinien mieć w ogrodzie za dużo roślin i innych góvien – odparł Andrius.

Nosił dziwną czapkę. Nie pytałem o nią. Zapytałem za to:

– Jak było w szpitalu?

– Nie wpuścili mnie. Zatrzymałem kosiarkę, poszedłem i zadzwoniłem do drzwi.

Kiedy otworzyła kobieta, powiedziałem, że zapomniałem wziąć butelkę wody, i zapytałem, czy mogę wejść i się napić.

– Pozwoliła ci?

– Tylko popatrzyła i zamknęła drzwi. Wróciła ze szklanką wody, ja piłem na schodach, a ona się przyglądała. Potem zabrała szklankę i weszła z powrotem. Nie powiedziała ani słowa.

– A ty nic nie widziałeś?

– Co miałem widzieć?

– Nie wiem, Andrius. Coś dziwnego. Coś, co się nie zgadza. Co wzbudziło w tobie podejrzenia.

Pokręcił głową.

– Za wielkim budynkiem są takie duże wzgórza, tam nie wolno kosić. Pomyślałem, że mogą tam być groby. Może jakieś dawne zwierzęta domowe, psy, koty albo króliki, które umarły. W Szwecji ludzie mają więcej uczuć dla zwierząt niż dla ludzi.

– Może i tak – przyznałem.

– Jak jeździ samochód? – zapytał Andrius.

– Jeździ dobrze do przodu, ale mam problem ze zmianą biegów, wycofywaniem, uruchamianiem i wyłączaniem silnika.

– Działa na litewski prąd – wyjaśnił.

On i jeden z chłopców wybuchnęli śmiechem.

Przynajmniej przestało padać.

– Woda, którą mi podała, nawet nie była zimna – oznajmił Andrius, kiedy przestał się śmiać.

Pojechałem do domu, opróżniłem skrzynkę na listy, w kuchni restauracji zrobiłem sobie kanapkę i zacząłem przeglądać gazety, które kupiłem.

Byłem zmęczony.

Nie wiedziałem, co robić.

Poznałem niewiarygodnie dużo faktów na temat rodziny Björkenstamów, ale nie zbliżyło mnie to do odpowiedzi na pytanie, co się stało z Emmą. Długo milczała, ostatnio zaczęła mówić, ale nie chciałem jej narażać na coś, co przypominałoby przesłuchanie. Pomyślałem, że trzeba działać ostrożnie. Wiedziałem tylko, że jej ojciec został zamordowany i że była śmiertelnie przerażona na widok zdjęcia Jacoba Björkenstama.

Doprowadziłem do konfrontacji z rodzicami Jacoba Björkenstama i kilka razy rozmawiałem z jego żoną.

Wiedziałem, że będę musiał się skonfrontować także z nim.

Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem?

Doszedłem do wniosku, że ze strachu.

Potrzebowałbym ochroniarza albo pomocnika.

Nie mogłem zadzwonić w tej sprawie do Evy Månsson.

Pomyślałem, że mógłbym zapytać Andriusa Siskaukasa i jego chłopców.

Nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem się zdecydować.

Przeglądałem dalej.

W lokalnej gazecie znalazłem informację o żebraku, który przebywał w szpitalu, bo ktoś kopnął go w głowę przed sklepem monopolowym w Höganäs. Rzecznik policji mówił, że tożsamość sprawcy jest znana, ale nie został jeszcze schwytany.

W tekście uzupełniającym Markus Jihflod, młody polityk, którego spotkałem w domu u Björkenstamów, mówił, że dosyć już żebraków w Szwecji.

Nie odcinał się od skopania człowieka na śmierć.

Rozumiał frustrację szwedzkiego społeczeństwa w związku z tą sprawą i żądał wywiezienia wszystkich żebraków z kraju.

Na zdjęciu za nim stał łysy mężczyzna, który próbował odebrać mi telefon i którego Jihflod nazywał Robbanem.

Pod artykułem widniało ogłoszenie o festynie w porcie w Solviken. Zupełnie o nim

zapomniałem.

Edward i Viveca Björkenstamowie zapraszali wszystkich.

W sobotę po południu miał się odbyć pchli targ, a na wieczór były przewidziane tort kanapkowy i potańcówka. Wystąpi orkiestra, o której nigdy wcześniej nie słyszałem. W niedzielę miał być targ, „łżejsza rozrywka” i uczta rakowa na statku.

Zajrzałem na stronę internetową lokalnej gazety.

Na samej górze znajdował się artykuł o tym, że motocyklista, który przeżył wypadek, zmarł w szpitalu w Helsingborgu.

Rzecznik szpitala wyjaśnił, że obrażenia mężczyzny nie zagrażały jego życiu i że ta śmierć była nagła i nieoczekiwana. Młodsza pielęgniarka weszła do sali, żeby przeprowadzić rutynową kontrolę przed kolacją, i zorientowała się, że pacjent nie żyje.

Nawet się nie wstydziłem swojej konstatacji, że teraz nikt już nie powiąże mnie z tą tragedią. Dwóch mężczyzn nie żyło i gdyby komuś na tym zależało, mógłby stwierdzić, że to ja ich zabiłem albo przynajmniej byłem odpowiedzialny za ich śmierć.

Pewna kobieta, którą znam, mawia, że „Harry idzie przez życie spacerem”, i choć zawsze wtedy protestuję i odpowiadam, że wcale tak nie jest, nie mogę powiedzieć, żeby się myliła.

Czułem się tak, jakbym ostatnio prawie wszystko spieprzył.

Jonna w wielkim stylu pomogła mi z researchem i wyrzuty sumienia, które miałem przez to, że tak ją potraktowałem kilka lat wcześniej, tylko się zwiększyły. Nigdy nie czułem się dobry w kończeniu związków. To, co uważałem za próbę złagodzenia, było tylko rozciągnięciem w czasie, a to, co miało uśmierzyć ewentualny ból i osuszyć ewentualne łzy, zawsze tylko doprowadzało do pogorszenia sytuacji. Zostawiałem za sobą drzazgi i dalej szedłem spacerem przez życie.

Inna, znacznie starsza kobieta, moja sąsiadka, miała powiedzenie, którym zawsze się kierowałem w życiu, a przynajmniej to sobie wmawiałem. Kiedy stawała w obliczu jakiegoś problemu, mówiła:

„Wszystko się ułoży, bo zawsze się układa. A nawet jeśli się nie ułoży, to i tak jakoś będzie”.

Taką filozofię życiową można nazwać nonszalancją. Właściwie nigdy nie musiałem brać za nic odpowiedzialności, bo zawsze wybierałem najprostsze wyjście – jak na przykład to, które sprawiło, że Jonna siedziała w domu pod Sztokholmem z mężem i dwójką dzieci, a przecież mogła... *now you're married with a kid, when you could be having fun with me...* była chyba taka piosenka.

Wszedłem do domu, włączyłem komputer, napisałem maila do Jonny i podziękowałem za pomoc przy researchu. Poprosiłem ją też o podanie numeru konta. Została mi jeszcze część pieniędzy, które zabrałem z kryjówki „klapsowego mordercy” niecały rok wcześniej. Postanowiłem jej przelać dwadzieścia pięć tysięcy koron.

Nie potrafiłem przestać myśleć o Jonnie. Miałem tyle na głowie, że nie mogłem albo nie zdążyłem pomyśleć o niczym innym niż gangi motocyklowe, Emma, martwy pies, martwy człowiek i mniej lub bardziej łajdacka rodzina nosząca jedno z bardziej szanowanych nazwisk w Szwecji. Kiedy jednak spędziłem chwilę na lekturze maila, którego napisałem, musiałem przyznać, że jej riposta: „Przyjdiesz tu i przełożysz mnie

przez kolano?”, obudziła coś, czego nie rozważałem ani o czym w ogóle nie myślałem od bardzo długiego czasu.

W odpowiedzi Jonna napisała:

Nie musisz czekać aż tyle lat, zanim się znów odezwiesz.

Aha.

I jak miałem to rozumieć?

Moje myśli rozproszył pomruk, który nagle się rozległ i zaczął przybierać na sile.

Przez chwilę myślałem, że to burza, ale nigdzie nie było widać złowrogich chmur. Szybko dotarło do mnie, że to warkot silnika.

Odgłos motocykli.

Kilku motocykli.

Wyszedłem na dwór, stanąłem na rogu restauracji i zacząłem liczyć motocyklistów, którzy wjechali do portu, zakręcili na placu do zawracania – niektórzy zjechali na bok – zatrzymali się poniżej restauracji i zablokowali prawie cały port.

Naliczyłem dwadzieścia dwa motocykle, chyba wszystkie tego samego typu.

Hałas był tak głośny, że kiedy silniki zgasły, czułem świst w uszach.

Wszyscy nosili niebieskie albo czarne dżinsy, ciężkie buty, kaski rozmaitych modeli, T-shirty i kamizelki z emblematami. Niektórzy mieli długie włosy, inni krótkie, nie było zgodności, jeśli chodzi o fryzury i zarost.

Łączył ich jedynie napis „Dark Knights” na kamizelkach.

Sytuacja przypominała stary western, w którym bandyci wjeżdżają do miasta, strzelają w powietrze, a potem zsiadają z koni, wchodzą do saloonu i zamawiają coś do picia, najchętniej kieliszek whisky.

Tu nie było saloonu, a jedynie restauracja w Solviken, i nikt nie strzelał w powietrze, ale chłopaki z gangu motocyklowego zachowywały się tak, jak to zwykle mężczyźni – gangsterzy motocyklowi, stadionowi chuligani czy kto tam jeszcze – którzy w stadzie czują się niepokonani. Robiąc dużo hałasu, weszli po schodach do restauracji. Traktowali świat i otoczenie, jakby należały do nich i nikt nie mógł im ich odebrać.

Zanim weszli, zrobiłem kilka kroków do tyłu i stanąłem za słupem pod dachem mojej werandy.

Simon Pender próbował pilnować tego, jak i gdzie siadali, ale nie dało się nimi sterować. Każdy usiadł, gdzie mu było wygodnie, a dwaj weszli za bar i zaczęli nalewać piwo.

Robili, co chcieli, brali sobie jedzenie z kuchni, weszli do budki z rybami i wynosili stamtąd garściami wędzone krewetki i bagietki.

Nie wiem, czy byłem tchórzem czy strategiem, ale wszedłem spokojnie do domu, zamknąłem za sobą drzwi i ostrożnie wyjrzałem przez okno w kuchni. Wcale nie było pewne, czy przyszli do restauracji z mojego powodu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że tak.

Nagle trzech z nich złapało młodą kelnerkę Idę i zaczęło ją popychać między sobą. Ida krzyczała i opierała się, kiedy wkładali jej ręce pod bluzkę i pod spódnicę. Miarka się przebrała. Nikt nie zauważył, kiedy wymknąłem się z domu i wślizgnąłem się do restauracji kuchennymi drzwiami. Ubiegłego lata miałem kij golfowy, ale odsłużył już

swoje. Minałem więc kuchnię, w której Simon stał jak sparaliżowany, poszedłem do jego biura i wziąłem kij golfowy, którego on sam używał do obrony i walki. Skierowałem się prosto do budki, w której jeden z mężczyzn podciągnął Idzie spódnicę, a drugi usiłował zdjąć jej majtki.

Nie zdążył, bo mocno oberwał w ramię kijem golfowym Simona Pendera i z wrzaskiem zwałił się na podłogę. Ten, który trzymał Idę, puścił ją i ruszył w moją stronę, ale upadł, kiedy kij golfowy trafił go w kolana.

Przy stolikach zapadła cisza.

Ida poprawiła ubranie, zbiegła do portu i popędziła dalej do głównej drogi.

Dwaj mężczyźni, którzy oberwali kijem, leżeli na ziemi i jęczeli.

Pozostali przerwali jedzenie i picie piwa, podnieśli się z krzesel i stanęli przede mną półkolem.

Rycerz na białym koniu – pomyślałem. Po jaką cholere mam być wybawcą kobiet?

Miałem nadzieję, że Simon zadzwonił na policję, ale zanim ktoś przyjedzie, mogą minąć całe wieki. Gdy tylko w restauracji pojawił się gang motocyklowy, wszyscy zwyczajni goście wyszli. Niektórzy już wyjechali z Solviken, a inni stali z zaciekawieniem na moło i na pomostach. Mężczyzna z włosami do ramion i w koszulce z nadrukiem Iron Maiden przecisnął się do przodu i stanął przede mną.

Jak na członka gangu motocyklowego miał niewiarygodnie starannie przystrzyżoną brodę, ale oprócz tego małe, przenikliwe oczka.

– A więc tu jesteś, Svensson? – odezwał się, jakby z duńskim akcentem.

Nie odpowiedziałem.

– Nigdy nie miałem okazji cię spotkać, tylko o tobie słyszałem – kontynuował.

Nadal milczałem.

Próbowałem oszacować, ilu mógłbym unieszkodliwić, zanim zdobędą przewagę.

Można było ich policzyć na palcach jednej ręki.

– Moi przyjaciele mówią, że ciężki z ciebie przypadek – mówił dalej.

– Nie trzeba było się dobierać do kelnerki – odpowiedziałem.

– Chłopcy chcieli tylko zobaczyć, jak wygląda, no i to był dobry sposób na wywabienie cię z kryjówki – odparł i wybuchnął śmiechem.

Pozostali, którzy stali za nim, też zaczęli się śmiać.

Odwrócił się do nich.

– Co powiecie? Oćwiczmy go kijem czy pociągniemy za bajkiem?

Nie ulegało wątpliwości, że chcą zobaczyć, jak ciągnie mnie motor.

Gdyby zbliżali się jeden po drugim, być może miałbym szanse, ale kiedy rzucili się na mnie wszyscy naraz, nie pomogły dwa czy trzy porządne trafienia kijem. Ktoś złapał się za zakrwawiony nos, ktoś zakrył ręką usta, ale było ich zbyt wielu i powalili mnie na ziemię, związali mi ręce z przodu i zaczęli ciągnąć po zboczu od budki do czekającego motocykla.

W połowie drogi puścili mnie i upadłem twarzą na żwir.

Przeturlałem się na bok i zobaczyłem, jak biegną w stronę motorów, wsiadają i uruchamiają silniki.

Człowiek, którego uznałem za lidera, przed odpaleniem silnika krzyknął do mnie:

– Jeszcze z tobą nie skończyliśmy, Svensson!

Nadal było słycać duński akcent.

W niecałą minutę port opustoszał.

Nie wiem, jak wsiedli na motocykle, ale człowiek, który oberwał w ramię, i ten, którego zdziałem w kolana, zniknęli, tak samo jak ten, który krwawił z nosa.

W zamieszaniu nie zauważyłem, że w porcie był Bosse Rybak. Wbiegł na szczyt wzgórza, przykucnął i rozciął sznur, który krępował mi nadgarstki. Jego nóż błyszczał od rybich łusek.

– Co to, kurwa, było, Harry?

– Nie wiem – odparłem.

– Jesteś ranny?

– Nie wydaje mi się.

– Coś cię boli?

– Chyba też nie.

– Masz zadrapanie na policzku – stwierdził.

– I żwir w ustach – powiedziałem i zacząłem pluć.

Objąłem ramieniem Bossego Rybaka, a kiedy ruszyliśmy do restauracji, obejrzałem się za siebie i popatrzyłem na port. Było tam kilkanaście osób. Rozmawiali. Z tyłu stała kobieta z jack russell terrierem na smyczy. Miała na sobie dziergany jednokolorowy kardigan z kapturem. Próbowwała odwracać głowę i patrzeć na zatokę. Kiedy jednak minęła jeden z pomostów i skierowała się w stronę głównej drogi, nabrałem pewności, że to Viveca Björkenstam.

Mogłem ją zawołać, mogłem za nią pobiec.

Mogłem krzyknąć albo zagwizdać na Ottona.

Ale nic nie zrobiłem.

Skoro nie czułem bólu, prawdopodobnie byłem w szoku.

Nie dałem rady się tym zająć.

Kiedy weszliśmy do restauracji, Simon Pender powiedział to samo, co Bosse Rybak kilka minut wcześniej:

– Co to, kurwa, było, Harry?

Odpowiedziałem tak samo:

– Nie wiem.

Przemyłem twarz, wyplułem jeszcze trochę żwiru i zapytałem:

– Zadzwońeś na policję, Simon?

– Nie, nie pomyślałem o tym.

– No i dobrze – zdecydowałem. – I tak za długo by potrwało, zanim by przyjechali.

– Znasz tych gości?

Pokręciłem głową.

– Ale to o ciebie im chodziło.

– To twoje chłopaki – powiedziałem. – Ty zadajesz się z takimi ludźmi i ich zapraszasz. Nie da się nad nimi zapanować. Myślałem, że wyjdiesz i przejmiesz dowodzenie nad oddziałami.

– Nie znam ich, poza tym mówiłem ci, że nigdy nie miałem problemów z Hells

Angels.

Naprawdę wyglądał na trochę zawstydzonego.

– *Same but different* – oznajmiłem. – Mnie mogłeś mieć gdzieś, ale powinieneś spróbować pomóc Idzie.

Simon, druga kelnerka i młody pomywacz z irokezem zaczęli sprzątać, a ja nalałem sobie solidną szklaneczkę calvadosu.

„To o ciebie im chodziło”. Tak, chyba miał rację.

Opróżniłem pół szklanki, kiedy zadzwonił telefon.

To był Lars Berglund z Lerberget.

– Gospodarstwo stoi w płomieniach – poinformował.

– O czym ty mówisz?

– Stare gospodarstwo Dahlströmów się pali.

– Czyje?

– Ojca Emmy. To, w którym dziewczynka mieszkała z rodzicami. Nie wiedziałem o tym, ale ten cały gang motocyklowy, Dark Knights, przez ostatnie miesiące miał tam kwaterę główną.

– To by wyjaśniało, dlaczego tak szybko zniknęli.

– Kto?

– Później ci opowiem.

– Pojedziemy tam? – zapytał.

– Czemu nie? – odparłem.

Żaden z nas nie wiedział dokładnie, jak się tam jedzie, ale mimo wszystko dość łatwo było trafić. Płomienie i dym wskazywały drogę lepiej niż wileński GPS.

Strażacy zamknęli drogę prowadzącą do gospodarstwa, ale stało tam też kilku gapiów, którzy przyglądali się ich pracy. Nie szło chyba najlepiej. Ktokolwiek podłożył ogień, zrobił to znakomicie.

Nie miałem legitymacji dziennikarskiej, ale Lars Berglund ją posiadał i w końcu udało mu się porozmawiać z dowódcą strażaków. Był on przekonany, że to podpalenie, a ogień najprawdopodobniej podłożył konkurencyjny gang, który chciał się pozbyć Dark Knights.

– Kiedy przyjechaliśmy, nie było tu żadnego z gangsterów, ale ludzie, z którymi rozmawialiśmy, słyszeli motocykle, zanim wybuchł pożar. Potem przyjechała duża grupa Dark Knights, ale natychmiast odjechali – powiedział strażak, zdjął hełm i otarł pot z czoła. – Niewiele możemy zrobić, głównie pilnować, żeby ogień się nie rozprzestrzenił.

W pobliżu nie było żadnych zabudowań, więc nie rozumiałem, co ma na myśli. Chyba dowódcy strażaków mówią tego typu rzeczy, kiedy trzeba coś powiedzieć.

Berglund chodził po okolicy i rozmawiał z ciekawskimi, ale ja czułem, że nie mam tu już nic do roboty.

Naprawdę nie lubiłem Dark Knights, ale zacząłem się martwić, jak wytłumaczę Emmie, że jej dom rodzinny się pali.

Po powrocie do Solviken zadzwoniłem do Evy Månsson. Miała się skontaktować z policją z Helsingborga.

Potem zadzwoniłem do Arnego i powiedziałem mu, co się stało.

Nie mówiłem wszystkiego. Darowałem sobie groźby o ciągnięciu za motocyklem.

Simon wyszedł z budki. Mówił, że Ida zadzwoniła na policję i w końcu przyjechał patrol.

– Nie mieli zbyt wiele do roboty. Najdziwniejsze jest to, że policjant, który ze mną rozmawiał, powiedział, że był tu już wcześniej, ubiegłego lata, kiedy ścigałem złodziei paliwa.

– Tak, stary. Całe gospodarstwo płonie. To dlatego gang odjechał stąd tak szybko. To była kwatera główna Dark Knights.

Byłem wykończony. Stwierdziłem, że muszę się położyć.

Już prawie wchodziłem do domu, kiedy Simon zapytał:

– Wiesz, jak on się nazywał?

– Kto?

– Policjant.

– Nie. Skąd miałbym wiedzieć?

– Laxgård.

– Laxgård?

– Durne nazwisko.

– Trzeba się jakoś nazywać – mruknąłem. – Jak się czuje Ida?

– Jest w szoku, chyba już tu nie wróci.

Rozumiałem ją.

Ja też chciałem zniknąć, znaleźć się najdalej od wydarzeń, nad którymi nie potrafiłem zapanować, i od ludzi, których być może się bałem. Tak się dziwnie złożyło, że powinienem być wdzięczny Hells Angels, bo uchronili mnie przed przejażdżką za motocyklem.

Kiedy się położyłem, przyszło mi do głowy, że to grupa Specials nagrała piosenkę o dobrej zabawie zamiast siedzenia w domu z dzieciakiem.

Trzeba gimnastykować umysł.

Tego ranka też nikt nie leżał koło niej w łóżku. Wstała, żeby wyrzucić przez okno, i tak samo jak poprzedniego ranka usłyszała głosy. Tym razem nie dobiegały z werandy, a raczej z kuchni.

Ale sprawiały wrażenie równie zdenerwowanych.

Nadal było ciepło, niebo pokrywały jednak chmury.

Kiedy włożyła szlafrok i zeszła po schodach, usłyszała, że osoby również są te same. Otworzyła drzwi do kuchni, a wtedy głosy ucichły.

– Dzień dobry – powiedziała.

Nikt się nie odezwał.

Jej teść wstał, minął ją i bez słowa wyszedł z domu. Mąż i teściowa nadal siedzieli przy stole, a pies teściowej podszedł, merdając ogonem, i zaczął obwąchiwać i lizać jej nogi.

– Co się stało? – zapytała. – Jesteście tacy... nie wiem.

– Chyba powinniśmy cię zapytać – odparła teściowa.

Wstała i wsunęła krzesło pod stół.

Jak zawsze miała staranną trwałą, kraciastą koszulę zapiętą pod szyję i granatowe, wąskie spodnie. Włożyła tyle dużych pierścionków i bransoletek, że kiedy wstała, zdawała się uginać pod ich ciężarem.

– To znaczy?

– Sama chyba najlepiej wiesz, co to znaczy.

– Nie, nie wiem – powiedziała z irytacją. – Już drugi poranek z rzędu jesteście tu i się kłócicie...

– Dyskutujemy – poprawiła ją teściowa.

– ...w tym domu, a ja nie wiem, o czym dyskutujecie i co się stało.

– Zapytaj ją, Jacob.

Jej mąż, który do tej pory milczał, spytał:

– Co ci mówi nazwisko Harry Svensson?

Drgnęła. Nie takiego pytania się spodziewała. Myślała o mailach, które dostała, i o tych, które pisała do kogoś zupełnie innego. Zastanawiała się, czy w jakiś sposób je odkryli.

– No i widzisz – wycedziła teściowa i oskarżycielsko wymierzyła w nią palec.

– Chyba ma restaurację w Solviken.

– Jest dziennikarzem – oznajmił jej mąż. – Był w domu rodziców i węszył.

– Tego... nie wiedziałam.

– Dlaczego mówisz, że chyba ma restaurację? – zapytała teściowa. – Przecież tam byłaś. Ludzie widzieli, jak piłaś wino z Harrym Svenssonem.

Nazwisko Harry'ego Svenssona wymówiła z syczącą pogardą.

– Widziano cię też z nim w Mölle – ciągnęła. – W tych wioskach nie można mieć żadnych tajemnic. Wczoraj siedzieliście na ławce i jedliście lody.

– Czy to prawda? – zapytał jej mąż.

– Rozmawiałam z nim, zgadza się. Ale to była tylko gadka o niczym, kilka dni temu przysiadł się do mnie w restauracji w porcie i... potem po prostu znów się pojawił.

– I to oczywiście dlatego pojechałaś do Solviken? Żeby się z nim przypadkiem spotkać? – syknęła Viveca Björkenstam.

Przewróciła oczami przy słowie „przypadkiem”. Odwróciła się do syna i powiedziała:

– Wiesz, co mówiłam, Jacobie.

Nie odezwał się.

Poczuła, że jest bliska płaczu.

– Co takiego mówiłaś? – Podeszła do stołu. – Co wy kombinujecie?

– Mogłabym przysiąc, że nas wczoraj podsłuchiwała. Czasem jesteś taki naiwny.

– Nie podsłuchiwałam. Mieszkam tutaj i wolno mi robić, co chcę.

Viveca prychnęła, przywołała psa i wzięła go na smycz. Odwróciła się w drzwiach i powiedziała do syna:

– Czas, żebyś tupnął nogą. Pokazał, kto rządzi w tym domu. Ta tutaj – podeszła i pstryknęła ją w ucho – uważa się za nie wiadomo kogo. Córka hydraulika, prostaczka. Trzeba ją nauczyć dyscypliny, kilka klapsów w odpowiednie miejsce powinno jej dobrze zrobić, a jeśli nie...

Zrobiła wymowny gest, przyciągnęła psa do siebie i wyszła do czekającego samochodu.

Łzy rozpaczy albo strachu zmieniły się we łzy wściekłości. Podeszła do męża, położyła ręce na stole, spojrzała mu prosto w oczy i rzuciła:

– A ty to, kurwa, kto jesteś? Pozwalasz matce mówić do mnie w ten sposób? Ma prawo tak się o mnie wyrażać?

Milczał.

– Mówi, że nikt nie może mieć tu tajemnic, a sami co robicie? Co jest taką cholerną tajemnicą? Możesz mi odpowiedzieć? Co się dzieje?

– O czym rozmawiacie?

– Kto?

– Ty i ten dziennikarz Svensson.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi. Chciała powiedzieć, że to nie jego pieprzony interes, ale się powstrzymała. Zamiast tego powiedziała:

– O pogodzie, o wietrze, o ogólnych sprawach, o których się rozmawia. Mam wrażenie, że w tym domu nie mówi się o niczym, odkąd się tu sprowadziliśmy.

– Czy on wie, kim jesteś?

– Nie. Nie sądzę. Przedstawiłam się samym imieniem.

– Pytał cię o nazwisko?

– Nie.

– A o coś innego?

– To znaczy?

– O... nas?

– Jakich nas, do cholery?

– O mamę i tatę. O mnie. O nas.

Westchnęła.

– Nie. O nic nie pytał.

– A ty nic nie mówiłaś?

– Powtarzam: mówiłam tylko o pogodzie i wietrze.

– U mamy i taty głądził o plantacji konopi, twierdził, że mają z nią coś wspólnego.

A kiedy kazali mu zmiatać, zapytał o modele pociągów taty.

Była zdumiona i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Skąd o tym wiedział?

– Nie mam pojęcia – odparła.

– Nie mówiłaś mu?

– Przecież tłumaczę, że nie. Za to wczoraj powiedział, że o plantacji napisano w gazecie. Nie wiem, nie czytuję jej. Mówił też, że w Helsingborgu zastrzelono handlarza narkotykami.

– Wspomniał o tym tak po prostu, przy okazji?

– Tak.

– Skąd o tym wiedział?

– Przecież mówiłam. Najwyraźniej przeczytał w gazecie. – Uderzyła otwartą dłonią o stół.

– A dlaczego pojechał do rodziców?

– Nie mam pojęcia, do jasnej cholery.

Na stole stała solniczka, zaczął obracać ją w palcach. Wyglądał, jakby się zastanawiał. W końcu odstawił solniczkę, wstał i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, stanął naprzeciwko niej, spojrzał jej w oczy i powiedział:

– Może mama ma rację.

– Co?

– Trzeba cię nauczyć dyscypliny.

– Co ty pieprzysz?

– Nie wiem, co o tym myśleć. Nie wiem, czy opowiadałaś mu o nas, czy nie, ale wygląda na to, że latasz po okolicy i się kurwisz.

Gwałtownie odskoczyła i poczuła, że robi się czerwona.

– Co... ty... do diabła...

Urwała, kiedy uderzył ją w twarz.

Przez chwilę była jak skamieniała, w końcu podniosła rękę, żeby mu oddać albo podrapać go po twarzy.

Odepchnął jej rękę i trzasnął ją w drugi policzek.

– Co... kurwa... nie możesz...

A jednak mógł. Próbowwała protestować, próbowała go powstrzymać, próbowała krzyczeć, ale wziął ją pod pachę i zaniósł do łazienki. Kopała, ale nie udało jej się uwolnić, zrzuciła tylko kilka ozdób z komody w przedpokoju.

Drzwi do łazienki były otwarte.

Kłapa i deska sedesowa podniesione.

Kopała i próbowała gryźć, chwyciła zębami skórę na jego dłoni. Krzyknął i upuścił ją na podłogę. Przeczółgała się do drzwi i zdążyła dotrzeć do połowy progu, kiedy

chwycił ją za nadgarstki, pociągnął z powrotem, zamknął drzwi kopniakiem i zaciągnął ją do sedesu. Zmusił ją, żeby uklękła i się pochyliła.

Napięła się, naprężyła mięśnie, ale przyduślił jej plecy kolaniem i wcisnął jej głowę do sedesu.

Nie spuścił wody.

Przed oczami miała mocz, czuła jego zapach.

Znieruchomieli w dziwnym uścisku jak zapaśnicy podczas walki bez reguł, aż nagle kopnął ją w kolana, najpierw w prawe, a potem w lewe, i poleciała głową do przodu. Mocz dostał się do jej ust i do nosa, próbowała oddychać, a potem wstrzymać oddech, kopała do tyłu, machała rękami, ale trzymał między jej łopatkami kolano. Poczwała, jak ogarnia ją panika, kiedy nie mogła zaczerpnąć tchu... Wtedy zdecydowanym ruchem szarpnął jej głowę do góry, trzymając ją za włosy.

– Tak się robi, kiedy uczy się psy czystości. Myślałem, że przynajmniej ty będziesz czysta, ale się pomyliłem, mama miała rację – wyszeptał jej do ucha.

Próbowała złapać powietrze.

– Nie... nie bierz...

Więcej nie dała rady powiedzieć.

Jeszcze raz wcisnął jej głowę do sedesu i tym razem spuścił wodę, która zalała jej twarz. Poczwała, że się zachłystuje, jakby tonęła. Desperacko próbowała wstrzymać oddech.

Kiedy znów ją wyciągnął, zaczęła kaszleć, odchrząkiwać i pluć. Sedes powoli wypełniał się wodą.

– No to co opowiedziałaś Svenssonowi? – zapytał szeptem.

– Nic... naprawdę nic... nie wiem. – Z trudem wydobywała głos.

– Na pewno?

– Tak, tak, do kurwy nędzy, tak.

Woda przestała płynąć, miska była pełna.

Zapytał:

– Wiesz, jak długo byłaś pod wodą? Osiem sekund. Myślałaś, że dłużej, prawda?

– Dosyć...

Po raz kolejny wcisnął jej głowę do sedesu.

Kiedy spuścił wodę, poczuła, że już nie może, nie chce, nie potrafi stawiać oporu. Jakby się osuwała do nowego, kuszącego albo groźnego świata... Czuła, że umiera, i dopiero kiedy zaczęła kaszleć, pluć i smarkać, kiedy usiłowała zaczerpnąć powietrza, zrozumiała, że wyciągnął jej głowę z sedesu. Czuła ból w płucach, żyła, widziała światło, jakiś błysk – zobaczyła, że robi jej zdjęcie telefonem.

– Posprzątaj tu trochę i siebie też doprowadź do porządku. Prawdę mówiąc, wyglądasz paskudnie. Golovin z jakiegoś powodu cię lubi, więc jesteś mi potrzebna. Potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek, teraz, kiedy ten dziennikarz próbuje sabotować całą resztę. Gdyby nie to, wyrzuciłbym cię. Mama od początku miała rację, nie powinienem był wprowadzać do rodziny kundla.

Odwrócił się do lustra i przeczesał dłonią włosy.

– Bulwa będzie cię pilnował, nie powinien mieć nic przeciwko temu. Najwyraźniej

dobrze się dogadujecie.

Kiedy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, pomału osunęła się na posadzkę i leżała z policzkiem przyciśniętym do podłogi.

Chciało jej się płakać.

Ale nie mogła.

Czuła, że nie powinna.

Uklęknęła i próbowała się podnieść, ale na podłodze było mokro i upadła głową naprzód. Zaczęła się zastanawiać, gdzie są jej kapcie, nie widziała ich, widocznie spadły jej z nóg, kiedy niósł ją do łazienki.

Nadal stojąc na czworakach, próbowała uspokoić oddech.

Nie rozumiała, co się stało.

Kłótnia, dyskusja w kuchni.

Teść, który sobie poszedł.

Teściowa, która pstryknęła ją w ucho i nazwała prostaczką.

Uderzenia w twarz, od których nadal piekły ją policzki. Nie wiedziała, czy to oznaka bólu, czy upokorzenia.

Nadal była na czworakach, kiedy do łazienki wszedł młody tłuścioch.

Chciała się podnieść, ale postawił stopę na jej plecach i przygniótł ją z powrotem do podłogi.

Nie mogła wstać.

Jedną ręką podciągnął jej szlafrok i koszulę nocną. Gapił się na jej tyłek i nogi.

– Pomóż mi wstać – odezwała się w końcu.

Była wściekła, że musi go o to prosić.

Nic nie powiedział.

Poczuła jego palce na pośladkach, błędziły pomiędzy nimi.

Ćmiące, dokuczliwe przecucie, że jej życie nie będzie już takie jak dawniej, stało się rzeczywistością.

GG, Georg Grip, przyjechał do Solviken i miał wejście w wielkim stylu.

Kiedy schodziłem do restauracji, zaskoczył mnie młody, mocno zbudowany mężczyzna, siedzący na krześle kawałek od domu. Wprawdzie Simon Pender nie zawiadomił policji, ale zadzwonił do Andriusa Siskaukasa, który oddał nam do dyspozycji tego młodzieńca.

Chłopak był Litwinem, jasnowłosym i niebieskookim. Gdyby występował w starym szwedzkim filmie, grany przez niego bohater pewnie miałby na imię Kalle. Przywitałem się, a on skinął głową. Poszedłem do restauracji, usiadłem przy stoliku przy oknie i uruchomiłem komputer. Próbowałem uporządkować maile o transakcjach, które Jonna znalazła, zestawiała i mi przysłała.

W tym samym czasie spostrzegłem jasnoniebieskiego mercedesa, który sunął przez port. Tak, sunął to dobre określenie. Wjechał na plac do zawracania, wrócił i stanął poniżej restauracji.

Wysiadła z niego młoda kobieta w czarnych spodniach od munduru z wąskimi białymi lampasami, białej bluzce, czarnym krawacie i czapce z daszkiem. Otworzyła tylne drzwi i wypuściła GG. To była ta sama dziewczyna, która podawała nam grog przy

torze galopowym u niego w domu. Przyszło mi do głowy, że mogłaby zdobić okładkę którejś ze starych płyt Roxy Music.

GG miał na sobie krzykłą hawajską koszulę w wielkie kwiaty, jasne spodnie i kapelusz panama. Na mój widok pomachał wesoło i zaczął wchodzić po schodach do restauracji.

Kobieta usiadła z powrotem za kierownicą.

Kiedy wszedł, podaliśmy sobie ręce.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył.

– Trochę się wydarzyło – odparłem. – Napijesz się lekkiego grogu?

– Może być nawet ciężki. Wiesz, jak to mówią: zawsze gdzieś na świecie jest piąta po południu.

Zamówił bourbona i ginger ale. Kiedy mu je przyniosłem, wskazałem niebieskiego mercedesa w dole i zapytałem:

– Ona będzie tam siedziała?

– Nie przejmuj się nią. Zakuwa.

– Ma jakoś na imię?

– Nettan.

– To chyba nie jest imię?

Wzruszył ramionami.

– Chyba równie dobrze może zakuwać tutaj? – zaproponowałem.

– To już zależy od ciebie, to twoja restauracja.

Podaliśmy GG grog, zszedłem i zapytałem Nettan, czy nie chciałaby posiedzieć z nami.

Chciała.

– To zdrobnienie od Anette? – zapytałem, kiedy wchodziliśmy po schodach.

– Co takiego?

– Nettan.

– Nie, tak mam na imię.

Miała łagodny, przyjazny głos. Nie widziałem, jakie podręczniki miała przy sobie. Usiadła dwa stoliki od nas, włożyła okulary z ciemnymi oprawkami, podniosła ekran laptopa, otworzyła kilka grubych książek i zakuwała. Co jakiś czas stuknęła w klawisze komputera.

– Jest bardzo inteligentna – oznajmił GG.

Ja widziałem przed sobą tylko okładkę Roxy Music.

GG jadł bagietkę z masłem, szynką i serem, Nettan piła wodę, a ja przygotowałem sobie filiżankę kawy.

GG przyjrzał się interesom Jacoba Björkenstama. Zaczął mi opowiadać o świecie, o którym mało wiedziałem i który rozumiałem w bardzo niewielkim stopniu. Przez całe życie gimnastykowałem się z przychodami i wydatkami i mimo łopatologicznych wyjaśnień GG nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe, że tak niepojęte sumy pieniędzy zmieniają właścicieli, a my, drobni przedsiębiorcy, nic z tego nie mamy.

– Jacob zarejestrował się w Monako, przez co szwedzkie władze nie mogą go tak łatwo kontrolować. Nie jestem pewny w stu procentach, ale wydaje mi się, że stworzył

konto w małym szwedzkim banku, a mógł to zrobić dlatego, że nazwisko Björkenstam w świecie biznesu nadal czasem działa jak hasło „Sezamie, otwórz się”.

Mówił dalej:

– Założę się, że ma też fasadową firmę, może na Cyprze albo w Panamie. Rajów podatkowych, w których obowiązuje pełna dyskrecja, jest coraz mniej, ale powiedziałbym, że Cypr, Panama i może jeszcze Belize nadal funkcjonują w ten sposób. Jacob potrzebuje pełnej dyskrecji, żeby władze nie mogły sprawdzić, skąd pochodzą pieniądze.

Jeżeli dobrze go rozumiałem, Jacob Björkenstam stworzył koncern z rozmaitych spółek córek i matek, które oficjalnie miały działać w Szwecji. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego chciał inwestować w gminie. Potem jednak, jak zawsze wtedy, kiedy ludzie próbują mi wytłumaczyć ekonomiczne sztuczki i wybiegi, całkiem się pogubiłem. Pojąłem tylko, że chodziło o to, aby pieniądze zarobione w Rosji w wyniku różnych korupcyjnych machinacji w końcu wylądowały czyściutkie na szwajcarskim koncie. Nadawca był Szwedem, więc w szwajcarskim banku uznano, że konto jest poważne.

– Jacob dostaje prowizję od tych pieniędzy. Rozumiesz, ile to jest? O jakie sumy chodzi?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak.

– Kilkaset milionów.

– Okej.

To była niepojęta kwota. Jeżeli GG tak mówił, to na pewno tak było.

– Wydaje mi się, że wiem, z kim on pracuje.

– Tak?

– Kilka lat temu zacząłem działać na rynku nieruchomości w Londynie i kilka z nich sprzedałem Rosjanom. Cała londyńska dzielnica o nazwie Belgravia jest w zasadzie rosyjska, ale na ulicach można spotkać tylko kobiety. Mężczyźni kupują domy w Londynie, ale zostają w Rosji z kochankami, a ich żony robią zakupy w sklepach Dolce & Gabbana, Versace albo Roberto Cavalli i przynoszą te rzeczy do domu w torebkach Louis Vuitton. Słyszałeś o Dmitriju Golovinie?

Pokręciłem głową.

– Mój konkurent sprzedał mu dom w Belgravii za pięćdziesiąt milionów funtów. Przebywa tam tylko kilka tygodni w roku. Przez okrągły rok ma cały zespół gospodyń i służących, ale rzadko przyjeżdża, ma tę nieruchomość tylko dlatego, że posiadanie mieszkania w Londynie jest wyznacznikiem statusu.

– Boże – powiedziałem.

– Golovin nie jest do końca taki jak wszyscy inni oligarchowie. Ma ciekawszą historię. Kiedy był mały, jego matka przeprowadziła się z Gruzji do Moskwy. Zaczął budować tam mafię, tak jak to robi wielu starych imigrantów i mafiosów. Nie znajdziesz o nim prawie nic w Internecie, ale zbudował sieć kontaktów na samej górze aparatu partyjnego, jest potwornie bogaty, no i to chyba on używa Jacoba jako pośrednika. Prawdopodobnie spotkali się na Florydzie. Golovin umocnił tam swoją pozycję, sprzedając rosyjskie części maszyn używanych w amerykańskich badaniach kosmicznych. Wystawiał podwójne faktury. Gdzieś słyszałem, że zarobił jednorazowo

ponad dziewięćdziesiąt milionów. Jeżeli Jacob dostawał dziesięć – piętnaście procent za wypranie tych pieniędzy w Szwajcarii, to sam możesz wyliczyć, o jakie sumy chodzi.

– Wybiera się tu.

– Kto?

– Golovin.

– Naprawdę?

GG wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Tak mi się przynajmniej wydaje. Jeżeli dobrze pamiętam, kapitan portu w Mölle wspominał coś o rosyjskiej łodzi w Kopenhadze.

– Spotkałeś się jeszcze z Agnetą?

– Od wczoraj nie, ale pojedę do Mölle i zobaczę, czy tam jest.

– Przekaż pozdrowienia ode mnie. Zawsze ją lubiłem.

Kiedy Nettan otworzyła drzwi GG, padał lekki deszcz. Pomachała do mnie, wsiadła do samochodu i odjechała w stronę głównej drogi.

Szok minął.

Strach i upokorzenie ustąpiły miejsca wściekłości, która wzbierała w niej powoli, ale konsekwentnie.

Panika zmieniła się w spokój, którego nie rozpoznawała i nie rozumiała, ale który byłaby w stanie polubić.

Wzięła prysznic, ubrała się, usiadła na jednym z krzeseł w sypialni i spojrzała przez okno.

Nikogo nie widziała.

Uchyliła drzwi, żeby zobaczyć, czy Bulwa naprawdę „dotrzymuje jej towarzystwa”. Rzeczywiście, siedział przed drzwiami sypialni i grał w jakąś grę na telefonie – ze słuchawek, które miał w uszach, dobiegały różne dźwięki, stuki i trzaski.

Kiedy otworzyła drzwi i wyjrzała, podniósł wzrok. Powąchał swoje palce i się wyszczerzył.

Nie mogła po prostu wyjść z domu, bo ten ohydny, tłusty mężczyzna został mianowany jej strażnikiem. Zamknęła drzwi i poczuła pod powiekami palącą nienawiść. Wróciło do niej upokorzenie, które ją ogarnęło, kiedy przycisnął ją nogą do podłogi, podciągnął ubranie i siłą rozszerzył jej nogi. Nadal czuła na sobie spojrzenie Bulwy, palące nagie ciało, pamiętała, jak wkładał tam paluchy.

Otworzyła szeroko okno.

Drugie piętro, za wysoko, żeby skakać.

Nie było rynn, której można by się chwycić, poza tym nie wiedziała, czy miałyby odwagę. Mogła związać kilka prześcieradeł i się po nich opuścić, ale nie było ich do czego przymocować. Poza tym okno wychodziło na werandę, na której poprzedniego ranka siedzieli jej teściowie i mąż. Mogło się nie udać, ludzie pewnie by ją zobaczyli.

Większość jej ubrań była w garderobie naprzeciwko sypialni, a nie mogła się tam dostać, nie mijając Bulwy.

Miała komputer. To w nim mógł się znajdować klucz do jej przyszłości. Kluczyki do wynajętego samochodu były w torebce, miała tam też karty kredytowe i trochę

gotówki.

Wiedziała, że jeśli uda jej się przekraść obok Bulwy, bez problemu opuści dom i odjedzie.

Pytanie brzmiało tylko dokąd.

Dmitrij Golovin był, delikatnie mówiąc, zadowolony, kiedy otrzymał od niej maila. Prosił, żeby zaczekała, ale nie spodziewał się tego, co nastąpiło przed chwilą. Nie mogła czekać, musiała coś zrobić.

Usiadła przy toalecie i włączyła komputer.

Jednocześnie włożyła wtyczkę lokówki do kontaktu w ścianie.

– Można usiąść?

Podniosłem wzrok.

To był Jacob Björkenstam.

Nigdy wcześniej go nie spotkałem, nie widziałem go na żywo, ale znałem go ze zdjęć – publikowanych w lokalnych gazetach, ale też tych ze starych wycinków, które przysłała mi Jonna.

Nie zdążyłem odpowiedzieć ani nawet zareagować, kiedy dodał:

– Chyba że czeka pan na moją żonę.

Rozejrzałem się. Nie widziałem białego samochodu na rosyjskich numerach. A więc Björkenstam był sam. A może nie – odniosłem wrażenie, że wyrosnięty facet, który w środku nocy sprawdzał moje drzwi, stał kawałek dalej przy jednym ze sklepów z pamiątkami.

– Nie – odparłem.

– Co „nie”? Nie mogę usiąść czy nie czeka pan na moją żonę?

Przeklinałem się w duchu, że pozwoliłem mu tak szybko zdobyć przewagę. Tego rodzaju ludzie – bogacze z wyższych sfer – mają w sobie coś, co sprawia, że zawsze są ponad nami, zwykłymi śmiertelnikami. Jego ojciec też taki był. Nie byli specjalnie podobni z wyglądu, to raczej wyższość była u niego cechą wrodzoną. Przyzwyczaili się do tego, że mają wszystko, czego chcą, i bez żadnego wysiłku idą przez życie jak członkowie rodziny królewskiej albo gwiazdy amerykańskiego hip-hopu.

– Tak, proszę siadać. Na nikogo nie czekam.

Przesunąłem się i zrobiłem mu miejsce.

– To tutaj zwykle się spotykacie?

– Kto?

Sam usłyszałem, jak głupkowato to zabrzmiało.

– Pan i moja żona.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie spotykał się pan z nikim tu w Mölle?

– Spotykałem.

– No właśnie.

– Ale nie rozumiem, co panu do tego...

– Nie wie pan, kim jestem?

Usiadł, odwrócił głowę i na mnie spojrzał.

Uśmiechnął się.

Miał uśmiech zwycięzcy. I równe, białe zęby.

Był opalony. Jego czarne włosy były gęste i zaczesane do tyłu. Wzdłuż jednej skroni zwisał lok, co sprawiało, że jego i tak już chłopięcy wygląd stawał się psotny i pełen uroku.

– Widziałem pana w gazecie – powiedziałem.

– I spotyka się pan z moją żoną. Ma na imię Agneta.

– Nie wiedziałem, że to pańska żona – odparłem.

Zaśmiał się krótko.

– Dlaczego panu nie wierzę?

– Tego nie wiem. Wiedziałem jedynie, że rozmawiam z kobietą o imieniu Agneta.

Wyrośnięty kupił sobie włoskiego lodu i stał oparty o ścianę budki. Wyraźnie miał takie same problemy z lodem, jak wcześniej Agneta Björkenstam. Trzymał rożek w pewnej odległości od siebie i jednocześnie próbował wytrzeć sobie rękę papierową serwetką.

Chyba miotał przekleństwa.

Omiotłem wzrokiem okolicę, ale nigdzie nie widziałem małego grubasa w dresie. Może ci dwaj ze sobą zerwali.

– Nie musi pan patrzeć, dzisiaj nie przyjdzie.

Poprawił szare spodnie i dodał:

– Moja żona jest niedysponowana.

Jeżeli jego uśmiech był chłopięcy albo psotny, kiedy Björkenstam siadał, to przy tych słowach jego twarz nagle zrobiła się brutalna i zimna, a uśmiech zamienił się w szyderczy grymas.

– Aha. Nie wiem, jakich słów pan ode mnie oczekuje.

– Jest pan byłym bokserem, prawda?

– Nie określiłbym się tak.

– Można o tym poczytać, kiedy się pana googluje. Mistrz okręgowy w Skanii. Myślałem, że bokserzy mają swoisty kodeks honorowy, bo wyjście na ring wymaga odwagi. Tacy ludzie nie rzucają się na cudze żony.

Uznałem, że nie będę tego komentował.

– Może stoczylibyśmy walkę? Urządę w naszym domu salę z ringiem bokserskim.

Przypomniałem sobie słowa Georga Gripa o tym, jak Jacob Björkenstam wrywa kobiety, i że najlepiej się bije, kiedy ktoś inny trzyma przeciwnika. Nie wspomniałem o tym.

– Już dawno nie boksowałem, nic z tego. Dziwi mnie, że w ogóle można to znaleźć w sieci – odpowiedziałem. – A właściwie dlaczego pan mnie wyszukiwał? Wie pan, kim jestem?

Jego uśmiech znów zaczął być psotny. Björkenstam powiedział:

– Robi się pan, jak by to powiedzieć... kłopotliwy. Irytujący.

– Cóż, ja nie...

– Uganiam się pan za moją żoną, był pan u moich rodziców i węszył. Czego pan szuka?

– Niczego.

Wybuchnął głośnym, udawanym śmiechem.

Wyrośnięty wrzucił loda i serwetkę do kosza, stanął oparty o słup i zapatrzył się na morze.

– A więc zaprzecza pan, że wprosił się na siłę do moich rodziców?

Nie odezwałem się.

– To milczenie jest wymowne – stwierdził.

Nie odpowiedziałem.

– W Szwecji jest coś takiego... jak by to nazwać... Ludzie w tym kraju bardzo mocno zazdroszczą takim jak ja, nieco lepiej sytuowanym od przeciętnego obywatela. Próbuje się nas oczerniać plotkami, pomówieniami albo tym, co wy gryzipiórki, nazywacie dziennikarstwem śledczym, o ile to wszystko nie jest jednym i tym samym. Jak dotąd nikomu nie udało się zrobić rodziny Björkenstamów i jeżeli pan myśli, że się to panu uda, to się pan myli.

Już dawno nie słyszałem, żeby ktoś mówił o dziennikarzu „gryzipiórek”.

– Pieniądze nie są w stanie rozwiązać wszystkich problemów – stwierdziłem.

Znow się roześmiał tym swoim udawanym śmiechem.

– Może nie wszystkie, ale całkiem sporo.

Zmieniłem pozycję, jakbym chciał wstać, a Björkenstam powiedział:

– Już? Przecież jest tak miło.

– Nie potrafię wnieść zbyt wiele do tej rozmowy.

– No to niech pan powie, o co panu chodzi. Czego pan szuka?

Odchyliłem się i wyciągnąłem nogi przed siebie.

– Dostałem cynk i poszedłem tym tropem. W końcu jestem dziennikarzem.

– Ach tak? Myślałem, że pan z tym skończył i prowadzi restaurację w Solviken.

– Dziennikarzem jest się do końca życia. Dobry dziennikarz zawsze ma w sobie ciekawość. Jeśli chodzi o restaurację, to prowadzi ją mój przyjaciel Simon Pender, a ja mu tylko pomagam.

– Nigdy tam nie byłem, ale moja żona ją odwiedziła wieczorem kilka dni temu.

Odwrócił głowę i spojrzał mi w oczy. Jeżeli czekał na reakcję, to się nie przeliczył. Nie przewidziałem, że to powie, i musiałem wyglądać na zdumionego. Skąd o tym wiedział? Czyżby mu powiedziała? Czy on, oni albo jeszcze ktoś inny nadal obserwował restaurację?

– Widzę, że te słowa na pana podziałały.

Spojrzałem na molo.

Kapitan portu, Dan Frej, pomagał zacumować kolejnej duńskiej żagłowce.

– Dlaczego pytał pan tatę o tę plantację, o której pisali w gazecie? – zapytał.

– Bo dostałem cynk.

– I to wystarczy, żeby się do kogoś wpraszać i być bezczelnym? Myśli pan, że rodzina Björkenstamów jest zamieszana w coś takiego?

– Nie byłem...

– Ależ oczywiście, że pan był. Jak pan może myśleć, że mama i tata są nazistami?

– Już pójdę – oznajmiłem i wstałem.

Chwycił mnie za nadgarstek i wycedził:

- Jeszcze chwilę. Proszę podać cenę.
- Cenę?
- Proszę powiedzieć, ile pan chce za zostawienie moich rodziców w spokoju.
- Próbuje mnie pan przekupić?
- Każdy ma swoją cenę.
- Naprawdę już pójdę – odparłem.

Jeśli Jacob Björkenstam przejął dowodzenie, kiedy usiadł na ławce, to odzyskałem je, kiedy wstałem i odszedłem. Gdyby to on pierwszy sobie poszedł, odniósłby miażdżące zwycięstwo. Cieszyłem się, że zaparkowałem w takim miejscu, że wystarczyło tylko wsiąść do samochodu i odjechać. Gdybym musiał włączać i wyłączać silnik, żeby wycofać, Björkenstam zyskałby dodatkowy czas.

Mimo wszystko nie czułem, że to ostateczne zwycięstwo.

We wstecznym lusterku zobaczyłem, że Björkenstam i wyrośnięty podchodzą do siebie i zaczynają rozmawiać. Odwrócili się i patrzyli za mną.

Drżały mi ręce.

Rozumiałem, co mówił Björkenstam, ale nadal nie składało mi się to w całość i – co najważniejsze – nie wiedziałem, co według nich stało się z Emmą.

Może myśleli, że nie żyje, że tej nocy, kiedy uciekła, wpadła do wody i utonęła. Niczego u mnie nie znaleźli i może przestali mnie podejrzewać o to, że ją ukrywam i się nią opiekuję.

Rozmawiałem z Agnetą Björkenstam i rodzicami Jacoba o narkotykach i nazizmie, ale ani słowem nie wspomniałem o zaginięciu dziewczynki.

Mimo to Jacob Björkenstam, a może i cała rodzina, był tak zaniepokojony moim węszeniem w zupełnie innych sprawach, że postanowił mnie kupić.

Zahamowałem, zawróciłem i zjechałem z powrotem do portu.

Kiedy wysiadłem z samochodu, Jacob Björkenstam stał z moim wyrośniętym rosyjskim znajomym kawalek dalej, koło dawnego budynku straży pożarnej, tak małego, że nie mogłem sobie wyobrazić, by zmieścił się tam więcej niż jeden samochód. Z daleka sprawiali wrażenie, jakby o czymś głośno dyskutowali. Björkenstam gestykulował oburącz.

Wyrośnięty zauważył mnie pierwszy. Rozmowa ucichła, Björkenstam się odwrócił i na mnie popatrzył.

– Przepraszam – powiedziałem, kiedy byłem kilka metrów od nich. Wskazałem wyrośniętego. – Znam pana. Czy pan nie był u mnie w domu?

Wyglądał na zdziwionego. Nie odpowiedział.

Björkenstam spojrzał pytająco najpierw na niego, a potem na mnie.

Zwróciłem się do Björkenstama:

– Nie wiedziałem, że panowie się znają.

Żaden z nich nie odpowiedział, więc mówiłem dalej:

– Wydaje mi się też, że widziałem pana w Höganäs, jeździ pan autem na rosyjskich numerach, prawda?

Najwyraźniej nie miał dobrej odpowiedzi na to pytanie, bo się nie odezwał.

– Co panu do tego? – odezwał się Björkenstam.

– Chyba potrafi mówić za siebie.

Wyciągnąłem rękę do wyrośniętego i dodałem:

– Nie przedstawiliśmy się sobie. Jestem Harry. Harry Svensson.

Odruchowo chwycił moją dłoń i powiedział:

– Ladi.

Zabrzmiało niepewnie, jakby już zdążył pożałować podania mi ręki. Miał grube palce i duże dłonie o nabrzmiałych kostkach, ale jego uścisk dłoni był zdumiewająco luźny.

– To rosyjskie imię? Zdrobnienie od Vladimira? – zapytałem.

– Będzie pan dalej węszył? – spytał Björkenstam.

Pokręciłem głową.

– Nie węszyć. Tylko się zorientowałem, że go znam. Mówię o naszym przyjacielu Ladim.

Ladi otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Björkenstam go powstrzymał.

– Nie musisz się do niego odzywać.

– No to tyle, panowie – powiedziałem i ruszyłem do samochodu.

Ladi i Björkenstam odprowadzali mnie wzrokiem przez całą drogę. Kiedy wsiadłem do auta, Björkenstam się odwrócił i znów zaczął gestykulować, a Ladi stał nieruchomo, patrząc na port. Starsza kobieta z chodzikiem powoli szła przez parking.

Kiedy przejeżdżałem koło hotelu Kullaberg, uderzyłem oburącz o kierownicę. Nie wiem, czy zrobiłem tak w geście zwycięstwa, czy dlatego, że kobieta z GPS wreszcie się zamknęła.

Ale nie wyjechałem z Mölle.

Przed budynkiem, który kiedyś był dworcem kolejowym, było dość miejsca, żeby zawrócić. Zrobiłem to i pojechałem z powrotem do portu, bo... starsza pani z chodzikiem miała w sobie coś, co przyciągnęło mój wzrok i mnie zainteresowało.

Kiedy wróciłem, Björkenstam i Ladi już odchodzili.

Ladi patrzył na morze, cała jego postać emanowała rezygnacją.

Wysiadłem z samochodu.

Kobieta była metr za Ladim i Björkenstamem, a ja metr za nią, kiedy nagle się odezwała.

Björkenstam się odwrócił, a wtedy wrzasnęła na cały port:

– Morderca!

Miałem pod ręką telefon.

Zrobiłem zdjęcie.

Kiedy zdziwiony Björkenstam kręcił głową, zacząłem filmować.

– Morderca! – krzyknęła jeszcze raz kobieta. – Morderca, morderca, morderca – nie przestawała.

– Zrób coś, do kurwy nędzy – powiedział Björkenstam do Ladiego.

Wielki Rosjanin stał w pełnym bezruchu.

Rozumiałem go. Źle by to wyglądało, gdyby uderzył starszą kobietę z chodzikiem.

– Idziemy – powiedziałem i wziąłem ją pod rękę. – Może pani iść bez chodzika, trzymając się mnie?

– Mogę.

W wolną lewą rękę wziąłem chodzik i poszliśmy do mojego samochodu. W porcie nie było wielu ludzi, ale kiedy posadziłem ją na siedzeniu pasażera i sam usiadłem za kierownicą, spojrzałem w stronę budek. Stał tam Björkenstam, a wokół niego jakieś sześć czy siedem osób.

Od strony jednego z pomostów nadchodził Dan Frej.

Uruchomiłem silnik i udało mi się cofnąć. Znalazłem się na ulicy, wyłączyłem silnik i włączyłem go z powrotem, wrzuciłem bieg i odjechałem.

– Nazywam się Harry Svensson – powiedziałem. – Rozumiem, że nie chciała pani tam zostać?

Kobieta pokręciła głową. Nie wiedziałem, czy była to odpowiedź na moje pytanie, czy reakcja na to, co przed chwilą zrobiła.

– Gdzie pani mieszka?

– W Ängelholmie – odparła.

Trudno było stwierdzić, ile ma lat, ale kiedy siedziała koło mnie, spostrzegłem, że jest o wiele masywniejsza, niż mi się wydawało, kiedy widziałem ją z daleka. Duże, grube dłonie trzymała splecione przed sobą. Powoli kręciła młynki kciukami.

– Jak się pani nazywa? – zapytałem.

– Els-Marie Gunnarsson.

– Nie wiem, jak zacząć, ale... wie pani, kim on jest? Ten człowiek w porcie?

– Wiem bardzo dobrze.

– Czyli to było zaplanowane?

– Zobaczyłam jego zdjęcie w gazecie i trzy dni z rzędu przyjeżdżałam tu autobusem, licząc na to, że go spotkam. Jechałam z Ängelholmu przez Jonstorp do Höganäs, stamtąd do Mölle, a wieczorem z powrotem do domu.

Spojrzałem we wsteczne lusterko. Nie widziałem żadnego białego SUV-a ani motocykli. Zatrzymałem się naprzeciwko parkingu Möllehässe, w tym samym miejscu, które zająłem kilka dni wcześniej.

– Jadę do więzienia? – zapytała kobieta, kiedy stanęliśmy.

– Raczej nie.

Nadal kręciła kciukami i kiwała głową, jakby była w swoim świecie.

Miała siwe włosy, cienką białą kurtkę włożoną na bluzkę i ciemne spodnie.

– Bardzo źle chodzę – powiedziała. – Może zabiorą mi chodzik.

– No to kupię pani nowy.

Skinęła głową, ale nie byłem pewien, czy zrozumiała, co powiedziałem.

– Tam w porcie krzyczała pani „morderca” – oznajmiłem.

– Zgadza się.

– Co miała pani na myśli?

– Björkenstam to morderca.

Zacząłem się zastanawiać, czy w jakiś sposób była zamieszana w grupową bójkę, podczas której został wymierzony śmiertelny kopniak. Może nawet była matką ofiary. Ale kobieta powiedziała:

– W sensie prawnym albo dosłownym nie odebrał życia mojej córce, bo sama się

zabiła, ale to on do tego doprowadził.

Znałem tę sprawę. Opowiadał mi o niej Georg Grip. Brutalny gwałt w wykonaniu Jacoba Björkenstama, który twierdził, że dziewczyna na wszystko się zgodziła.

Odparłem:

– To brzmi znajomo, ale jeśli myślimy o tym samym zdarzeniu, to powiedziano mi, że ani pani, ani córka nie zgłosiłyście sprawy na policję.

– Miałyśmy ją zgłosić, ja chciałam to zrobić, ale Björkenstam senior zaproponował, że zapłaci i zawrzemy ugodę. Mój mąż, świętej pamięci Rune, uznał, że lepiej będzie wziąć pieniądze. Że Malin, czyli naszej córce, bardziej się przyda gotówka, że to lepsze niż wstyd na sali sądowej, gdzie wszyscy by gadali i... to, co zrobił... to, co zrobił Jacob Björkenstam, nie było w porządku.

Jej głos nabrał mocy i zaakcentowała ostatnie słowa.

– Okej – odpowiedziałem. – Ale...?

Zawiesiłem głos.

Kobieta się nie odezwała.

Patrzyła na kemping, na dzieci, które się bawiły, biegały albo grały w piłkę. Kilku dorosłych grało w siatkówkę, wciąż wjeżdżały i wyjeżdżały samochody z przyczepami wielkimi jak wielorodzinne domy.

– Trzydzieści tysięcy – powiedziała nagle.

– Tyle wam...

– Trzydzieści tysięcy koron za życie. Malin była naszym jedynym dzieckiem.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy.

– Rune nigdy nie doszedł po tym do siebie.

Skinąłem głową.

Przestała kręcić kciukami i trzymała splecione ręce na kolanach. Przykryłem je dłonią.

Podniosła głowę, spojrzała na mnie i zapytała:

– Czy jest tyle warte?

Pokręciłem głową.

Godzinę później Els-Marie Gunnarsson siedziała pod parasolem przy stoliku w ogrodzie Larsa Berglunda w Lerberget.

Powiedziałem jej, kim jestem, czym się zajmuję i co wiem o Björkenstamie. Potem Lars Berglund i ja zaczęliśmy szczegółowo dyskutować na temat tego, co można napisać i w jaki sposób. Zdjęcia i film, które zrobiłem, wysłałem do fotografki Britt-Marie Lindström. Jechała do Lerberget, żeby zrobić zwykłe zdjęcie Els-Marie Gunnarsson. Po wszystkim miała ją odwieźć do Ängelholmu.

Els-Marie Gunnarsson miała siedemdziesiąt dwa lata i od trzynastu lat była na rencie – coś z kolanami albo z biodrami, albo z jednym i drugim. Od siedmiu lat była wdową.

W zasadzie chciała się ubrać inaczej, ale żeby to zrobić, musiałyby wyjść z sypialni i minąć Bulwę. Zacząłby pytać, po co jej te ubrania. Nieważne, pomyślała, zawsze można kupić nowe.

Zdecydowała się na szorty i tenisówki, do foliowej torby włożyła eleganckie

sandały. Potem ściągnęła bluzkę i stanik i też włożyła je do torby.

Spojrzała na lokówkę.

Postawiła torbę przy drzwiach.

Wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi.

Zacząła krzyczeć.

– Pali się, musisz mi pomóc!

Potrząsnęła biustem i cofnęła się do pokoju.

Bulwa stał w drzwiach.

– Gdzie... co...?

Patrzył tylko na jej piersi.

– Masz, łap – powiedziała.

Wzięła do ręki lokówkę i mu ją rzuciła.

Nadal wpatrywał się w jej piersi, więc odruchowo złapał lokówkę, nie widząc, co to takiego. Na to właśnie liczyła.

Rozgrzana część wyglądała jak dildo. Kiedy ją chwycił, upuścił telefon na podłogę i zaczął krzyczeć, kiedy rozżarzona do czerwoności lokówka przepaliła skórę obu dłoni.

Upadł na kolana, odrzucił lokówkę od siebie i z przerażeniem spojrzał na swoje wyciągnięte ręce. Z jego otwartych ust dobywał się niemy krzyk.

Podniosła lokówkę z podłogi i wepchnęła mu do ust.

– Pewne rzeczy trzeba przetrwać – powiedziała.

Udało mu się wyciągnąć lokówkę z ust. Z wrzaskiem turlał się po podłodze tam i z powrotem. Poczula gryzącą woń – spalenizny, potu i moczu. Włożyła bluzkę, zrobiła krok nad Bulwą, wzięła foliową torbę, wyszła z sypialni i zeszła po schodach.

Na BaByliss zawsze można liczyć, pomyślała, wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i wyjechała z posesji.

Kiedy była kawałek od domu, zobaczyła we wstecznym lusterku, że daleko w tyle są wyrosnięty Rosjanin i jej mąż. Szli do domu. Mąż gestykulował dziko i wyglądał na zdenerwowanego.

Zjechała z drogi prowadzącej w dół do portu i wyjechała z Mölle.

Jeżeli jej mąż już teraz wyglądał na zdenerwowanego, to... cóż, nie wiedział, co zastanie w domu.

Kiedy wróciłem do Solviken, z restauracji wybiegła do mnie jedna z kelnerek.

– Harry, przed chwilą ktoś dzwonił i o ciebie pytał.

Podawała mi numer telefonu zapisany na karteczce.

– Nie ma nazwiska. Czyj to numer? – zapytałem.

– Chyba powiedziała, że nazywa się Agneta Björkenstam.

Nikt jej nie śledził.

Jechała przed siebie bez celu. Dopiero kiedy dotarła do skrzyżowania trzech dróg w Brunnby, zjechała na parking przed sklepem ICA i próbowała zebrać myśli.

Wydawało jej się, że jedzie do Solviken.

Wydawało jej się, że Harry Svensson w taki czy inny sposób będzie mógł jej pomóc.

Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie ją oszukał.

Albo nie powiedział całej prawdy.

Z tego, co mówili jej teściowie i mąż, można było wywnioskować, że musiał wiedzieć, kim była, kiedy z nią rozmawiał.

Dlaczego nic nie powiedział?

Czyżby jej mąż miał rację? Czy Harry rzeczywiście chciał coś odkryć i próbował ją do tego wykorzystać?

Być może.

Prawdopodobnie.

A jednak coś jej mówiło, że jest inaczej.

Harry Svensson nie zrobił na niej wrażenia złego człowieka, który chce jej zaszkodzić. Wiedziała, że jeżeli gdziekolwiek są tajemnice warte ujawnienia, to właśnie w jej rodzinie.

Gdyby pojechała do Solviken, teściowa zauważyłaby jej samochód.

A gdyby nawiązała kontakt z kapitanem portu w Mölle... nie, jego też wykluczyła. Nie mogła się pokazać w Mölle ani w Solviken.

Wyjęła telefon i zaczęła przeglądać skrzynkę odbiorczą.

Żadnego maila od rosyjskiego nadawcy.

Może źle oceniła sytuację.

Jeżeli tak, było już po niej.

Chwyliła kierownicę i zamknęła oczy.

Czuła się tak, jakby była zamieszana w wypadek i całe życie przeleciało jej przed oczami. Tak się chyba mówi? Przeklinała samą siebie za swoją głupotę.

Otrząsnęła się z destrukcyjnych myśli, kiedy nagły, krótki i nieoczekiwany deszcz zaczął bębnić o dach samochodu.

Dotarła tak daleko, że już nie mogła się poddać.

Naprawdę wepchnęła młodemu człowiekowi do gęby rozpaloną do czerwoności lokówkę. Wyjątkowo odpychającemu młodemu człowiekowi, ale i tak.

Wrzuciła bieg i ruszyła w stronę Helsingborga.

Nie bywała tam zbyt często, ale kiedyś piła kawę w miejscu o nazwie Koppi. Zdecydowała, że pojedzie właśnie tam.

Kiedy zaparkowała i cofnęła się do kawiarni, zwróciła uwagę na hotel Viking.

Czysty impuls sprawił, że weszła do środka i zapytała, czy mogłaby zarezerwować pokój na tę noc. Był środek lata i nie wierzyła, że w turystycznym mieście takim jak Helsingborg w ogóle da się znaleźć wolny pokój, ale ktoś odwołał rezerwację i mogła się zameldować. Portier zapytał, czy potrzebuje pomocy z bagażami, ale... jej jedynym bagażem była foliowa torba z bluzką, stanikiem i parą eleganckich sandałów.

– Dam sobie radę – odparła. – Walizka zaginęła w samolocie.

Pokój był mały, ale umeblowany w taki sposób, że nie czuła się w nim jak w hotelu. Okna były staromodne, ze szczeblinami. Otworzyła je. Wychodziły na ulicę o pięknej nazwie Fågelsångsgatan – ulica Śpiewu Ptaków.

Nie miała numeru Harry'ego Svenssona, ale znalazła w sieci dane kontaktowe restauracji w Solviken i wybrała numer.

Odebrała młoda kobieta i powiedziała, że przekaże Harry'emu, że dzwoniła.

Zeszła do recepcji i zapytała, czy w pobliżu jest sklep z odzieżą lepszych marek.

Mężczyzny, który ją przyjmował, już nie było. Młoda recepcjonistka podniosła na nią wzrok i powiedziała:

– Myślę, że powinna pani pójść do Cenino Donna. Mają wszystko. Prada, Gucci, Stella McCartney, Dolce & Gabbana, tego typu.

Dziewczyna najwyraźniej znała się na rzeczy.

– Gdzie on się mieści?

– Przy Kullagatan, niedaleko stąd.

Kiedy wyszła z hotelu, okazało się, że zaczął padać deszcz.

Była w dobrym humorze.

W zaskakująco dobrym, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich dni i to, że właściwie nie wiedziała, co robi.

Zacząła się zastanawiać, dlaczego jej mąż i Ladi byli tak zdenerwowani, kiedy ich zobaczyła we wstecznym lusterku.

Ta myśl wcale nie zepsuła jej humoru.

Zacząła myśleć o swoim synu. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania sportem, o ile to nie był tenis. Jakiś czas temu ktoś napisał komentarz na Facebooku, w którym twierdził, że zdaniem pewnego eksperta tenisowego Carl powinien zagrać w szwedzkiej drużynie Pucharu Davisa.

Trudno jej było znieść, że jest tak daleko.

Brał teraz udział w młodzieżowym turnieju w Bristolu. Pomyślała, że jeżeli z Dmitrijem Golovinem wszystko pójdzie tak, jak na to liczyła, to być może już niedługo spotka się z synem.

Odzywał się tylko wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy, i nigdy nie odpowiadał na telefony, maile i SMS-y.

Ta młodzież.

* * *

Zamierzałem wyjść i usiąść koło budki z rybami, ale zaczęło padać, więc zająłem miejsce w ustronnym kącie restauracji i wystukałem numer, który dostałem – numer Agnety Björkenstam.

Kiedy powiedziała „halo”, w jej głosie było słychać wahanie.

– Mówi Harry Svensson.

W słuchawce zapadła cisza.

Chwilę później odniosłem wrażenie, że Agneta z kimś rozmawia.

– Chwileczkę – powiedziała.

Czekałem.

– No już – odezwała się w końcu. – Byłam w przymierzalni, ale już mogę rozmawiać.

Tym razem to w moim „okej” było słychać wahanie.

Przeszła od razu do rzeczy:

– Dlaczego nie powiedział pan, że wie pan, kim jestem?

Nie miałem na to dobrej odpowiedzi, więc nie powiedziałem nic.

– Halo? Jest pan tam?

- Tak. Jestem.
 - Dlaczego pan o tym nie wspomniał?
 - Nie wiem – odparłem. – Nie wydawało mi się to aż tak ważne.
- Roześmiała się. Albo prychnęła. Trudno było stwierdzić.
- Nie aż tak ważne, powiada pan. Ma pan pojęcie, co pan narobił?
 - Nie wiem, o czym pani mówi.
 - Gdzie pan jest?
 - W Solviken.
 - Może pan przyjechać do Helsingborga?
 - Tak. Kiedy?
 - Teraz.
 - W porządku, mogę wyjechać natychmiast.
 - Słyszał pan o lokalu o nazwie Koppi?
 - Tak.
 - Tam się spotkamy – powiedziała Agneta Björkenstam i się rozłączyła.
- Siedziała przy oknie, więc go zobaczyła.
- Przyjechał granatowym samochodem na litewskich numerach.

Wyglądało na to, że miał problem z parkowaniem, samochód chyba nie chciał go słuchać.

Kiedy wszedł do Koppi, przywołała go do siebie gestem.

– Chciałbym zamówić. Ma pani na coś ochotę? – zapytał.

Pokręciła głową i wskazała filiżankę przed sobą.

Kiedy usiadł, powiedziała:

– Myślałam, że wszyscy faceci potrafią parkować równolegle.

Uśmiechnął się.

– Dobrze mi to wychodzi, ale mam pewne kłopoty z tym autem. Nie jest moje, musiałem je pożyczyć.

– A gdzie jest pański samochód?

– W naprawie.

Nigdy wcześniej się tak nie czuła.

Harry Svensson być może nie odpowiadał wymijająco, ale w jego spojrzeniu było coś niespokojnego i pytającego, z całą pewnością przeszedł do defensywy. Nie miał pojęcia, czego od niego chciała.

To ona przejęła dowodzenie.

Tak dobrze się czuła w tej roli. Zawsze próbowała wszystkich zadowolić, a jeszcze bardziej trzymać się w cieniu i nie huścić łodzią, jak mawiała jej matka. Teraz powiedziała:

– Powtórzę pytanie, które zadałam przez telefon: dlaczego pan się nie przyznał, że wie pan, kim jestem?

– Nie wiem – odparł.

Patrzył jednak w stół, unikał jej spojrzenia.

– No to co pan wie?

Zamówił filiżankę kawy i kanapkę. Zaczął opowiadać, że dostał cynk i pojechał

do Mölle, żeby spróbować porozmawiać z jej mężem. Kiedy rozmawiał z kapitanem portu, akurat przechodziła obok. Kapitan zdradził, kim jest, a potem... potem jakoś się nie złożyło, bo nie wiedział, czy ona coś wie, a jeśli wiedziała, to nie miał pojęcia, jak dużo. Na końcu dodał, że świetnie wygląda i przyjemnie się z nią rozmawia.

– Tak by to można było streścić – zakończył.

– Kiedy zapytałam, czy był pan już kiedyś w Mölle, zaprzeczył pan. A przecież sama widziałam, jak pan wjechał na nasz dziedziniec i zawrócił.

Podniósł wzrok, wyglądał na zdumionego.

– Nie wiedziałem, gdzie jestem. Po prostu zobaczyłem piękną kobietę na werandzie.

– Od tamtego czasu w naszej rodzinie wszystko zaczęło się pieprzyć. Zostałam pobita i upokorzona, uciekłam z domu i nigdy więcej już tam nie wrócę – powiedziała.

Harry Svensson rozdziawił usta.

– Cholera, co pani mówi...

– Taka jest prawda. Jeśli chce pan coś wiedzieć, proszę pytać.

Oślupiałem.

Nagle sam już nie wiedziałem, o co chcę zapytać. A właściwie: wiedziałem, ale nie miałem pojęcia, jak sformułować pytania i jak wiele zdradzić z tego, co wiedziałem, a raczej sądziłem, że wiem.

Zresztą to mogła być pułapka.

Krótko po mojej konfrontacji z Edwardem i Vivecą Björkenstamami zaczęło mnie ścigać dwóch chłopaków na motorach. Kilka godzin wcześniej skonfrontowałem się z Jacobem Björkenstamem, a niedługo potem chciała się ze mną spotkać jego żona.

Była inna niż wtedy, kiedy się spotykaliśmy w Mölle. Nie mam nic przeciwko towarzystwu kobiet, więc polubiłem spotkania z Agnetą Björkenstam. Chodziło nie tylko o to, że mogła posiadać informacje na temat spraw, których nie potrafiłem rozwikłać. W jej wyglądzie i obojętności było coś atrakcyjnego, co sprawiało, że interesowało mnie, kim ona jest, jaka jest i co jest gotowa zrobić. Wydawała się odprężona i *cool*, emanowała aurą sennego erotyzmu.

Jak zwykle zacząłem się zastanawiać, jak to jest z mężczyznami. Mąż Bodil Nilsson miał za żonę najpiękniejszą kobietę na świecie, ale wyrwał wszystko, co się rusza, i wciąż ją zdradzał. Jacob Björkenstam miał nieprawdopodobnie piękną żonę, ale był niewierny w tak brutalny sposób, że w grę mógł wchodzić gwałt.

Bodil wystąpiła o rozwód dopiero po jakimś czasie.

Agneta Björkenstam uciekła i chciała zniknąć dopiero teraz.

Ta decyzja w pewnym sensie sprawiła, że Agneta zaczęła robić wrażenie twardszej i bardziej zdecydowanej. Jakby nagle wiedziała, czego chce, i postanowiła przeforsować swoją wolę.

– Spotkałem się dzisiaj z pani mężem, zaledwie kilka godzin temu – powiedziałem.

Wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Kiedy byłem w porcie, pewna kobieta nazwała go mordercą.

Agneta Björkenstam wyglądała na jeszcze bardziej zdziwioną.

– A więc to dlatego...

Zawahała się.

– Dlatego?

Popatrzyła na ulicę. Wyglądała, jakby się zastanawiała, czy mi powiedzieć, a jeżeli tak, to jak dużo.

Kontynuowałem:

– Przyznam, że przyjechałem dziś do Mölle, żeby trochę powęszyć, sprawdzić, czy może pani rzucić trochę światła na wiele spraw, nad którymi pracuję i z którymi nie potrafię się uporać. Ale pani się nie zjawiała. Kiedy siedziałem na ławce, na której wcześniej siedzieliśmy razem, przyszedł pani mąż i usiadł obok.

Jej wyraz twarzy mówił, że nic o tym nie wiedziała.

– Co mówił? – zapytała w końcu.

– Że jest pani niedysponowana.

– Można tak powiedzieć – odparła.

– Oskarżał mnie o... No, chyba myślał, że mamy romans, pani i ja.

Roześmiała się.

– Bił panią? – zapytałem.

– Nie musimy wchodzić w szczegóły – odpowiedziała.

– Był z nim Ladi – powiedziałem.

– To jego asystent. Tak się to nazywa, ale tak naprawdę jest ochroniarzem.

– Spotkałem go już wcześniej. Tydzień temu szukał kogoś w środku nocy.

– Kto? Ladi?

– Tak. I jeszcze jeden. Mały, gruby typek. Kręcili się koło mojego domu i o ile dobrze zrozumiałem, szukali kogoś. Wie pani, kto to mógł być?

Nie wspomniałem o Emmie.

Agneta Björkenstam pokręciła głową.

– Nie wiem, czym oni się zajmują, ale to artykuł o plantacji konopi wszystko zapoczątkował. Mój mąż i jego rodzice dostali szału, kiedy go przeczytali. A potem pytał pan o ten artykuł. Co w nim było?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Pani nie wie?

– Wiem dużo, ale nic na ten temat.

– Jeden z moich informatorów, dobrze zorientowany w sprawach gminy, twierdzi, że za inwestycjami pani męża albo pani rodziny stoją pieniądze z handlu narkotykami.

Dalej kręciła głową, teraz już mocniej.

– Proszę posłuchać, wiem prawie wszystko o interesach mojego męża, a nie znalazłam nic na temat plantacji konopi.

– To znaczy, że pani szukała?

– Tak, szukałam. Miałam już dość bycia trzymaną z dala od wszystkiego, jakbym była mniej rozgarnięta. Dość dobrze się orientuję w interesach Edwarda i Viveki i wiem też, a przynajmniej sędzę, że Viveca chodzi własnymi ścieżkami. Powinien pan się z nią liczyć.

– Kobieta, która nazwała pani męża mordercą, twierdzi, że on zgwałcił jej córkę i że z tego powodu dziewczyna popełniła samobójstwo – oznajmiłem.

Z ust Agnety Björkenstam popłynął potok słów.

– Pewnie pan myśli, że jestem idiotką, pustą lalą, która niczego nie rozumie. Rozumiałam więcej, niż się wydawało mojej rodzinie, ale trzymałam język za zębami i robiłam dobrą minę do złej gry.

Miała łzy w oczach.

– Odejście nie jest tak cholernie łatwe, jak wszyscy mówią. Wciąż słyszałam ze wszystkich stron, że „my, kobiety, musimy stać murem za naszymi mężczyznami”. Rodzice Jacoba nigdy nie zapraszali moich, a w czasie nielicznych spotkań traktowali ich jak powietrze. Mimo to moja matka mówiła, że mam dobrze i że nie powinno się huścić łodzią, w której się siedzi. O czym, do diabła, myślała, kiedy mówiła, że „mam dobrze”?

– Nie wiem – odparłem.

– Moja teściowa zawsze powtarzała, że chłopcy to chłopcy i musimy się nauczyć z tym żyć.

– Skoro mowa o chłopcach – zacząłem. – Mówi się, że pani teść pozwala chłopcom patrzeć, kiedy jeździ swoim modelem pociągu.

Parsknęła śmiechem.

– Zanim się rozstaniemy, prześlę panu kilka zdjęć.

– Nie wie pani nic na temat dziewczynki, która zaginęła?

– Kiedy? To znaczy jak to?

– Mniej więcej tydzień temu. Niektórzy moi rozmówcy twierdzili, że Björkenstamowie maczali w tym palce.

– Cóż... nie byłam zbyt często w Solviken, tylko kilka razy. Nie wiem o wszystkim, co się działo.

Wydawało się, że straciła inicjatywę i przewagę, którą sądziła, że ma, a ja nagle nabrałem pewności, że wiem więcej od niej.

– Czy zna pani szpital położony kawałek od Solviken, między Solviken a Mölle?

– Tak – odparła niepewnie.

– Wie pani, kto jest jego właścicielem?

– Edward i Viveca.

– Pani teściowie?

Skinęła głową.

– Mówi się, że przetrzymują albo przetrzymywali kogoś wbrew jego woli.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała. – Ale ma pan rację, że tydzień temu coś się stało, bo w domu wybuchła wtedy awantura. Nie słyszałam wszystkiego, bo leżałam w łóżku piętro wyżej, ale mój mąż, Ladi i Bulwa się kłócili.

– Bulwa?

– Tak go nazywają.

– Tego małego, grubego?

Kiwnęła głową.

– I nie wie pani nic na temat dilera, który został zamordowany w Helsingborgu?

Zaprzeczyła.

– Powiem tak: uważam, że mój teść jest tak naprawdę dobrym człowiekiem. Dwoje pozostałych wręcz przeciwnie. Mój mąż... cóż, kiedy się spotkaliśmy, widziałam tylko uśmiech, wdzięk i styl życia. Moja teściowa mnie nienawidzi, nic mnie z nią nie łączy.

Mówiła dalej:

– Ladi jest miły, ale ten drugi, o którym pan wspomniał... Zrobiłam mu dziś straszną krzywdę.

– Ach tak?

– Trochę się przestraszyłam, że naprawdę byłam do tego zdolna, ale... Może pan o tym usłyszysz, a może nie, mam to gdzieś. Jak znam Jacoba, i tak nikt się o niczym nie dowie.

Wzięła łyk, najwyraźniej nie zauważyła, że filiżanka była już pusta.

– Co pani teraz zrobi? – zapytałem.

– Dam sobie radę.

– A pani syn? GG... Georg Grip mówił, że jest dobry w tenisa.

Po raz kolejny wyglądała na zdziwioną.

– Rozmawiał pan z Georgiem?

– Spotkałem się z nim.

– Jak on się czuje?

– Chyba dobrze. Ma mnóstwo nieprzepracowanych spraw związanych z pani mężem. Kiedy chodzili do szkoły z internatem, nie byli zbyt mili w stosunku do innych uczniów. Myślę, że trudno mu się żyje z tymi wspomnieniami.

– Zawsze lubiłam Georga – odezwała się.

– On mówił, że lubi panią i że ma pani więcej klasy, niż mąż na to zasługuje.

– Zaopiekuję się też naszym synem, jest obiecującym tenisistą – powiedziała.

– Co pani będzie robiła?

– Wspominał pan o łodzi, pamięta pan? To wszystko się łączy. Oficjalnie Jacob pracował z rosyjskimi biznesmenami. Prawda jest po prostu taka, że prał brudne pieniądze dla rosyjskiego miliardera. Ale już z tym chyba skończył.

– Jak to? Co pani ma na myśli?

– Nie sądzę, żeby Jacob kontynuował tę działalność. Muszę już iść, ale mam pański numer i wyślę kilka zdjęć, które się panu przydadzą.

– Dlaczego mi to pani opowiada? – zapytałem.

– Nie bardzo wiem, ufam panu.

Uśmiechnęła się i wstała od stołu.

– Pa. Miło było pana poznać, panie Svensson.

Po chwili dodała:

– Mimo wszystko.

Kiedy odchodziła, odprowadzałem ją wzrokiem.

Szybkim krokiem szła do hotelu, położonego naprzeciwko kawiarni. Miała na sobie zwyczajną, prostą sukienkę marki, którą powinienem znać. A może i nie. Sukienka wyglądała na bardzo drogą, pasowała do niej.

Kiedy zapłaciłem i ruszyłem do samochodu, musiałem pobiec truchtem, bo zaczęło padać.

To był uporczywy, choć niezbyt ulewny deszcz. Nie przestawał padać aż do mojego powrotu do Solviken.

Podszedłem do domu, a wtedy mój telefon zagwizdał.

Agneta Björkenstam wysłała na mój telefon pięć wiadomości.

Dwa zdjęcia przedstawiały w sumie cztery listy z nazwiskami. Tekst był tak mały, że przesłałem zdjęcia na komputer, żeby móc je powiększyć.

W kolejnej wiadomości było zdjęcie Viveki Björkenstam w nazistowskim mundurze.

Nie było aż tak stare.

Przyjrzałem się kolorom i doszedłem do wniosku, że mogło zostać zrobione w późnych latach siedemdziesiątych albo wczesnych osiemdziesiątych.

Na zdjęciu Viveca nie robiła nic szczególnego.

Po prostu stała wyprostowana, w mundurze i czapce z daszkiem.

Uśmiechała się.

Oprócz tego Agneta przysłała dwa kilkusekundowe filmiki. Domyśliłem się, że przedstawiają modele kolejek Edwarda Björkenstama.

Były różne.

Na pierwszym filmiku z peronu w Mölle wyjeżdżała staroświecka elektryczna lokomotywa. Peron ten od dawna był nieczynny.

Na drugim filmiku wagony pasażerskie zamieniono na wagony towarowe starego typu, a na stacji, do której dojeżdżał pociąg, nie było napisu „Möller”.

To nawet nie ten sam model stacji.

Tam, gdzie poprzednio był dworzec w Möller, tory biegły prosto do czegoś w rodzaju obozu.

Na tablicy nad wjazdem widniał napis „Arbeit macht frei”.

Kiedy pociąg rodziny Björkenstamów nie wjeżdżał i nie wyjeżdżał z Möller, jechał do modelu obozu koncentracyjnego w Auschwitz.

Przesłałem dalej wiadomości od Agnety Björkenstam i wtedy zauważyłem, że przysłała też SMS-a z komentarzem. Napisała, że już od dawna podejrzewała, że rodzina jest zaangażowana nie tylko w pranie brudnych pieniędzy, ale też działalność neonazistowską, a ludzie wymienieni na listach są „wierni dobrej sprawie i działają w duchu prawdziwego nacjonalizmu”.

Przebiegłem listy wzrokiem.

Rozpoznałem kilka nazwisk.

Byli tam dziennikarze prasowi, właściciele firm, publicyści, Bertil Rasck, Markus Jihflod, Laxgård K... Na listach było co najmniej sto nazwisk.

Agneta Björkenstam nie podała, skąd wzięła te informacje. Przesłała za to kolejną wiadomość:

Uważam, że mój teść w zasadzie jest przemyśłym człowiekiem. To teściowa dzieli i rządzi. Mój mąż to posłuszny syn, który robi to, co mu każe mamusia.

Pytał pan o narkotyki i gangi motocyklowe. O ile dobrze zrozumiałam, teściowa ma kontakty i kontrolę nad tak zwanymi Dark Knights. Gang może uprawiać na ziemi teściów, co mu się podoba, a w zamian załatwia dla teściowej różne mniej lub bardziej ciemne sprawy. Dark Knights obracają milionami.

Próbowałem oddzwonić, ale nie odbierała.

Zadzwoiłem do hotelu, do którego wchodziła, ale powiedziano mi, że już się

wymeldowała.

Wysłałem kilka SMS-ów i w końcu przyszła nowa wiadomość. Była krótsza:

Nie będzie mnie już pod tym numerem. Może przyśle widokówkę... ☺... Proszę nie martwić się o mnie.

Przeczytała propozycję umowy od Golovina dwadzieścia pięć razy, znała ją na pamięć.

Nie miała kogo zapytać o radę, musiała zaufać własnemu osądowi. Kiedy zaczęła przeglądać komputer męża, skorzystała z pomocy prawnika, który pracował dla jej ojca, ale on już dawno poszedł na emeryturę i nie był przyzwyczajony do beztrudnych transakcji na granicy prawa.

Poza tym nie mogłaby zaufać komuś ze Szwecji.

Ludzie, z którymi jej mąż robił interesy w Nowym Jorku, byli z rodzaju tych, którzy... mogliby sprzedać własną matkę, gdyby pozwoliło im to na zarobienie dodatkowego dolara przy zawieraniu umowy.

Była teraz naprawdę sama.

Musiała się o siebie zatroszczyć.

Najwyższy czas.

Natura obdarzyła ją zdrowym rozsądkiem i liczyła na to, że dzięki niemu daleko zajdzie.

Zgodnie z umową mogła korzystać z posiadłości Golovina w londyńskiej Belgravii. Chciał, żeby popłynęła z nim żaglówką z Kopenhagi do Londynu. Potem miała być w takiej samej sytuacji jak jej mąż.

Stanie się bogata.

Pieniądze być może pochodziły z wątpliwego źródła.

Miała to gdzieś.

I tak nie było już honoru i sprawiedliwości.

Wydrukowała umowę.

Podpis Dmitrija Golovina już na niej widniał.

Był równie nieforemny i kulfoniasty jak jego lewa dłoń.

Zajrzałem na stronę internetową lokalnej gazety. Pisano głównie o pożarze, ale dowódca strażaków opowiedział już to wszystko mnie i Larsowi Berglundowi.

Ciekawsza była mała notatka autorstwa Berglunda, zatytułowana *Atak na znanego finansistę*.

Dotyczyła kobiety, która w porcie w Mölle nazwała Jacoba Björkenstama mordercą. Berglund napisał, że wiązało się to z niewyjaśnioną sprawą sprzed lat. Nie podał nazwiska Björkenstama ani Els-Marie Gunnarsson. Pisał o „kobiecie” i „finansistę”. Na końcu notatki umieszczono zdjęcie. Twarz Björkenstama była zamaskowana pikselami, ale i tak każdy mógł się domyślić, że chodzi o niego, zwłaszcza że w tekście znalazła się informacja, że „finansista” przeprowadził się niedawno do północno-zachodniej Skanii i był gotów zainwestować duże pieniądze w rozwój gminy.

Zadzwoiłem do Berglunda. Powiedział mi, że ktoś, prawdopodobnie ojciec, próbował zablokować publikację, ale gazeta miała nową, odważną naczelną, która puściła

artykuł mimo protestów z prawej strony.

Zadzwoiłem do Evy Månsson. Jechała na północ trasą E6. Powiedziałem, co się stało, a ona uznała, że powinniśmy się spotkać z jej informatorką z helsingborskiej policji.

Dostała odpowiedź na maila.

Postąpiła zgodnie z instrukcjami.

Samochód, którym jeździła, był wynajęty. Zadzwoniła do firmy, powiedziała, gdzie jest zaparkowany, że kluczyki są w hotelu Viking w Helsingborgu, a faktura ma zostać wystawiona na jej męża.

Wymeldowała się z hotelu i zamówiła taksówkę.

Śmigłowiec czekał na nią na otwartym placu koło dużych portowych magazynów.

Spotkaliśmy się całą trójką w barze Marina Plaza, na samym dole przy wejściu do portu w Helsingborgu. Między Helsingborgiem a Helsinkami nie panował taki ruch jak wcześniej, ale co pewien czas przyływał albo odpływał jakiś statek. Gdyby nie to, że mieliśmy o czym myśleć, chętnie posiedziałbym z piwem przy oknie i się poprzyglądał.

Linn Sandberg była prawie tak wysoka jak ja, szczupła, ubrana w niebieskie dzinsy, cienką, jasną kurtkę i granatową bejsbolówkę. Miała krótko ostrzyżone, gęste, ciemne włosy i żywe, brązowe oczy, w których było widać zainteresowanie. Wydawała się trochę poniżej trzydziestki i wyraźnie darzyła Evę Månsson wielkim szacunkiem.

Eva nie mówiła wiele, przedstawiła nas sobie, a potem wspólnie zreferowaliśmy, co się wydarzyło i co wiemy. Jeśli chodzi o mnie, powiedziałem to, co byłem gotów powiedzieć.

Zamówiliśmy kawę.

– Właściwie nie powinnam się zajmować takimi sprawami, ale mam u Evy dług wdzięczności i tobie też jestem coś winna – oznajmiła Linn i skinęła głową w moją stronę.

– Naprawdę?

– Wiem, że w ubiegłym roku zajmowałeś się sprawą „klapsowego mordercy” i że Eva w końcu ją rozwiązała. To nie musiało zajść tak daleko. W okolicy sporo się zdarzyło w związku z tą sprawą. Rasiści podpalili kiosk, znaleziono martwego rolnika, a w różnych gospodarstwach skradziono paliwo, więc zaczęliśmy patrole. Działaliśmy głównie po drugiej stronie drogi, tam gdzie są gospodarstwa, ale zaglądaliśmy także do Arild, Svanshall, Jonstorp, Skäret i Solviken. Pewnego wieczoru na przystanku autobusowym w Solviken zauważyliśmy samochód. Siedział w nim mężczyzna. Bergström, prawda?

Pokiwałem głową.

– Gert-Inge – powiedziałem.

Linn kontynuowała:

– Pozwoliliśmy mu odjechać. Był trzeźwy, z autem wszystko było w porządku. Powiedział, że jadł w twojej restauracji i uciął sobie drzemkę przed powrotem do domu.

– Nie było go w restauracji.

– Wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Kolega kazał mu dmuchać, a ja sprawdziłam jego i samochód w komputerze, nie znalazłam nic podejrzanego. Ale wygląda na to, że pozwoliliśmy odjechać mordercy.

– Nie można myśleć w ten sposób – zaproponowałem. – Nie jest pewne, czy już wtedy udałoby się dobrać do Bergströma, gdybyście go zatrzymali za... No właśnie, za co?

Nie wiem, czy sam wierzyłem w to, co mówiłem. Lisen Carlberg, która prowadziła kilka galerii sztuki i została pobita przez Bergströma, kobieta z RPA i jeszcze jedna z Kopenhagi na pewno by się ucieszyły, gdyby został szybko zapuszkowany. Ale Linn mogła mieć rację, była mi coś dłużna. Poza tym nie do końca było prawdą, że „Eva w końcu rozwiązała sprawę”. Zarówno ja, jak i Arne Jönsson mieliśmy z tym więcej wspólnego, niż dawaliśmy po sobie poznać, ale pozwoliliśmy, żeby to Eva przypisała sobie zasługi, głównie po to, żeby ukryć moje zaangażowanie w to, co się stało.

Rozmawialiśmy o pożarze w gospodarstwie, ale Eva i ja nie wspomnieliśmy, że Emma tam mieszkała, a zamordowany rolnik był jej ojcem. Linn Sandberg powiedziała:

– Ci, którzy pracują u nas na pełny etat nad gangami, uważają, że to był śmiertelny cios zadany Dark Knights. W każdym razie w tych okolicach.

– Kto podłożył ogień? – zapytałem.

– Nie wiemy, ale nikt się nie zdziwi, jeśli wyjdzie na jaw, że Hells Angels. Ten gang chce mieć kontrolę nad narkotykami i wymuszeniami.

Zaczęliśmy rozmawiać o Oskarze Helanderze.

– Nie byłbym zaskoczony, gdyby w morderstwo byli zamieszani Rosjanie.

Zawsze sobie wyobrażałem, jak Björkenstam wysła wielkiego Rosjanina, żeby się zajął Helanderem, ale Linn odparła:

– A ja tak.

– Dlaczego?

– Rozmawialiśmy z sąsiadami, pukaliśmy do drzwi, jak wy to piszecie, ale kiedy to się stało, mało kto siedział w domu. Tego dnia była wystrzałowa pogoda, ludzie powyjeżdżali na urlopy, wybrali się na plażę i nie było nikogo oprócz dwóch par, które siedziały na balkonie i piły piwo.

– Co widzieli?

Nagle się zaniepokoiłem, że zobaczyli mnie. Sam nikogo nie widziałem, ale słyszałem, że na balkonie albo przy otwartym oknie puszczano Lassego Stefanza.

– To nie jest oficjalna informacja, więc nie możesz użyć jej w artykule, ale mówią, że dwaj motocykliści przyszli od strony szeregowców i podeszli do drzwi domu Helandera. Po piętnastu minutach wrócili tą samą drogą.

– Ci świadkowie są wiarygodni?

– Sprawdziliśmy ich. Lokatorzy tego mieszkania pobierają socjal i całymi dniami piją duńskie piwo. Mówi się, że kobieta przyjmuje panów za pieniądze. Zalegają z czynszem i regularnie są wyrzucani. Ale byli pewni tego, co mówili. Powiedzieli nawet, że te chłopaki miały na kamizelkach napis „Dark Knights”.

– Podobno mieszkają w okolicy.

– Tak?

– Mówię o Dark Knights.

Spojrzała na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak słyszałem.

Linn miała przy sobie staromodną, podniszczoną skórzaną teczkę. Wyjęła ją i położyła na stole. Otworzyła i wyjęła z niej kilka foliowych koszulek.

– Wiesz o wypadku motocyklowym? – zapytała.

Nie mogłem zaprzeczyć.

Eva i ja pokiwaliśmy głowami.

– Jeden z motocyklistów zginął na miejscu, a drugi zmarł w szpitalu. Nie wiadomo, jak do tego doszło. Jeden z lekarzy podsunął teorię, że chłopak został uduszony, poszczególne gangi ostro ze sobą walczyły. Zaczęliśmy oglądać filmy z kamer monitoringu, ale nie widzieliśmy nic podejrzanego. Prawdopodobnie dlatego, że szukaliśmy kogoś w typowym stroju motocyklowym.

– Ale? – odezwała się Eva.

– Ale znaleźliśmy człowieka, który szedł szybkim krokiem i starał się trzymać jak najdalej od kamery, przez co wyglądał podejrzanie. Ten ktoś wchodził obrotowymi drzwiami, a potem widać go dopiero przy windzie na piętrze, na którym leżał motocyklista.

Wyjęła dwa zdjęcia i przesunęła do nas, żebyśmy mogli je zobaczyć.

– Nie widać, kto to jest, odwraca się od kamer, żeby go nie nagrały – powiedziała.

Długo przyglądałem się zdjęciom. W postawie i chodzie tego człowieka było coś znajomego. W końcu zapytałem:

– Jesteś pewna, że to on?

Obróciła fotografię i popatrzyła na mnie.

– Jak to?

– To, że ma czapkę z daszkiem i kurtkę, nie musi oznaczać, że jest mężczyzną.

Skinęła głową.

– Jeżeli tamten akurat spał w łóżku, kobieta mogła go udusić poduszką.

Linn po raz kolejny skinęła głową.

Byłem przekonany, że osoba na zdjęciu to Viveca Björkenstam. Ale nie wiedziałem, dlaczego chciała zabić swojego kumpla motocyklistę.

Zmieniłem temat i zacząłem mówić o tajemniczym ośrodku.

– Wydaje mi się, że przebywa w nim zaginiona mama. Spotkałem się z jej sąsiadami, wprawdzie nie wylewają za kołnierz, ale z tego, co mówili, domyśliłem się, że wywieziono ją z domu wbrew jej woli.

– A co z dziewczynką? Córeczką?

Wzruszyłem ramionami.

Eva zaczęła śledzić wzrokiem śmigłowiec, który wystartował po drugiej stronie moło.

– Poza tym mój kolega z Anderslöv dostał cynk, że pewna kobieta z okolicy też tam jest. Nazywa się... niech sobie przypomnę... chyba Hårdh af Croonsiö.

– Ją też przewieziono tam wbrew jej woli?

– Być może – odparłem.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy, ale w końcu Linn przerwała ciszę:

– Pewnie to będzie najgłupsze, co kiedykolwiek zrobiłam, ale jestem ci coś winna. Zażadam, żebyśmy niezwłocznie pojechali do tego ośrodka.

Zaczęła wkładać materiały z powrotem do teczki. Zanim odeszła, dodała:

– W szpitalu wydarzyła się jeszcze jedna okropna rzecz. Mamy świadka, który czekał na transport medyczny do Lund i zobaczył faceta, który został dosłownie wyrzucony z samochodu, a kiedy przyszedł na pogotowie, miał poparzone dłonie, wypalone usta i trudności z oddychaniem.

Bulwa, pomyślałem. To musiał być Bulwa.

– Nie może mówić, ale pewnie i tak nic by nie powiedział. Jest nam dobrze znany. A w każdym razie znają go w Sztokholmie. Drobnie kradzieże, pobicia i kilka bójek z kibicami piłkarskimi.

Wyjęła komórkę, chwilę postukała w przyciski i powiedziała:

– Nazywa się Håkan Eriksson. Czy coś wam to mówi?

Pokręciliśmy głowami.

– Tu jest napisane, że mówią na niego Bulwa.

Wzruszyliśmy ramionami. Zaczynaliśmy nabierać w tym wprawę.

Linn Sandberg zamknęła teczkę i się pożegnaliśmy.

Wszystko działo się tak szybko.

Wiedziała, że ze Szwecji nie jest zbyt daleko do Danii, ale mimo to była zdziwiona, że lot śmigłowcem z portu w Helsingborgu do Kopenhagi trwał tylko dwanaście minut.

Wcześniej tylko raz leciała śmigłowcem – kiedy wybrali się na narty do Aspen w Kolorado. Carl był wtedy mały, uznał przelot za wielką przygodę i cały tydzień powtarzał, że chce znów „jechać kopterem”. Ona się bała, a mówiąc wprost, była przerażona. Odgłos śmigła wwiercał jej się w uszy, a silne wstrząsy wywoływały u niej pewność, że śmigłowiec zaraz się rozpadnie.

To było wiele lat temu. Może od tego czasu śmigłowce stały się nowocześniejsze i lepsze, bo lot nad Sundem był nie tylko krótki, ale i przyjemny, i upłynął jej na próbach odgadnięcia, co jest pod nimi. Nigdy za bardzo nie uważała na lekcjach geografii, ale widziała promy płynące z Helsingborga do Helsinek i była pewna, że wyspa, nad którą przelatują, to Ven. Ale kiedy zaczęli zniżać lot, nie była do końca pewna, czy to, co widać po lewej, to Malmö.

– Dobrze sobie poradziłem – powiedziała Eva Månsson, kiedy Linn Sandberg zniknęła w holu.

– Może i tak – odparłem.

– Jak to?

– Chyba wiem, kto jest odpowiedzialny za oparzenia człowieka, którego wyrzucono pod szpitalem.

– Aha. Kto?

– Później o tym porozmawiamy.

– Jakies tajemnice?

– Nie, po prostu nie jestem pewien. Opowiem, kiedy będę wiedział na sto procent.

Pokręciła głową, a potem się odwróciła i tęsknym albo pożądanym wzrokiem spojrzała na nalewaki za barem.

– Chętnie wypiłabym pękaty kufel piwska, ale to chyba musi poczekać, aż wrócimy do Solviken, prawda?

Zaczęliśmy omawiać różne metody dobrania się do rodziny Björkenstamów. Miałem fantastyczny materiał: jedna z najbogatszych i najbardziej szanowanych rodzin w taki czy inny sposób była zamieszana w rozmaite ciemne sprawy, poczynając od narkotyków po nazizm, gangi motocyklowe i morderstwa – to był nasz as w rękawie. Kiedy artykuł, z pomocą Larsa Berglunda, zostanie opublikowany, wszystko pójdzie w diabły, a my będziemy mogli tylko patrzeć, jak poszczególne elementy trafiają na swoje miejsca. Emma i jej mama będą bezpieczne.

Nie zdążyliśmy zaplanować aż tyle.

Mój telefon zagwizdał.

Ktoś przysłał mi zdjęcie.

Przedstawiało kobietę siedzącą na krześle.

Ręka mężczyzny odchyłała jej głowę, a druga ręka trzymała nóż przy jej szyi.

Usta kobiety zaklejono szeroką srebrną taśmą.

Pod zdjęciem była wiadomość:

Mamusia szuka córeczki.

Zrozumiałem, że minie trochę czasu, zanim Eva Månsson będzie mogła wypić pękaty kufel piwska.

Po bezsennej nocy siedzieliśmy przy stole w kuchni Arnego Jönssona w Anderslöv.

Było nas czworo: ja, Eva Månsson, Arne i Emma.

Arne miał na sobie swoją śmieszna koszulę nocną.

Emma spała mi na kolanach.

Z komputera Arnego dobiegała jakaś piosenka, tak cicho, że nie byłem nawet pewien, co to takiego i czy w ogóle bym ją rozpoznał, gdybym dobrze słyszał. Arne z pewnością zestawiał najdłuższą na świecie listę ulubionych szlagierów.

Ciężko mi się myślało.

Czułem się tak, jakbyśmy wyłopali pięć dzbanków kawy, ale i tak kleiły mi się powieki, a w uszach szumiało.

Arne skrzyżował ręce na piersi. Nie wyglądał przez to bardziej męsko, bo wciąż miał na sobie nocną koszulę.

Emma opierała mi głowę na piersi. Spała spokojnym snem, oddychała głęboko i miarowo.

Eva ułożyła głowę na dłoniach wspartych na stole. Miała zamknięte oczy, ale nie spała.

W barze w Helsingborgu odwróciłem telefon i pokazałem jej wiadomość, którą dostałem.

– Czy to mama Emmy? – zapytała.

– Nie wiem, nigdy jej nie spotkałem, widziałem tylko jej stare zdjęcie w gazecie. Na tym nie da się jej rozpoznać, to może być każdy – odpowiedziałem.

Próbowałem zobaczyć, czy ma jakąś biżuterię albo inne znaki rozpoznawcze, ale całą uwagę przyciągały obnażona krtań i ostrze przyciśnięte do skóry.

Nie było widać, kto trzyma nóż, ale masywne dłonie i palce świadczyły o tym, że to mężczyzna. Krył się za kobietą, dało się dostrzec tylko szary rękaw marynarki. Nie potrafiłem też odgadnąć, gdzie zrobiono zdjęcie – za ich plecami była tylko goła, szara ściana. Piwnica, jakich wiele.

Nie znałem numeru, ale Eva i ja byliśmy przekonani, że nadawca użył zwykłego telefonu na kartę.

– Skąd mają twój numer? – zainteresowała się Eva.

– Jeśli ktoś chce, może go znaleźć w sieci, nie jest tajny.

– Skąd wiedzą, że masz u siebie Emmę albo że miałeś z nią kontakt?

– Nie wiedzą.

– Jesteś pewien?

Zawahałem się, zastanowiłem i w końcu odparłem:

– Jestem pewien, że nie wiedzą, na sto procent. Może im się wydawać, mogą coś podejrzewać, ale nie mają żadnych dowodów, że Emma tamtej nocy pobiegła do mnie.

– Czego oni chcą?

– Nie wiem. Może tak jak ja próbują sprowokować jakąś reakcję. Może są

zdesperowani.

– A teraz najważniejsze pytanie. Kim są ci „oni”?

– Tego też nie wiem – odparłem.

Nie wiedziałem, ale przypuszczałem.

Wyglądało na to, że imperium i całe życie rodziny Björkenstamów wkrótce legnie w gruzach. Byłem pewien, że mieli coś wspólnego ze zdjęciem i groźbą.

Podawałem rękę Ladiemu i pamiętałem jego wielkie dłonie byłego boksera. Miałem uzasadnione podejrzenie, że człowiek, który na zdjęciu odchyła głowę kobiety i trzyma jej nóż na gardle, to Ladi.

– Ale chyba wiem, kim jest ten mężczyzna na zdjęciu.

Eva zrobiła taką minę, jakby mówiła: „Aha, kto taki?”.

– Chyba nazywa się Ladi, a raczej tak na niego mówią. Zdaje się, że ma na imię Vladimir. Jest Rosjaninem, ale na pewno od wielu lat mieszka w Szwecji. Pracuje jako ochroniarz u Jacoba Björkenstama i... to chyba on ubiegłego lata zastrzelił ojca Emmy. Jacob Björkenstam nie miałby siły, odwagi, czy czegoś w tym rodzaju, żeby to zrobić osobiście, ale mógł poprosić Ladiego albo wydać mu rozkaz. Mniej więcej w tym czasie Jacob Björkenstam go zatrudnił. Morderstwo mogło być testem na lojalność i posłuszeństwo.

– Wiesz, jak ma na nazwisko?

– Nie, nawet nie próbowałem go googlować.

Starłem się za to wypatrzeć jakieś szczegóły na zdjęciu, ale nie znalazłem nic, co mogłoby stanowić wskazówkę.

– Co ja mam teraz zrobić, do cholery? – spytałem. – Odpisać?

Pokręciła głową.

– Nie, zaczekajmy. Jeśli odpiszesz teraz, to zrozumieją, że Emma jest u ciebie. Niech trochę potrząsą portkami.

– Myślisz, że to oni trzęsą portkami? A ja nie? Sytuacja jest cholernie beznadziejna.

– Zaczekajmy trochę – powtórzyła.

– Chcę pojechać do Anderslöv – oznajmiłem. – Najbardziej chciałbym być tam, gdzie jest Emma.

Eva uznała, że to dobry pomysł. W ten sposób i z tego powodu znaleźliśmy się przy stole w kuchni Arnego Jönssona we wczesny niedzielny poranek kilka minut po szóstej. Zapowiadał się cudowny letni dzień.

Przyjechaliśmy tuż przed północą. Arne i Emma już spali.

Pokazałem zdjęcie Arnemu. Emmie nie.

Usiadłem z nią za to w gabinecie Arnego i powiedziałem, że być może jesteśmy na dobrym tropie. Że jej mama żyje i że w jakiś sposób rozwiążemy tę sytuację.

– Ale żeby to się udało, musisz mi zaufać – dodałem. – I Evie też. Zaufasz nam?

Emma skinęła głową.

Kilka godzin później zasnęła mi na kolanach. Wtedy powiedziałem:

– Nie rozumiem tego szantażu czy jak to nazwać.

– To znaczy? – spytał Arne.

– Jeżeli oddam im Emmę, oni będą mieli wszystko, a ja nic. Nic nie zyskam, robiąc

to, co mi każą.

Szeptalem, żeby nie obudzić Emmy:

– Jeżeli im ją oddam, pozbędą się matki i córki. Poza tym nie mogą pozwolić komuś takiemu jak ja działać dalej, wiem stanowczo za dużo na temat ich interesów.

– Ale chyba nie tylko ty? Opowiedziałeś wszystko temu dziennikarzowi – zauważył Arne.

– Tatuś Björkenstam może się wykupić, ale nie umknie matce, córce i mnie.

– Co zamierzasz zrobić?

Odwrociłem się do Ewy i oznajmiłem:

– Musimy odpisać na ich wiadomość.

– Okej – odparła. – No to odpiszmy.

– Mam zasugerować, że wiem, kim jest ta kobieta? Przyznać, że Emma jest teraz u mnie na kolanach, czy udawać głupiego i odpowiedzieć, że nie mam pojęcia, o co chodzi?

Obracaliśmy temat na wszystkie strony, aż w końcu zdecydowaliśmy się napisać:

Co to ma być? Nic nie rozumiem. Kim jesteście?

Odpowiedź nadeszła szybko:

Nie udawaj głupiego, Svensson.

Odpisałem:

Kto pisze?

Następny SMS przyszedł po pięciu minutach.

Jeśli sam nie zaopiekowałeś się dziewczynką, to wiesz, gdzie ona jest.

Nie było sensu zaczynać dyskusji o tym, kim jest dziewczynka, co zrobiła, co oni chcą z nią zrobić i dlaczego miałbym ją znać.

– Jesteśmy załatwieni – stwierdziłem. – Dla nich to tak czy inaczej wygrana sytuacja, dla nas wręcz przeciwnie.

– Nie możesz zaproponować, żebyśmy się spotkali? – zapytał Arne.

– W ten sposób przyznam, że mamy Emmę.

– Niekoniecznie. Powiedz, że chcesz się spotkać, żebyście mogli dalej rozmawiać, twarzą w twarz. Możesz obstawać przy tym, że pertraktacje na temat ludzkiego życia prowadzone za pomocą SMS-ów są trudne, a wręcz niemożliwe.

– Arne ma rację – zgodziła się Eva.

– Mogę napisać, że wyślemy zdjęcie policji – dodałem.

– Ale co wtedy powiesz? Że kto na nim jest?

– Można się dowiedzieć, skąd pochodzi, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Poza tym będą pytać Harry’ego, jak się wplątał w tę sprawę, ile wie i od kiedy – powiedziała Eva.

– A ty? – zapytałem. – Jak się z tego wyplącesz? Nie powinnaś się skontaktować z policją?

– Przecież sama jestem policjantką – odparła z uśmiechem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Możesz się tu więcej nie pokazywać, jeśli wyjdzie na jaw, co wiedziałaś i co trzymałaś w tajemnicy. Nie mówiąc już o tym, co teraz planujesz ze mną i z Arnem.

Westchnęła, wyjrzała przez okno w kuchni i spojrzała na Emmę w moich ramionach.

– Miałam tylko nadzieję, że nie spotka jej to samo co mnie.

– To znaczy?

– Gdybyś poszedł z nią na policję już pierwszego dnia, wylądowałyby w trybach urzędniczych, które obracają się wolno, ale są tak wielkie i nieczule, że zmiażdżyłyby taką małą istotkę jak ta, która siedzi teraz u ciebie na kolanach. Sama trafiłam do kilku naprawdę okropnych rodzin, kiedy byłam w jej wieku.

– Co się stało? – zapytał Arne.

– Mama i tata pili – wyjaśniła Eva.

Nic więcej nie powiedziała.

Nie było takiej potrzeby.

– Myślałem, że twój ojciec miał kioski z kiełbaskami w całej Skanii – powiedziałem. – O ile dobrze pamiętam, opowiadałaś o tym w ubiegłym roku.

– To nie był mój prawdziwy ojciec, tylko człowiek, którego zawsze będę tak traktowała. Trafiłam do niego i do jego rodziny o wiele za późno.

Uczyniła jedną dłonią gest, jakby rozkładała ręce, i dodała:

– Zaszłam z wami tak daleko, że mogę tylko kontynuować. To tylko praca, do cholery, a i tak zajmuję się teraz analizowaniem kont bankowych. To przeraźliwie nudne.

– Skoro tak mówisz – odparłem.

Zgodziliśmy się, że kolejna wiadomość powinna brzmieć:

Jak chcecie to przeprowadzić?

Nie wspomnieliśmy o Emmie.

Odpowiedź nadeszła szybko.

Kamieniołom w Svanshall. Ty i dziewczynka. 12 w niedzielę.

– Nie zgadzam się na to – zaoponowałem. – Dobrze znam to miejsce, o tej porze nie ma tam żywej duszy. Jest kilka dróg dojazdowych, a cały ten stary kamieniołom to teraz jezioro. Gnoje mogą utopić mnie, Emmę i jej mamę i nikt nawet tego nie zauważy.

– Napisz, że chcesz się spotkać gdzieś, gdzie są ludzie – powiedział Arne.

– Impreza w porcie – odparłem.

– Impreza w porcie? – zdziwiła się Eva.

– Björkenstamowie seniorzy urządzają ją w Solviken każdego roku. Wczoraj wieczorem odbyły się tańce na pomoście, dziś mają być: pchli targ, rynek, loterie z węgorzem i wędzoną kiełbasą, pieczone śledzie, mus ziemniaczany i tego typu rzeczy. To doskonałe miejsce.

Napisałem:

Nie w kamieniołomie. O tej samej porze w porcie w Solviken.

Odpowiedź przyszła po niecałej minucie:

Próbujesz być zabawny? Never.

Odpisałem:

Okej, w takim razie ja zostaję tutaj.

Napisali „dziewczynka”. Ja nie wspominałem o żadnej dziewczynce i świadomie

użyłem słowa „ja”.

Mijały minuty.

– Kurza twarz, ależ oni muszą teraz dyskutować – powiedziała Eva.

– Cztery minuty – odezwał się Arne, spoglądając na zegar.

– Strasznie wolno chodzi – stwierdziłem.

Eva bębniła palcami o stół.

– Sześć minut – powiedział Arne.

Po ośmiu minutach i dziewiętnastu sekundach przyszła odpowiedź:

Okej.

– Okej? – rzuciłem. – Jakie, kurwa, okej?

Po kolejnej minucie przyszedł jeszcze jeden SMS. I zdjęcie.

Takie ostrzeżenie, na wypadek gdybyś chciał lecieć w chuja. Następnym razem obetniemy ucho.

Zrozumiałem, dlaczego minęło tyle czasu, zanim przyszedł SMS.

Zdjęcie przedstawiało tę samą kobietę.

Tym razem patrzyła w obiektyw, więc rozpoznałem, że to mama Emmy. Patrzyła przerażonym wzrokiem, ale przypominała kobietę ze zdjęcia w gazecie.

Nie miała już noża na gardle.

Tym razem była do połowy oskalpowana.

Połowa ciemienia była łysa, a stojący za nią mężczyzna trzymał w jednej ręce nóż i wielką kępę włosów.

– O cholera – odezwał się Arne.

– Co mam odpisać?

– Nic – powiedziała Eva.

Kiedy Arne, wciąż wstrząśnięty zdjęciami skalpowania, usiłował sklecić jakieś śniadanie, my próbowaliśmy nakreślić plan operacji, która pozwoliłaby uratować Emmę i jej mamę.

A także zdemaskować rodzinę Björkenstamów.

A nam wyjść z tego cało.

Ale nic nie jest proste i nie układa się zgodnie z oczekiwaniami.

Zadzwoiłem do Dana Freja, kapitana portu w Mölle, i zapytałem, czy mógłby pomóc.

Eva zadzwoniła do Linn Sandberg i poinformowała ją, że w Solviken po lanczu coś się wydarzy. Kiedy się rozłączyła, powiedziała:

– Linn jedzie teraz do tego szpitala. Powiedziała, że są tam „ona i Laxgård”, jak w ubiegłym roku, cokolwiek to znaczy.

Poprosiłem Evę, żeby przeniosła mój komputer na stół, włączyłem go i zacząłem przeglądać dokumenty, które przesłała mi Agneta Björkenstam. Dobrze pamiętałem.

– Powiedz jej, żeby wywaliła Laxgård, on nie jest po naszej stronie.

– Co?

– Spójrz na to.

Na dziewiątym miejscu listy osób, które według Viveki Björkenstam są „wierne dobrej sprawie i działają w duchu prawdziwego nacjonalizmu”, figurował Laxgård K.

– Co to jest, do diabła? – zapytała Eva.

– Ludzie, którzy są gotowi przejąć Szwecję – odparłem. – Dopilnujcie, do jasnej cholery, żeby zniknął ze szpitala. Wczoraj wieczorem też był w restauracji i dam sobie rękę uciąć, że stara Björkenstamowa dopilnowała, żeby to akurat on przyjechał prowadzić śledztwo w sprawie gangu motocyklowego, namieszał i dał mi ostrzeżenie.

Eva przebiegła wzrokiem listę i tak samo jak ja była zdziwiona, że jest na niej tak dużo znanych i cenionych szwedzkich nazwisk.

– Jesteś pewien, że to on? – zapytała.

– A ilu może być ludzi o nazwisku Laxgård?

– No tak.

Zadzwoiła do Linn Sandberg.

Po zakończeniu rozmowy odezwała się:

– Linn trudno było w to uwierzyć, ale... wysłała go do jakiejś bijatyki kibiców. Ma na imię Krister, przez K. To by się mogło zgadzać.

Emma siedziała mi na kolanach, piła kawę i jadła kanapkę.

Nie umiałem tego wytłumaczyć, ale miałem wrażenie, że do siebie pasujemy.

To uczucie mnie przerażało i rozczulało jednocześnie.

Łódź Dmitrija Golovina była przycumowana na samym skraju portu w Kopenhadze, obok wielkiego statku wycieczkowego. Ubiegłego wieczoru, kiedy wysiadła z helikoptera, powitał ją młody ciemnowłosy mężczyzna w jasnym garniturze i rozpiętej koszuli. Przedstawił się jako Ilja.

Została odprowadzona do kajuty, a pół godziny później siedziała w biurze Dmitrija Golovina.

Świętowali rozpoczęcie współpracy rosyjskim kawiozem i wódką.

Butelka wódki tkwiła we wgłębieniu bryły lodu w kształcie koła.

Nie lubiła czystego alkoholu, ale ta wódka była tak zimna, że nie miała żadnego smaku. A może po prostu była bardzo dobra.

Teraz, o poranku, płynęli do Anglii.

Płynęli w stronę zupełnie nowego życia Agnety Björkenstam.

Pół roku Londyn i pół roku Floryda.

Tak ustalili.

Zbliżała się pora lanczu, kiedy łódź powoli sunęła na północ przez Öresund, mijając Ven, Helsingør, Helsingborg i kierowała się dalej w stronę Atlantyku.

Widziała Kullaberg.

Widziała też port w Mölle.

Miała nadzieję, że po raz ostatni.

Zawsze gardziłem idyllą.

A przynajmniej tak sobie mówiłem. Kiedy jednak siedziałem w błyszczącej, pokrytej pokostem mahoniowej łodzi, pod błękitnym niebem, i powoli płynąłem w stronę portu w Solviken, ta chwila, ten obraz Królestwa Szwecji był idyllą rodem z książek Astrid Lindgren. Chciałem zatrzymać ten moment i rozkoszować się nim przez całą wieczność – a przynajmniej na kilka minut wcisnąć przycisk pauzy. Jednak w życiu nie ma przycisku pauzy, życie nie jest sterowane pilotem, choć może to tylko kwestia czasu.

Emma wisiała przewieszona przez reling i zanurzała rękę w wodzie, która usypiająco pluskała o burtę. We włosach miała białą kokardę. Eva Månsson wplotła ją tam, kiedy je wyszczotkowała. Odniosłem wrażenie, że lubi się opiekować Emmą.

Ann-Marie Ströyer stała pośrodku odkrytej łodzi, prawą ręką trzymała ster, a jednocześnie regulowała prędkość dźwigni, która wyglądała jak coś, czym się steruje karuzelą w wesołym miasteczku.

Nie mogłem zadzwonić do Ann-Marie, ale Dan Frej popłynął swoją łodzią do portu, w którym można ją było spotkać w towarzystwie Inger Johansson, i opowiedział, na czym polega moja sprawa. Tej niedzieli nosiła grubą koszulę z krótkimi rękawami i niebieskie dżinsy. Była nieprawdopodobnie opalona. Wokół oczu i ust miała tyle zmarszczek, że na swój sposób była przepiękna. Poza tym w kąciku jej ust tkwił domowej roboty skręt.

Powinna odebrać mnie i Emmę w porcie w Jonstorp i popłynąć z nami do jej własnego małego portu. Stamtąd mieliśmy się cofnąć przez las do Solviken. Emma zapewniała, że trafi.

To dlatego Ann-Marie Ströyer stała przy sterze swojej łodzi, a ja siedziałem na bakburcie (czyli dla nas, szczerów lądowych, po lewej), ale choć chwila była idylliczna, nie mogłem się nią napawać, bo nie wiedziałem, jak to będzie, kiedy wrócimy do Solviken. W dodatku czułem się zagubiony, ponieważ nie miałem pojęcia, co się robi na łodzi tego rodzaju.

Silnik szumiał swojsko, miałem poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Zacząłem myśleć o dziwnym śnie z tej nocy, kiedy Emma do mnie przysła. Nie było w nim nic swojskiego ani spokojnego.

Tuż za nami zaczęło skrzeczeć kilka mew, ale kiedy zrozumiały, że nie mamy ryb ani rybich wnętrzności, poleciały szukać szczęścia gdzie indziej.

Po drodze z Jonstorp minęliśmy Solviken.

Nigdy nie oglądałem portu od strony wody.

Może dlatego, że nigdy tędy nie płynąłem.

Nigdy mnie nie kusiło, żeby wsiąść do żaglówki albo motorówki i popłynąć, nie miałem na to ochoty, a poza tym zawsze czułem strach – albo dyskomfort – na widok dużych łodzi. Tym bardziej się zdziwiłem, kiedy poczułem, jak przyjemnie i odprężająco jest w łodzi kierowanej ręką Ann-Marie. Poczułem, że lubię tak po prostu sunąć przed siebie, kiedy ktoś inny nadaje kierunek. Mógł to być morski odpowiednik włóczenia się bez celu.

Z daleka port wydawał się mniejszy.

Restauracja była położona nad portem, jakby na półce. Przy stolikach na zewnątrz siedziało kilka osób, ale nie widziałem, czy wśród nich jest Eva Månsson.

Przyjechała wcześniej z Anderslöv, żeby zająć dobre miejsce w restauracji. Nikt nie wiedział, kim była, i mogła obserwować wszystko, co się dzieje.

Arne był zły, że nie zabraliśmy go ze sobą.

Sądził, pewnie nie bez racji, że miał z tą sprawą dużo wspólnego i uważał za oczywiste, że będzie obecny przy jej finale.

– To niebezpieczni ludzie, Arne – powiedziałem.

To nie poprawiło mu humoru.

Większą część portu zajmował tego dnia duży namiot gastronomiczny. Po obu stronach drogi stały kramy i stanowiska loteryjne, a za namiotem wybudowano małą scenę.

Mój dom znajdował się za drzewami, ale dało się dojrzeć przynajmniej drzwi, werandę, ganek i ścianę szczytową po stronie restauracji.

Poprzedniego wieczoru była potańcówka. Za pięćset koron dostawało się krewetki i wino, możliwość słuchania muzyki na żywo i przebywania z podobnymi sobie. Ci, którzy nie chcieli płacić, mogli usiąść na moło z lodami albo w restauracji z kuflem piwa, kieliszkiem wina lub tradycyjnym omletem.

Ludzie, którzy mieli największe prawo do Solviken, byli najmniej zamożni. Mogli tylko siedzieć albo chodzić jak zwykli biedacy i patrzeć, jak się bawią bogaci wakacyjni goście.

Minęliśmy Solviken i mniej więcej pięć minut później Ann-Marie dopłynęła do małego portu. Czekala tam Inger Johansson, która pomogła Emmie wyjść na drewniany pomost.

Podziękowałem obu kobietom za pomoc, powiedziałem, żeby wpadły do restauracji, kiedy będą miały ochotę, wziąłem Emmę za rękę i zaczęliśmy iść.

Ścieżka wiodąca z portu Ann-Marie składała się z małych i dużych okrągłych kamyków i można było odnieść wrażenie, że ziemia pod naszymi stopami się toczy. Jak brzmiało to powiedzenie? *Rolling stones gather no moss*? Te kamyczki istotnie nie były porośnięte mchem. Emma przelatywała nad nimi jak motyl, mnie nie szło tak łatwo.

Jeszcze gorzej było w lesie.

Drzewa stały twardo na swoich miejscach, ale kiedy była taka potrzeba, Emma kazała mi pełzać na czworakach albo się czołgać. Kiedy dotarliśmy do skraju lasu – a wydawało się, że trwa to całe wieki – znaleźliśmy się w zasadzie tuż za moim domem.

Otrzeptałem ubranie i powiedziałem:

– Teraz najszybciej jak się da przejdźmy przez kuchnię do restauracji.

Trzymając się za ręce, przebiegliśmy kilka metrów dzielących dom od restauracji i wpadliśmy do kuchni.

Była jedenasta i ruch jeszcze się nie zaczął.

Simon Pender wszedł z restauracji do kuchni i głośno zamówił dwa omlety. Na mój widok zawołał:

– No jesteś! Całe szczęście, mamy dzisiaj dużo roboty.

Wtedy zobaczył Emmę, przez chwilę patrzył to na nią, to na mnie, aż w końcu wyjąkał:

– Ale... to przecież... czy to nie...

– Tak – odparłem. – To Emma.

– Cześć, Emmo – przywitał się.

– Cześć – odpowiedziała.

– O, nawet mówisz.

Odciągnął mnie na bok i zapytał szeptem określanym mianem teatralnego:

– Co ty odpieprzasz? Czy ona nie jest zaginiona?

Wskazał na Emmę.

– Już nie – odparłem.

– Co się właściwie dzieje?

– To się okaże. Możesz zorganizować stolik dla Emmy i dla mnie? Chcę siedzieć w środku, ale przy otwartym oknie, żebym mógł rozmawiać z nimi – oznajmiłem i wskazałem Evę Månsson, która siedziała przy jednym stoliku, oraz Larsa Berglunda i Britt-Marie Lindström, którzy siedzieli przy innym. Britt-Marie nie miała kamizelki fotografa ani torby na ramieniu, więc uznałem, że trzyma mały aparat w torebce.

– Znasz ich?

Skinałem głową.

– Na początku myślałem, że to Henrik Larsson – powiedział Simon. – Ale jest za stary.

– Ta kobieta, która siedzi sama, być może pamięta cię z zeszłego roku. Ubiegłego lata jadła tu kolację. To Eva Månsson, policjantka z Malmö.

Simon pokiwał głową. Wyglądał, jakby się zastanawiał.

– Możliwe, że ją pamiętam, ale teraz czuję, że im mniej wiem, tym lepiej.

– Czasem sprytny z ciebie skurczybyk, Simon.

Restauracja znajdowała się na półce skalnej, więc nie dało się zobaczyć, czy ktoś jest w porcie. Emma i ja byliśmy osłonięci. Poza tym poprosiłem Simona, żeby przyniósł dwie czapki z nazwą i logotypem restauracji. Włożyliśmy je i nasunęliśmy na czoło. Czapka Emmy była biała z czarnym napisem, a moja czarna z białym napisem.

Eva mówiła, że na drodze do Solviken nie zauważyła nic dziwnego ani nikogo, kto by się nietypowo zachowywał. Przy zjeździe do wsi stały samochody, ale nikogo nie było w środku ani obok.

Pomyślałem, że to dobrze, że Eva, Lars i Britt-Marie siedzą tak blisko siebie.

Gdyby ktoś podniósł wzrok i na nich spojrział, pomyślałby, że rozmawiają ze sobą, a nie ze mną.

Przesuwałem wzrokiem po całym porcie, z jednego końca na drugi, do moła i z powrotem.

Ja też nie widziałem nikogo, kto zachowywałby się dziwnie.

Jeśli nie liczyć Viveki Björkenstam.

Stała z dwiema kobietami w tym samym wieku przy stoliku ze starymi szklankami, sztućcami, pierdólkami, garnkami, zastawą, lampami, lampkami, wazonami, ozdobami, szmacianymi chodnikami, tkaninami i torebkami, które ktoś odziedziczył albo kupił w dizajnerskich sklepach w Londynie i Paryżu. Skądś znałem te kobiety.

Jej mąż siedział na eleganckim ogrodowym krześle przy prowizorycznym barze koło wejścia do namiotu, a miejsce obok niego zajmował inny starszy mężczyzna w marynarce, białych spodniach, białej koszuli w niebieskie paseczki i w wąskim, ciemnym krawacie. To był Bertil Rasck, człowiek, który więcej niż raz w swoich artykułach twierdził, że Holokaust to kłamstwo. Pamiętałem też, że kiedy się kąpał, zawsze nosił przy sobie termometr i głośno, autorytarnym tonem ogłaszał, jak ciepła albo jak zimna jest woda, kiedy z niej wychodził.

Dwóch mężczyzn i kobieta wnieśli na scenę wzmacniacze i statywy

do mikrofonów i zaczęli je rozstawiać.

Koło sceny, na porośniętym trawą zboczu, siedzieli Bosse Rybak i Dan Frej, każdy z nich z puszką piwa. Nie wiedziałem, ile Dan Frej opowiedział Bossemu Rybakowi o naszym rejsie, ale czułem, że to bez różnicy, kto co wie.

Andrius Siskaukas i jeden z jego chłopców – tak samo jak Andrius potężny, napakowany, obdarzony wielkimi dłońmi i wydatną szczęką, ten sam, który kiedyś pełnił straż przed moim domem – szli wolno ścieżką w stronę kąpieliska. Litwin wciąż wyglądał jak Kalle ze starego filmu. Usiadł na skraju ogródka restauracji, a Andrius przeszedł przez restaurację i wszedł do kuchni.

Zobaczyłem, że przy prawej nodze trzyma kij bejsbolowy, i zrobiłem pytającą minę.

Andrius podszedł do naszego stolika i przykucnął.

– Tak sobie myślę, że taki kij zawsze się przyda.

Kiedy wstał, wyłowił kluczyk samochodowy z kieszeni spodni i dorzucił:

– Jeszcze jedna sprawa: twój samochód jest gotowy, stoi na parkingu.

– Ten twój GPS, który przez cały czas pokazywał drogę do Wilna, doprowadzał mnie do szału.

Andrius spoważniał.

– Może to prawda, co mówią. Że wszystkie drogi prowadzą do Wilna.

– *Sure thing*, Andrius – odparłem.

Wyszedł, ale nie widziałem, dokąd idzie. W każdym razie nie przysiadł się do Kallego.

Eva, Lars i Britt-Marie zamówili kanapki i kawę.

Emma piła kawę.

Nie mogłem nic przelknąć, nie potrafiłem oderwać wzroku od portu i ludzi.

Port był wyłączony z ruchu, ale niepozorne volvo z lat osiemdziesiątych powoli wjechało między kramy a namiot restauracyjny i zaparkowało kawałek od sceny.

Wysiadło z niego trzech mężczyzn.

Widziałem ich wszystkich w czasie mojej wizyty u Björkenstamów.

Człowiek, który wtedy jeździł traktorem, wszedł do namiotu. Dwaj pozostali – ci, którzy pomagali Edwardowi Björkenstamowi rozpałcić ogień w ogrodzie – podeszli do wyciągniętej na brzeg łodzi rybackiej, która czekała na pomalowanie. Wszyscy wyjęli paczki papierosów i zaczęli kopcić.

Próbowali udawać zainteresowanych widokiem.

Wychodziło im tak sobie.

Nie wiem, skąd Andrius się tam wziął, ale nagle zauważyłem, że przykucnął obok mnie.

– Od razu sobie pomyślałem: ci trzej to kumple Harry’ego – powiedział.

– Nie do końca kumple.

– Rozumiem – odparł Andrius. – Jadę do Wilna.

Puścił do mnie oko.

Gdybym częściej korzystał z pomocy Andriusa i jego chłopców, musiałbym się dowiedzieć trochę więcej na temat litewskiego humoru.

Eva, Lars i Britt-Marie rozmawiali, ale nie słyszałem, co mówią. Z jednej strony próbowałem obserwować Björkenstamów i ich trzech pomagierów, a z drugiej byłem zaniepokojony tym, że Emma wygląda na tak przestraszona. Nie była taka od czasu, kiedy przysłała do mnie w nocy i leżała przerażona pod moim łóżkiem.

Dochodziła dwunasta i zaczynałem czuć skurcze w żołądku.

Zakładałem, że zjawi się Ladi, z mamą Emmy lub bez niej, ale nie miałem żadnej gwarancji.

Gdzie był Jacob Björkenstam i jaką rolę miał odegrać – tego nie potrafiłem przewidzieć.

Björkenstamowie mieli trzech pomagierów.

Ja miałem dwóch.

Trzech ludzi, włącznie ze mną.

W Simonie i Larsie Berglundzie nie widziałem potencjalnych uczestników bójki.

Britt-Marie była doświadczoną fotografką ze starej szkoły, a w grupie fotografów czasem robiło się gorąco. Pewnie umiała przyłożyć ciężkim aparatem, ale, jako się rzekło, przy stoliku nie widziałem żadnej torby, w której mógłby się zmieścić.

Eva Månsson może nauczyła się walki wręcz w szkole policyjnej – zawsze można mieć nadzieję.

Bosse Rybak i Dan Frej przenieśli się do jednej z budek z rybami na molo po lewej, ale nie wiedziałem, czy będą chcieli się włączyć w coś, co może przybrać brutalny obrót. Wprawdzie Bosse mi pomógł, kiedy motocykliści rzucili mnie na żwir po wizycie w restauracji, ale nic nie zrobił podczas samej walki i zamieszania.

Eva dostała SMS-a. Przeczytała go, odwróciła się do nas i oznajmiła:

– Linn pisze, że w ośrodku trafiła w dziesiątkę.

– Wspomniała coś o mamie Emmy? – zapytałem.

– Nie. Napisała tylko tyle. Wysłałam jej wiadomość, ale nie odpowiedziała. Mam nadzieję, że jest już w drodze.

– Chcę na kolana, Harry – powiedziała Emma.

Wgramoliła się i usiadła mi na kolanach.

Była spięta.

Jej serce biło mocno i szybko.

Facet od traktora wyszedł na jeden z drewnianych pomostów, wyciągnął telefon i wystukał numer. Zaczął mówić. Odwrócił się, rozejrzał i przerwał połączenie.

Poszedł z powrotem do pani Björkenstam.

Była już dwunasta, ale nie widziałem Ladiego ani nikogo innego poza postaciami, które były już w porcie.

Na scenę wkroczyła za to Viveca Björkenstam.

Postukała w jeden z mikrofonów i przemówiła:

– Chcę powiedzieć tylko jedno słowo. Chcę powiedzieć: witam.

Jednak jak wszyscy, którzy chcą powiedzieć jedno słowo, powiedziała jeszcze kilka:

– Witam bardzo ciepło wszystkich państwa tego najbardziej szwedzkiego lata i mam nadzieję, że będą państwo ucztować i znajdą sobie coś do kupienia, bo cały zysk

zostanie przeznaczony na konserwację portu. Jeszcze raz witam.

Miała na sobie ciemnoniebieską spódnicę, kredowobiałą bluzkę i szary kardigan narzucony na ramiona. Podniosła ręce.

Goście zaczęli bić brawo.

Viveca zeszła ze sceny, a kiedy trio wzięło do rąk gitary i akordeony i zaczęło grać Sommartider, pstrykała palcami obu dłoni, tak jak to robią ludzie pozbawieni jakiegokolwiek słuchu muzycznego i poczucia rytmu. Zaczęła też ruszać biodrami. Wyglądało to nierytmicznie i makabrycznie.

Zresztą Sommartider nie jest piosenką, do której można pstrykać palcami albo ruszać biodrami.

Wszystko ma swój czas.

Viveca Björkenstam była za stara, żeby stać na pace ciężarówki oblana szampanem i piwem i wrzeszczeć, a w wieku naturalnym miała inne zainteresowania.

– Gdzie oni są, do cholery? – odezwałem się do Evy. – Jest już po dwunastej.

– Nie wiem.

Widziałem, że ona też się denerwuje.

Było czternaście po dwunastej, kiedy biały SUV zaczął się toczyć w dół do portu, torując sobie drogę przez tłum.

– To musi być ten.

Eva skinęła głową.

Samochód jechał równo z volvem, którym przyjechało trzech pomagierów.

Nie wiedziałem, kto siedzi za kierownicą i czy w kabinie kierowcy jest więcej niż jedna osoba.

Po kilku minutach otworzyły się drzwiczki i wysiadł Ladi. Zatrzasnął drzwiczki i przez chwilę stał przy samochodzie, jakby chciał się zorientować w otoczeniu.

Rozejrzał się.

Odszedł od samochodu na kilka kroków.

Był ubrany w niebieskie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę, a pod nią nosił białą koszulkę bez nadruku.

Otwierał i zaciskał dłonie.

– Co mam teraz robić? – zapytałem.

– Skąd wiemy, że to on? – rzuciła Eva.

– To nie może być nikt inny.

– Zaczekaj – powiedziała.

Człowiek, którego znałem jako Ladiego, spokojnym krokiem przeszedł na molo.

Doszedł prawie do końca.

Kilku chłopców skakało do wody z małej latarni morskiej.

Ladi założył ręce z tyłu i zaczął się rozglądać.

– Ale przecież on nie ma nikogo ze sobą – oznajmiłem.

– Ty też – odparła Eva.

– Mam, tu siedzi.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Przez chwilę patrzyliśmy na Ladiego.

Wydawał się spokojny.

Tylko raz szybko zerknął na zegarek.

Trudno było stwierdzić, czy Viveca i Edward Björkenstamowie wiedzą, co się będzie działo. Ona była zajęta przyjaciółkami, a on popijał z Bertilem Rasckiem.

– Evo, co mam robić?

– Ty też wyjdź sam.

– Co mam mu powiedzieć?

– Niech on mówi, ty improwizuj.

Wziąłem Emmę za rękę i wyszedłem z nią do kuchni.

Kelnerka była młodą, postawną dziewczyną o imieniu Linda. Zwróciłem się do niej:

– Ta dziewczynka to Emma. Nie mogę wyjaśnić, co się właśnie stało, ale musi się ukryć. Mogłabyś ją tu po prostu schować na jakieś pół godziny?

Wskazałem wejście do chłodni.

– Chodzi o tę awanturę, która wybuchła tu wieczorem kilka dni temu? – zapytała Linda. Mówiła wyraźnym dialektem, który brzmiał jak z okolic na południe od głównej drogi. W okienku postawiła czarną patelnię z puchatym omletem i chrupiącym boczkim.

– Może. To się okaże – powiedziałem.

Linda skinęła głową.

– Będę jej pilnowała.

Przytuliłem Emmę, wyszedłem tylnymi drzwiami i zszedłem wolnym krokiem do portu. Kalle nie siedział już na swoim miejscu, nie widziałem go w porcie. Za to Viveca Björkenstam stała przy scenie i pstrykała palcami, kiedy trio na scenie grało pierwsze akordy Gå och fiska. Może coś przeoczyłem, może to był zespół grający covery Gyllene Tider.

Goście częstowali się krewetkami z wielkiego stosu ustawionego na łodzi, tak dużej jak łódź Ann-Marie. Większość zdążyła już usiąść za stołami. Tu i ówdzie wisały sieci rybackie. Wszyscy pili wino z plastikowych kubeczków, oprócz Edwarda Björkenstama i Bertila Rascka. Oni wyglądali, jakby pili whisky z prawdziwych szklanek.

– Cieszę się, że rozpira panią energia – odezwałem się do Viveki Björkenstam, kiedy przechodziłem obok.

Nie odpowiedziała.

Ale przestała pstrykać palcami.

Rozejrzała się, dostrzegła faceta od traktora i próbowała przyciągnąć jego uwagę.

– Dodek! – krzyknęła.

A więc traktorzysta miał na imię Dodek.

Nie słuchał, tylko kiwał głową w reakcji na to, co mówił mu Andrius. Nie wiem, co to było. Andrius nigdy nie wydawał mi się groźny, ale Dodek wyglądał przy nim na potulnego.

Nie przybiegł na wezwanie swojej pani.

– Trudno w dzisiejszych czasach o dobrych służących. Prawda, Vivan?

Jakaś kobieta, młodsza od przyjaciółek żony Björkenstama, wstała i zapytała:

– Potrzebujesz pomocy, Viveco?

Rozpoznałem ją, już wcześniej zwróciłem na nią uwagę, a Simon Pender powiedział, że ona i jej mąż są badaczami z Lund. Nie wiedziałem, co właściwie badali. Miała ciemne, krótko ostrzyżone włosy i dobrze wyglądała. Była ubrana w białe szorty sięgające prawie do kolan i równie białą bluzkę, a poza tym ciemnoniebieską bluzę narzuconą na ramiona. Widziałem ją w bikini na kąpielisku. Badacze nie wyglądali tak, kiedy byłem mały. Ale co ja tam wiem. Moja rodzina nie знаła żadnych badaczy. W jej ciemnobrązowych oczach było widać złość. Jej mąż wstał. Był od niej znacznie wyższy, robił wrażenie zaszuszonego i wyglądał jak stary krytyk rockowy.

Nie odezwałem się.

Poszedłem na molo.

Nie widziałem Andriusa ani Dodka.

Chłopcy i dziewczynki leżeli na brzuchu na pomostach.

Dzieci z mniej zamożnych rodzin nabijały na haczyki robaki albo kawałki chleba.

Dzieci bogaczy jadły krewetki – rodzice kupili im je w budce i obrali.

Zacząłem się zbliżać do Ladięgo. Między nami nikogo nie było. Chłopcy nadal skakali z latarni do wody, ale dzieliło mnie od nich kilka metrów.

Ladi stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymając ręce wzdłuż tułowia.

Zatrzymałem się.

„Niech on mówi” – powiedziała Eva.

Pomysł był dobry, ale Ladi się nie odzywał.

Ja też nie.

Ciągle milczał.

Ja też.

Ale nie spuszczałem go z oczu.

To było jak ważenie przed walką bokserską.

Choć staliśmy trochę za daleko od siebie.

Było tak, jakby wszystko wokół nas ucichło.

A może tylko to sobie wmawiałem.

W czasie walki bażantów nic nie może im przeszkodzić, kiedy próbują się powalić wzrokiem.

Ladi był większy ode mnie.

Ja mogłem być szybszy i lżejszy, choć nieznacznie, ale przestałem boksować i nigdy się nie biłem poza ringiem, a Ladi zapewne niejednokrotnie używał ciała i pięści. Doszedłem do wniosku, że nie miałbym szans, bez względu na to, jak intensywnie bym się w niego wpatrywał.

Podjąłem decyzję, zrobiłem dwa kroki naprzód i kopnąłem go między nogi, najmocniej jak potrafiłem.

Nawet rosyjski olbrzym nie pozostanie niewzruszony po dobrze wymierzonym kopie spiczastym butem w jaja.

Powoli się nachylił, trzymając się oburącz za krocze, a ja przyłożyłem mu kolaniem w twarz, aż z nosa popłynęła krew.

Przewrócił się, ale chociaż kopnąłem go w głowę, okazał się na tyle wytrzymały, by się podnieść na kolana. Czekałem, aż powoli stanie na nogi. Chwycił się za nos i za tył

głowy. Stał tak chwiejnie, że kiedy się na niego rzuciłem, stracił równowagę i wpadł do wody.

Kiedy wypłynął na powierzchnię, parsknął i dziko wymachiwał rękami.

– Pomóż mi, nie umiem pływać! – ryknął. Nie musiał tego mówić, to było widać na pierwszy rzut oka.

Na przemian tonął i wypływał na powierzchnię.

Jeszcze gwałtowniej machał rękami.

Przykucnąłem i rzuciłem:

– Cały trik polega na tym, żeby nie młócić tak łapskami.

Znów się zanurzył.

– Oż kurwa – wysapał spanikowany, kiedy wypłynął z powrotem. Potem wrzasnął coś po rosyjsku.

Wstałem i podszedłem do Dana Freja i Bossego Rybaka.

– Dopilnujcie, żeby przeżył, ale za cholere nie pozwalajcie mu wyjść na brzeg, nie dajcie mu się oszukać.

Kątem oka zobaczyłem błysk we wstecznym lusterku białego SUV-a. Drzwi się otworzyły i ktoś wyskoczył. Kiedy tam dobiegłem, w kabinie kierowcy rzeczywiście nie znalazłem nikogo.

Otworzyłem tylne drzwi, ale przestrzeń bagażowa też była pusta.

Mamy Emmy tu nie było.

Moja walka z Ladim zwróciła uwagę ludzi. Nikt nie jadł, nikt nic nie kupował i nikt nie lizał lodów w rożku. Wszyscy stali, wskazywali wszystkie kierunki, albo żaden, i wyglądali na ogólnie pobudzonych. Tylko orkiestra grała dalej.

– Tam pobiegł. – Mały chłopczyk wskazał restaurację.

Wbiegłem po schodach i wpadłem do restauracji, ale nikogo nie widziałem.

– Dokąd poszedł? – zapytałem.

– Do kuchni – odparł Lars Berglund.

Niech to szlag! – pomyślałem. Emma!

Otworzyłem drzwi.

Linda stała z wytrzeszczonymi oczami i zakrywała ręką usta.

Wpatrywała się w podłogę za piekarnikami.

Simon Pender nie zakrywał ust ręką, ale wyglądał na równie przerażonego.

Usłyszałem czyjeś jęki.

Obszedłem piekarniki.

Jacob Björkenstam leżał na podłodze i trzymał się za głowę.

To on tak jęczał.

Emma stała obok z jednym z naszych półmetrowych młynków do pieprzu, wykonanych z solidnego drewna.

– Próbował się schować – oznajmiła.

– Jak tam? Z Emmą wszystko w porządku? – Eva Månsson stanęła w drzwiach.

– Nie masz przypadkiem przy sobie kajdanek? – zapytałem.

Przypadkiem miała.

Wspólnymi siłami obróciliśmy Jacoba Björkenstama na brzuch. Wykręciłem mu

ręce na plecy, a Eva skulała go kajdankami. Z rany nad jego uchem płynęła krew.

– Dobra robota, Emmo – pochwaliłem dziewczynkę.

– Linn przed chwilą dzwoniła – powiedziała Eva.

– I co?

– Z twoją mamą wszystko w porządku – zwróciła się do Emmy.

– Gdzie ona jest? – zapytała Emma.

– W szpitalu w Helsingborgu. Jest trochę zmęczona, ale dojdzie do siebie – odparła

Eva.

Potem powiedziała do mnie:

– Przetrzymani ją w tym swoim szpitalu. Tak samo jak drugą kobietę, tę starszą.

Tak jak mówiła Linn, to był strzał w dziesiątkę. Wygląda na to, że za tymi murami jest dużo brudów.

– Nie dziwi mnie to – stwierdziłem.

– Później powie więcej.

– Co teraz robi Linn?

– Jedzie tu – odparła Eva.

– Dobrze, może będzie potrzebna.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Zlikwidowali Laxgård.

– Zlikwidowali?

– Nie stawiał się, żeby wykonać drugie zadanie. Linn nie wie, gdzie jest. Nikt inny też nie wie.

– No to pięknie – mruknąłem.

Wziąłem Emmę za rękę, wyszliśmy i posadziłem ją przy stole, przy którym siedzieliśmy wcześniej.

– Zostań tutaj, ja tylko porozmawiam z pewnym pływakiem.

Dan Frej i Bosse Rybak rzucili Ladiemu koło ratunkowe. Spokojnie leżał w wodzie i się go trzymał. Z nosa nadal ciekła mu krew – może dlatego przestał boksować, że tak łatwo krwawił. Miałem krew nawet na spodniach.

– Próbował się wydostać, ale dał sobie spokój. – Dan Frej pokazał bosak.

Oprócz krwawiącego nosa Ladi miał małą ranę na czole.

Przykucnąłem i powiedziałem:

– Twój szef leży w restauracji, skuty kajdankami, matka Emmy jest w szpitalu w Helsingborgu, więc może lepiej puść koło i idź na dno bez niczyjej pomocy.

Nie wiem, czy to była adrenalina krążąca w żyłach, ale poczułem się, jakbym był na haju, czułem się niepokonany i gdyby w tamtym czasie i miejscu przyszło mi do głowy więcej sarkastycznych uwag, z chęcią bym je wygłosił.

Rozgniewana badaczka stała na czele grupy zebranej na molo.

– Co się tu dzieje? – zapytała wzburzona.

Nigdy nie widziałem, żeby brązowe oczy zrobiły się tak czarne, prawie jak węgiel.

– Jesteś piękna, kiedy się złościś – odpowiedziałem, bo to była prawda.

– Bezczelny typ! – zawołała. Wymówiła to „bezczelny”. Może była z Göteborga.

– To był komplement, proszę tak o mnie nie mówić.

Byłem na haju, niepokonany.

Znałem ten stan z ringu – kiedy bokser jest śmielszy niż zazwyczaj, bo wie, że nie może przegrać.

Poszła za mną do namiotu.

– Mam zadzwonić na policję, Viveco? – zapytała.

– Policja już tu jest – oznajmiła pani Björkenstam.

Odwróciłem się, szukając wzrokiem Linn Sandberg, ale zobaczyłem tylko policjanta wysiadającego z cywilnego samochodu.

– Wyjaśnij to, Krister – zażądała pani Björkenstam.

– To jego trzeba zapuszkować – oznajmiła badaczka i machnęła ręką w moim kierunku.

Krister? Laxgård... Krister Laxgård.

– Aha, dobrze – powiedział. – Pójdzie pan dobrowolnie?

Wskazał mnie palką, którą trzymał w prawej dłoni.

Kiedy się do mnie odwrócił, odczytałem na identyfikatorze nazwisko Laxgård.

– Jak to miło, Krister, że wykonujesz robotę dla swoich kolegów nazistów.

Chyba nie był gotowy na taką odpowiedź i stracił rezon. Popatrzył na Vivecę Björkenstam.

– Co pan ma na myśli? – zdziwiła się badaczka, która stała teraz tuż przy nas. – Co pan mówi? Koledzy naziści?

– Niech pani zapyta Vivan, ona jest szefową neonazistów.

– Co on mówi, Viveco? Pozwalasz mu tak stać i opowiadać takie rzeczy?

– Lada chwila zjawi się tu prawdziwy policjant – odparłem. – A tam na zboczku jest jeszcze jedna policjantka.

Wskazałem Evę Månsson. Odchyliła kurtkę i trzymała prawą dłoń na kaburze pistoletu, którą miała przy pasku. Wcześniej tego nie zauważyłem.

Biedny Laxgård wyglądał na zdezorientowanego.

– Dla twojej wiadomości, Vivan: inspektor kryminalna Linn Sandberg z helsingborskiej policji była w waszym małym szpitaliku i zabrała z niego kilkoro pacjentów. Nie przebywali tam z własnej woli.

I podsumowałem:

– Gra skończona.

Zawsze chciałem to powiedzieć.

Wyglądało na to, że dzięki temu Viveca Björkenstam wreszcie podjęła decyzję. Przez kilka sekund wyglądała, jakby żuła tytoń. W końcu zebrała się w sobie i stwierdziła:

– Edward był słaby. On zawsze był słaby.

Jej głos przypominał syczenie.

– Nie pozwalał, żebyśmy się opiekowali dziewczynką po swojemu.

– Cieszy mnie to – odparłem. – Lubię Emmę.

– Nic pan nie rozumie – wycedziła.

– Jak to, Viveco? – spytała badaczka.

Pani Björkenstam napięła wszystkie mięśnie i wykrzyczała mi w twarz:

– Nic pan nie rozumie!

Wszyscy goście zamilkli. Nawet badaczka się nie odzywała.

– Już pójdę – powiedziałem. – Czekam na policję. Prawdziwą policję, a nie tego domorosłego Adolfa.

Laxgård zdębiał. Lars i Britt-Marie zeszli do nas z restauracji i stanęli obok. Britt-Marie miała mały aparat i wszystko fotografowała albo filmowała.

Muzycy z tria na scenie nadal wydawali się nieświadomi tego, co się dzieje, i radośnie śpiewali, że chcą mieć własny księżyc – choć nad Solviken świeciło słońce.

Nie wiem, co zaszło między Andriusem i Kallem a Dodkiem i jego kompanami, ale Andrius zaprowadził ich do volva. Jeden z nich trzymał się za tył głowy i miał kłopoty z równowagą. Samochód wycofał, zawrócił, minął wielki namiot i wyjechał na główną drogę.

Pomachałem im, kiedy przejeżdżali obok.

Żaden nie odmachął.

Zawróciłem, żeby wrócić do knajpy i Emmy, kiedy Lars Berglund krzyknął:

– Harry, ja pierdolę!

Znów się odwróciłem.

Viveca Björkenstam szybkim krokiem szła w moją stronę.

Oburącz, na wysokości brody, trzymała duży kuchenny nóż.

W jego ostrzu odbijało się słońce.

Uniosła nóż i chciała się zamachnąć, kiedy nagle rozbrzmiał huk.

Odbijał się echem w porcie.

Viveca Björkenstam wyglądała na zdziwioną. Po chwili upadła bezwładnie do przodu, a nóż wbił się w asfalt centymetr od mojego prawego buta.

Jej lewa noga wyglądała na złamaną w kolanie.

Z rzepki spływała strużka krwi, a goleń była wykręcona pod nienaturalnym kątem.

Odwróciłem się w drugą stronę.

Eva Månsson stała na szeroko rozstawionych nogach i trzymała dwiema rękami pistolet.

W powietrzu czuć było woń potu albo siarki.

Eva stała nieruchomo, ja stałem nieruchomo, ale większość ludzi zerwała się na równe nogi.

Niektórzy krzyczeli.

Inni zbierali dzieci.

Kilka osób rzuciło się na ziemię, kiedy rozbrzmiał huk wystrzału.

Z całego tria na scenie tylko akordeonista nie zrozumiał, co się stało. Grał dalej i ryczał, że teraz będzie żył pełnią życia – dopóki dziewczyna z gitarą nie kazała mu się zamknąć.

Britt-Marie robiła zdjęcia.

Badaczka zwróciła się do niej:

– Kto pani pozwolił fotografować?

Odwróciła się do ludzi w namiocie.

– Zadzwońcie po policję, Viveca potrzebuje pomocy! Została postrzelona! Tamta

kobieta do niej strzeliła, łapać ją!

Od strony drogi dobiegł dźwięk syreny.

– Jedzie karetka – powiedział ktoś.

– To chyba policja – odparłem.

Nie wiem, czy to był objaw szoku, ale Viveca Björkenstam przez cały czas leżała na ziemi i milczała.

Kiedy otworzyła usta, nie zaczęła się skarżyć na ból w kolanie, tylko wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się głośno.

Jednocześnie dźgała nożem asfalt, tak blisko moich stóp, że zrobiłem kilka kroków do tyłu.

Echo strzałów z pistoletu Evy Månsson zostało zastąpione przez echo śmiechu Viveki Björkenstam.

Andrius i jego jasnowłosy chłopak ruszyli ścieżką wiodącą do kąpieliska i zniknęli mi z oczu, a w tej samej chwili Linn nadjechała radiowozem na sygnale. Syrena ucichła, samochód zatrzymał się kilka metrów ode mnie i pani Björkenstam, ale niebieski kogut nadal było włączony.

Wysiadła zdyszana.

– Przepraszam, Harry. W całym cholernym mieście panuje chaos przez awantury kibiców. Co się dzieje? Co się stało?

Z radiowozu wysiadł duży, postawny mężczyzna w policyjnym kombinezonie i włożył na głowę furazerkę. Nie był młodzieniaszkiem i kombinezon wyraźnie opinał mu brzuch.

– To jest Kramfors – przedstawiła Linn. – Tylko jego mogłam wziąć ze sobą, na co dzień siedzi w recepcji.

– Ona potrzebuje pomocy – oznajmiłem i wskazałem Vivecę Björkenstam. – Nie żeby na nią zasługiwała, ale mimo wszystko.

– Gdzie jest Eva Månsson?

– Tam stoi – odparłem. – To ona strzelała.

– Wezwij karetkę – Linn zwróciła się do Kramforsa.

– A z tym tam chyba powinniście coś zrobić – powiedziałem i wskazałem Laxgård.

– Krister, co ty tu robisz, do cholery? – zapytała Linn.

– To jeden z nazioli – poinformowałem.

Laxgård wzruszył ramionami i zaczął iść do samochodu.

Policjant Kramfors przemieszczał się z zadziwiającą szybkością – zrobił kilka dużych susów, powalił Laxgård na ziemię, przeturlał się kilka razy i po chwili na nim siedział. Potem założył mu kajdanki i posadził na tylnym siedzeniu radiowozu. Nie wiem, czy użył większej siły, niż było trzeba, ale słyszałem, że warknął:

– Zawsze uważałem cię za aroganckiego łajdaka, Laxgård.

Laxgård milczał.

Przez tłum zszokowanych i oburzonych gości przeciskała się jakaś kobieta. Mówiła tak wyniosłym głosem, że dopiero po kilku minutach jej słowa do mnie dotarły i zacząłem

się zastanawiać nad ich treścią:

– Przepraszam, pani posterunkowa. Nazywam się Gertrud Rasck, moim mężem jest Bertil Rasck. Chciałabym zgłosić tego człowieka, ponieważ obraził Vivecę i zakłócił nasz festyn.

Gertrud Rasck wskazała mnie.

– Później się tym zajmiemy – odpowiedziała Linn. Przykucnęła obok Viveki i patrzyła na to, co zostało z jej kolana.

Wstała i przemówiła głośno:

– Chcę, żeby państwo tu zostali. Musimy porozmawiać ze wszystkimi, a przynajmniej zebrać dane i numery telefonów, zanim państwo się rozejdą.

– Jak to możliwe, do jasnej cholery? – zapytała mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Takie rzeczy dzieją się nawet w najlepszych rodzinach – odparłem.

– Harry! Harry!

To był krzyk Emmy.

Przecisnęła się przez tłum zaciekawionych ludzi, podbiegła do mnie i wskoczyła mi na rękę. Płakała.

– Tak się martwiłam – mówiła, pociągając nosem.

– Już dobrze. Jeśli dopisze szczęście, może troszkę później będziesz mogła się spotkać z mamą.

Weszliśmy do restauracji. Zanim usiedliśmy przy stoliku na zewnątrz, nalałem sobie dużą szklankę wódki i dla koloru wpuściłem kilka kropel soku żurawinowego.

Opróżniłem jednym haustem pół szklanki.

Karetka długo nie przyjeżdżała, a kiedy już się zjawiała, okazało się, że przyjechała z Ångelholmu, a nie z Helsingborga. Widocznie awantura kibiców się zaostrzyła. Zszedłem i zobaczyłem, że sanitariusze kładą Vivecę Björkenstam na noszach i ładują do karetki.

Zanim zamknęli drzwi, podniosła wzrok na mnie i wysyczała:

– Ty jebany Żydzie.

Badaczka stała obok mnie. Jej wściekłość zmieniła się w dezorientowanie. Była błąda, ale wbijała we mnie oskarżycielskie spojrzenie prawie czarnych oczu i trzymała wzdłuż tułowia ręce z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Jej mąż nic nie mówił – był jednym z tych, którzy padli na ziemię, kiedy Eva oddała strzał.

– Kim ty jesteś, kurwa? – zapytała.

– Spokojnie, Kattis – odezwał się jej mąż.

Zabrzmiało to tak, jakby zaklęła po raz pierwszy w życiu.

– Nazywam się Harry – odparłem. – Harry Svensson. Można mnie łatwo sprawdzić.

Uwielbiam kobiety z poczuciem humoru.

Odwróciła się do męża.

– Jan, zrób coś!

– Idziemy, Kattis – rzucił mężczyzna. – Idziemy.

– Proszę najpierw porozmawiać z Linn – powiedziałem. – To ona teraz decyduje. Chyba nie możecie stąd odejść, dopóki na to nie pozwoli.

Wyglądało na to, że Linn i Kramfors uporali się z gośćmi festynu. Ludzie zaczęli się rozchodzić, ale część została. Linn i Kramfors zapisywali nazwiska i adresy oraz sprawdzali dowody tożsamości.

– Jeszcze jeden się tu pluska. – Wskazałem w stronę mołu.

Ladi był wycieńczony i nie mógł pomagać, więc Kramfors, Dan Frej i Bosse Rybak wyciągnęli go na brzeg, a Linn Sandberg i Eva Månsson stały obok.

Eva miała pistolet w kaburze.

Linn trzymała swój w dłoni.

Ladi ociekał wodą.

Przyjeżdżały następne samochody i zjawiali się kolejni policjanci. Wszedłem do namiotu i napełniłem wiadro krewetkami z łodzi, żeby je zabrać do restauracji.

Nie zauważyłem tego, kiedy trwało zamieszanie, ale ktoś – Linn albo Kramfors – posadził skutego kajdankami Edwarda Björkenstama na ławce koło namiotu. Nie widziałem za to Bertila Rascka.

– Halo – odezwał się Björkenstam i podniósł wzrok.

Przystanąłem.

– Wie pan, gdzie jest mój syn? – zapytał.

Nie odpowiedziałem.

– Przysięgam, że powiem wszystko, co wiem, jeśli zdradzi mi pan, gdzie jest mój syn.

– Leży tam na górze i czeka, aż go odwiozą do aresztu w Helsingborgu.

– Nie dałoby się...

– Co takiego?

– Szepnąć o mnie dobrego słówka.

Mężczyzna miał łzy w oczach.

Mówił dalej:

– Nie mieszałem się do tego...

– Zauważyłem, ale może potem by się pan wmieszał.

– Nie chciałem, żeby zrobili krzywdę dziewczynce.

– W takim razie mógł pan przecież zatrzymać cały ten pieprzony cyrk.

Kiedy Kramfors przyszedł po Edwarda Björkenstama, żeby go zaprowadzić do radiowozu, odwróciłem się do niego plecami i zacząłem wchodzić po schodach.

– Svensson... Svensson! Proszę cię, Svensson. Nie możesz szepnąć słówka? Proszę, chciałem dobrze... Spraw, żeby oni to zrozumieli.

– Widziałem twój model pociągu. Oba warianty.

Upłynęła sekunda, zanim zrozumiał.

– To był żart – wymamrotał. – Niewinny żart.

– Jakoś mnie nie śmieszy – odparłem.

– Idziemy – zakomenderował Kramfors. Wydawał się zadowolony, że mógł wyjść z recepcji, nawet jeśli pił go kombinezon.

Co prawda Kattis i jej wysoki mąż opuścili teren festynu, ale stali nieco dalej, w miejscu, w którym zostawili rowery. Kiedy Björkenstam i Kramfors przechodzili obok, mąż badaczki odwrócił głowę i śledził ich wzrokiem. Kattis nie odrywała ode mnie oczu.

Wiedziałem, że muszę na nią uważać.

Bosse Rybak i Dan Frej usiedli przed budką z rybami, wyposażeni w nowe puszki piwa.

– Dobry show, Harry! – krzyknął Bosse. – Kiedy tu jesteś, zawsze coś się dzieje.

Lars Berglund szedł z Britt-Marie Lindström do jej samochodu.

– Teraz macie coś, nad czym możecie pracować – powiedziałem.

– Odezwę się, jeśli będę potrzebował informacji uzupełniających. To jest tak rozległe, że nie wiem, od czego zacząć.

– Poradzisz sobie. Możesz zadzwonić albo wysłać SMS-a, kiedy będziesz chciał.

Wszedłem do restauracji, dopiłem na stojąco resztę wódki ze szklanki, nalałem sobie nową i poprosiłem Simona, żeby wyniósł kilka talerzyków na krewetki, które przyniosłem z dołu.

– To może być dobry biznes – stwierdził.

– Chodzi ci o krewetki czy o strzelaninę? – zapytałem.

– Miałem na myśli krewetki.

– Od dawna próbowałem ci to powiedzieć.

Wyszedłem i znów usiadłem.

Zapowiadał się długi wieczór.

Emma wślizgnęła mi się na kolana.

Nigdy wcześniej nie obierała krewetek.

Szybko się nauczyła.

Dziwnym trafem nie byłem zmęczony, choć spałem tylko kilka godzin. Był to jednak sen wysokiej jakości. Nie pamiętałem, czy miałem jakieś wściekłe, niespokojne koszmary.

Miałem wrażenie, że nie.

Czułem się wypoczęty.

Po raz kolejny zasnąłem w fotelu.

Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego nie w łóżku.

Emma spała na kanapie. Leżała na boku, skopała z siebie kawałek kołdry. Nadal miała we włosach białą kokardę od Evy Månsson.

Nastawiłem wodę na kawę, wziąłem prysznic, włożyłem szorty i koszulkę i zszedłem po gazetę. Namiot dalej stał w porcie, ale teraz otaczała go policyjna taśma. Trochę wyżej na zboczu stał zaparkowany radiowóz.

Lars i Britt-Marie dostali całą pierwszą stronę na tekst i zdjęcia związane ze strzelaniną w Solviken. Niektóre twarze na zdjęciach Britt-Marie były zamazane, a personaliów Edwarda i Viveki Björkenstamów nie podano. Nazywano ich ogólnie „parą finansistów”, a Lars Berglund kilka razy wspomniał, że w przyszłym tygodniu pojawi się kontynuacja.

I to niejedna – pomyślałem.

Lars otrzymał kopie wszystkich moich materiałów. Powiedziałem, że może z nimi robić, co chce. Jonna przysłała jeszcze kilka maili z artykułami o Björkenstamach i Bertilu Rascku, ale ich nie przeczytałem, tylko wysłałem od razu do Larsa Berglunda.

Jeżeli śmierć prasy to fakt, a jego tytuł miał zostać wykupiony i poddany fuzji, było więcej niż sprawiedliwe, że mógł zakończyć karierę, opisując spektakularną zbrodnię, w którą zamieszana jest rodzina znanych bogaczy, naziści, handlarze narkotykami i gangi motocyklowe. Byłem przekonany, że któryś z tabloidów odda wszystko, byle pisał tylko dla nich. Nie potrwa długo, zanim się zorientują, że jest w posiadaniu materiałów, których sami nigdy by nie zdobyli.

Ja sam byłem tym wszystkim zmęczony i chciałem tylko przestać myśleć o tym, co się wydarzyło.

Usiadłem na werandzie z kubkiem kawy w ręku.

To był przyjemny poranek.

Nad wodami zatoki Skälderviken wisiała ledwo widoczna mgła, słońce odrobinę wzeszło i zapowiadał się ciepły, bezchmurny dzień.

Poranek był idealny, a ja miałem jointa do kawy.

Dostałem SMS-a.

Od GG.

Co się wczoraj stało, do cholery? Sieć huczy, radio szumi, a w telewizji twardo nadają wiadomości.

Odpisałem, że jeśli któregoś dnia do mnie wpadnie, wszystko mu opowiem.

Nie miałem siły sprawdzać w Internecie, ale założyłem, że tabloidy już zdobyły

tekst Larsa i zdjęcia Britt-Marie.

Pomyślałem, że Emma i ja chyba powinniśmy wyjechać.

W ciągu najbliższych dni w porcie zaroi się od policjantów, śledczych i przedstawicieli mediów.

Ale nie wiedziałem, czy Emma może podróżować i czy będzie miała na to ochotę.

Linn Sandberg w końcu przysłała do nas niejaką Erikę Dansk, która pojechała z nami na komisariat w Helsingborgu, gdzie czekało nas kilka przesłuchań.

Opowiedziałem bardzo skrótowo, co się wydarzyło.

Potem Erika Dansk zawiozła nas do szpitala, w którym Emma mogła się spotkać z mamą.

Åsa Dahlström miała zabandażowaną głowę i prawdopodobnie była pod wpływem środków uspokajających, bo patrzyła zamglonym wzrokiem i niewiele mówiła.

Długo trzymała Emmę za rękę.

Wyszedłem na korytarz i czekałem.

Dostałem SMS-a od Bodil Nilsson.

Czy Maja i ja możemy niedługo Cię odwiedzić?

Odpisałem:

W każdej chwili.

Nie wiedziałem, czy to prawda. Czuję się winny, że już od jakiegoś czasu nie myślałem o Bodil.

Kiedyś, wcale nie tak dawno, była dla mnie całym światem. Kilka razy dziennie sprawdzałem komórkę, żeby zobaczyć, czy nie dzwoniła albo nie napisała SMS-a, ale ona nie mogła się zdecydować. Nie wiedziała, czy i kiedy uda się załatwić rozwód, przez który przechodziła, nie wiedziała, czy jej córce Mai dobrze zrobi jeszcze jeden udawany, czy też bonusowy, tatuś.

Postanowiliśmy, że na jakiś czas damy sobie na wstrzymanie i zobaczymy, co się wydarzy.

Radosny SMS pochodził z zupełnie innego świata niż ten, w którym Emma i ja żyliśmy przez ostatni tydzień. Czuję się tak, jakbyśmy oboje spojrzeli w oczy wielkiemu złu.

Czy Bodil uwierzy, jeśli opowiem, przez co przeszedłem? Przez co oboje przeszliśmy?

Z drugiej strony wiedziałem, że to, co zaszło, na zawsze połączy mnie i Emmę.

Czy to mnie ciągnęło do takich brutalnych przypadków, czy sam je przyciągałem? W krótkim czasie uczestniczyłem w dwóch głośnych sprawach kryminalnych.

Nie znałem odpowiedzi.

Miałem jednak wrażenie, że wystarczy trochę poskrobać powierzchnię i skrócić w lewo zamiast w prawo, żeby znaleźć świat, który jest zupełnie inny niż domniemana idylla, którą czasami nazywamy Szwecją.

Ten drugi świat istnieje.

Eva Månsson powiedziała kiedyś, że policjant tym się różni od zwykłego obywatela, że kiedy idzie chodnikiem, dostrzega wszelkie możliwe przestępstwa i wciąż się zastanawia, co jest ukryte pod powierzchnią.

Zgadzam się z tym.

Wystarczy tylko patrzeć.

Jeśli się chce.

Nie wiedziałem, kiedy Agneta Björkenstam zaczęła patrzeć, ale miałem nadzieję, że będzie szczęśliwa.

Tego ranka najbardziej uderzyła mnie myśl, jak często nie zauważamy zła, które znajduje się wokół nas, albo też nie przejmujemy się nim, bo diabeł to taka postać, która ma upodobanie do bogactwa i wyczucie dobrego smaku.

Bertil Rasck i jego żona należeli do elity społeczeństwa i byli jego podporą, ale stali po stronie nazistów. Z wielu powodów miałem trudności ze zrozumieniem takich ludzi – przecież przy swojej inteligencji i pozycji społecznej nie powinni kwestionować faktów. Pomyślałem, że prawdopodobnie się bali. Bali się stanąć twarzą w twarz ze złem i woleli wierzyć albo mieć nadzieję, że to wszystko jest kłamstwem lub przynajmniej koszmarnym snem, bo gdyby tak nie było, sami staliby się symbolami i przedstawicielami zła.

Pod wpływem impulsu zadzwoniłem do mojego znajomego, organizatora tournée, Kristera Jonsona. Przebywał w Köping, z angielskim zespołem z lat sześćdziesiątych. Zagrali koncert w piwnicy pewnego pubu. Tylko jeden z muzyków to członek oryginalnego składu – perkusista, który pograł z nimi kilka tygodni, zanim zespół się rozwiązał. Teraz to on był gwiazdą, o ile w świecie Kristera Jonsona kiedykolwiek były lub będą gwiazdy.

– Wiesz, co się robi z marihuaną po ścięciu? – zapytałem.

– Dlaczego pytasz, jeśli wolno wiedzieć?

Słyszałem w jego głosie, że poprzedniego wieczoru palił.

– W lesie tu niedaleko stoi cała pieprzona szklarnia z trawą – powiedziałem. – Wiem, czyja to sprawa. I wiem też, że ci ludzie, że tak powiem, wypadli już z gry. Policja w końcu spali to gówno, zupełnie niepotrzebnie.

– Jasne – zgodził się.

W słuchawce zapadła cisza.

– Jasne?

– Jasne.

– Co to znaczy?

– Myślę.

– Znam kilku chłopców z Litwy, którzy mogą zająć się zbiorem, ale nie wiem, co potem – dodałem.

– Jasne – powtórzył Krister.

– Nie musimy sprzedawać, a jeżeli to będzie na prywatny użytek, wystarczy nam do końca życia. I będziesz mógł zaopatrywać swoje zespoły.

– Chłopców, powiadasz? Nie chcę, żeby w to byli zamieszani nieletni.

– Nie martw się, tak się mówi na Litwie – odparłem. – To dorośli faceci.

– Mam plan, znam takiego jednego... Mogę oddzwonić?

Rozłączyłem się i spostrzegłem, że w drzwiach stoi Emma.

Spała w jednym z moich starych T-shirtów. Był na nim napis „New York Dolls”.

Tego ranka nie pytała, tylko podeszła i od razu usiadła mi na kolanach.

– Chcesz kawy? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Już po wszystkim. – Poglądziłem ją po włosach. – Możemy odetchnąć.

– Co będzie z Edwardem i Vivecą?

– Mam nadzieję, że trafią do więzienia – odparłem. – Jestem pewien, że tak będzie.

– To oni zabili mojego tatę czy ich syn?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Jeśli nie zabili go osobiście, to dopilnowali, żeby ktoś inny to zrobił. Za to też pójdą siedzieć.

Emma długą chwilę milczała, a kiedy w końcu się odezwała, patrzyła na zatokę Skälderviken.

– Teraz mnie zostawisz?

To była kolejna myśl, którą od siebie odpędzałem.

W co ja się wpakowałem? Jak się z tego wydostać? Co zrobić z Emmą? Co zrobić z Bodil i jej córką Mają? Dlaczego coś tak mnie przyciągało do gniewnej badaczki Kattis? Już wygooglowałem jej adres i numer telefonu. Czułem, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby się trochę zabawić, i musiałem przyznać sam przed sobą, że bardzo się na to cieszyłem.

– Nie sądzę – odpowiedziałem. – Twoja mama wyzdrowieje.

– Ale mamie trudno się żyje.

– Wszystko się ułoży – stwierdziłem.

Pokręciła głową.

– Mam tylko ciebie – powiedziała.

– To niewiele masz – uśmiechnąłem się.

– Mówię poważnie.

– Wiem.

– Zrobisz to?

– Co takiego?

– Zostawisz mnie?

– Nie wiem, czy dam radę się tobą zaopiekować. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Musimy kogoś zapytać.

Myślałem o tym, co Eva Månsson opowiadała w kuchni Arnego – że jako mała dziewczynka trafiała do mnóstwa okropnych rodzin zastępczych.

– Pogadamy z kim trzeba, ale ja naprawdę mam sporo za uszami.

– Lubię cię – powiedziała i oparła mi głowę na piersi.

Chrząknąłem.

Emma podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy.

– Nie chcę, żebyś mnie zostawiał.

– Wszystko będzie dobrze – odparłem. – Załatwimy to.

Nie wiedziałem tylko jak.

– Lubisz Evę? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Jest miła.

Nagle usłyszałem szelest liści, a kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że z lasu wychodzi Otto.

Emma spojrzała w tamtą stronę.

– Zobacz, piesek – pokazała.

– Chyba go znam – westchnąłem.

Zupełnie zapomniałem o jack russell terrierze pani Björkenstam. Nie widziałem go na festynie, ale z pewnością gdzieś tam był i się schował, kiedy wybuchło zamieszanie.

Podszedł do nas zrezygnowany i niepewnie zamerdał ogonem. Ciągnął za sobą smycz.

Wyglądał tak mizernie, że zrobiło mi się go żal.

– Jeżeli to jest pies, którego znam, to wabi się Otto.

Nadstawił uszu, kiedy wymówiłem jego imię.

– Otto – powiedziała Emma.

Nadal wyglądał na przestraszonego, ale kiedy najpierw ja, a potem Emma zaczęliśmy do niego mówić, uspokoił się, podszedł i polizał nas po rękach.

– Idź do kuchni i nalej mu do miski wody z kranu – poleciłem. – W lodówce powinno być kilka kiełbas, na pewno jest głodny i spragniony.

Otto zaczął łapczywie pić z miski i jeść parówki prinskorv, które łamaliśmy na małe kawałki i mu podawaliśmy.

– Jego też zostawisz? – zapytała Emma.

– On nie ma pani ani pana. Zobaczymy, jak to będzie.

Zadzwoił Krister Jonson. Jak zwykle był oszczędny w słowach:

– Kiedy można zacząć żniwa, że tak powiem?

– Myślę, że w każdej chwili. Jeszcze nie rozmawiałem z chłopakami, ale są elastyczni.

– Jasne – odparł.

A potem się rozłączył.

Zadzwoiłem do Arnego i razem z Emmą zaczęliśmy z nim rozmawiać.

– Nie przyjedziesz tu? – zapytała.

Powiedział, że ma zamiar zebrać się na odwagę i zaprosić kobietę na kolację. Pomyślał, że może przyjechałby z nią do Solviken.

Emma poradziła, że powinien tak zrobić.

Wydawał się szczęśliwy.

Kiedy Otto skończył jeść, wskoczył mi na kolana. Emma dotrzymała mu towarzystwa.

Nie rozumiałem, jak to możliwe, że oboje się zmieścili.

Wreszcie wróciła Eva Månsson. Przez całą noc siedziała z helsingborską policją. Wyglądała na zmęczoną.

– Dostałaś psa, Emmo? – zdziwiła się.

– Nie wiem – odpowiedziała Emma. – Harry być może nas zostawi. Mnie i jego.

Eva spojrzała na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

Musiała odpowiedzieć na wiele pytań policji. Wyjaśnić, co robiła w Solviken i dlaczego miała przy sobie broń, skoro nie była na służbie. Tłumaczyła, że to był czysty przypadek – знаła mnie od lat i przyjechała do Solviken, żeby mnie odwiedzić i zjeść ze mną lunch, a wtedy nagle pozornie niezrównoważona kobieta chciała ugodzić mnie nożem. To była nagła sytuacja, więc Eva wyciągnęła broń i wystrzeliła.

– To nie było kłamstwo – podsumowałem.

– Cała prawda też nie – odparła.

– Cała prawda bywa czasem przeceniana – stwierdziłem.

Eva się skrzywiła.

– Coś o tym wiesz.

– Udał ci się ten strzał.

– Nigdy wcześniej nie strzelałam. To znaczy poza strzelnicą. To był pierwszy raz, kiedy tak na poważnie użyłam pistoletu. Sama nie wiem, w co celowałam.

Ośrodek był najwyraźniej przykrywką dla tak zwanej działalności politycznej pani Björkenstam. Przebywało tam piętnastu pacjentów, starych i upośledzonych umysłowo, których naprawdę leczono, i przynajmniej dwóch, których przetrzymywano wbrew ich woli.

– Jeszcze nie wszystko było gotowe – kontynuowała Eva Månsson – ale Linn powiedziała, że w piwnicy mieli wystarczająco dużo sztuk broni i materiałów wybuchowych, żeby rozpętać rewolucję albo jakieś zamieszki. Nie wiem, co zamierzali zrobić.

Nie zdziwiło mnie to.

Wyglądało na to, że Viveca Björkenstam, Bertil Rasck i młody Markus Jihflod byli gotowi sięgnąć po broń, gdyby zaszła taka potrzeba i gdyby ich plan mógł na tym zyskać. Tylko przewertowałem gazetę, ale mimo to wydawało mi się, że widziałem tytuł, z którego wynikało, że wroga uchodźcom partia polityczna oficjalnie zerwała ze swoją młodzieżówką.

Poprosiłem Emmę, żeby przyniosła gazetę.

Dobrze pamiętałem.

Było tam nawet zdjęcie Markusa Jihfloda.

Wyglądał na nim równie nieprzyjemnie co w rzeczywistości. Uważał, że partia zrobiła się zbyt ugrzeczniona.

Odłożyłem gazetę, odwróciłem się do Evy i zapytałem:

– Zjesz coś?

– Może później. Jestem cholernie wykończona.

– Pójdziemy popływać?

– Tak – powiedziała Emma.

– Nie mam kostiumu – odparła Eva Månsson.

– Nie szkodzi. Przewodnicząca Przyjaciół Solviken leży w szpitalu z przestrzelonym kolanem, powinnaś o tym wiedzieć, w końcu to ty strzelałaś.

– Masz jakąś koszulę, którą mogłabym pożyczyć?

– Wejdź do środka i poszukaj.

Kiedy wróciła, zdjęła ubranie, które miała na sobie mniej więcej dobę, i stanęła

przed nami w ciężkich butach i mojej białej koszuli, która ledwo sięgała jej za biodra.

Była piękna jak wschód słońca.

A może ja też byłem wykończony.

Emma się przebrała i poszliśmy na kąpielisko.

Wzięła nas za ręce i prowadziła.

– Tak wolno idziecie – powiedziała.

Huściliśmy ją między sobą.

Koło naszych nóg biegł merdający ogonem Otto.

Można było myśleć o wielu rzeczach, ale ja jestem prostym człowiekiem, i jedyną myślą, jaką wtedy miałem w głowie, było to, że zaraz zobaczę inspektor Evę Månsson nago.

Być może.

Podziękowania

Jak zwykle, chciałbym podziękować Malin Swedberg – policjantce, telewizyjnej ekspertce, a swego czasu niezrównanemu pomocnikowi piłkarskiej reprezentacji Szwecji. Nie jestem pewien, czy zatwierdziła wszystko, co inspektor Eva Månsson robi w tej książce.

Następujące osoby służyły mi wskazówkami, odpowiedziami na pytania i/lub stymulującym towarzystwem: Stefan Alfelt, Per-Anders Broberg, Chien Chung Wang (Kin-Long, Malmö), Ulf Eggefors, Patrick Ekwall, Per Gessle (Gramercy Cafe), Lena Graversen (Swedbank, Great Jones Cafe), Mark Ibold, Thomas Johansson, Bill Judkins, Linus Karlsson, Per Vidar Lundberg, Paulius Masiulis, Nicolinn Nilsson, Nils Petter Nilsson, Thomas Pagden, Helén Rasmusen, Anders Svensson (nie ten Anders Svensson), Agnes Thor, Stefan Wettainen, Henrik Wettin (kapitan portu w Arild), Michael Wolf, Björn Österling (rybak z Arild).

ŚLADY



ZBRODNI

WSZYSTKO ZOSTAJE W RODZINIE

Pewnej nocy pod drzwiami Harry'ego Svenssona zjawia się przestraszona dziewczynka. Dziennikarz na własną rękę rozpoczyna poszukiwania matki dziecka. Tropy prowadzą do wpływowej rodziny, która może być zamieszana w handel narkotykami i współpracę z rosyjską mafią. Dziennikarz odkrywa coraz więcej niepokojących faktów, które ktoś usilnie próbuje ukryć...

Mats Olsson funduje czytelnikom nieustające napięcie.

„Expressen”

*Świetnie skonstruowana intryga,
mistrzowsko nakreślone postaci.*

„Skånska Dagbladet”

Cykl z Harrym Svenssonem



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5616-7

EAN 9788327156167

U.WD.KRW059.1.01.01